

ZAGINIONA HISTORIA STAROŻYTNYCH AMERYK

Osady sprzed setek tysięcy lat, narzędzia do cięcia granitu bardziej precyzyjne
niż piła diamentowa, monstrualne 6-metrowe niedźwiedzie:
ukrywane fakty z przeszłości obu kontynentów



ZECHARIA SITCHIN, WAYNE MAY, ANDREW COLLINS,
DAVID HATCHER CHILDRESS, LAURA LEE

Wybór i redakcja **FRANK JOSEPH**

ZAGINIONA HISTORIA STAROŻYTNYCH AMERYK

**Zecharia Sitchin, Wayne May, Andrew Collins,
David Hatcher Childress, Laura Lee**

Wybór i redakcja: Frank Joseph

Przekład
Krzysztof Kurek



Redakcja stylistyczna
Barbara Nowak

Redakcja techniczna
Andrzej Witkowski

Korekta
Katarzyna Pietruszka
Elżbieta Szelest

Ilustracja na okładce
© Wydawnictwo Amber

Opracowanie graficzne okładki
Studio Graficzne Wydawnictwa Amber

Skład
Wydawnictwo Amber

Druk
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA, Warszawa, ul. Mińska 65

Tytuł oryginału
Discovering the Mysteries of Ancient America

Copyright © 2006 Frank Joseph.
Original English language edition published by Career Press, 3 Tice Rd.,
Franklin Lakes, NJ 07417 USA.
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2006 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-2668-6 978-83-241-2668-2

Warszawa 2006. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o. 00-060 Warszawa, ul. Królewska 27 tel. 620 40 13,620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Spis treści:

Wprowadzenie

Rozdział 1: Przeciwstawiając się archeologicznemu establishmentowi

Rozdział 2: Starożytna technika

Rozdział 3: Zaginione rasy

Rozdział 4: Prekolumbijscy przybysze z Pacyfiku

Rozdział 5: Wikingowie wylądowali!

Rozdział 6: Wschód spotyka Zachód w starożytnej Ameryce

Rozdział 7: Goście z Afryki

Rozdział 8: Prekolumbijscy Europejczycy na wybrzeżach Nowego Świata

Podsumowanie

Bibliografia

Wprowadzenie

Frank Joseph

Ameryka przed Kolumbem

Ancient American to wyjątkowe czasopismo popularnonaukowe założone przez Wayne'a Maya w 1993 roku. Od tamtej pory ukazało się ponad 72 numerów. Prezentuje ono niekonwencjonalne wnioski, płynące z często zdumiewających odkryć, które podważyły obowiązujące teorie o przeszłości Ameryki. Dwumiesięcznik *Ancient American* ma charakter otwartego forum – przedstawia badania prowadzone zarówno przez naukowców z uniwersyteckim przygotowaniem, jak i przez pasjonatów niebędących profesjonalistami. Z tych badań – o biegunowo odmiennym charakterze – wyłania się nowa wizja kontynentu amerykańskiego, stojąca w jaskrawej sprzeczności z ustaleniami głównego nurtu archeologii.

Ancient American pokazuje, że – wbrew powszechnemu przekonaniu – w zamierzchłej przeszłości rozległe oceany nie stanowiły nieprzekraczalnych barier dla ludzi, przeciwnie – były szlakami komunikacyjnymi, którymi rozmaici podróżnicy docierali do Ameryki z wielu części kuli ziemskiej. *Ancient American* opisuje zamorskich przybyszów sprzed setek, a nawet tysięcy lat przed zjawieniem się w Ameryce Krzysztofa Kolumba. Czas zatarł, choć nie całkowicie, wpływ, jaki wywarli na tereny położone blisko wybrzeży kontynentu amerykańskiego starożytni Egipcjanie, Kreteńczycy, Fenicjanie, Grecy, Hebrajczycy, Rzymianie. Ich śladem podążyli walijscy wędrowcy, wikińscy wojownicy, irlandzcy misjonarze, a nawet templariusze. Żeglarze z wielkich królestw Afryki Zachodniej odważnie podejmowali przeprawy przez ocean i wywarli trwałe piętno na najstarszej znanej cywilizacji Meksyku. Krzewiciele kultury, kupcy, odkrywcy, uchodźcy docierali do Ameryki z Japonii, Chin, Indii i Jawy. Ślady ich wpływów wciąż pobrzmiwają w ustnej tradycji rdzennych Amerykanów i są poświadczane przez liczne zabytki materialne. Ameryka stanowiła tygiel kulturowy na długo przed wzniesieniem Statui Wolności na Liberty Island.

Zaginiona historia starożytnych Ameryk to wybór najlepszych artykułów opublikowanych w *Ancient American* od chwili jego powstania. Choć autorzy podkreślają przede wszystkim wkład prekolumbijskich zamorskich przybyszów w rozwój kontynentu amerykańskiego, uwzględniono również przeciwstawne poglądy, by wywołać żywą dyskusję, wciągającą i prowokującą. W wyborze materiałów nie ograniczono się wyłącznie do tematów związanych z przenikaniem się kultur; przeważają teksty o wpływie Starego Świata na Nowy Świat przed rokiem 1492. Ponadto książka włącza się do dyskusji o oficjalnym tuszowaniu politycznie niepoprawnych dowodów; przedstawia podważające paradygmat naukowy odkrycie liczącego 9000 lat szkieletu człowieka rasy białej w stanie Waszyngton; ujawnia fizyczne świadectwa istnienia zaginionej supernauki; prezentuje dowody na to, że ludzie zamieszkiwali Amerykę już 250.000 lat temu; podaje najbardziej aktualne informacje o zatopionych cywilizacjach Atlantydy i Lemurii; opisuje także olbrzymie zwierzęta, które walczyły z naszymi przodkami o przetrwanie. Tych kontrowersyjnych kwestii nie porusza się otwarcie w ugrzeczonym środowisku archeologicznego establishmentu.

Historia, którą będą poznawały nasze dzieci, nie będzie taka sama, jak ta, której dziś uczy się w szkołach. Zaginiona historia starożytnych Ameryk przedstawia właśnie pierwszy rozdział nowej historii Ameryki.

Rozdział 1

Przeciwstawiając się archeologicznemu establishmentowi

Pomiary ^{14}C dowodzą wieku Ameryki

Zecharia Sitchin słynie na całym świecie z kontrowersyjnych książek opisujących początki człowieka i ludzkiej cywilizacji. „Zaginione królestwa” (Warszawa 2002), „Genesis jeszcze raz” (Warszawa 1997), „Kosmiczny kod” (Warszawa 2000) wydano w wielu krajach, a ich autor występował w licznych filmach dokumentalnych dotyczących nauki alternatywnej.

Zecharia Sitchin, urodzony w Rosji, wychowany w Palestynie, ukończył na uniwersytecie w Londynie studia w dziedzinie historii ekonomii. Zanim zamieszkał w Nowym Jorku, pracował wiele lat jako dziennikarz i redaktor w Izraelu.

W artykule w *Ancient American* z kwietnia 2001 roku Zecharia Sitchin wykazał, że cywilizacja na kontynencie amerykańskim jest 15 wieków starsza, niż się powszechnie sądzi. To znaczące cofnięcie daty oznacza, że kultura prehistorycznej Ameryki powstała mniej więcej równocześnie z wysoko rozwiniętymi cywilizacjami doliny Nilu i Mezopotamii. Tamtejsza kultura starożytnych Egipcjan i Sumerów rzeczywiście zdradza uderzające podobieństwo do kultury starożytnego Meksyku. Swoje odkrycia Sitchin poparł wynikami datowania izotopowego metodą węgla ^{14}C .

Czy rzeczywiście, jak dowodzi Sitchin, już u zarania zorganizowanego społeczeństwa mogło istnieć transoceaniczne powiązanie między doliną Nilu i Doliną Meksyku?



Starożytne ruiny na jednej z meksykańskich wysp zbadane przez amerykańskiego astronautę cofnęły datę powstania wysoko rozwiniętej cywilizacji w Ameryce o 15 stuleci.

Pierwsza cywilizacja amerykańska: starsza niż uważano

Gdyby astronauta miał potwierdzić którąś z tez zawartych w moich książkach, oczekiwałbym, że dotyczyłoby to kwestii międzyplanetarnych. Zdziwiająca, ale potwierdzenie znalazła teza o Olmekach ze starożytnego Meksyku. Dowodzi tego niedawno opublikowana książka *A Leap of Faith* („Skok wiary”) Gordona Coopera, amerykańskiego astronauty z zespołu *Mercury 7*. W książce „Zaginione królestwa” wspominam o wielkiej kamiennej głowie, mającej wyraźnie afrykańskie rysy twarzy, odkrytej w 1869 roku w Veracruz w Meksyku. Wskazuje ona na istnienie rozwiniętej cywilizacji poprzedzającej cywilizację Majów i Azteków.

Archeolodzy nadali jej twórcom umowną nazwę Olmeków. Kłopotliwa z naukowego punktu widzenia odpowiedź na pytanie, kim właściwie byli oraz jak i dlaczego przepławiali się przez ocean, stała się jeszcze trudniejsza, gdy przedstawiono ramy czasowe dla pojawienia się tych krzewicieli wysoko rozwiniętej kultury w Nowym Świecie. Przy założeniu, że Olmekowie reprezentowali najwcześniejszą cywilizację – „matkę” wszystkich cywilizacji Mezoameryki – czas ich przybycia ustalono początkowo na około 250 lat p.n.e. Jednak późniejsze datowanie izotopowe metodą węglową przesunęło początki cywilizacji Olmeków na 1500 lat p.n.e. Moim zdaniem, była to dwukrotnie wcześniejsza data.

Pomiary izotopu węgla ^{14}C to metoda datowania wynaleziona w 1947 roku do określania wieku materiałów pochodzenia organicznego. Christopher Dunn wyjaśnia: „Izotop ^{14}C powstaje w wyniku oddziaływania promieniowania kosmicznego w jonosferze powodującego przenikanie neutronów przez atmosferę. Neutrony te wchodzi w reakcję z azotem ^{14}N i powstaje wtedy izotop ^{14}C . Od chwili powstania ^{14}C zaczyna się rozpadać i początkowo ustalono, że okres jego połowicznego rozpadu wynosi 5568 lat. Żywe organizmy przyswajają ^{14}C w określonej ilości i tracą go w określonym tempie. Znając poziom ^{14}C w obiekcie organicznym przed jego obumarciem, naukowcy po zmierzeniu pozostałej w nim po śmierci zawartości ^{14}C potrafią określić wiek obiektu. Z wyjątkiem normalnych odchyłeń, izotop ^{14}C utrzymuje się na stałym poziomie w ziemskiej atmosferze”.

Wniosek, że obecność Olmeków w Nowym Świecie sięga co najmniej 5000 lat w przeszłość, do około 3000 roku p.n.e., wysnułem na podstawie wielu przesłanek. Pierwszą była próba zidentyfikowania wielkiego boga mezoamerykańskiego, Pierzastego Węża, który obiecał powrócić pierwszego dnia 52-letniego cyklu. Aztekowie znali go jako Quetzalcoatla, natomiast Majowie – jako Kukulcana. W 1519 roku władca imperium azteckiego Moctezuma II (powszechnie znany dziś pod nieprawidłowym imieniem Montezuma) błędnie uznał hiszpańskiego konkwistadora Hernána Cortésa za boga, który zjawia się w przewidzianym, świętym dniu na atlantyckim wybrzeżu Meksyku nieopodal Veracruz – w tym samym miejscu, w którym miał pojawić się Quetzalcoatla.

W książce „Zaginione królestwa”, poświęconej prehistorii Ameryk, zasugerowałem, że można ustalić z przekonującą precyzją czas przybycia Olmeków i Pierzastego Węża. Klucz do rozszyfrowania tej zagadki znajduje się w olmeckim kalendarzu. Ludność Mezoameryki w rachubie czasu posługiwała się dwoma cyklami: 365-dniowym, nazywanym w języku Majów *haab*, który służył w życiu codziennym, i *tzolkin*, będącym świętym kalendarzem 260-dniowym. Podobno składał się on z dwóch kół zębatach, które obracały się i powracały do tej samej pozycji raz na 52 lata. Była to święta liczba bóstwa, Skrzydlatego Węża, jak również święta liczba boga znanego Egipcjanom pod imieniem Tot. Podobnie jak Quetzalcoatla, był on boskim patronem nauki i kalendarza. Bóstwo to zostało wygnane z Egiptu około 3100 roku p.n.e. Sugeruję, że postać ta nie była wyłącznie wytworem legendy, lecz rzeczywiście istniejącym krzewicielem kultury, który wiódł grupę swoich zwolenników na nowy ląd. Tak Olmekowie znaleźli się w Ameryce Środkowej.

Oprócz kalendarzy *haab* i *tzolkin* w Mezoameryce istniał jeszcze trzeci kalendarz używany do zapisywania dat na specjalnych monumentach. Nosił nazwę „Długiego Rachunku” i nie miał charakteru cyklicznego, jak dwa pozostałe, lecz liniowy. Określał całkowitą liczbę kolejnych dni, które upłynęły od zapoczątkowania liczenia w tajemniczy Dzień Pierwszy. Za pomocą symboli hieroglificznych oznaczających dni – 1, 20, 360, 7200, a nawet 144.000 – oraz kropek wskazujących liczbę hieroglifów grupujących dni, monumenty pokazywały liczbę dni, które upłynęły. System ten wskazywał „całkowitą sumę dni, które minęły od Dnia Pierwszego do chwili wzniesienia danego monumentu”.

Czymże jednak był Dzień Pierwszy? Kiedy nastąpił i jakie miał znaczenie? Bez cienia wątpliwości ustalono, że ów Długi Rachunek stanowił oryginalny kalendarz Olmeków. Obecnie przyjmuje się też powszechnie, że Dzień Pierwszy wypadał według współczesnego kalendarza 13 sierpnia 3113 roku p.n.e. Co jednak ta data oznaczała dla Olmeków? Jediną przekonującą odpowiedzią może być data przybycia Quetzalcoatl na atlantyckie wybrzeże Meksyku, nieopodal dzisiejszego Veracruz.

Potwierdzenie tego wydarzenia i tej daty pojawiło się w rozdziale 11 książki Gordona Coopera. Autor pisze: „W ostatnich latach pracy w NASA zaangażowałem się w przygodę całkiem innego rodzaju: podwodne poszukiwanie skarbów w Meksyku”. Cooper z zespołem w towarzystwie fotografa z *National Geographic* wylądowali niewielkim samolotem na jednej z wysepek w Zatoce Meksykańskiej. Miejscowi mieszkańcy wskazali im pewne kopce w kształcie piramid, gdzie Cooper z ekipą znaleźli prekolumbijskie ruiny, przedmioty i szczątki ludzkie. Chemicy analityczni z Teksasu ustalili wiek artefaktów na 5000 lat.

Cooper pisze: „Gdy poznaliśmy wiek tych przedmiotów, zrozumieliśmy, że to, co znaleźliśmy, nie ma nic wspólnego z XVII-wieczną Hiszpanią. Skontaktowałem się z rządem meksykańskim i skierowano mnie do szefa departamentu narodowej archeologii, Pabla Busha-Romera”. Wraz z meksykańskimi archeologami dwaj mężczyźni wrócili na wyspę.

Cooper pisze: „Potwierdzono wiek ruin: 3000 lat p.n.e. Niewiele wiadomo o ludziach zwanych Olmekami w porównaniu z innymi rozwiniętymi cywilizacjami. Mieli oni zdumiewające osiągnięcia cywilizacyjne jako inżynierowie, rolnicy, artyści czy kupcy. Wciąż jednak nie wiadomo, skąd pochodzili. Wśród znalezisk, które najbardziej mnie zaintrygowały, znajdowały się symbole astronawigacyjne i teksty, które po przetłumaczeniu okazały się matematycznymi formułami nadal stosowanymi w nawigacji. Znajdowały się tam również dokładne rysunki gwiazdozbiorów; niektóre »oficjalnie« odkryte dopiero w epoce nowoczesnych teleskopów.

Wszystko to wzbudziło moje zdziwienie: po co im symbole astronawigacyjne, skoro nie żeglowali po oceanach, kierując się gwiazdami?”

Cooper zadaje pytanie: Kto przyczynił się do rozwoju takiej wiedzy wśród Olmeków?

Odpowiedź kryła się we wspólnym muzeum cywilizacji olmeckiej w Jalapa w stanie Veracruz we wschodnim Meksyku. Na tamtejszej ekspozycji znajduje się tablica ścienna przedstawiająca daty i zakres występowania różnych prekolumbijskich kultur Meksyku. W czasie pierwszej wizyty w tej instytucji nie mogłem uwierzyć własnym oczom: na tablicy pokazano, że pierwsza, a zatem najstarsza cywilizacja – Olmeków – powstała około 3000 lat p.n.e. Poprosiłem innych zwiedzających, żeby zrobili mi zdjęcia, kiedy wskazuję na tę datę. Podczas mojej drugiej wizyty w muzeum stwierdziłem, że rubryka prezentująca początki cywilizacji Olmeków w IV tysiącleciu została usunięta. W oficjalnym katalogu muzealnym powrócono do wcześniejszej daty – 1500 lat p.n.e.

Jednak Gordon Cooper, profesjonalnie wyszkolony obserwator, donosi o czymś, o czym przypadkowo dowiedział się od szefa meksykańskich archeologów – zabytki olmeckie rzeczywiście datowano na 3000 lat p.n.e., czyli okres nagłego rozkwitu wielkiej cywilizacji w dolinie Nilu, najwyraźniej powiązanej z Olmekami. Czy egipski Tot to mezoamerykański Pierzasty Wąż? Podobieństwo ich misji oraz wspólne ramy czasowe wskazują, że nie może to być przypadkowa zbieżność.



Człowiek z Kennewick

Na brzegach rzeki Kennewick w stanie Waszyngton w 1991 roku znaleziono szkielet niezwyklej ofiary morderstwa. Od chwili odkrycia szczątki te były przedmiotem zażartego sporu między naukowcami żądnymi ich zbadania oraz obrońcami praw Indian wspieranymi przez saperów z U.S. Army Corps of Engineers, którzy woleli jak najszybciej zagrzebać je z powrotem w ziemi. Szczątki sprzed 90 stuleci należały do człowieka odmiany białej, czyli europeida, i w tym właśnie tkwi problem. Jeszcze nieco ponad 500 lat temu za jedynych mieszkańców tego kontynentu uznawano wyłącznie przodków rdzennych Amerykanów, Indian. To długo pokutujące przekonanie zostało podane w wątpliwość przez owego niezwyklego obcego przybysza, ponieważ prawdopodobnie nie przybył on tam sam.

W *Ancient American* z października 2004 roku James J. Daly nakreślił najważniejsze konsekwencje wynikające ze znalezienia tego kontrowersyjnego szkieletu.

James J. Daly

Człowiek z Kennewick: wciąż politycznie niepoprawny po 9000 lat

Media mogą wpływać na opinie publiczną i zapewniać politykom poparcie, dodając im prestiżu. Jeśli „eksperti” coś orzekli, musi to być prawdą. Warto więc wiedzieć, jak przedstawiono spór o człowieka z Kennewick w książkach, czasopiśmie i filmach edukacyjnych. Omówione tu będą trzy prezentacje: książki Jonathana Marksa *What It Means to be 98% Chimpanzee* („Jak to jest być w 98% szympansem”) i Spencera Wellsa *The Journey of Man* („Podróż człowieka”) oraz film dokumentalny *The Real Eve* („Prawdziwa Ewa”) z narratorem Dannym Gloverem, znanym aktorem filmowym. Wszystkie trzy przedstawiły błędną interpretację materiałów dotyczących odkrycia w Ameryce Północnej szkieletu, który fizycznie nie przypomina szkieletów rdzennych Amerykanów.

Wielu specjalistów z zakresów antropologii, archeologii, psychologii i socjologii – które są zaliczane do nauk humanistycznych – wzbrania się przed zaakceptowaniem tego oczywistego na pierwszy rzut oka dowodu, że inni ludzie przybyli do Nowego Świata przed przodkami Indian, gdyż znalezisko podważa przyjęte z góry przez tych specjalistów poglądy socjopolityczne. Najważniejszą cechą owych akademików, nazwanych radykalnymi naukowcami, jest popieranie „dobrej” nauki i sprzeciwianie się „złej”. Poparcie nie odnosi się jednak w żadnej mierze do dokładności i precyzji badań naukowych czy powtarzalności wyników. Kierują się oni tym, czy nauka jest, czy nie jest „dobra” dla ludzi. Uprawiana przez „radykałów” nauka stanowi odbicie relatywnego i subiektywnego punktu widzenia i jest znacznie bardziej socjopolityką niż nauką. Fakty nie mają znaczenia – liczy się intencja. Oni lepiej niż ty wiedzą, co powinieneś wiedzieć. Ich stosunek do nauki oddaje zdanie wypowiedziane przez Jacka Nicholsona w filmie *Ludzie honoru*: „Prawda? Nie jesteś w stanie znieść prawdy”.

Warto poznać punkt widzenia radykalnych naukowców, ponieważ tłumaczy on stanowisko wobec człowieka z Kennewick prezentowane przez Jonathana Marksa w książce pozornie opowiadającej o szympancach i ludziach. Marks, profesor nadzwyczajny University of North Carolina w Charlotte, w książce krytykuje genetykę molekularną, którą zastosowano do udowodnienia, że nie różnimy się od małp. Autor wyraża pogląd: małpy to nie ludzie i *vice versa*. Jednak

krytyka jest tylko zasłoną dymną dla innych tematów poruszanych w jego książce – rasizmu w nauce, genetycznego determinizmu, socjobiologii, projektu poznania ludzkiego genomu (*Human Genome Project*) oraz człowieka z Kennewick. Marks szerzej pisze o powiązaniach między człowiekiem i małpami na pierwszych 50 stronach książki, natomiast dalej tylko napomyka tu i ówdzie o małpach i ludziach.

Jego strategia jest następująca – krytyka metod i rezultatów porównawczych badań molekularnych nad człowiekiem i małpą może być rozciągnięta również na badania genetyczne nad zróżnicowaniem populacji lub podgrup ludzkości. Rodzi się pytanie o motywy napisania takiej książki. Wydaje się, że główny powód to 19 stron o człowieku z Kennewick mających poprzec roszczenia rdzennych Amerykanów do tych prastarych ludzkich szczątków. Tematyka „małpia” jest nawet nowatorska i oryginalna, ale zajmuje zaledwie 1/4 część książki. Natomiast cały antyrasowy materiał to stare poglądy, znane z wielu innych publikacji, także autorstwa Marksa. Twierdzi on, że otrzymał dotację od National Science Foundation (NSF) na opracowanie książki.

Moja znajomość działania federalnych agencji przyznających takie dotacje pozwala stwierdzić, że niezwykle jest dotowanie przez NSF książki przedstawiającej osobiste opinie autora i niezawierającej nowych danych badawczych. Istnieje podejrzenie, że jakaś niewidzialna dłoń pomogła opracować tę książkę i stworzyć „ekspercki” punkt widzenia, przydatny w późniejszych bataliach prawnych lub przekonywaniu opinii publicznej, by sprzyjała roszczeniom rdzennych Amerykanów. Poza tym książka jest miejscami tak słaba, jakby trafiła do druku bez poprawek redakcyjnych. Brakuje w niej krytycznej, wyważonej polemiki, natomiast pojawiają się bez uzasadnienia takie tematy, jak ludzki homoseksualizm.

Z literackiego punktu widzenia najgorszym wykroczeniem są zdumiewające i niezrozumiałe metafory oraz analogie, którymi Marks okraślił cały tekst. Trzeba jednak przyznać, że rozdział atakujący projekt badań nad małpami człekokształtnymi (*Great Apes Project*) i przyznanie szympansom przysługujących ludziom praw naprawdę wart jest przeczytania. Jest zabawny i z punktu widzenia bojowników o prawa zwierząt całkowicie politycznie niepoprawny. Stosunek Marksa do człowieka z Kennewick streszcza jeden z podtytułów rozdziału książki „Oddajcie nam człowieka z Kennewick”. Marks podsumowuje swoje rewelacje stwierdzeniem: „Człowiek z Kennewick ma odmienne znaczenie dla dwóch grup, które wysuwają roszczenia do jego szczątków. Uważam, że dla rdzennych Amerykanów stanowi ważny symbol, zaś dla naukowców jest tylko obiektem bezmyślnych i nieodpowiedzialnych spekulacji. Człowiek z Kennewick sytuje się w miejscu styku nauki i człowieczeństwa. Uosabia konflikt między poczuciem tożsamości i respektowania praw człowieka z jednej strony a anachroniczną i przekraczającą kompetencje nauką – z drugiej”.

Innymi słowy, nauka powinna ustąpić przed osobistymi odczuciami. Marks w swojej rozprawie o człowieku z Kennewick nie bierze pod uwagę tego, że szkielet nie jest podobny do szkieletów rdzennych Amerykanów. Po prostu domaga się by go oddać. Takie jest prawo. Ale coś tu przeoczono. Wydaje się, że nikt – ani Marks, ani antropolodzy, ani sędziowie czy rdzenni Amerykanie – nie uświadamia sobie, że prawa człowieka przysługują również zmarłemu z Kennewick – niesprawiedliwością byłoby zwrócenie jego szczątków potomkom ludzi, którzy go zamordowali.

Ulubionym argumentem *ad hominem* Marksa jest określanie tych, którzy się z nim nie zgadzają, mianem „pseudonaukowców”, jednak to raczej jego należy uznać za pseudonaukowca. W jednym z rozdziałów książki napawa się niepowodzeniem pewnego badacza, próbującego wyekstrahować przydatne do badań DNA ze szczątków człowieka z Kennewick. A przecież jest niemal niemożliwością uzyskanie nienaruszonego DNA z tak starych szczątków organicznych. Uzyskanie DNA ze szkieletu neandertalczyka było niezwykle osiągnięciem. Najmniej rozsądną uwagą Marksa było stwierdzenie, że to przecież tylko jeden szkielet, a pojedyncze okazy nie mają wielkiego znaczenia. Marks mija się z prawdą. Znalezienie fragmentu czaszki, palca, zęba, kości ramienia lub innej części pradawnych szczątków ludzkich często jest przełomowym odkryciem w świecie nauki.

Marks zapomina zaznaczyć, że znalezienie kompletnego szkieletu, który ma 9000 lat, graniczy z cudem. Pozostaje jeszcze ten niewygodny (dla zwolenników Marksa) paleoindiański grot oszczepu, tkwiący w miednicy człowieka z Kennewick. Marks bywa też wręcz śmieszny. Jasno daje do zrozumienia, że gardzi naukowcami twierdzącymi, iż nie istnieją rasy lub odmienne ludzkie populacje, następnie sam wykrywa różnice, które dowodzą czegoś przeciwnego. W podobny sposób

postępuje Spencer Wells. Wells poszukuje genetycznych markerów, które mogą zidentyfikować i wyodrębnić różne grupy ludzi. Broni się przed określeniem go „rasistą”, twierdząc, że dzięki markerom można prześledzić ewolucję i migracje gatunku ludzkiego w ciągu całych niepisanych dziejów, i że takie dane są rasowo neutralne (dopóki nie nazywa się wyodrębnionych grup „rasami” – Wells preferuje termin „klany”).

Wells, podobnie jak Marks, jest kompilatorem i interpretatorem danych uzyskiwanych przez innych naukowców. Dobitnie widać to w książkach i filmach dokumentalnych, na przykład w filmie zainspirowanym jego najnowszą książką *The Journey of Man* („Podróż człowieka”). Wells na podstawie dostępnych danych genetycznych ukazał w niej ewolucję człowieka. Genetyczne markery zazwyczaj są skorelowane z innymi dowodami z zakresu anatomii i językoznawstwa czy z zabytkami kulturowymi. Wells jest antropologiem molekularnym, choć z pewnością wolałby być uznany za genetyka molekularnego. Nie można mu odmówić rzetelności, gdyż bardziej polega na naukowych faktach, niż kieruje się porywami emocji.

Niemniej środowisko naukowe, z którego się wywodzi, budzi pewne podejrzenia, ponieważ studiował na Harvard University. Uczelnia ta stanowi ośrodek radykałów z zakresu nauk biologicznych, takich jak Lewontin, Gould i Montague. Wells pracował później w Stanford z Cavallim-Sforza, który jest pionierem w dziedzinie markerów genetycznych różnych grup ludzi. Takie badania obecnie mają opinię politycznie niepoprawnych, co tłumaczy zręczliwe komentarze Jonathana Marksa. Trzeba dysponować sporą wiedzą o zróżnicowaniu genetycznym, by pojąć, że Wells należy do radykalnego odłamu naukowców, choć w bardziej zakamuflowany sposób niż Marks. Wells ujawnia swoje prawdziwe intencje w krótkim (nader krótkim) omówieniu migracji do Nowego Świata ludów innych niż rdzenni Amerykanie.

Wells pisze, że przypuszczalne dwie pierwsze fale migracji ludów do Ameryki Północnej są poświadczone przez materiały genetyczne i lingwistyczne – źródłem tych ostatnich są rozległe studia przeprowadzone przez Josepha Greenberga. Jednak o człowieku z Kennewick Wells stwierdza tylko: „Ponadto, ponieważ w paleolicie górnym mieszkańcy Syberii i Europy początkowo wywodzili się z tych samych populacji z Azji Środkowej, prawdopodobnie byli do siebie bardzo podobni. Człowiek z Kennewick, jako przypuszczalny potomek ludzi z pierwszej fali migracji z Syberii do Nowego Świata, mógł zachować cechy budowy typowe dla ludów Azji Środkowej – co pozwoliłoby go zaliczyć do europeidów. Istotnie, wiele czaszek dawnych Amerykanów ma bardziej europejski wygląd niż czaszki współczesnych Indian, co sugeruje, że wygląd mieszkańców Ameryki zmieniał się w czasie. Bardziej mongoloidalny (wschodnioazjatycki) wygląd współczesnych rdzennych Amerykanów może mieć źródło w drugiej fali migracji, która przyniosła do Ameryki marker genetyczny M130 z Azji Wschodniej”.

Wypada opatrzeć ten cytat kilkoma zastrzeżeniami. Po pierwsze, stosowanie takich słów, jak „prawdopodobny”, „przypuszczalny”, „mógł” czy „sugeruje”, oznacza, że prezentowane hipotezy są tylko „opowiastkami”, które ostatecznie mogą okazać się niesłuszne. Po drugie, użycie określenia „europeid” wskazuje na wątpliwości co do opisu cech fizycznych człowieka z Kennewick. Na początku tego samego rozdziału Wells stwierdza: „Brak przekonujących dowodów innych migracji z Europy bądź Australii”. Gdyby nie odkryto człowieka z Kennewick, jakakolwiek sugestia o „europeidach” obecnych w Nowym Świecie przed rdzennymi Amerykanami byłaby dla Wellsa jeszcze mniej „przekonująca”. Ponadto jeśli Europejczycy i mieszkańcy Azji Środkowej stanowili wówczas jedną i tę samą grupę ludności, to czemu nie stosować terminu „Euroazjaci”? Chyba dlatego że chce się uniknąć pojęcia „euro”. A to sprawia, że czytelnik zaczyna zastanawiać się, czy Wells należy do szkoły „wszyscy, tylko nie Europejczycy”. Tak czy inaczej, najistotniejsze pytanie brzmi: kto był najpierw w Ameryce Północnej – europeidzi czy mongoloidzi?

Po trzecie, markery genetyczne wyróżniające różne grupy ludzi są trudne do odnalezienia w genomie. Posłużmy się dla przykładu rasami psów. Czy ktokolwiek może wątpić, że wilczarz irlandzki różni się od chihuahuy, jamnik od buldoga, ogar od bernardyna? Mimo to dopiero w 2003 roku badacze zdołali odnaleźć markery wyróżniające psie rasy, i to tylko u kilku ras. Genetyka molekularna w zakresie markerów wciąż raczkuje. Jednak w przyszłości niewątpliwie zostaną opracowane nowe metody, które zweryfikują dotychczasowe informacje i powiększą ich zasób. Tego właśnie obawiają się radykalni naukowcy.

Zatem, jak to sugerował Marks, lepiej pozbyć się dowodów, zanim powstaną nowe metody badawcze. Wreszcie opinia, że cechy fizyczne rdzennych Amerykanów mogły ulegać zmianom, wyraźnie nawiązuje do koncepcji lamarkizmu (teorii zakładającej dziedziczenie cech nabytych podczas rozwoju osobniczego – przyp. red.), co wymaga szerszej dyskusji nad przyczynami owych zmian, poważniejszej niż ta, którą raczy nas Wells. Szczerze mówiąc, trzeba zrozumieć fakt, że Wells wypowiada się o genetycznych markerach jako genetyk molekularny, nie antropolog fizyczny czy kulturowy. Jednak, tak jak jego koledzy, przywołuje różne dane z innych dziedzin nauki, gdy jest to dla niego wygodne.

Ostatnim przykładem jest film dokumentalny *The Real Eve* („Prawdziwa Ewa”), z którego dowiadujemy się, że ewolucja ludzi i ich rozprzestrzenianie się po kuli ziemskiej są dobrze udokumentowane. Informacje przedstawiono w nim obiektywnie – autorzy raczej nie faworyzowali takich lub innych poglądów i pozostawili widzowi wolność w ocenie faktów zgodnie z jego punktem widzenia. Wyjątek stanowi człowiek z Kennewick. Wspomniano o jego odmienności od rdzennych Amerykanów, jak również o nader wczesnym przybyciu do Nowego Świata. Jednak filmowa inscenizacja śmierci człowieka z Kennewick, ratującego się ucieczką przed ścigającymi go Indianami, była nieprawdziwa. W filmie rdzenni Amerykanie wyglądali jak Indianie z Wielkich Równin – ciała mieli pomalowane w barwy wojenne, nosili odzienie z jeleniej skóry i pióra we włosach. Zastanawiałem się, skąd konsultanci tego filmu wiedzieli, że tak właśnie wyglądali Indianie 9000 lat temu. Być może to niezbyt istotny szczegół, ale kiedy kamery pokazały zbliżenie człowieka z Kennewick, gdy ranny leżał na plecach w trawie, okazało się, że ma indiańską odzież i indiańskie rysy twarzy. A przecież twórcom filmu nie sprawiłoby większej trudności pokazanie jego odmienności. Wiadomo bowiem dzięki szczątkom szkieletu, że człowiek z Kennewick był najbliższym spokrewniony z Ajnami z wyspy Hokkaido. Japończycy nazywają Ajnów „włochatymi”. Ta właśnie cecha odróżnia Ajnów od skąpiej owłosionych Japończyków. Gdyby człowieka z Kennewick przedstawiono z brodą, zdecydowanie odróżniałby się od swoich prześladowców.

To oczywiście, że ludzie tworzący film dokumentalny nie chcieli kojarzyć Indian z oprawcami napadającymi na nieszczęsnego tubylca. Szczerze mówiąc, ze sposobu prezentacji wydarzeń nie potrafiłem odróżnić, kto jest kim. Kolejna osobliwość, która wymaga wyjaśnienia, to grot oszczepu. W filmie w człowieka z Kennewick rzucono oszczepem. Strzelałem z łuku, wykładałem studentom anatomię człowieka, dlatego trudno mi uwierzyć, by rzucony oszczep mógł zagłębić się w kości miednicy ofiary. Bardziej wiarygodny byłby scenariusz, w którym prześladowcy dogonili ofiarę i dźgnęli oszczepem z bliskiej odległości, gdy już leżała na ziemi – dopiero takie uderzenie jest dość silne, by grot przeszył kość.

Jeśli moja „opowiadka” zawiera ziarno prawdy, to człowiek z Kennewick został bestialsko dobity; choć odniósł poważne rany tkanek miękkich, które przypuszczalnie doprowadziłyby do jego zgonu, takie rany nie pozostawiają śladów na szkielecie.

Te dwie książki i film dokumentalny demonstrują szeroką gamę opinii: od „bądź uprzejmy i pozbądź się człowieka z Kennewick”, przez „potrzebujemy więcej danych genetycznych”, aż po „człowiek z Kennewick istnieje, ale jaka jest jego prawdziwa historia?” Niezależnie od wniosków, które mogą wysnuć „eksperci”, nie da się zaprzeczyć, że człowiek z Kennewick ma dla nas ogromne znaczenie. Jego odkrycie nie tylko skorygowało obraz populacji ludzkich napływających do Ameryki, ale także obnażyło motywację radykalnych naukowców i innych przedstawicieli akademickich elit, przedkładających postawę zachowawczą nad naukową. W umysłach wielu osób zasiało to wątpliwości, czy można ufać w uczciwość i bezstronność tych tak zwanych ekspertów.

Kolejne hipotezy o ludach przybywających do Nowego Świata przed człowiekiem z Kennewick lub po nim są dziś rozpatrywane znacznie poważniej. Być może jest to najważniejsza spuścizna mającego 9000 lat europeida. Miały on teraz więcej od innych powodów, by śmiać się ostatni.



Tablice: mistyfikacja czy prawda historyczna?

W pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku pionierzy przybywający na teren, który później nazwano stanem Michigan, natknęli się na tysiące ziemnych kopców wykonanych ludzkimi rękami. Miejscowi Indianie nie przyznawali się do wzniesienia tych kopców, twierdząc, że są dziełem innego ludu z zamierzchłej przeszłości. Gdy osadnicy zaczęli rozkopywać prastare usypiska, często znajdowali w nich długie łupkowe tablice pokryte niezrozumiałym pismem. Tym osobliwym tekstom nierzadko towarzyszyły prymitywne rytownicze sceny, które okazały się znajome farmerom chrześcijanom pracującym na tych ziemiach. Tablice przedstawiały bowiem epizody biblijne, pośród których do najłatwiej rozpoznawalnych należały sceny opowiadające o potopie i arce Noego.

Gdy około 1920 roku rozkopano ostatni z kopców w Michigan, stwierdzono, że łącznie wydobyto mniej więcej 7000 tajemniczych tablic, częściowo w sposób zgodny z naukowymi standardami, w obecności naocznych świadków, którzy składali pisemne poświadczenia. Choć ogromna liczba znalezisk na obszarze całego stanu, poświadczonych przez setki obcych sobie osób, dowodziła prehistorycznej autentyczności tablic, wiktoriańscy naukowcy powszechnie uznali te artefakty, na ogół wykonane z terakoty lub wypalanej gliny, za „podróbki”. Ten pochopny werdykt mógł jednak służyć zatajeniu prawdy o tablicach z Michigan jako o świadectwach religijnych i pomocach dydaktycznych egipskich Koptów. W V wieku uciekli oni przed prześladowaniami innych chrześcijan i znaleźli odległy azyl w regionie Wielkich Jezior amerykańskiego Regionu Środkowozachodniego.

Koptowie byli i nadal są członkami wyjątkowej grupy chrześcijan – Kościół koptyjski jest bardziej gnostycki niż papieski. W liturgii zachowali język koptyjski, uznany przez badaczy za najbliższą oryginału pochodną języka egipskiego, którym mówiono w czasach faraonów. Pewne elementy symboliki koptyjskiej rozpoznano na tablicach z Michigan, co dodatkowo dowodzi istnienia powiązań między owymi tablicami a Koptami.

J. Golden Barton i wydawca *Ancient American* Wayne May w numerze z lutego 2000 roku ujawnili świadome fałszerstwo dowodów, które doprowadziło do zatajenia amerykańskiej prehistorii.

J. Golden Barton i Wayne May

Tablice z Michigan: archeologiczny skandal

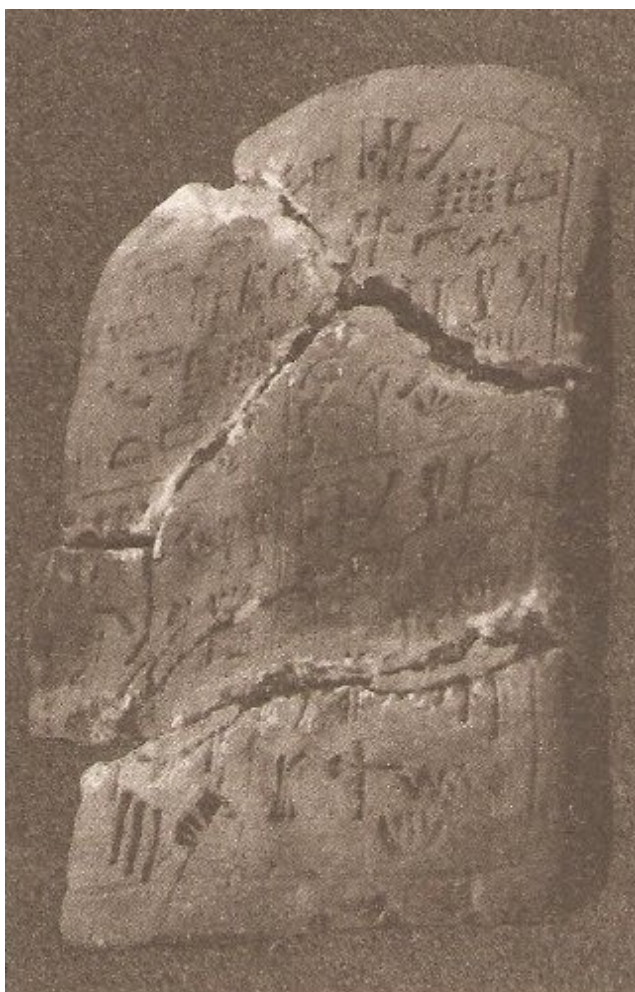
W 1961 roku James Bird i Paul Roundy zostali skierowani przez Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Dnia Ostatniego do South Bend w Indianie. Spotkali się tam z katolickim księdzem ojcem Charlesem E. Sheedym z University of Notre Dame. Dwaj misjonarze opowiedzieli mu historię Josepha Smitha i złotych płyt pokrytych inskrypcjami, na podstawie których napisał on świętą *Księgę Mormona*. „Mam tutaj w Notre Dame trochę tekstów podobnych do płyt Josepha Smitha”, zauważył ojciec Sheedy. Zaprowadził zdumionych rozmówców na poddasze pobliskiego O'Shaughnessy Building. Tam ujrzeli oni trzy otwarte skrzynie, z których ksiądz wydobył kilka tablic z łupków i miedzi pokrytych hieroglifami, piktogramami i inskrypcjami. Ojciec Sheedy liczył, że ktoś będzie w stanie potwierdzić autentyczność jego kolekcji lub definitywnie uznać ją za fałszerstwo. Być może mormoni ze swoją teorią świętych „złotych płyt” okazaliby się pomocni.

Bird i Roundy napisali list do badacza Milтона R. Huntera z mormońskiej Pierwszej Rady

Siedemdziesięciu w Salt Lake City w Utah, ale próżno czekali na odpowiedź. Jak się okazało, Hunter zgubił list. Gdy w końcu odnalazł go po kilku latach, skontaktował się z ojcem Sheedym, prosząc o rozmowę. Jakiś czas wcześniej ksiądz nie skorzystał z okazji powiększenia kolekcji, gdy podobne przedmioty chciał mu podarować Ellis Soper z Karoliny Północnej. W Notre Dame zaczęło brakować pomieszczeń do ich magazynowania, dlatego ojciec Sheedy chętnie przekazałby komuś owe kontrowersyjne obiekty. Nawiązał nawet współpracę z Henriettą Mertz, prawniczką i pisarką z Chicago, która zamierzała napisać książkę dowodzącą ich autentyczności.

Po sześciu latach oglądania i analizowania znajdującej się na poddaszu kolekcji, starania Mertz zostały udaremnione przez wydawców przeświadczonych, że pokryte inskrypcjami płyty to jakieś XIX-wieczne fałszerstwo. Zdaniem ojca Sheedy'ego, płyty były pochodzenia starogreckiego lub egipskiego. Mertz opowiadała się za zawiłą i nieprzekonującą hipotezą o transatlantyckiej chrześcijańskiej sekcie z V wieku. Takie szalone pomysły mogły narazić na szwank akademicką pozycję księdza, a nawet postawić w kłopotliwej sytuacji władze University of Notre Dame. Dlatego też ksiądz, umywając od wszystkiego ręce, podarował całą kolekcję zdumionemu Hunterowi. Od tego czasu osobliwe tablice nie przestają fascynować archeologów zaintrygowanych tajemnicami prekolumbijskiej Ameryki.

Badacze wiedzieli, jak długa jest historia kontynentu amerykańskiego, z każdym nowym odkryciem przesuwająca się coraz dalej w przeszłość. Gdy wycinano lasy Ameryki Północnej, a pługi orały dziewiczą glebę, pionierzy natrafiali na dziwaczne artefakty, opustoszałe kopalnie i szyby stanowiące świadectwo rozwoju i upadku jakiejś cywilizacji istniejącej na długo przed przybyciem nowożytnych Europejczyków. Historyk John Baldwin napisał: „Starożytny, nieznany lud pozostawił po sobie ślady osiadłego życia i rozwoju cywilizacyjnego w dolinach Missisipi i jej dopływów. Nie znamy jego oryginalnej nazwy, ani jako narodu, ani jako rasy, dlatego też ludzi tych nazwano Budowniczymi Kopców, co bezpośrednio odnosi się do ich dokonań”.



Jedna z pokrytych inskrypcjami tablic z prehistorycznych kopców w Michigan, których wiek szacuje się na 7000 lat.

Wtórowali mu Francis Carter i James Cheeseman: „Budowniczych Kopców uznaje się za rozwiniętych kulturowo białych, a nie za potomków rdzennych Amerykanów (...). Kimkolwiek był ów starożytny lud, pozostawił po sobie zdumiewające ślady. Sama liczba kopców, biorąc pod uwagę ich wielkość i obszar występowania, jest świadectwem wielkich dokonań”. Prehistorycznych kopców było tak wiele, że ich całkowita liczba jest nieznana. Tylko w stanie Ohio odkryto ponad 10.000 takich obiektów. Kolejne dziesiątki tysięcy istniały niegdyś na obszarze stanów Michigan, Illinois, Indiana, Wisconsin i Missouri. XVIII- i XIX-wieczni miłośnicy archeologii jednogłośnie twierdzili, że pozostałości starożytnej cywilizacji białych ludzi występowały w całej Ameryce – od Zatoki Meksykańskiej po Kanadę i od Nowej Anglii po wybrzeża Oceanu Spokojnego.

Uważano, że Budowniczy Kopców należeli do wysoko rozwiniętej rasy, znacznie wyżej rozwiniętej niż Indianie, których spotkali pierwsi biali osadnicy przybyli w XVII wieku na żaglowcu *Myflower*. Tylko takie wytłumaczenie było prawdopodobne wobec obfitości śladów nieznaną rozwiniętej, zaginionej kultury. Sami Indianie opowiadali o społecznościach białych ludzi żyjących w różnych częściach Ameryki przed przybyciem tam Indian. Dziś jednak niewielu archeologów uważa, że Budowniczy Kopców należeli do zaginionej białej rasy. Skąd wzięła się ta zmiana opinii? Zdaniem historyka Johna Baldwina, „ciekawe jest rozważenie okoliczności, które doprowadziły do odrzucenia tej teorii jako mitu. Tak naprawdę opinia na ten temat zmieniła się w 1890 roku; wtedy właśnie ludzie nauki zaprzeczyli, jakoby kiedykolwiek istniała jakaś biała rasa o wysoko rozwiniętej kulturze w zamierzchłej przeszłości Ameryki. Ten radykalny zwrot zawdzięczamy przedstawicielowi świata nauki – Johnowi Wesleyowi Powellowi”.

W 1879 roku, kiedy Kongres USA utworzył Bureau of American Ethnology w ramach Smithsonian Institution, major Powell, bohater wojny secesyjnej, zyskał dodatkową władzę i prestiż jako pierwszy dyrektor tej placówki. Twierdził, że Budowniczy Kopców byli potomkami Indian, i przedstawił tę teorię jako pewnik w pierwszym rocznym raporcie Bureau of Ethnology, opublikowanym w 1880 roku. „Odkryte pozostałości dzieł sztuki nie przewyższają pod żadnym względem dokonań artystycznych plemion indiańskich znanych z naszej historii – obwieścił. – Dlatego nie ma powodu, byśmy przyjmowali, że jakiś zapomniany lud stworzył zabytki sztuki odkryte w kopcach w Ameryce Północnej”.

Smithsonian Institution i jej władczy dyrektor cieszyli się tak wielkim prestiżem, że w ciągu kilku lat społeczność naukowców jednomyślnie poparła opinię Powella, ignorując mnóstwo zgromadzonych wcześniej dowodów. Badacze, nie dokonując żadnych znaczących nowych odkryć, zaczęli dyskredytować kulturę Budowniczych Kopców i interpretować ją na nowo na korzyść teorii Powella. Jak to ujął jeden z autorów, „świadczenia przeczące tezie Powella były traktowane jako fałszywe i rozmyślnie zakopane w kopcach – lub po prostu interpretowane tak, by odpowiadały nowej teorii. Od tej pory wszelkie świadectwa potwierdzające istnienie wielkiej cywilizacji Budowniczych Kopców były uznawane za mity. Środowisko akademickie nadzwyczaj wrogo odnosiło się do każdego, kto odważył się zasugerować, że istniała dawniej cywilizacja w Nowym Świecie”.

Pomimo nieustępliwej postawy Powella, który negował jakąkolwiek dyfuzję kulturową, historie, takie jak przedstawiona przez Jamesa O. Scotforda, nie przestawały trapić konserwatywnych badaczy. Tłumaczy to, dlaczego tak wiele niezwykłych obiektów pojawiło się na przełomie XIX i XX wieku, co ilustruje poniższy przypadek.

James Scotford był zmęczony. Ustawił już ponad kilometr ogrodzenia, a wciąż jeszcze miał przed sobą kilka godzin pracy do zachodu słońca. Rozciągnął linę, próbując ominąć pagórek pomiędzy nim i ostatnim słupkiem, następnie chwycił świder i zaczął wiercić kolejną dziurę pośrodku starego indiańskiego kopca. Musiał się śpieszyć, gdyż jego towarzysz prawie go doganiał, stawiając kolejne słupki. Scotford jęknął, gdy świder natrafił na coś twardego. Naparł mocniej, ale narzędzie ani drgnęło, więc poprosił kompana, by przyniósł szpadel. Nie spodziewał się skały, ponieważ w tej okolicy nie było kamieni. Musiał rozkopać ziemię. Ku jego zdumieniu, łopata odsłoniła dużą glinianą skrzynię. Świder roztrzaskał jej pokrywę, jednak większa jej część pozostała nienaruszona. Scotford był niezwykle podekscytowany, jadąc do Edmore w Michigan ze skrzynią umieszczoną na wozie.

W ciągu kolejnych tygodni i miesięcy mieszkańcy Edmore i okolicznych miejscowości rozko-

pali ponad 500 kopców pokrytych gęstą roślinnością. Kilka pagórków porastały masywne cedry i dęby. Badacze odnaleźli setki różnych reliktyw, w tym kolejne gliniane skrzynie, tabliczki gliniane, łupkowe, z piaskowca i miedzi. Wszystkie były pokryte pięknymi płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny biblijne i z pradziejów, a także pismem i symbolami.

Lokalna gazeta donosiła: „Tak wielu obywateli miast Wyman i Edmore widziało lub brało udział w odkopywaniu i wydobywaniu reliktyw oraz świadectw archeologicznych, że nawet przez moment nikt nie miał wątpliwości co do autentyczności znalezisk. W jednym przypadku odkryto skrzynię pod korzeniami drzewa, którego wiek na podstawie koncentrycznych słoików w pniu oszacowano na 300 lat. Jeden z korzeni drzewa przebił róg skrzyni i wrósł w jej wnętrze, lecz był tak zbutwiał, że rozpadł się od dotyku”.

Choć farmerzy od lat znajdowali artefakty z miedzi i łupków podczas oczyszczania i orania nowych ziem, dopiero działania podjęte w hrabstwie Montcalm błyskawicznie przerodziły się w prace wykopaliskowe na obszarze całego Michigan. Chyba nikt nie pomagał przy rozkopywaniu kopców w Michigan gorliwiej niż ksiądz James Savage z rzymskokatolickiego kościoła pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej w Detroit w Michigan. Opisał on kopce następująco: „Na kopcach tych rosną duże i wiekowe drzewa: dęby, sosny i inne gatunki. Rozwinęły się na nich i obumarły sosny i inne drzewa, o czym świadczą zbutwiałe korzenie. Kopce skrywają jeszcze inną osobliwość. W każdym z nich występuje warstwa węgla drzewnego i popiołu. Warstwa ta często ukazuje owalny zarys wnętrza kopca, z okresu gdy złożono w nim ciało. Niewielka ilość węgla drzewnego i popiołu świadczy, że dokonywano w tych miejscach puryfikacji ogniem, a nie kremacji. Choć w niektórych kopcach znajduje się bardzo gruba warstwa węgla drzewnego i popiołu”.

Współpracownik ojca Savage'a stwierdzał: „Prehistoryczne kopce w Michigan zawierają skrzynie, lampy, misy, fajki i gliniane tabliczki; topory bojowe, noże, włócznie, sztylety i groty strzał, sprzęty domowe, piły, dłuta, szpadle i różnorodne ozdoby osobiste – wszystko z hartowanej miedzi; kamienne tablice, medaliony, metale, noże garbarskie, rozmaite przedmioty o przedziwnych wzorach, obiekty, których przeznaczenia nie potrafimy sobie wyobrazić. Charakterystyczną cechą tych kopców jest brak zawartości krzemienia w jakiegokolwiek postaci, nie widziałem też żadnych kamiennych lub miedzianych paciorków; inne ozdoby osobiste występują w obfitości.

Wydobyto z ziemi mnóstwo interesujących przedmiotów, takich jak skrzynie, tablice, amulety z łupków, naczynia, wazy, ołtarze, lampy z wypalanej cegły oraz bite miedziane monety, ozdobione prostymi, grawerowanymi hieroglifami. Skrzynie wykonano z suszonej na słońcu gliny. Pokrywają je znaki pisma obrazkowego i hieroglify. Wydaje się, że służyły one jako pojemniki na zapisywane tablice. Mają szczelne pokrywy, które są przymocowane czymś w rodzaju asyryjskiego spoiwa. Na wierzchu widnieją wizerunki rozmaitych postaci – starożytnych sfinksów, zwierząt, ludzkie głowy zwieńczone pióropuszcami lub koronami”.

Przez następnych 20 lat Detroit skupiało na sobie zainteresowanie osób poszukujących starożytnych reliktyw. Aby uporządkować ten powszechny ruch archeologiczny, ojciec Savage nawiązał współpracę z Danielem E. Soperem, byłym sekretarzem stanu USA i szanowanym biznesmenem, który miał pomóc stworzyć zespół poszukiwawczy. Savage donosił: „Otworzyliśmy ponad 500 kopców w czterech hrabstwach – na obszarze ponad 670 kilometrów kwadratowych. Skrupulatnie zasięgaliśmy informacji w sprawie lokalizacji innych znalezisk i jak dotąd wiemy o 16 hrabstwach w Michigan, w których odkryto takie obiekty. Żywimy przekonanie, że jesteśmy zaledwie na skraju terenów zamieszkiwanych przez wielki prehistoryczny lud”.

W latach 1858-1920 rozkopano wiele tysięcy kopców, lecz w większości okazały się one puste. Zdaniem Russella, „nie można wyobrazić sobie, że każdy otwarty kopiec był przechowalnią interesujących nas obiektów. Z drugiej strony, proporcja kopców pełnych do pustych wynosiła zaledwie 1:10”.

Odkryto wiele tysięcy artefaktów i z biegiem czasu, gdy opisy reliktyw pojawiały się w wielu gazetach, ludzie w całym stanie zgłaszali podobne znaleziska. Soper stwierdził: „Osobiście wiem o ponad 3000 przedmiotach, które znaleziono, a jeśli są one podróbkami i zostały zakopane specjalnie po to, żeby je odnaleźć, to musiał je ukryć nadzwyczaj pracowity człowiek, ponieważ odnajdywały

je setki osób w całym stanie. Obiekty wydobyte z kopców są wykonane z miedzi, piaskowca, wapienia, wypalanej gliny i łupków. Wydaje się, że miedź pochodzi ze złóż miejscowych i jest hartowana ogniowo. Jeśli chodzi o łupki, to przeważa odmiana szaroczarna o jakości zbliżonej do jakości łupków wydobywanych nieopodal Baragi w północnym Michigan. Piaskowiec ma znakomitą teksturę, jak ten, który wydobywa się obecnie w Amhurst w Ohio. Występują też czerwone i zielone łupki wapienne o charakterze ilastym i doskonałym połysku”.

Badania przeprowadzone przez Sopera i Savage'a wyrobiły w nich przekonanie, że na długo przedtem, zanim przodkowie współczesnych Indian przybyli do Ameryki Północnej, jakiś obcy lud pozostawił swój ślad na rozległym prehistorycznym cmentarzysku w całym stanie Michigan. Obaj uważali, że mają dowody na poparcie swoich wniosków. Jednak te hipotezy sprowadziły na nich surową krytykę.

Tak zwani znawcy ze współczesnej społeczności naukowców amerykańskich napiętnowali Sopera i Savage'a jako spiskowców, dopuszczających się archeologicznej mistyfikacji. Wobec każdej publikowanej relacji, choćby delikatnie przemawiającej na korzyść dwóch nieszczęsnych badaczy, grupa uniwersyteckich naukowców stawiała zarzut oszustwa. Oficjalną kampanię w ramach tej akademickiej hysterii prowadzono tak uporczywie, że każdy, kto był choć trochę kojarzony z artefaktami z Michigan, narażał się na zajadły spór. W końcu zaprzestano prowadzić jakiegokolwiek dyskusje o możliwej autentyczności tych przedmiotów. W ciągu dziesięcioleci tablice z Michigan niemal całkowicie popadły w zapomnienie.

Dziś jednak są poddawane ponownym badaniom, przez osoby, które są wolne od dawnych uprzedzeń. Po raz pierwszy fotografuje się i kataloguje wiele prywatnych i publicznych kolekcji. Ilustrowane teksty zawarte na tych tablicach zostaną zachowane dla obecnych i przyszłych badaczy zapomnianej historii Ameryki Północnej.



Nowe oblicze historii człowieka

Odkrycie, które powinno wstrząsnąć posadami naukowego establishmentu i wymusić napisanie od początku ewolucji człowieka, zostało zaprzepaszczone przez przedstawicieli głównego nurtu nauki. Mieli oni zbyt wiele do stracenia w przypadku jego ujawnienia. Poniżej przedstawiamy opublikowany w *Ancient American* w październiku 1998 roku artykuł profesjonalistki z uniwersyteckim stopniem doktora. Jej kariera naukowa załamała się, ponieważ nie chciała ona milczeć.

Ludzie w Ameryce ćwierć miliona lat temu

Zgodnie z obecnie obowiązującą teorią ludzie wkroczyli do Nowego Świata około 12.000 lat temu. Współczesny człowiek, należący do gatunku *Homo sapiens*, pojawił się na Ziemi dopiero około 100.000 lat temu. A dokonało się to gdzieś na obszarze Starego Świata. Ten pogląd obowiązuje w całym amerykańskim systemie edukacyjnym i jest popierany przez większość amerykańskich antropologów. Jednak ów dominujący paradygmat został podważony przez pewne odkrycie z końca XX wieku. Odkrycia dokonano mniej więcej 112 kilometrów na południowy wschód od miasta Meksyk i około 3 kilometrów na południe od innego, znacznie mniejszego miasta o nazwie Puebla.

Tam właśnie, w wysokogórskiej dolinie, znajduje się zbiornik wodny Valsequillo otoczony trzema słynnymi meksykańskimi wulkanami: La Malinche, Iztaccihuatl i Popocatepetl. Na zniszczonych wskutek erozji skarpach wzdłuż brzegu sztucznego jeziora widnieje szereg odsłoniętych pradawnych złóż osadowych i warstw popiołu wulkanicznego. Ponad wiek owe złoża cieszyły się sławą wśród paleontologów ze względu na obecność różnorodnych, świetnie zachowanych kości wymarłych zwierząt z ostatniej epoki lodowcowej, takich jak mamut, mastodont, gliptodont, koń, wielbłąd czy kot szabłozębny. Z tych zerodowanych złóż pochodziły również narzędzia wykonane ludzką ręką, takie jak łupany czert i krzemień, na co pierwszy zwrócił uwagę meksykański prehistoryk Juan Armenta Camacho. Ten pochodzący z Puebla badacz w czerwcu 1933 roku natknął się na duży fragment kości miednicy mamuta sterczący z brzegu strumienia nieopodal żlebu Alseseca. Dwa lata później w tym samym miejscu znalazł kość nogi innego zwierzęcia podobnego do słonia, w której tkwił wbity głęboko krzemienisty grot oszczepu.

To jasne, że ktoś kiedyś upolował to zwierzę. Kim był ów myśliwy i kiedy zamieszkiwał tę ziemię? Przez następnych 30 lat Camacho próbował odpowiedzieć na te pytania, przeczesując skarpy wokół zbiornika i szukając innych śladów dawnych łowców. Jego poszukiwania zostały nagrodzone odkryciem ponad 100 niekompletnych szkieletów mastodontów, mamutów, wielbłądów, dawnych koni i antylop. Doświadczenie podpowiadało mu, że wiele z tych kości mogło być uszkodzonych przez ostrza trzymane ludzką ręką. Na niektórych kościach widniały celowo wykonane nacięcia, a inne fragmenty kości wydawały się zaostrome, wygładzone i przekształcone w narzędzia. Kości były również łamane w celu wydostania z nich szpiku – przysmaku prymitywnych łowców nawet w czasach nam współczesnych. Znalazł nawet kości pokryte rytami, a niektóre ozdobione rysunkami.

Mimo to przedstawiciele archeologicznego establishmentu w Meksyku zignorowali te materiały, oznajmiając bez dyskusji, że złobione i połamane kości powstały wskutek działania sił natury, nie zaś człowieka. Tymczasem o odkryciach Camacho dowiedzieli się zagraniczni badacze. Wstępne prace w terenie pod ich kierownictwem przyniosły jeszcze więcej świadectw działalności dawnych łowców. Dzięki środkom finansowym z American Philosophical Society, Harvard University, National Science Foundation oraz innych instytucji w 1962 roku narodził się projekt *Valsequillo*. Cynthia Irwin-Williams była najmłodszym archeologiem wyznaczonym do pracy z Juanem. W tym czasie studiowała w Radcliffe i kończyła doktorat z antropologii w Harvard University. W czasie realizacji projektu podjęła pracę na Wydziale Antropologii Eastern New Mexico University w Portales, którą kontynuowała przez kilka lat.

W trakcie wspólnych prac terenowych Juan i Cynthia odkryli cztery stanowiska, w których skamieniałe kości i kamienne artefakty występowały obok siebie *in situ*, to znaczy w warstwach osadów, a nie luzem na powierzchni gruntu. Stanowiska otrzymały nazwy El Horno, El Mirador, Tecacaxco i Hueyatenco. El Horno to najniższe i najstarsze miejsce w tym wycinku osadów. Zostaje odsłonięte tylko wtedy, gdy wody zbiornika utrzymują się na niskim poziomie, poniżej normy.

Hueyatlaco to najwyżej położone, najmłodsze stanowisko. Odnacza się najgrubszą pokrywą osadów, a także kilkoma warstwami popiołu wulkanicznego i pumeksu. Dodatkowe prace wykopaliskowe w Hueyatlaco przeprowadzono w latach 1964 i 1966. Znalaziono wiele kości oraz kamiennych narzędzi, wśród których wyróżniono dwa rodzaje. Te ze starszych, niższych warstw składały się z ostrzy i odłupków krzemienia, mających ukształtowane ostre krawędzie. Artefakty z wierzchnich warstw były poddane obustronnej obróbce. Oznacza to, że kamienne odłupki zostały odbite z obu stron narzędzia. Zarówno w górnych, jak i dolnych warstwach znaleziono grotty oszczepów, świadczące, że łowcy aktywnie polowali na zwierzyne, i że nie zadowalali się tylko ćwiartowaniem znalezionej padliny.

Cynthia natychmiast pojęła, że ma do czynienia z czymś szczególnym, a nie z serią przeciętnych wykopalisk. Rozsądnie wezwała więc na pomoc posiłki. Paul S. Martin z University of Arizona był ekspertem od kopalnych pyłków roślin, natomiast Clayton Ray, specjalista w zakresie paleontologii kręgowców ze Smithsonian Institution, miał przeprowadzić analizę skamieniałych kości. Dwight Taylor z U.S. Geological Survey przebadiał skamieniałe mięczaki – ślimaki w skorupach i małże – podczas gdy Hall Malde, kolejny specjalista z U.S. Geological Survey, sporządził mapy geologiczne regionu i lokalne. Dzięki Halowi przyłączyłam się do tego projektu w 1966 roku jako specjalista analizujący popiół wulkaniczny do określenia wieku danego miejsca czy obiektu.

Badania te miały stanowić część mojej doktorskiej dysertacji na University of Idaho. Zabrałam się do pracy, poddając analizie kolejne próbki popiołu. Dziesiątki. Setki! Bez powodzenia. Nie wykryłam korelacji. A musieliśmy oszacować wiek Hueyatlaco, ponieważ nowe materiały sugerowały, że stanowisko może mieć nawet 20.000 lat. Taka data byłaby dwa razy starsza niż najwcześniejsza dotychczas brana pod uwagę data ludzkiej obecności w Nowym Świecie. Gdyby udało się ją potwierdzić, trzeba by przeredagować podręczniki szkolne na całym świecie. Z pewnością dzięki temu zrobilibyśmy również wielkie kariery, a w każdym razie takie mieliśmy wówczas ambicje zawodowe.

Z czasem archeologiczne dowody przybrały postać jednego kamiennego odłupka, prawdopodobnie używanego jako skrobak i bez wątplenia wykonanego ludzką ręką, a towarzyszącego muszłom i kościom znalezionym w górnej części skraju osadu odsłoniętego w Barranca Caulapan, około 3-5 kilometrów na północny wschód od Hueyatlaco. Narzędzie to spostrzegła Irwin-Williams. Muszle zebrano do przeprowadzenia datowania metodą węgla ^{14}C , natomiast wiek kości określono metodą uranową. Kiedy naukowiec podaje jakąś liczbę oznaczającą wiek uzyskany metodą radiometryczną, tak naprawdę przytacza średnią wartość dla możliwego zakresu czasowego. Zamiast więc mówić: „Wiek kamiennego odłupka ustalony metodą datowania izotopowego mieści się w zakresie między 21.000 a 22.700 lat”, stwierdza: „Wiek wynosi 21.850 ± 850 lat” – krócej i szybciej. Daty uzyskane dzięki badaniom muszli i kości znalezionych obok kamiennego artefaktu w tej samej warstwie osadowej były zdumiewające: 21.800 ± 850 lat metodą węglową oraz 22.000 ± 2000 lat i 20.000 ± 1500 lat metodą uranową.

Narzędzie z Caulapan było, jak to ujęła Cynthia, „niediagnostycznym odłupkiem kamienia”. Dałoby się dopasować do różnych przedziałów czasowych – od starożytności po czasy współczesne. Mieliśmy jednak szczęście, ponieważ dysponowaliśmy nie tylko nim, ale także związanymi z tym odłupkiem materiałami, poddającymi się datowaniu. Nie wszystko jednak wyglądało różowo. Byliśmy naukowcami, ale również ludźmi. Mroczna strona ludzkiej natury zaczęła się ujawniać – do głosu doszły nieskrywane uczucia zazdrości i strachu. Pierwszy doświadczył tego Juan Armenta Camacho. Archeologiczny establishment w mieście Meksyku nie mógł już dłużej ignorować jego i prac badawczych, które prowadził. Camacho nie był „jednym z nich”, nie był zawodowym archeologiem. Nie miał stopni naukowych. Nie miał dyplomu ukończenia studiów z wyjątkiem honorowego dyplomu University of Puebla! To zaś czyniło go nikim w oczach naukowców. Ponadto byli oni tylko pośrednio zaangażowani w prace w Valsequillo, w projekt, który szybko zyskiwał rozmach i znaczenie. Mieli więc do niego stosunek negatywny.

Niespodziewanie u Juana zjawili się wysłannicy rządu federalnego. Skonfiskowali skamieliny i artefakty, wszystko, co zostało odkryte w ramach projektu *Valsequillo*, a także zbiór kości na Wydziale Antropologii University of Puebla i sprzęt. Wszystko przewieziono do Meksyku. Na zawsze prawnie zakazano Camacho prowadzenia dalszych prac terenowych. Wkrótce potem

archeolodzy należący do establishmentu rozpoczęli serię prac wykopaliskowych mniej niż 30 metrów na południe od Hueyatlatco. Wykonali tam nowe, równoległe do istniejących wykopy, jednak ominęły one żwiry rzeczne zawierające artefakty, odsłaniając tylko drobnoziarniste przybrzeżne muły i ły. Po poniesieniu znacznych trudów i wydatków nie znaleźli niczego. Juan mógł im to powiedzieć, zanim zabrali się do dzieła. Trzydzieści lat pracy w terenie przekonało go, że tylko w gruboziarnistych złożach rzecznych występowała większa ilość artefaktów.

Sfrustrowani, opłacani przez rząd profesjonaliści obwieścili drukiem, że wszystkie obiekty w Hueyatlatco zostały wcześniej podrzucone przez pracujące tam osoby. Oskarżyli specjalistów prowadzących wykopaliska o niekompetencję i sugerowali nawet gorsze przewiny. Nastąpiły ciężkie chwile dla Juana, Cynthii i nas wszystkich. Po roku starań wciąż nie potrafiłam wykryć korelacji między wulkanicznym popiołem i warstwami pumeksu na stanowisku Hueyatlatco czy też warstwami w datowanym wycinku osadów na wulkanie La Malinche, który liczył ponad 25.000 lat. Wykryłam natomiast możliwą korelację z pewną datowaną warstwą popiołu na zboczach wulkanu Iztacchuatl, dziesiątki kilometrów na północny zachód.

Jednak wiek tej warstwy wykraczał poza granice możliwości datowania metodą węgla ^{14}C – miała więcej niż 40.000 lat. Wówczas stanowiło to powszechnie nieakceptowane ramy czasowe. Cynthia nie zgadzała się z tymi wynikami. Była przedstawicielką archeologicznego establishmentu ze wschodniej części USA, którego seniorzy mieli poważne problemy z zaakceptowaniem daty 20.000 lat, a co dopiero dwukrotnie wcześniejszej. Jak Cynthia, owi archeolodzy wyszyciliby i zignorowali każdego, kto sugerowałby, że już 40.000 lat temu pojawili się pierwsi Amerykanie. Akademiccy biurokraci byli wówczas bezlitosną bandą. Mimo to Cynthia przesłała do datowania razem z kością z Caulapan pozostałości szkieletu upolowanego przed wiekami zwierzęcia z Hueyatlatco oraz ze starszego stanowiska El Horno.

Barney Szabo, geochemik z U.S. Geological Survey, zbadał wszystkie artefakty, stosując datowanie metodą uranową. Wyniki tych pomiarów wróciły do nas w połowie lat 60. Wyniki dotyczące Caulapan ucieszyły Cynthię, ponieważ testy te potwierdzały otrzymany dzięki metodzie węglowej wiek stanowiska, czyli około 22.000 lat. Jednak przedział czasowy dla fragmentu miednicy upolowanego wielbłąda z górnych warstw Hueyatlatco był ponad dziesięciokrotnie starszy, niż się spodziewała: 180.000 lat oraz 245.000 ± 40.000 lat. Datowanie zęba również upolowanego mastodonta z El Horno dało jeszcze wcześniejsze daty: 154.000 lat według jednej metody i 280.000 według innej. „Biedny Barney, pomyśleliśmy. Jego nowa metoda działa tylko czasami”.

Stopniowo jednak zmieniałam zdanie. A jeśli Barney mimo wszystko miał rację? Jeśli podał nam poprawne daty, to nigdy nie odnajdę korelacji między wulkanicznymi warstwami w Hueyatlatco i tymi z wulkanu La Malinche. Pasujące do siebie warstwy byłyby zagrzebane zbyt głęboko w zboczach góry, pokryte młodszym materiałem nanoszonym przez ćwierć miliona lat. Istniały również inne geologiczne dowody, że stanowisko było stare. Jeśli weźmie się pod uwagę skarpe za wykopaliskami, to warstwy zawierające artefakty w Hueyatlatco były zasypane przez ponad 10 metrów młodszego materiału. Ta warstwa osadów była przypuszczalnie niegdyś grubsza niż obecnie, ponieważ w międzyczasie nastąpiła znaczna erozja. Pobliska rzeka wcięła się w co najmniej 45 metrów osadu, aby uformować współczesną dolinę rzeczną, obecnie zalaną przez wody sztucznego jeziora.

Osady w skarpie zawierały poza tym kilka warstw różnych gleb, tworzących się na powierzchni gruntu zapewne przez setki lub tysiące lat. Następnie zasypało je spływające błoto lub jakieś złoża wulkaniczne. Osady były wysoce zerodowane, kryształki i drobiny szkła częściowo przemieniły się w ły. Sugeruje to, że były one wystawione na działanie żywiołów przez bardzo długi czas. Jeśli stanowisko, co trudno sobie wyobrazić, miało 250.000 lat, to czy można było oszacować jego wiek innymi metodami radiometrycznymi niż metoda uranowa? Może moglibyśmy zapożyczyć metody i techniki stosowane do ustalania wieku starożytnych stanowisk archeologicznych w Afryce, datowanych za pomocą analizy warstw popiołu wulkanicznego? Tak właśnie zrobiliśmy.

Nasz kolega Ronald Fryxell, Hall Malde i ja wróciliśmy do Hueyatlatco w 1973 roku, by przeprowadzić dalsze wykopaliska i zgromadzić próbki. Nie opuszczało nas nurtujące pytanie: czy tamtejsze warstwy osadowe zawierające narzędzia występują pod osadami skarpy, czy też raczej wrzynają się w skarpe? Gdyby prawdziwa okazała się pierwsza opcja, narzędzia byłyby starsze niż

osady skarpy, ponieważ znajdowały się pod nimi. Moglibyśmy wówczas wykorzystać warstwę wulkanicznego popiołu i pumeksu do określenia ich wieku. Jednostki wulkaniczne byłyby odrobinę młodsze. Gdyby prawdziwa okazała się druga opcja, moglibyśmy jedynie stwierdzić, że artefakty są młodsze niż datowane jednostki wulkaniczne. Jednak nie sposób byłoby stwierdzić, o ile młodsze.



Virginia Steen-McIntyre znalazła materialny dowód obecności człowieka w Ameryce przed 250.000 lat.

Wykonaliśmy przekop przez osady skarpy pod kątem prostym do tych w Hueyatenco, tworząc połączenie z wykopami wykonanymi przez meksykańskich archeologów. W tym nowo wykopanym rowie ściany stanowiły jedyny dowód, którego potrzebowaliśmy. Złoża zawierające artefakty rzeczywiście przechodziły poniżej, a zatem były starsze niż osady w skarpie. Mogliśmy teraz wspomóc się analizą warstw wulkanicznego popiołu i pumeksu odsłoniętych w skarpie w celu oszacowania wieku stanowiska. Posłużyliśmy się drobnymi kryształkami cyrkonu z dwóch jednostek wulkanicznych odsłoniętych w skarpie, popiołem z Hueyatenco oraz brunatnym pumeksem z Tetela. Metoda ta nosi nazwę datowania metodą detekcji śladów rozszczepienia. Wykorzystuje się w niej fakt, że cyrkon zawiera drobne ilości materiałów radioaktywnych. Gdy dochodzi do ich rozszczepienia, czyli dezintegracji, pozostawiają w kryształkach drobne ślady uszkodzeń, które przy odpowiednim chemicznym spreparowaniu okazów można rozpoznać pod

mikroskopem. Wiedząc, jak duża jest zawartość materiału radioaktywnego, znając tempo tego rozpadu oraz wiedząc, jak wiele materiału uległo rozszczepieniu, można dokonać przybliżonej oceny wieku.

Chuck Naeser, geochemik z U.S. Geological Survey, wykonał dla nas tę pracę, choć na tym etapie nie prosiliśmy go o precyzyjne daty. Chcieliśmy tylko wiedzieć, czy wiek wulkanicznych warstw będzie bliższy dacie 20.000 lat ustalonej przez Cynthię, czy też bliższy wynikom datowania metodą uranową Barneya, wskazującym na 250.000 lat. Wyniki otrzymane przez Chucka, nawet przy uwzględnieniu sporego marginesu błędu, zdecydowanie wykraczały poza to, co Irwin-Williams mogła zaakceptować, i zbliżały się do wyników Barneya Szabo. Oto one: w przypadku brunatnego pumeksu błotnego z Tetela – 600.000 ± 340.000 lat; w przypadku popiołu z Hueyatlaco – 370.000 ± 200.000 lat. Poraziło nas. Zdobyliśmy materialny dowód, że ludzie potrafiący wytwarzać narzędzia osiedlili się w Ameryce nie tylko na tysiące lat przed rzekomo pierwszymi osadnikami z epoki lodowcowej, ale nawet przed pojawieniem się człowieka z gatunku *Homo sapiens*.

Dysponowaliśmy już kilkoma zestawami geologicznych dowodów, włącznie z czterema datowaniami radiometrycznymi; wszystkie wskazywały, że artefakty w Hueyatlaco, najmłodszym spośród czterech stanowisk wykopanych na obszarze Valsequillo, miały wiek około 250.000 lat. Choć to może niewiarygodne, jeśli chodzi o mnie, sprawa była zamknięta. Jakże byłam naiwna! Irwin-Williams od razu sprzeciwiła się publikowaniu przez nas tych rewolucyjnych dat. Jej zdaniem były one „niemożliwe”. Chciała mieć czas na przygotowanie własnej wersji wydarzeń i zaproponowała, żebyśmy opublikowali nasze prace wspólnie z nią. Nam to by nawet odpowiadało, z zastrzeżeniem, że ona zakończyła prace wykopaliskowe w Meksyku siedem lat wcześniej i nawet nie zaczęła sporządzać szczegółowego raportu dotyczącego tego miejsca. Minęłyby lata, zanim by się przygotowała do wspólnej publikacji.

Postanowiliśmy ogłosić na konferencji prasowej wiek naszego znaleziska i przedstawić geologiczne dowody. Fryxell i Malde nie patrzyli z takim optymizmem jak ja na rezultat ogłoszenia tych rewelacji. Pracowali już wcześniej z archeologami i wiedzieli, że nasze dane zmuszą kilku naukowców z bardzo sławnymi nazwiskami do pokajania się. A przecież ego archeologów nigdy nie było małe! Niemniej jednak zwołaliśmy konferencję prasową na zjeździe geologów w Dallas jesienią 1973 roku. Wieści o naszym odkryciu zostały nagłośnione przez światowe agencje informacyjne. Usłyszałam wiele dobrotliwych żartów od znajomych naukowców podczas długiego lotu do Nowej Zelandii, gdzie mieliśmy zaprezentować nasze wyniki. Kilkoro kolegów czytało o Hueyatlaco dzień wcześniej w gazetach. Moje wystąpienia w Nowej Zelandii cieszyły się sporym powodzeniem. Wszystko zapowiadało się dobrze, zarówno jeśli chodzi o naszą dalszą pracę w Meksyku, jak i moją karierę jako naukowca. Nikt z nas nie zdawał sobie wówczas sprawy z tego, że nasze przedsięwzięcie osiągnęło już szczyt. Od tego momentu rozpoczął się trwający 20 lat zjazd po równi pochyłej.

Na początku 1974 roku Hall Malde, Ronald Fryxell i ja zaczęliśmy spisywać wyniki naszych badań w Hueyatlaco w celu ich publikacji. Miał to być wstępny raport; bardziej szczegółowy opis wydarzeń planowaliśmy podać później, po opublikowaniu przez Cynthię jej wniosków z wykopalisk w tym miejscu. Wówczas wydarzyła się tragedia. Ronald zginął w wypadku samochodowym na pustej drodze w środku nocy. Straciliśmy nie tylko dobrego przyjaciela i cennego współpracownika, ale także osobę obdarzoną największą charyzmą spośród nas trojga. Fryxell był ulubieńcem mediów. Nieważne, czy tłumaczył, jak ogromne znaczenie mają próbki gleby, czy toczył bój o zachowanie ważnego stanowiska archeologicznego, któremu zagrażało wdarcie się wody sztucznego jeziora – miał ogromny posłuch i trafiał na łamy gazet. Razem z Hallem ukończyliśmy rękopis, następnie przesłaliśmy go redaktorowi zbioru artykułów naukowych wygłaszanych na lokalnym zjeździe antropologów, którego osobiście wprowadziłam w sprawę Hueyatlaco.

Wiedzieliśmy, że żadne czasopismo antropologiczne nie opublikuje naszego raportu wobec obiekcji Cynthii, zatem jedyne, co mogliśmy zrobić, to zamieścić otrzymane przez nas wyniki w tomie zawierającym prace przedstawione na sympozjum. Był rok 1975. Czekaliśmy na wydrukowanie zbioru. Oczekiwanie trwało długo. Od 1976 do 1979 roku nasze listy do wydawcy z zapytaniem o przyczynę zwłoki pozostawały bez odpowiedzi. Nikt nie odpowiadał również na

telefony. Tymczasem Cynthia, która zerwała z nami kontakt, pilnie pracowała nad „własną wersją wydarzeń”, a naszej wersji wciąż nikt nie przeczytał. Ramy czasowe wynoszące 250.000 lat, które z tak wielkim trudem określiliśmy, spotkały się z całkowitą obojętnością. Wszystkie dowody geologiczne zostały zignorowane. Ukazała się tylko wzmianka o dacie 22.000 lat w Caulapan i ta właśnie informacja zaczęła pojawiać się w literaturze fachowej.

O naszym stanowisku archeologicznym wspomniano krótko w 1979 roku w artykule zamieszczonym w *National Geographic*, poświęconym człowiekowi pierwotnemu, lecz podano jedynie „szacunkową” datę 22.000 lat. Rok później Juan Armenta Camacho w końcu znalazł środki finansowe na opublikowanie pracy po 30 latach badań w rejonie Valsequillo i ukradkiem przemycił na dołączonej stronie wyliczone przez nas daty. Mimo wszystko napisał, że wierzy, iż reprezentują one autentyczny wiek znalezisk. Niestety, swoją monografię wydał własnym sumptem w nakładzie zaledwie 1000 egzemplarzy. Chociaż została napisana w języku hiszpańskim, zignorowały ją wpływowe środowiska archeologiczne zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Meksyku.

W tym czasie daty z Hueyatenco zaczęły niekorzystnie wpływać na moją karierę naukową. W 1973 roku wygłosiliśmy wykład o meksykańskich łowcach sprzed 250.000 lat. Jednak nic na ten temat wciąż nie ukazało się drukiem. Gdzie popełniliśmy błąd? Czy pomyliliśmy się w wyliczeniach dat? Czy było to tylko wytworem mojej wyobraźni, czy moi koledzy geolodzy zaczęli spoglądać na mnie spode łba? Korespondencja ze mną, zarówno krajowa, jak i zagraniczna, niemalże ustała. Nagle zarzucono mi nepotyzm i niespodziewanie straciłam pracę w rządowym biurze, w którym pracowałam razem z moim mężem Dave'em. Po długich poszukiwaniach zdołałam znaleźć zajęcie jako adiunkt na wydziale antropologii uniwersytetu stanowego. Bez wynagrodzenia, ale przynajmniej miałam możliwość kontynuowania pracy naukowej, choćby chwilową.

Wreszcie w 1980 roku stało się jasne, że nasz artykuł o Hueyatenco nigdy nie ujrzy światła dziennego w zbiorze tekstów z sympozjum. Redaktor nr 1 przekazał artykuł redaktorowi nr 2, który z kolei przesłał go redaktorowi nr 3, zaś redaktor nr 3 najwyraźniej postanowił go odrzucić. Rękopis wrócił do mnie. Tym sposobem po pięciu latach byłam w punkcie wyjścia, jeśli chodzi o przedstawienie w druku naszego datowania stanowiska w Hueyatenco. Mniej więcej w tym czasie skontaktował się ze mną wydawca nowego magazynu popularnonaukowego, mającego nosić nazwę *Science 80* (w 1980 roku), *Science 81* (w 1981 roku) i tak dalej. Przejawiał poważne zainteresowanie Hueyatenco i chciał opublikować nasz raport. Moje nadzieje odżyły, przesłałam więc mu rękopis, wówczas już nieco postrzępiony i lekko pożółkły, i czekałam. Powtórzyło się to, co wcześniej. Listy i telefony bez odpowiedzi. W końcu dopadłam tego wydawcę w gabinecie. Okazało się, że rękopis wpadł za szafę i się zawieruszył. Zwrócono mi go. Byłam w rozpacz.

Wtedy przysłała mi do głowy szczęśliwa myśl. Skontaktowałam się z prestiżowym czasopiśmie geologicznym *Quaternary Research*. Steve, jego redaktor, znał mnie osobiście, a jeśli ktokolwiek miał naprawdę zweryfikować mój artykuł, to tylko on. Oczywiście zachował się jak prawdziwy naukowiec. Ponieważ mieliśmy solidne dowody na poparcie naszych twierdzeń, nie przeszkadzała mu kontrowersyjność znaleziska. Przesłał materiał do recenzji naukowej, po czym tekst został zatwierdzony, przyjęty i opublikowany jako pierwszy artykuł w tomie z 1981 roku.

Jednak było już za późno. Ustaliła się już data 22.000 lat dla stanowisk w Valsequillo. Wysłałam komunikat prasowy za pośrednictwem biura promocji uniwersytetu, w którym pracowałam. Redaktorka wiadomości prasowych uznała, że był to jeden z najbardziej ekscytujących tekstów, które czytała. Nikt jednak nie podjął tego tematu; ani agencje informacyjne, ani gazety wychodzące w Denver, ani redaktorzy i dziennikarze, którzy przez lata prosili mnie, żebym dała im znać, gdy artykuł zostanie opublikowany. Dotyczyło to redaktorów *Science 81*, *Science News*, *Washington Post*, *New York Times* czy *Valley Voice* z Visalia w Kalifornii. Przesłałam nawet kopię komunikatu prasowego redakcji *National Inquirer*. I nic. Szef Wydziału Antropologii sprzeciwił się też opublikowaniu tekstu w biuletynie wydziałowym uczelni.

Nie muszę dodawać, że kiedy nadszedł czas przedłużenia mojego kontraktu z uniwersytetem, kontrakt został zerwany. Pod koniec 1981 roku znalazłam się w krytycznej sytuacji: bez pracy, z nadwątloną reputacją, pozbawiona możliwości działania, zniechęcona i wyczerpana emocjonalnie. Odeszłam od nauki i zwróciłam się ku innym dziedzinom życia. W latach 1987-1994 opiekowałam

się starszymi krewnymi i zostałam zawodową ogrodniczką. W tym okresie Hall Malde zakończył pracę na posadzie rządowej i zajął się drugim powołaniem: wykonywaniem znakomitych zdjęć dla *Nature Conservancy*. Juan Armenta Camacho zmarł wskutek choroby nerek. Cynthia Irwin-Williams również odeszła po długich zmaganiach z chorobą.

W 1993 roku ukazała się książka „Zakazana archeologia” Michaela Cremo i Richarda Thompsona (Arche, Wrocław 1998), która szybko przykuła uwagę alternatywnych mediów. Publikacja ta oraz jej skrócona wersja „Ukryta historia człowieka” zawierają miły dla mnie rozdział poświęcony Hueyatlaco, w którym zamieszczono wyznaczone przez nas daty i opisano związane z nimi nasze problemy (wyłącznie natury akademickiej). Popularność „Zakazanej archeologii” zaowocowała w 1995 roku moim krótkim występiem w programie telewizyjnym prywatnej stacji Sightings. Ten telewizyjny show oglądali filmowcy kręcący materiał dokumentalny o kontrowersyjnych stanowiskach archeologicznych; zabrali mnie samolotem do Meksyku, aby tam na miejscu zrobić zdjęcia i przeprowadzić wywiad. Program *Mysterious Origins of Man* („Tajemnicze początki człowieka”) został wyemitowany rok później w NBC i spotkał się z gwałtownym oburzeniem naukowców z kręgów establishmentu.

Obecnie stanowiska łowców sprzed 200.000-400.000 lat pojawiają się jak grzyby po deszczu na całym świecie: w Niemczech, Anglii, na Syberii, i są datowane przy użyciu tej samej metody, którą zastosowaliśmy w Hueyatlaco. Mimo to podobne stanowiska w Nowym Świecie są nadal ignorowane. Moje ostatnie listy do *Science News*, *Science* i *Nature* dotyczące takich stanowisk w Nowym Świecie nigdy nie zostały opublikowane. Mur jest równie wysoki, jak dawniej. Pojawiła się jednak nadzieja. Tej jesieni (1997 roku) próbujemy ustalić nowe daty dzięki kolejnym pracom wykopaliskowym. Obszar Valsequillo jest ogromny, a wiele odnajdywanych tam kości zachowało się w dobrym stanie. Gdzieś pośród tej sterty osadów i wulkanicznego popiołu powinny spoczywać szczątki szkieletów ludzi, którzy łowili, ubijali i ćwiartowali potężne stworzenia z epoki lodowcowej ćwierć miliona lat temu. Odnajdźmy je!



Nowe ślady człowieka pierwotnego

Marc Roland jest studentem Brighton Hill College w Kent w stanie Wyoming, gdzie robi doktorat z antropologii. Jego tekst o nowych śladach człowieka pierwotnego w Ameryce pokazuje, jak szybko zmienia się wiedza o początkach ludzkości – odkrywa się nie tylko znacznie wcześniejszej, niż sądzono, ślady obecności pierwszych osadników na kontynencie amerykańskim, ale także ich zaskakujące umiejętności odbywania wypraw morskich w odległej przeszłości.

Koniec z „Mojżeszem z Clovis”

Autorzy piszący dla magazynu *Ancient American* od chwili jego założenia w 1993 roku przekonują, że pierwsi ludzie, którzy przybyli na kontynent amerykański, dotarli tam drogą morską przed dziesiątkami tysięcy lat. Wnioski te były stale wyśmiewane lub odrzucane przez archeologów z establishmentu. Ich wizja przeszłości była dogmatem powszechnie akceptowanym przez nauczycieli i komentatorów telewizyjnych. Naukowcy ci upierają się, że człowiek okresu polodowcowego przekroczył pomost lądowy wiodący z Mongolii na Alaskę nie wcześniej niż 13.500 lat temu.

Badacze z dyplomem uniwersyteckim dokonali niedawno wielkiego odkrycia, przeczącego tej tezie. Zostało ono potwierdzone przez innych niezależnych badaczy. Odkrycie wskazuje na obecność człowieka w Ameryce około 40.000 lat temu. To ważne znalezisko dodatkowo dowodzi, że ludzie przemieszczali się po świecie znacznie wcześniej, niż chcieliby nam to wmówić przedstawiciele głównego nurtu nauki. Ponadto dobitnie z tego odkrycia wynika, że mieszkańcy Ameryki sprzed 40.000 lat nie przywędrowali z Mongolii.

Nowo odkryte ślady pochodzą z górnego paleolitu, czyli schyłku starszej epoki kamienia. Wtedy to współcześni ludzie po raz pierwszy pojawili się w Europie. Ich dziełem są malowidła naskalne na ścianach w jaskini Lascaux w południowo-zachodniej Francji oraz w Altamirze w północnej Hiszpanii. W tym czasie wydobywano też czerwoną ochrę w tzw. Jaskini Lwa na terenie afrykańskiego państwa Suazi oraz wytwarzano najstarsze narzędzia z kamienia łupanego, głównie z czertu, w Azji Południowo-Wschodniej. W Australii powstały wówczas pierwsze ludzkie osady, co znaczy, że nawet w tej zamierzchłej epoce ludzie potrafili nawigować po rozległych połączeniach otwartego morza. Najwyraźniej jakiś powszechny bodziec skłonił ich do zasiedlenia świata. Jednak konserwatywni archeolodzy byli pewni, że te globalne wydarzenia nie objęły Ameryki.

Piątego lipca 2005 roku brytyjscy naukowcy ogłosili, że setki ludzkich odcisków stóp, mniej więcej w 1/3 stóp dzieci, odkrytych w środkowym Meksyku w 2003 roku, ponad wszelką wątpliwość datowano na okres początków istnienia współczesnego człowieka. Silvia Gonzales, geo-archeolog z John Mores University w Liverpoolu w Anglii, była jedną z osób, które odkryły odciski stóp w porzuconej kopalni odkrywkowej nieopodal miasta Puebli, niespełna 100 kilometrów na południowy wschód od miasta Meksyku. Są one doskonale zachowane jako tropy kopalne w popiele, wyrzuconym w zamierzchłej przeszłości przez pobliski wulkan, znany jako Cerro Toluquilla.

Ślady stóp odcisnięto na brzegu od dawna nieistniejącego jeziora. Wiek współczesnych tym śladom muszli osadowych i ziaren piasku zapieczonych w popiele oszacowano przy użyciu metody optycznie stymulowanej luminescencji. Badacze z University of Oxford w Anglii zastosowali także metodę argonową, metodę uranową i metodę elektronowego rezonansu spinowego do zmierzenia wieku warstw. Zdaniem członka tego zespołu, Toma Highama, „odciski stóp są zdecydowanie starsze niż 38.000 lat”. Wraz z kolegami posłużył się on dodatkowo laserowymi skanami i sprzętem do szybkiego wytwarzania modeli (*rapid prototyping* – RP), by wykonać wysoce precyzyjne, trójwymiarowe kopie odcisków stóp, dokładne co do ułamka milimetra.

Choć odciski stóp pozostały w miejscu znalezienia, fotografie i opisy znaleziska eksponowano na letniej wystawie Royal Society w Londynie. Jeden z ich odkrywców, Matthew Bennett z Bournemouth University, wierzy, że ślady pozostawili koloniści, którzy przybyli z rejon Valsequillo przez morze, żeglując wzdłuż wybrzeży Oceanu Spokojnego do Ameryki Północnej.

Na długo przed znalezieniem odcisków stóp w Puebli badacze *Ancient American* donosili o brazylijskim stanowisku Pedra Furada, którego wiek jest o mniej więcej 16.000 lat wcześniejszy niż daty najdawniejszego ludzkiego osadnictwa w Ameryce, obowiązujące w środowiskach głównego

nurtu nauki. Wciąż dokonywane odkrycia, takie jak te, wypierają przestarzałe paradygmaty, zarazem uwiarygodniając przesłanie magazynu *Ancient American*. Jego autorzy przedstawiają czytelnikom mnóstwo niedocenianych materiałów dowodzących, że wielu pierwszych mieszkańców Nowego Świata przybyło zza morza. Byli to uzdolnieni żeglarze, przybywający do Stanów Zjednoczonych niekiedy nawet tysiące lat wcześniej, niż podają to zachowawczy naukowcy. Od ponad 70 lat ci strażnicy akademickiej doktryny kurczowo trzymają się przeświadczenia, że charakterystyczne kamienne ostrza odnajdywane w wielkiej ilości niedaleko miasta Clovis w Nowym Meksyku zostały wykonane przez pierwszych Amerykanów rodem z Syberii, mimo że przeczą temu liczne świadectwa z całego kontynentu, wskazujące na obecność w Ameryce znacznie wcześniejszych przybyszów z Europy.

Jedną z placówek od dawna oskarżanych o promowanie bajki o pomocy lądowym w miejscu Cieśniny Beringa jest słynny Smithsonian Institution mieszczący się w Waszyngtonie. W świetle doskonale znanej niechęci tej sędziwej organizacji do archeologicznych herezji, sporą niespodzianką stał się artykuł w numerze magazynu *Smithsonian* z listopada 2004 roku, zatytułowany *America's First Immigrants* („Pierwsi imigranci Ameryki”). Jego autor Evan Hadingham stawia tezy podobne do tych z wcześniejszych numerów *Ancient American*. Głosi, że pierwsi ludzie przybyli do Ameryki prawdopodobnie nie przez hipotetyczny pomost lądowy, lecz szlakami morskimi z Azji lub nawet Europy. Przytacza najnowsze dowody naukowe, aby wykazać, że wolny od lodu korytarz nie mógł istnieć wcześniej niż około 12.000 lat temu – zbyt późno, by najwcześniejsi przybysze mogli dostać się na Alaskę z Syberii.

Hadingham, redaktor naukowy popularnej serii *Nova* stacji telewizyjnej Public Broadcasting System, powołuje się na odkrycia archeologa Thomasa Dillehaya, który odnalazł dowody istnienia osiadłej ludzkiej populacji w Monte Verde w Chile. Mieszkańcy osady żyli w budowlach z drewnianych bali i stosowali leki ziołowe już 1000 lat przed ludźmi kultury Clovis. Przewyższenie sprzeciwów kolegów po fachu zajęło Dillehayowi 20 lat, ale w końcu w 1997 roku niezależne testy potwierdziły jego twierdzenia. Hadingham opisuje jeszcze wcześniejsze znalezisko ze stanowiska Meadowcroft, datowanego na 17.500 lat temu. Jego położenie w Pensylwanii oznacza, że albo osadnicy zjawili się najpierw w Ameryce Północnej, na długo przed tą datą, jeśli wędrowali z Syberii, albo przybyli statkami przez północny Atlantyk – druga opcja jest znacznie bardziej wiarygodna, jeśli weźmie się pod uwagę nikłe prawdopodobieństwo istnienia jakiegokolwiek pomostu lądowego zdatnego do przejścia.

Jeszcze starsze jest stanowisko w Cactus Hill w Wirginii, gdzie przy wykorzystaniu różnych technik datowania oszacowano wiek kamiennych ostrzy na 19.000 lat.

Hadingham zastanawia się, czy ci pradawni mieszkańcy Pensylwanii i Wirginii mogli być Europejczykami z epoki lodowcowej, twórcami kultury solutrejskiej. Znakomici artyści pozostawili po sobie sugestywne malowidła naskalne, które wciąż można oglądać we francuskich jaskiniach Cosquer i Cougnac. Też o ich wpływie na kontynent amerykański dodatkowo uwiarygodnia fakt, że ludzie z kręgu kultury solutrejskiej wynaleźli *atł-atł*, czyli miotacz oszczepów, broń bardzo charakterystyczną dla indiańskich plemion od Alaski po Patagonię. Warto podkreślić, że solutrejskie groty oszczepów są niemalże takie same jak ostrza będące wytworem kultury Clovis. Hadingham przytacza słowa Bruce'a Bradleya, specjalisty od prehistorycznych narzędzi kamiennych z brytyjskiego University of Exeter, który twierdzi, że między tymi dwoma niezwykle zbliżonymi rodzajami broni musiał istnieć jakiś związek. Ekspert zajmujący się kulturą Clovis, Dennis Stanford z działu antropologii Smithsonian Institution, pojechał na Syberię, gdzie przekonał się, że starsze czy pochodzące z tego samego okresu groty nie są podobne do ostrzy Clovis. Stanford doszedł do wniosku, że syberyjscy łowcy, którzy rzekomo przeszli na północną Alaskę, nie byli uzbrojeni w broń wykonaną techniką zbliżoną do techniki Clovis.

Być może najbardziej przekonujące z tego wszystkiego są doniesienia Hadinghama o badaniach mitochondrialnego DNA przeprowadzonych na żyjących współcześnie Amerykanach przez Dennisa Wallace'a, genetyka z University of California w Irvine. Na podstawie wyników tych badań wraz z kolegami zdołał on zidentyfikować pięć różnych linii rodowodowych, które ujawniają cztery lub więcej odrębnych fal migracji do Ameryki Północnej znacznie wcześniejszych niż sprzed 20.000 lat. Hadingham przytacza opinię Jamesa Adovasia z Mercyhurst College, autora książki *The First*

Americans („Pierwsi Amerykanie”), który uważa, że konserwatywni naukowcy, mimo że przeczą temu nowe odkrycia, nadal opowiadają o rozstąpieniu się pokrywy lodowej na Morzu Beringa, niczym o biblijnym rozstąpieniu się wód Morza Czerwonego; tyle że za sprawą jakiegoś „Mojżesza z Clovis”, wiodącego swój prehistoryczny lud do nowego świata.

Najwyraźniej dni tej przestarzałej wizji są policzone, skoro czasopisma z głównego nurtu nauki, takie jak *Smithsonian*, w końcu podejmują dyskusję o faktach, które *Ancient American* opisuje od 1993 roku. Choć wypada nam serdecznie pogratulować Evanowi Hadinghamowi ukazania się jego pouczającego artykułu, możemy jednocześnie pozwolić sobie na przyjacielskie stwierdzenie: „A nie mówiliśmy?”

Rozdział 2

Starożytna technika

Wpływy egipskie w Ameryce

Laura Lee od 1990 roku jest obsypaną nagrodami producentką i gospodynią emitowanego w wielu stacjach radiowego programu *The Laura Lee Show*. W setkach audycji prezentowała milionom słuchaczy w Stanach Zjednoczonych najwybitniejszych specjalistów w zakresie alternatywnej historii i dziejów techniki, w tym również kilku autorów publikacji z tego zbioru. Laura Lee, która podróżowała do wielu najbardziej odległych zakątków naszej planety, wróciła w 1997 roku z wyprawy do Egiptu, gdzie odnalazła intrygujące podobieństwa do monumentalnej architektury kamiennej prekolumbijskiego Peru. Jej relacja pojawiła się w *Ancient American* z marca-kwietnia 1997 roku. Od tego czasu ów tekst jest uznawany za „klasyk” przez kolekcjonerów dawnych numerów tego czasopisma.

Laura Lee

Supernauka Egiptu faraonów w przedhiszpańskim Peru

Podczas niedawnej podróży do Egiptu natknęłam się na wiele zdumiewających rzeczy. Przede wszystkim byłam pod wielkim wrażeniem starożytnej architektury kamiennej, na przykład ogromnych bloków piramidy Cheopsa, oraz tego, jak dawni ludzie zdołali umieścić je na wyznaczonym miejscu z tak wysoką inżynierską precyzją na tysiące lat przed nastaniem epoki przemysłowej. Zachwyciła mnie również starożytna sztuka kamieniarska; jeden z jej aspektów podsuwa wskazówki do rozwiązania innej zagadki.

Sale ekspozycji „Stare Państwo” w Muzeum Egipskim w Kairze są wypełnione wazami, misami, dużymi skrzyniami przykrytymi wiekami oraz posągami wyciosanymi z łupku, diorytu, granitu i obsydianu. Obiekty te nie dają odpowiedzi na pytanie: Jak starożytni rzeźbiarze pracowali w twardej magmowej skale z taką dokładnością? Z pewnością nie przy użyciu topornych tłuczków i prymitywnych narzędzi kamiennych i miedzianych, jak twierdzi większość egiptologów. Po zakończeniu zwiedzania grupowego spędziłam z moim mężem Paulem cały dzień w muzeum, gdzie mogliśmy niespiesznie przyjrzeć się zgromadzonym w nim cudom. Naszym zdaniem najstarsze obiekty miały surowy „nowoczesny” wygląd – wyraźne linie i doskonałe proporcje, które sprawiały, że porównywalne wyroby z okresu Starego Państwa wyglądały niemal barokowo. Na przykład w rogach wielkich kamiennych skrzyń w miejscu schodzenia się dwóch zakrzywionych

linii widniały ślady jak po użyciu narzędzia mechanicznego.



Zbudowanie potężnych murów peruwiańskiego Sacsayhuaman byłoby zniechęcająco trudnym wyzwaniem dla współczesnych inżynierów. Jednak podobne monumentalne budowle wznoszono na drugim krańcu świata – w starożytnym Egipcie.

Szczególnie zastanowiły mnie naturalnej wielkości diorytowe i granitowe posągi o gładkich jak atlas powierzchniach oraz precyzyjnie i subtelnie wyrzeźbionych rysach twarzy. Na podstawach kilku posągów widniało parę krzywych rzędów topornych hieroglifów z chropowatymi krawędziami. Hieroglify wyglądały tak, jakby wykonano je dłutem, kując twarde kamień. Wyobrażałam sobie, że te hieroglify są odpowiednikiem graffiti na wytwornym dziele sztuki – późniejszym dodatkiem do zabytkowej spuścizny. Dwie całkowicie odmienne techniki zastosowane na tym samym przedmiocie implikują dwie różne daty. Po co stosować gorszą metodę? Chyba że pierwsza – lepsza – została zapomniana. Gdy standardowe wyjaśnienia okazują się nieadekwatne, powstają nowe teorie. Zaczęłam zatem ich szukać.

Łączenie różnych dyscyplin wiedzy wydaje mi się niezwykle pożyteczne. Badanie szlaku dowodów po to, żeby przekonać się, dokąd one prowadzą, często wymaga wykroczenia poza ograniczenia przyjmowanych z góry, ustalonych poglądów z danej dziedziny. Zaczęłam więc szukać odpowiedzi nie wśród egiptologów czy archeologów, lecz wśród osób, które znają się na skałach i narzędziach. Zwróciłam się do dwóch niezależnych specjalistów: geologa i producenta narzędzi mechanicznych, żeby dowiedzieć się, co mogą powiedzieć nam te kamienne artefakty oraz jak wyglądają ślady pozostawiane przez precyzyjne narzędzia mechaniczne. Obaj specjaliści byli niedawno gośćmi w programie *The Laura Lee Show*, prowadzonym przeze mnie cotygodniowym radiowym talk-show. Oto ich opinia. Ivan Watkins jest profesorem geologii na Wydziale Nauk o Ziemi St. Cloud University w St. Cloud w Minnesocie. Zajmuje się badaniami technik wykończeniowych powierzchni inkaskich wyrobów kamieniarskich. Watkins twierdzi, że powierzchnia kamienia oglądana pod mikroskopem wskazuje, w jaki sposób został obrobiony.

Profesor podkreśla: „Można odrzucić standardowe wyjaśnienia tej kwestii w odniesieniu do kamieniarsstwa dawnych Inków, które jest bardzo podobne do egipskiego”. Watkins tłumaczy, że miękką skałę łatwo jest ciąć; gorzej jest w przypadku twardych skał magmowych. Granit zawiera

15-30 procent kryształów kwarcu i kilka innych minerałów o różnym stopniu twardości, co jest ważne w przypadku analizowania pod mikroskopem charakterystycznych śladów pozostawionych w kamieniu. Metody, którymi – jak się uważa – posługiwali się starożytni, takie jak uderzanie tłuczkami i młotkami, kruszenie, polerowanie materiałami ściernymi czy rozpieranie z pomocą klinów, nie pasują do tego, co Watkins dostrzegł pod mikroskopem. W przypadku uderzania młotkami wiadomo, że skała zwykle pęka wzdłuż z góry określonych płaszczyzn łupliwości.

Gdy piasek rzeczny, składający się w większości z kwarcu, jest stosowany do kruszenia i polerowania skały, miększe od kwarcu minerały w skale zostają starte, natomiast kryształy kwarcu, niemal nienaruszone, wystają ponad warstwą pozostałych minerałów na powierzchni. W przypadku rozpierania skały klinem Watkins rozpoznaje brak pęknięć niskokątowych oraz ślady niekontrolowanego pęknięcia skały. Na powierzchni obrobionej tłuczkami wszystkie minerały są naruszone nierównomiernie. Tego wszystkiego Watkins nie stwierdza, badając wyroby kamieniarskie Inków. Na niektórych inkaskich kamieniach w Machu Picchu i Ollantaytambo oraz na wzgórzu Rodadero w Sacsayhuaman znalazł gładkie powierzchnie, wciąż wykorzystywane przez dzieci jako zjeżdżalnia. Podobnie jak w przypadku ceramicznego szkliwa, wysoka temperatura może stopić cząstki kwarcu na glazurze, która wypełnia nierówności, tworząc gładką powierzchnię. Aby ustalić, w jaki sposób starożytni tworzyli tego rodzaju powierzchnie, Watkins odwołał się do współczesnej techniki, dającej podobny efekt.

Cenną wskazówkę znalazł w pracach geologa Davida Lindrotha z U.S. Bureau of Mines w Twin Cities' Research Center w Minnesocie. Lindroth posługiwał się wiązką energii świetlnej o mocy 100 watów, skoncentrowaną w punkcie wielkości 2 milimetrów, do przebicia dowolnej skały metodą zwaną termiczną dysagregacją. Jak donosił naukowiec, wykonane w ten sposób zagłębienia miały zaledwie 2 milimetry głębokości, ale wielokrotnie powtarzana procedura pozwalała przebić na wylot skałę o dowolnych rozmiarach. Wiązka świetlna łatwo przecina kawałki kwarcytu, ale bazalt już topi. Watkins doszedł do wniosku, że inkaskie powierzchnie kamienne przypominają obiekty obrobione metodą termicznej dysagregacji. A może istniała metoda zdolna przeciąć kamień, wytworzyć taki ślad, a przy tym wykorzystywać źródło energii dostępne Inkom? Watkins natrafił na kolejną wskazówkę dzięki bransolecie noszonej przez współczesnego kapłana w Cuzco, dawnej stolicy Inków. W czasie corocznego Święta Słońca ogień musi zostać rozpalony za sprawą Słońca. Ceremonia polega na zapaleniu kłębków bawełny za pomocą promieni słonecznych, które są skupiane przy użyciu mocno wypolerowanego, wklęsłego zagłębienia na dużej, złotej bransolecie, przypominającej bransolety noszone przez starożytnych Inków.

W pewnym peruwiańskim muzeum Watkins zauważył duże, paraboliczne złote misy. Jak spostrzegł: „Misy te nie były przeznaczone do ustawiania na stole i podawania owoców, ponieważ by się przewracały. Musiały mieć jakieś inne zastosowanie. Mają odpowiedni kształt i są wykonane z metalu pozwalającego skupić na sobie promienie słońca w postaci wiązki światła”. Czy światło słoneczne miałoby wystarczającą moc, by ciąć kamień? Watkins sugeruje, że starożytni inkascy kamieniarze rozgrzewali i ciąli kamień za pomocą zestawu bardzo dużych, złotych zwierciadeł parabolicznych, które skupiały energię słoneczną. Wskazuje na kroniki konkwistadorów, wzmiankujące o inkaskiej misie ze złota tak wielkiej, że jej wysokość była równa wysokości dwóch mężczyzn.

Została ona potem pocięta na kawałki, a następnie przetopiona na sztaby i wywieziona do Hiszpanii. Co ciekawe, duże granitowe słupy skał macierzystych w Machu Picchu mogły pierwotnie służyć jako wsporniki dla takich zwierciadeł. Peru, tak jak Egipt, przez cały rok otrzymuje ogromną dawkę promieniowania słonecznego. Złoto najlepiej odbija światło, gdy tworzy stop ze srebrem w metalurgicznym procesie wykorzystywanym zarówno przez Inków, jak i Egipcjan z okresu panowania faraonów. Niektóre piramidiony czy zwieńczenia piramid występujące w dynastycznym Egipcie były wykonane z elektrum, czyli stopu złota i srebra w proporcji 80/20. Badania Watkina pomogły mu zbudować urządzenie do cięcia i polerowania kamienia zasilane energią słoneczną, na które otrzymał patent (wniosek patentowy numer 4611857).

Dostrzec związek między wynalazkiem Watkina a jego starożytnym prototypem może ktoś, kto potrafi zidentyfikować ślady użycia narzędzi do precyzyjnej obróbki, nawet jeśli dostrzeże je w

miejskach „nieprawdopodobnych”, zdaniem egiptologów głównego nurtu. Specjalista ten rozpoznał ich wiele – od śladów wiertel rdzeniowych wydajniejszych niż współczesne wiertła diamentowe, poprzez ślady strugania o precyzji godnej ery kosmicznej, aż po krzyżujące się ślady użycia tokarki. Chris Dunn, obecnie członek zarządu firmy Danville Metal Stamping z Danville w Illinois, poświęcił mnóstwo czasu maszynom wytwarzającym komponenty silników odrzutowych, korzystając z niekonwencjonalnych metod produkcji, takich jak obróbka laserowa czy kształtowanie elektrohydrodynamiczne. Ponadto bada on starożytne obiekty, mając otwarty umysł; uważa siebie za człowieka „nieobciążonego datami, faktami historycznymi i chronologią wydarzeń”. Dwie wyprawy do Egiptu w celu oględzin wybranych obiektów doprowadziły go do postawienia pytań: „W jaki sposób je wytworzono? Jaką metodą się posłużono? Jakich narzędzi użyto do ich wykonania?”

Do wykonania starożytnych obiektów rzekomo zostały wykorzystane narzędzia eksponowane razem z tymi przedmiotami. Chris Dunn mówi: „[Te narzędzia] po prostu fizycznie nie nadają się od wykonania owych przedmiotów dzisiaj. Dlaczego zatem miałbym wierzyć, że potrafiono wykonać je tysiące lat temu?” Całkiem logiczne pytanie. I nie zraża go, że starożytne narzędzia nadające się do wytwarzania dzisiaj podobnych przedmiotów nie zostały jeszcze odkryte. „Narzędzi jeszcze nie odnaleziono, ale to nie powinno powstrzymać nas przed dedukcją, jak one wyglądały, na podstawie śladów pozostawionych przez nie na przedmiotach”. O jakie ślady chodzi? Zgodnie z wynikami badań Dunna są to ślady zastosowania zaawansowanych metod piłowania, wiercenia, toczenia i frezowania, a także wysoki standard wykonania równych, płaskich powierzchni, którego nie sposób osiągnąć ręcznie. W Muzeum Egipskim w Kairze znajduje się diorytowa misa, która wydaje się wycięta na tokarce. Dunn podkreśla, że prosta kamienna misa ma ostrą krawędź w miejscu przecinania się dwóch sferycznych wklęsłości. Świadczy to, że obwody obu wklęsłości zostały wycięte na dwóch różnych osiach obrotu. Cięcie kamienia na obracającej się tokarce to bardzo zaawansowane technologicznie zastosowanie koła.

Jak wyjaśnić istnienie sferycznych kamiennych rdzeni wiertniczych – fragmentów usuwanych po wywierceniu okrągłego otworu? Dunn twierdzi, że starożytne rdzenie wiertnicze fascynowały słynnego brytyjskiego archeologa sir Flindersa Petriego. To on na podstawie analizy rdzeni i otworów pozostawionych w kamieniu pierwszy ustalił, że wykorzystano wiertła kręte, identyczne ze stosowanymi współcześnie. W opublikowanej w 1883 roku książce *Pyramids and Temples of Giza* („Piramidy i świątynie Gizy”) Dunn znalazł obliczenia Petriego, że tempo zagłębiania się starożytnego wiertła krętego wynosiło 25 milimetrów na jeden obrót, mierząc odległość między spiralnymi rowkami, które wiertło pozostawiło na rdzeniu. Zdaniem Dunna oznacza to, że starożytne wiertła zagłębiały się w litym granicie z prędkością 500 razy większą niż współczesne wiertła diamentowe.

Dunn pisze: „Przedstawiłem zdumiewające obliczenia Petriego innym rzemieślnikom, prosząc ich o ustalenie, jaka metoda mogłaby dać tę samą prędkość pracy wiertła oraz wytworzyć inne ślady widoczne na starożytnych rdzeniach wiertniczych, takie jak otwór i rdzeń wiertniczy zwięzające się wewnątrz kamienia oraz rowki wycinane głębiej w kwarcu niż w skaleniu. Większość się poddała. Tylko jeden wymyślił taką metodę i niezależnie ode mnie wpadł na ten sam pomysł, co ja”. Jaka to była metoda? Ultradźwięki. W jaki sposób wykorzystuje się współcześnie dźwięk do wiercenia skały? Dunn wyjaśnia: „W nowoczesnych wiertłach ultradźwiękowych wykorzystuje się wibracje dźwiękowe bardzo wysokiej częstotliwości, przemieszczające się w jakimś ośrodku. Wywołują one oscylację narzędzia, czyli jego poruszanie się tam i z powrotem z częstotliwością 19.000-25.000 hertzów w procesie szybkiego szlifowania. Dodanie jakiejś pasty lub płynu zwiększa działanie tnące”. Nowoczesne maszyny ultradźwiękowe są używane do precyzyjnej obróbki otworów o nietypowych kształtach w twardych, kruchych materiałach. Znaczące jest to, że ultradźwiękowe wiertła przecinają kwarc łatwiej niż skałę czy granit.

„Ultradźwięki pobudzają kwarc w granicie do drgań rezonansowych, dlatego tną go łatwiej”, stwierdza Dunn. Pozostaje jeszcze tak zwany sarkofag w Komorze Króla w piramidzie Cheopsa. Dlaczego zakładamy, że miały być w nim przechowywane ludzkie zwłoki, skoro żadnych szczątków – ani zmumifikowanych, ani innych – nigdy w nim nie znaleziono? Może była to raczej komnata inicjacyjna? A może sarkofag miał coś wspólnego z biblijną Arką Przymierza, ponieważ

zewewnętrzne wymiary arki podobno idealnie pasują do wewnętrznych wymiarów sarkofagu? Tak czy inaczej, Dunn zwraca uwagę na końcową część tej granitowej skrzyni. „Północna ściana nosi ślady piłowania bardzo podobne do znaków na współczesnych granitowych płytach pomiarowych”. Według Dunna, „płyty pomiarowe są precyzyjnie oszlifowanymi, płaskimi blokami, które służą jako wzorce podczas pomiarów innych płaskich powierzchni w procesie produkcyjnym. Wykonuje się je z granitu, ponieważ jest stabilny i wyjątkowo twardy. Metalowe płyty pomiarowe mogą się odkształcać. Granitowe – nigdy”.

Dlatego właśnie Dunn uważa za intrygujący fakt, że wielkie, czarne granitowe skrzynie w Serapeum w Sakkarze były najpierw prymitywnie wydrążone, kiedy sprowadzono je do podziemnych komór grobowca, w których panowały zupełnie inne warunki atmosferyczne niż na zewnątrz, gdzie powietrze pustynne było suche i gorące. Skrzynie wykończono dopiero wtedy, gdy znalazły się już w komorach, zaś kamień miał czas przystosować się do innej atmosfery. To pozwoliło nadać granitowi precyzyjny kształt. Jako przykład „precyzji godnej ery kosmicznej” Dunn przywołuje płaską powierzchnię wnętrza sarkofagu czy też granitowej skrzyni w piramidzie Cheopsa, a także wnętrza skrzyń w Serapeum. Sprowadził przenośny instrument, służący do pomiaru dokładności wykonania płaskich powierzchni, i świecił latarką pod linijką przytkniętą do gładkiego boku sarkofagu. Nawet odrobina światła nie przeniknęła między linijkę i granitowy blok, co świadczy o braku jakichkolwiek niedoskonałości w obróbce granitu.

Dunn napisał: „Oczywiście, aby wykonać dokładne pomiary, chciałbym sprowadzić tam laserowy sprzęt do skanowania powierzchni. Ale na podstawie pobieżnych wstępnych pomiarów stwierdzam, że powierzchnia była tak równa, tak płaska, że nie udało się tego osiągnąć szlifowaniem ręcznym”. Do czego była potrzebna aż taka precyzja? Pozostaje pytaniem bez odpowiedzi, jak starożytni budowniczowie wykonywali obiekty. Niestety, kamieniarze okresu dynastycznego nie zdradzali żadnych swoich sekretów. Była to grupa ludzi tak skryta, jak wolnomularze. To jednak nie zniechęca Dunna.

Dunn pisze: „W interpretacji i zrozumieniu poziomu rozwoju technicznego cywilizacji nie można polegać na zachowanych dokumentach dotyczących technik, które ta cywilizacja opracowała”. Pozostają jeszcze zachowane obiekty. W tym przypadku chodzi o precyzyjne narzędzia, dzięki którym owe obiekty powstały. Z czego były wykonane? Miedź nie jest wystarczająco twarda do tego rodzaju prac. „Żelazne narzędzia metalowe zardzewiałyby do tej pory”, zauważa Dunn. Petrie, który był jednym z najwybitniejszych egiptologów swoich czasów, ustalił, że starożytni Egipcjanie stosowali piły długości 2,75 metra, i spostrzegł, że podczas wykonywania sarkofagu z piramidy Cheopsa wiertło zboczyło z toru, pozostawiając w rogu nieco głębsze półokrągłe nacięcia. Dzisiejsi egiptolodzy nigdy nie wspominają o takich osobliwościach. Ale jeśli jakaś teoria nie wyjaśnia zadowalająco istniejących dowodów, może lepiej odrzucić teorię, a nie dowody!



Niezidentyfikowany od 150 lat przedmiot

Znalezione ponad 150 lat temu dwa wykonane ludzką ręką przedmioty zostały uwiecznione w skale na długo przedtem, zanim przypuszczalnie rozpoczęła się ewolucja człowieka – w wyznaczonych jej przez naukę ramach czasowych. Archeolodzy wciąż nie potrafią wyjaśnić kontekstu geologicznego znaleziska. Czyżby przedmioty te powstały w wyniku jakiegoś naturalnego procesu, który jest nieznanym naukowcom? Czy co najmniej jeden z nich – mimo że wydaje się

to nieprawdopodobne – mógł być używany w czasach, gdy po Ziemi chodziły dinozaury? Te intrygujące kwestie poruszono w magazynie *Ancient American* z lutego 2001 roku.

Dennis Ballard

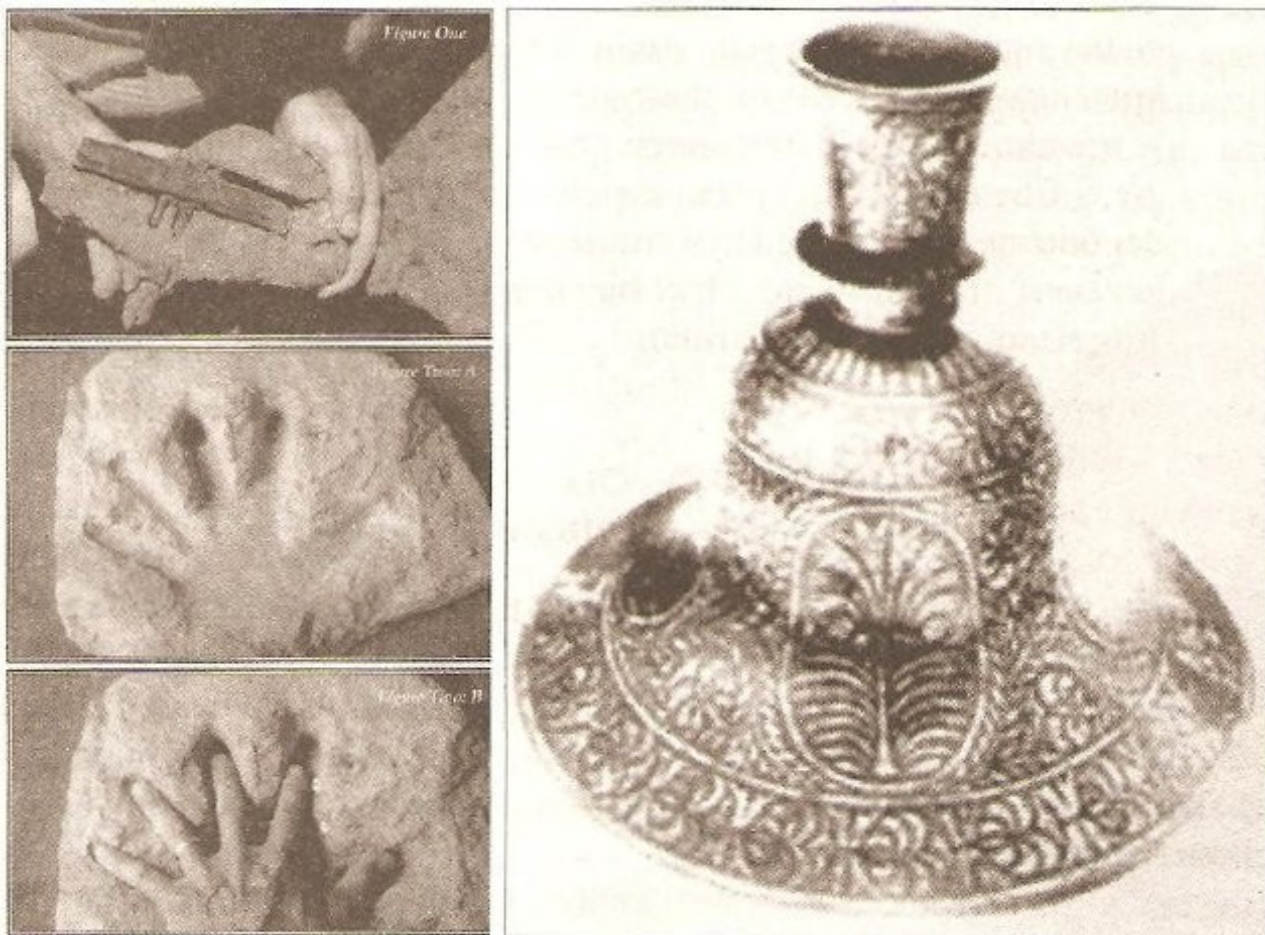
Dzwon i młot: dwa „niemożliwe” znaleziska

W czerwcowym numerze *Scientific American* z 1851 roku pojawił się artykuł o metalowym naczyniu, które zostało wyrzucone przez eksplozję z „olbrzymiej masy skalnej”, kiedy robotnicy prowadzili prace ziemne w Meeting House Hill w Dorchester w Massachusetts.

„Po złożeniu dwóch części utworzyły one naczynie o dzwonowatym kształcie, które miało 11,5 centymetra wysokości, 16,5 centymetra u podstawy i prawie 6,5 centymetra w części górnej oraz około 0,3 centymetra grubości. Jego kolor przypomina barwę cynku lub jakiegoś stopu metali ze sporą zawartością srebra. Na bokach widnieje sześć podobizn kwiatów, albo może bukiet pięknie inkrustowany czystym srebrem; wokół dolnej części naczynia biegnie wizerunek krzewu winorośli lub wieńca, również inkrustowany srebrem. Grawerunek i inkrustacje są znakomitej roboty biegłego w swym fachu rzemieślnika. To ciekawe i niezidentyfikowane naczynie zostało wyrzucone przez eksplozję z litego bloku zlepieńca z głębokości ponad 4,5 metra pod powierzchnią ziemi. Doktor J.V.C. Smith, który niedawno odbył podróż na Wschód (...) i zapoznał się z setkami interesujących przedmiotów codziennego użytku, nigdy nie widział czegoś podobnego. Nie ma wątpliwości, że ta osobliwość została wyrzucona ze skały”.

Obecny właściciel tego ciekawego artefaktu napisał niedawno do znanego badacza niezwykłych obiektów tego typu, Brada Steigera, i poinformował go, że naczynie po upływie ponad 150 lat wciąż pozostaje niezidentyfikowane. Steiger, choć opisał dzwonowaty obiekt w książce *Atlantis Rising* („Świt Atlantydy”) z 1971 roku, nie potrafił powiedzieć o nim niczego nowego. Zdaniem Milтона Swansona z Maine „[przedmiot] przesłano do Harvard College, ale ze względu na jego zagadkowe pochodzenie, odłożono do szafy. Administrator budynku w końcu przywiózł go ze sobą do domu w Bedford w Massachusetts”. Pan Swanson sprzedał mi ten obiekt niedługo przed śmiercią w wieku osiemdziesięciu kilku lat. Przez długi czas prezentował przedmiot różnym ekspertom, ale żaden nie potrafił rozwiązać zagadki. Wiek i zastosowanie pozostają niewyjaśnione. Przedmiot jest niemal czarny; wydaje się, że metal to stop mosiądzu z cynkiem, żelazem i ołowiem. Inkrustacja jest z czystego srebra, a do jego ochrony konieczne było zastosowanie lakieru. Być może jest to jakaś popielnica.

Miałem nadzieję dowiedzieć się czegoś bardziej konkretnego w Museum of Fine Arts w Bostonie, które dysponuje nowoczesnym laboratorium analitycznym, utworzonym we współpracy z Massachusetts Institute of Technology. Jego pracownicy przez dwa lata przeprowadzali wiele testów, lecz nie udało im się ustalić wieku obiektu. Nieoficjalnie geolodzy datowali skałę macierzystą „dzwonu” na około 1.000.000 lat. Żaden z nich oczywiście nie odważyłby się opublikować takiego wniosku z obawy przed ośmieszeniem, mimo że istniały dowody uzyskane z prób kwasowych, które miały określić wiarygodne parametry czasowe. Sama sugestia o istnieniu tak starego obiektu wykonanego ludzką ręką jest dla większości naukowców herezją.



Odkrycie wykonanych ludzką ręką przedmiotów w otoczeniu starszym niż obecnie obowiązujące daty wyznaczające początki dziejów człowieka wymyka się naukowemu wytłumaczeniu.

Znacznie starszy obiekt-młot utkwiał w skale z okresu kredy (140.000.000-65.000.000 mln lat temu). Odkrył go Max Hahn niedaleko miejscowości London w Teksasie w czerwcu 1934 roku. Testy potwierdziły, że obuch młota wykonano z metalu bez domieszki żelaza, o dużej wytrzymałości na erozję. Nawet współcześnie trudno byłoby otrzymać podobny wytwór. Metal młota jest podobny do metalu toporka znalezionego obok Oetziego, czyli dobrze zachowanego w lodzie ciała człowieka sprzed 5000 lat, odkrytego trzy lata temu w Alpach na wysokości nieco ponad 3000 metrów. Analiza chemiczna młota wydobytego ze skały z okresu kredy wykazała, że znalezisko jest wykonanym ręką ludzką obiektem stosunkowo młodym, ale uwięzionym w skale, która ma mniej więcej 70.000.000 lat.

Młot jest bez wątpienia wykonany przez człowieka i musiał istnieć, zanim został otoczony skałą macierzystą. Jak to jednak mogło się stać, skoro współczesny człowiek *Homo sapiens* istnieje od około 100.000 lat. Dopóki sprzeczności nie zostaną wyjaśnione, dzwon i młot stanowią największe wyzwanie archeologii. Albo zostały uwięzione w skale podczas jakiegoś naturalnego procesu wciąż jeszcze niepoznanego przez naukę, albo są świadectwem prehistorii człowieka skrajnie odmiennej od tej, którą przedstawiają współczesne teorie.



Trójkąt Bermudzki znany już w starożytności

Obszar oceanu na wschód od Florydy słynie z niewyjaśnionych zaginięć samolotów i statków. Choć o prawdziwość tego zjawiska wciąż toczy się zażarty spór, tak zwana strefa śmierci mogła być znana prekolumbijskim mieszkańcom naszego kontynentu amerykańskiego wiele stuleci temu. Carl Munck, specjalista od tłumaczenia matematycznych kodów zaszyfrowanych w starożytnych budowlach, wykorzystując swoją szeroką wiedzę ekspercką, w tekście zamieszczonym w magazynie *Ancient American* z czerwca 2001 roku ujawnił prastare korzenie współczesnego zjawiska.

Carl R. Munck

Czy starożytni Amerykanie wiedzieli o Trójkącie Bermudzkim?

Przedstawiciele władz są tak zakłopotani setkami przypadków zaginięć statków i samolotów w Trójkącie Bermudzkim i tak niezdolni do wyjaśnienia tej sprawy, że rozkładają ręce w geście rozpacz. Nie można przecież zabronić poruszania się w tym regionie. Zaszkoziłoby to prowadzeniu interesów i przyniosło straty turystyce.

Znany jest termin „uskok wiatru”. Stanowi on poważne zagrożenie dla ruchu lotniczego. Założmy jednak, że istnieje coś, co można nazwać „uskokiem elektromagnetycznym”, i co jest równie groźne, jeśli ktoś znajdzie się w obszarze działania tego zjawiska pod niewłaściwym kątem lub w nieodpowiednim momencie. Czy takie zjawisko rzeczywiście istnieje? Zdziwiający, że prehistoryczni mieszkańcy Ameryki Północnej mogli wiedzieć o niebezpiecznym obszarze oceanu, który nazywamy Trójkątem Bermudzkim. Co więcej, pozostawili nawet monumentalne znaki ostrzegawcze, które wciąż istnieją.

Dlaczego na przykład w Everglades na Florydzie, na zachodnim krańcu Trójkąta, można dostrzec na kursie 36 stopni usypany z ziemi kopiec będący wizerunkiem stąpającej ostrożnie pantery długości ponad 1,6 kilometra? Wizerunek ten jest widoczny z lotu ptaka. Przed czym ów ogromny kot chce nas przestrzec? Drugim co do wielkości w zestawieniu z Kopcem Pantery jest ponad 1500-metrowy wizerunek tzw. Mechanizmu w Portsmouth w Kentucky, który ma wysokość prawie 3,7 metra i szerokość ponad 12 metrów. Interesujące, że ten przypominający strzelbę wizerunek wskazuje na południowy zachód, utrzymując azymut 216 stopni, czyli dokładnie przeciwny w stosunku do 36-stopniowego kursu pantery.

Prawie w połowie drogi między Mechanizmem z Kentucky a panterą z Florydy znajduje się Skalny Orzeł w Georgii. Jest to jeden z nielicznych wykonanych z kamieni monumentów tubylczych mieszkańców Ameryki Północnej. Czy naprawdę jest to wizerunek orła, którego tak bardzo czcili Indianie? Jeśli tak, to błędnie przedstawili jego anatomie. U orłów skrzydła są duże, a tułów mały, ptak ów zaś bardziej przypomina indyka niż orła. Jak Kopiec Pantery, Skalny Orzeł utrzymuje azymut 36 stopni. Skąd ta zgodność? Powoli stąpająca pantera jest usypana z ziemi – materii miękkiej niczym ciało kota. Ale dlaczego ptak jest z kamienia? Ptaki nie mają twardego ciała. A może to kolejne ostrzeżenie, że jeśli ktoś w tej części świata pomknie z dużą prędkością w nieznanym kursie 36 stopni, może spotkać go coś nieoczekiwanego? Kot, stworzenie lądowe, nie powinien iść w tym kierunku, tak jak nie powinno tam zmierzać nic, co lata. Kryje się w tym jakiś

sens.

Następnie udajmy się na wschód od Florydy, do miejsca na wschodnim krańcu Trójkąta Bermudzkiego. We wschodniej części wyspy Bimini na Bahamach, około 92 kilometrów od Miami, znajduje się Kopiec Rekina. Co ciekawe, 216 stopni to kierunek, w którym „płynie” 152-metrowy wizerunek rekina. Co mówi nam ten symbol niebezpieczeństwa? „Jeśli wpłyniesz w tę strefę kursem 216 stopni, pożrę cię!” Potwierdzeniem tej interpretacji byłoby to, że kiedy bombowiec RAF-u *Lancaster*, przekształcony w transportowiec *Star Ariel*, zaginął na południe od Bermudów 17 stycznia 1949 roku w czasie lotu na Jamajkę, jego ostatni znany kurs wynosił 216 stopni.



Kamień kalendarzowy

Tak zwany kamień kalendarzowy to prawdopodobnie najświetniejszy prekolumbijski artefakt. Niewiele osób oczarowanych jego urzekającą złożonością zdaje sobie sprawę z tego, jak wysoko rozwiniętą wiedzę astronomiczną zastosowano do jego wykonania. Czy zaprojektowali go Indianie? A może ten cud nauki jest spuścizną innej, starszej cywilizacji? I co ów kalendarz zapowiada światu w 2012 roku? To tylko kilka wielkich zagadek związanych z tym kamiennym dyskiem, opisanych w magazynie *Ancient American* z marca-kwietnia 1994 roku.



Ta rekonstrukcja pokazuje, jak aztecki kamień kalendarzowy wyglądał w oczach XV-wiecznych mieszkańców Tenochtitlán, stolicy imperium.

Frank Joseph

Azteckie „Naczynie Czasu”

Jednego z największych odkryć amerykańskiej archeologii dokonali robotnicy, którzy rozkopali dziedziniec przed gmachem katedry na Plaza Mayor w mieście Meksyku, żeby dostać się do znajdującego się w stanie ruiny systemu kanalizacyjnego. W chwili, gdy przekopali się niemal równolegle do fasady pałacu wicekróla, kilofy nagle uderzyły o jakiś nadzwyczaj twardy obiekt spoczywający zaledwie około 0,6 metra pod poziomem powierzchni placu. Usunąwszy gruz z wielu stuleci, odsłanili duże, kamienne koło ozdobione tajemniczymi reliefami. W ciągu kilku kolejnych tygodni dzięki wielkiemu wysiłkowi techników udało się wydobyć na powierzchnię 24-tonowy kamienny blok z miejsca, gdzie spoczywał; stamtąd został przetransportowany i oparty o wschodnią ścianę katedry.

Po usunięciu ziemi i oczyszczeniu mierzącego około 3,7 metra monolitu można było poddać go dokładniejszym oględzinom. Na powierzchni kamienia ujrano płaskorzeźby – niesamowitą układankę niezliczonych przedziwnych postaci, zastygłych w niecodziennych pozycjach, niczym obrazy ze snu. Można było wnosić, że blok wyciosano z jednej bryły szaroczarnego bazaltu grubości około 91 centymetrów. Wyblakłe ślady farby wskazywały, że powierzchnia była dawniej silnie kolorowana. Dzieło było wytworem imperium azteckiego, zniszczonego przez hiszpańskich konkwistadorów na początku XVI wieku. W obawie, aby nie stało się obiektem kultu dla krnąbrnych pogan, katolicycy duchowni zmusili miejscowych Indian do zademonstrowania prawdziwie chrześcijańskiej pobożności i sprofanowania dawnego pogańskiego „ołtarza ofiarnego”.

Blok skalny, nazwany później azteckim kamieniem kalendarzowym, pomimo powierzchownych uszkodzeń, do których doszło od chwili odkrycia, jest obecnie przechowywany w niemal nieskazitelnym stanie w słynnym Museo Nacional de Antropologia w Meksyku. W ciągu ponad 300 lat od jego odkrycia monument zyskał sławę jako niezwykle ważny symbol azteckiej cywilizacji. Zelia Nuttall, wybitna archeolog z początków XX wieku specjalizująca się w badaniach Mezopotamii, wysoko ceniła ów kamień jako „najcenniejszy i najbardziej znaczący pomnik kiedykolwiek odkryty na kontynencie amerykańskim oraz jedno z najbardziej godnych podziwu i najdoskonalszych osiągnięć ludzkiego intelektu”. Jej ocenę wartości znaleziska nie podważyły cztery kolejne pokolenia badaczy. Udało się odczytać z tego monolitu mnóstwo zadziwiających informacji.

Obecnie jest to jedno z najlepiej rozpoznawalnych dzieł sztuki na świecie; jego reprodukcje pojawiają się dosłownie wszędzie – od koszulek i okładek albumów po reklamy biur turystycznych i restauracji. Pomimo międzynarodowej sławy niewiele osób tak naprawdę rozumie jego ukryte znaczenie. Dla większości, choć jest zachwycający pod względem estetycznym, pozostaje równie zagadkowy, jak dla robotników, którzy znaleźli go w 1790 roku. Kamień ten to coś znacznie więcej niż „kalendarz” czy archeologiczna ciekawostka. Jest to wyjątkowe dzieło naukowego geniuszu, które sięga w przeszłość i zarazem wybiega w przyszłość. Choć pochodzenie wysoko rozwiniętej techniki, dzięki której pozostał, wciąż jest przedmiotem spekulacji, udało się w dużej mierze poznać sposób jego wykonania. Płytę o ciężarze prawie 23.000 kilogramów wyciosano w kamieniołomach w górach nieopodal pływających ogrodów Xochimilco na południe od dzisiejszego miasta Meksyku. Następnie przetransportowano ją w jakiś sposób na odległość ponad 48 kilometrów na główny plac stolicy azteckiego imperium, Tenochtitlán. Potem wciągnięto na wysokość ponad połowy stromych schodów Wielkiej Piramidy na szeroką platformę, gdzie rozpoczęto jej rzeźbienie w 1479 roku, w okresie panowania władcy imperium azteckiego Axayacatl.

Dwa lata później, po pomalowaniu, dzieło było już skończone. Ustawiono więc specjalny, przypominający tron stelaż, aby mogło je oglądać całe miasto. Kamień stał tam przez następnych 40 lat. Kiedy Hernán Cortés z niewielką armią wylądował w rejonie Veracruz i podbił Meksyk w 1519 roku, Hiszpanie zabrali się do zapalczego niszczenia Tenochtitlán. Żołnierze rabowali złoto, srebro i klejnoty, które wpadły im w ręce, a duchowni skupili się na sprawach religii. Czego nie

zdołali roztrzaskać na kawałki, palili.

W szaleństwie religijnego zapału zepchnęli kamień kalendarzowy ze stelażu i poturlali po szerokich schodach piramidy, u której stóp uderzył o ziemię; nieco się wtedy obtłukł, ale poza tym pozostał nienaruszony. Stojąc nad obalonym „ołtarzem”, rozkazali zniewolonym miejscowym parafianom „pogrzebać wraz z kamieniem pamięć o ohydnych czynach, których na nim dokonywano”. Wydobyty z głębi ziemi prawie trzy stulecia później kamień, pełen symbolicznych znaczeń, zdobył światowy rozgłos, jakiego nie miał przez 40 lat, gdy spoczywał na schodach Wielkiej Piramidy w Tenochtitlán.

Ale jakie właściwie ma on znaczenie? Jaki jest sens jego ciekawej, choć niekiedy koszarnej symboliki? Czy jest możliwe odczytanie jego przekazu? Na szczęście kamień kalendarzowy zdradził wiele sekretów – choć na pewno nie wszystkie – przed badaczami, którzy podjęli wyzwanie rozwikłania jego tajemnicy. Ich odkrycia są prezentowane w różnych książkach. Jednak w całej literaturze specjalistycznej brakuje wzmianek o kilku szczególnie ważnych aspektach azteckiego kamienia, które wydają się oczywiste.

Hiszpańscy najeźdźcy zanotowali, że Aztekowie w większości byli pozbawieni zarostu. Tylko niektórzy członkowie dworskiej elity, w tym władca imperium Moctezuma II, nosili niepokąźny zarost, dowodzący genetycznej odmienności rządzącej mniejszości od rządzonej większości. Odmienność ta ma znaczenie przy analizie kamienia kalendarzowego, ponieważ u samego jego dołu są przedstawione dwa stylizowane węże leżące naprzeciwko siebie z otwartymi paszczami, z których wystają głowy mężczyzn. Mężczyzna po prawej stronie ma wąsik i kozią bródkę, jego towarzysz po lewej stronie ma pełny zarost. Postaci te uosabiały w sztuce sakralnej Tezcatlipochę (Jaguara) oraz Quetzalcoatlą (Pierzastego Węża) – Świętych Bliźniąt. Tutaj symbolizują oni Świętą Dwoistość, świętą ideę przenikającą wszechświat: światło i ciemność, zimno i ciepło, twardość i miękkość, dobro i zło, przyjemność i ból, i tak dalej.

Quetzalcoatl był słynnym założycielem mezoamerykańskiej cywilizacji, krzewicielem kultury, nauki i sztuki zza Oceanu Atlantyckiego, jego obce pochodzenie (tj. ze Starego Świata) jest podkreślone na tarczy przez ukazanie na jego twarzy pełnego zarostu. Wygląd Pierzastego Węża na monolicie sugeruje, że technologia pozwalająca na wykonanie kamienia kalendarzowego była jednym z darów, które Ameryka zawdzięcza jego zamorskiej ojczyźnie. W rzeczywistości to nie Aztekowie byli pomysłodawcami kamienia kalendarzowego. Zastąpili tylko imionami własnych bogów nazwy bóstw przejętych od Majów, którzy przestali istnieć 400 lat przed Aztekami. Nie był to również wynalazek Majów, którzy otrzymali go od swych poprzedników, Olmeków. Śladów początków tego kalendarza nie znajdujemy jednak nawet u najstarszych znanych ludów Mezoameryki, ponieważ Olmekowie używali jego już w pełni rozwiniętej formy od początków istnienia ich społeczności, począwszy od około 1500 lat p.n.e. Alfonso Caso, jeden z najważniejszych archeologów meksykańskich, napisał: „Kalendarz ten bez wątpienia został opracowany bardzo dawno temu i musiał być dziełem ludzi, którzy osiągnęli wysoki poziom rozwoju kultury przed wszystkimi ludami, których kulturę znamy”.

Żadne znaki na kalendarzu nie wskazują, że został opracowany w Mezoameryce. Za to porównania z podobnymi systemami zamorskimi doprowadzają nas do prehistorycznej Brytanii. Tutaj, na równinie Salisbury, stoi najsłynniejszy w kraju megalityczny zabytek: Stonehenge. Oglądany z lotu ptaka wykazuje ogromne podobieństwo do kamienia kalendarzowego. Po usunięciu z owego kalendarza wszelkich azteckich obrazów mitologicznych podobieństwo zdecydowanie wzrasta. Zarówno Stonehenge, jak i kamień kalendarzowy składają się z koncentrycznych kręgów, w których powtarzają się cyfry 5 i 6 jako główne numerologiczne symbole tego miejsca i tego artefaktu. Oba obiekty były astronomicznymi almanachami czy też liczydłami pozwalającymi ustalić pozycje różnych ciał niebieskich i okresowych zjawisk astronomicznych, zwłaszcza zaćmień Słońca i faz Księżyca. Czy to możliwe, aby ta sama nauka, która umożliwiła stworzenie Stonehenge, była odpowiedzialna również za mezoamerykański kalendarz, który niespodziewanie pojawił się w pełni rozwinięty w XVI wieku p.n.e.?



Stonehenge

W tym czasie Stonehenge miało wkrótce osiągnąć szczyty praktycznego zastosowania i wkraczało w ostatni etap budowy. Nie twierdzą tutaj, że wynalazcami mezoamerykańskiego kalendarza byli starożytni Brytyjczycy. Bardziej prawdopodobne jest, że zarówno oni, jak i Olmekowie przejęli astralną technologię od jakiejś cywilizacji pośredniej. Sugeruje to zestawienie dat powstania megalitycznej budowli i megalitycznego artefaktu: najwcześniejsza faza budowy Stonehenge nastąpiła około 3000 lat p.n.e., natomiast obecna era w mezoamerykańskim kalendarzu rozpoczęła się 12 sierpnia 3113 roku p.n.e. Według Azteków ich kalendarz wszedł do użytku wtedy, gdy lud, którego byli potomkami przybył do Meksyku po potopie, który zniszczył jego ojczyznę – wulkaniczną wyspę na Oceanie Atlantyckim, zapamiętaną przez Azteków pod nazwą Aztlan.

Choć skojarzenia z legendarną Atlantydą wykraczają poza zakres tego artykułu, są one nieuchronne. Podobne skojarzenia nasunęły się Alexandrowi von Humboldtowi, największemu niemieckiemu badaczowi i odkrywcy z początków XIX wieku. Poświęcił on 100 stron swojego dzieła *Atlas Pittoresco* („Atlas ilustrowany”) azteckiemu kamieniowi kalendarzowemu i zdaniem Petera Tompkinsa, autora książki *Mysteries of Mexican Pyramids* („Tajemnice meksykańskich piramid”), „doszedł do wniosku, że ludy obu kontynentów mogły opracować swoje idee astronomiczne na podstawie jednego źródła. Odnalazł on dowody wspólnego pochodzenia kultur obu kontynentów, w tym systemów słonecznego i księżycowego zodiaku z wieloma podobnymi zwierzętami, a nawet zbliżonym brzmieniem niektórych nazw astronomicznych”. Aztecki gwiazdozbiór Colotl Ixayac, czyli Skorpion, to ta sama konstelacja, którą znano jako Scorpio w europejskim Starym Świecie.

Jest jeszcze trzecia kwestia, nieomawiana nigdzie indziej, w każdym razie według autora tego artykułu. Aztecki kamień kalendarzowy wydaje się zaledwie artystyczną kopią, powiększonym wizerunkiem oryginalnego mechanizmu lub jakiegoś przenośnego przyrządu, prawdopodobnie średnicy nie większej niż 60-90 centymetrów, służącego do obliczania znaczących dat astronomicznych. Rzeźba stanowiła niewątpliwie wierną reprodukcję, choć znacznie większą niż oryginalny mechanizm. Wyraźnie ukazują pięć lub sześć dysków wewnątrz płytkiej obudowy, nałożonych jedna na drugą jak stos talerzy. Aby uzyskać pożądane współrzędne, poszczególne tarcze obracano albo zgodnie z ruchem wskazówek zegara, albo przeciwnie do niego, zrównując je z określonymi punktami wokół kalendarza. Za tym, że istniał taki właśnie instrument, przemawiają karby i zęby kół zębatych na jego zewnętrznych kręgach. Z pewnością, kiedy uwzględni się wszystkie jego części składowe, robi on wrażenie ruchomego mechanizmu. Być może istniał więcej niż jeden taki mechanizm, zaś kamień kalendarzowy z Tenochtitlán miał za zadanie upamiętnić

astronomiczne „kalkulatory”, którymi dysponowali wszyscy wysocy kapłani. W każdym razie przyrząd taki nie został jeszcze odnaleziony, nie można więc jednoznacznie potwierdzić, że monumentalna rzeźba ze starożytnego Meksyku była artystyczną kopią pradawnego liczydła, choć wyraźnie sugeruje to sam monolit.

Bardziej czytelna jest symbolika azteckiego kamienia kalendarzowego, jeśli odczytuje się jego znaki od środka na zewnątrz. W centrum widnieje przerażający wizerunek boga Słońca Tonatiuha. Nad jego czołem znajduje się płomienisty kociołek lub trzecie oko, język ma wyciągnięty po krwawą ofiarę, ogień tryska mu z uszu i nozdrzy, a w szponach (w okręgach po obu stronach twarzy) ścisną ludzkie serca (bóg ten był symbolizowany przez orła). Nie jest osamotniony w swoim krwawym zajęciu. Quetzalcoatl i Tezcatlipocha, wspomniane już Święte Bliźnięta, również są przedstawieni z ludzkimi sercami zwisającymi z ich zaciśniętych zębów. To prawdziwa tajemnica, nie tylko kamienia kalendarzowego, ale też Azteków. Jak lud, który osiągnął wyżyny we wszystkich dziedzinach cywilizacji, mógł rozkoszować się najbardziej przerażającymi praktykami religijnymi? Kamień pokazuje tę straszliwą sprzeczność, ale jej nie wyjaśnia.





Tonatiuh należał do najbardziej popularnych bogów azteckiego panteonu, ponieważ uczynił możliwym ludzkie odkupienie, gdy w zaraniu istnienia świata rzucił się w ogień. Stale odradzając się, zabierał do nieba dusze osób zmarłych bohaterską śmiercią. Wszyscy pozostali trafiali do dziewięciu poziomów piekła, zanim przepadną na zawsze jak mgła. Do zgonów uznawanych za bohaterskie należała śmierć na polu bitwy mężczyzn oraz śmierć przy porodzie kobiet. Dobrowolne złożenie w ofierze swojego serca pod krzemienisty nóż, symbolizujący język żądny krwi boga, gwarantowało raj dla obojga płci. Tonatiuh skrywa pewien sekret, który odnosi się do prawdziwej tożsamości i pochodzenia zarówno jego, jak i całego kalendarza. Dziki wyraz oblicza boga jest wiernym przedstawieniem twarzy człowieka wykonującego klasyczne ćwiczenie, znane jako „Lew” w jodze, której nazwa w sanskrycie oznacza „związek” lub „jarzmo”. Joga to starożytny zespół ćwiczeń ciała i umysłu, wciąż stosowanych do osiągnięcia stanu wewnętrznej medytacji tak głębokiej, że adepci tej sztuki wierzą, że stają się jednością z uniwersalną duszą Istnienia.

W jodze ćwiczenie „Lew” wymaga wyciągnięcia języka aż do granic możliwości, napięcia wszystkich mięśni twarzy, szerokiego rozwarcia oczu i rozciągnięcia palców na podobieństwo lwich pazurów. Podobna postać widnieje pośrodku azteckiego kamienia kalendarzowego. To szczególne ćwiczenie reprezentuje wytchnienie lub zakończenie okresu niepokoju, tak jak *4-Olin* wyznacza kres przepełnionej napięciem obecnej ery – Piątego Słońca. Jogiczny Lew i aztecka twarz na kamiennym kalendarzu są identyczne zarówno pod względem fizycznym, jak i symbolicznym. Pochodzenie jogi ginie w zamierzchłej prehistorii, sięga ona czasów cywilizacji Doliny Indusu z początków IV tysiąclecia p.n.e. Joga była i wciąż jest w Azji dominującą praktyką duchową,

identyfikowaną głównie ze starożytnymi Indiami oraz w szczególności z Buddą.

Wcześniejsze numery *Ancient American* zawierały kilka artykułów autorstwa różnych badaczy, którzy kompetentnie dowiedli obecności Hindusów i innych przybyszów z Azji na obszarze obu Ameryk w czasach prehistorycznych. Ich wpływ na tubylczą społeczność był ogromny i niezaprzeczalny, najwyraźniej sięgał także podstawowego znaczenia azteckiej koncepcji rytualnego czasu. Kalendarz jest nośnikiem ważnych kulturowych treści, a także ma subtelne, nierozpoznawalne ezoteryczne znaczenie, dlatego jest w równym stopniu pomnikiem sztuki azteckiej, jak i świadectwem dokonania przybyszów z Azji. Prawdopodobnie byli oni starożytnymi Hindusami, którzy uczyli mitycznego kodu jogi wysokich kapłanów z Tenochtitlán.

Choć kamień kalendarzowy mógł pierwotnie pochodzić z zaginionego miasta Atlantydy-Aztlanu, dodatkowe występowanie tego istotnego wątku jogicznego z dalekiego Wschodu może mieć kluczowe znaczenie dla rozszyfrowania ukrytych przekazów zawartych w kamieniu kalendarzowym. Innymi słowy, jeśli jego obrazy postrzega się jako symbole jogi, to może on nagle ujawnić zdumiewające starożytne treści duchowe, które niegdyś zdominowały aztecką cywilizację i nadal są znane milionom ludzi na całym świecie. W otoczeniu Tonatiuha znajdują się cztery kręgi, które określają jego kalendarzowe imię *4-Olin* czy też „Cztery Trzęsienia Ziemi”. Uosabia on obecną epokę historycznego czasu, znaną jako Piąte Słońce, każde „słońce” reprezentuje bowiem oddzielny cykl.

Aztekowie wierzyli, że w przeszłości wydarzyły się cztery globalne katastrofy. Każdy kataklizm wyznaczał kres jednego okresu czy też „słońca” w dziejach ludzkości, a zarazem początek kolejnego. Te katastrofy, które poprzedzały *4-Olin*, czyli nasze czasy, są hieroglificznie przedstawione w czterech kartuszach po wszystkich stronach Tonatiuha. Ułożono je w odpowiedniej kolejności, począwszy od ostatniego, na dole po prawej stronie. Widniał tam wizerunek *4-Atl* („Cztery Wody”). Jest to przewrócone wiadro, z którego rozlewa się woda potopu w postaci bogini burz na już do połowy zatopionej piramidzie. Była to bogini Chalchiuhtlicue – „Nasza Pani w Turkusowej Spódnicy”. To sugestywne imię nasuwa skojarzenie ze wzburzoną, sztormową wodą. Bogini często była przedstawiana w sztuce sakralnej jako kobieta siedząca na tronie otoczonym wirami wodnymi i tonącymi ludźmi. Właśnie ten kataklizm położył kres poprzedniej erze cywilizacyjnej. Zapoczątkował też w Meksyku nową cywilizację – przybyli tu ci, którzy przetrwali, czyli przodkowie Azteków.

Obrazy te zadziwiająco przypominają zagładę Atlantydy, począwszy od oczywistego *4-Atl*. Wrażenie to pogłębia się, kiedy dowiadujemy się, że w dzień święta Chalchiuhtlicue kapłani oddawali jej cześć, zbierając trzcinę i uroczyście rozmieszczając ją wokół świątyni tej bogini, żeby podkreślić jej związek z Aztlan, wyspiarską ojczyzną antenatów Azteków. Obrzędowa nazwa Aztlan (dosłownie „Miejsce w wodzie”) brzmiała „Pole trzciny”, co jest metaforą „wielkiej mądrości” lub umiejętności czytania i pisania, ponieważ trzciny używano jako przyborów piśmiennych. Tak się składa, że na drugim krańcu świata starożytni Egipcjanie napisali w *Księdze umarłych*, przewodniku ułatwiającym przejście dusz do innego świata, że ich przodkowie pochodzili z wielkiej wyspy na Dalekim Zachodzie, nazywanej Sekhetaaru, czyli „Miejscem trzciny”. W Egipcie trzcinowy rylec miał identyczne symboliczne znaczenie – oznaczał naukę.

„Słońce”, które poprzedzało *4-Atl*, widnieje na dole po lewej stronie Tonatiuha. Znane jako *4-Quihuitl* („Cztery Ognie z Niebios”), przedstawia kolejne przewrócone wiadro, z którego tym razem spływają na piramidę płomienie. Wydaje się, że *4-Quihuitl* symbolizuje ogromny meteoryt, którego upadek zniszczył przedatlantydzką cywilizację. Na górze po lewej stronie *4-Ehecatl* („Cztery Wichry”) został ukazany jako orzeł dmuchający na piramidę, od której oddala się pośpiesznie ważka. Pierwsze i najwcześniejsze „słońce” znajduje się na górze po prawej stronie. Jest to *4-Ocelotl* („Cztery Jaguary”) symbolizujący zagładę, w której dawni ludzie i rasa gigantów zostali zniszczeni przez dzikie zwierzęta. Kartusz ten jest wyjątkowy, ponieważ jako jedyny nie zawiera obrazu piramidy. Można się domyślać, że *4-Ocelotl* nastąpił, zanim ludzie stworzyli cywilizację.

Następny pierścień otaczający centralną sekcję „słońc” lub er świata zawiera 20 symboli dni azteckiego miesiąca. Ich oryginalne nazwy, tłumaczenia oraz aspekty, począwszy od góry po prawej stronie, układają się w pełny krąg: *Xochitl* (Kwiat, Życie), *Tecpatl* (Krzemień, Gwałtowność);

oznaczał on również zero i, jak wspominaliśmy powyżej, straszliwy język Tonatiuha. Jak gdyby na podkreślenie azjatycko-amerykańskiego powiązania przedstawionego wcześniej, Hindusi i dawni mieszkańcy Mezoameryki byli jedynymi starożytnymi społecznościami, które w swoich obliczeniach posługiwały się pojęciem zera.

W dalszej kolejności w kręgu występują symbole dni: *Olin* (Trzęsienie Ziemi, Ograniczenia), *Cozcaguauhtli* (Sęp, Choroba), *Cuauhtli* (Orzeł, Czas), *Ocelotl* (Jaguar, Przemiana), *Acatl* (Trzcina, Pustka), *Quihuitl* (Ogień z Niebios, Sąd), *Ozornatli* (Małpa, Niższe Instynkty), *Itzcuintli* (Pies, Wierność), *Malinalli* (Trawa, Spokój), *AU* (Woda, Życie-Śmierć), *Tochtli* (Królik, Wrażliwość), *Mazatl* (Jeleń, Równowaga), *Miquiztli* (Czaszka, Śmierć), *Coatl* (Wąż, Zmiana), *Cuetzpallin* (Jaszczurka, Sny), *Calli* (Dom, Strażnik), *Ehecatl* (Wiatr, Podróż) oraz *Cipactli* (Aligator, Ziemia).

Każdy miesiąc ma własne święta, różniące się od siebie: od prośb kierowanych do boga deszczu Tlaloca w miesiącu *altcualcaco* („braku wody”) oraz wiosennych uroczystości miesiąca *tlaxochimaco* („narodzin kwiatów”) po wielkie wojskowe parady miesiąca *ochpaniz* („miesiąca motel”), obrzędy muzyczne miesiąca *atemoztl* („spłynięcia wody”), aż po kulminację pod postacią masowych ofiar dziesiątek tysięcy ludzi w trakcie miesiąca *Izcalli* Święta te znalazły się tutaj nie bez powodu. Bardzo wiele mówią o społeczności Azteków. Jak to ktoś ujął, „pokaż mi, jak ludzie świętują, a powiem ci, kim są”.

Z wyjątkiem Świętych Bliźniąt u dołu kamienia kalendarzowego pozostałe cztery kręgi nie przedstawiają motywów o mitycznej symbolice, lecz są całkowicie poświęcone matematycznym zapisom. Nawet najdrobniejsze detale – łącznie z pojedynczymi punktami czy ukośnikami – oznaczają wartości arytmetyczne. Na przykład kwadraty w zewnętrznym pierścieniu zawierają wizerunki agawy, której liście i łodyga sumują się do *Xiuhmolpili*, jednostki 365 dni; 10 punktów wokół każdej agawy reprezentuje dziesięciolecie. Na kamieniu znajduje się 20 takich kwadratów, oprócz dodatkowych dwóch, otoczonych z trzech stron 16 punktami oznaczającymi dodatkowe sześć lat. Mamy tu do czynienia z powtórzeniem wspomnianych wcześniej świętych cyfr 5 i 6. Pisze o nich również Platon w opisie Atlantydy w dialogu *Kritias*. Są one tam wymienione jako święte cyfry wykorzystywane przy tworzeniu obiektów i budowli sakralnych.

Każda spośród ośmiu strzałek lub wskazówek kamienia kalendarzowego była zamocowana na oddzielnym pierścieniu przyrządu, na podstawie którego opracowano model wielkiej, rzeźbionej tarczy. Gdy pierścień obracano w inną pozycję, jego strzałka wskazywała pożądane wyniki liczenia. Cztery większe wskazówki oraz umieszczone poniżej nich cztery mniejsze to odpowiednio cztery strony świata i cztery kierunki pośrednie pierwszego stopnia. Oznaczają one również osiem części, na które dzielił się aztecki dzień – od wschodu do zachodu słońca w ośmiu odcinkach, każdy trwający trzy godziny. Aztecki rok wyznaczały momenty przesilenia letniego i zimowego, równonocy wiosennej i jesiennej oraz dni zenitu – wydarzenia astronomiczne dokładnie wyliczane za pomocą kamienia kalendarzowego.

Umieszczona najbliżej środka strzałka, na górze pierścienia otaczającego Tonatiuha, wskazuje dzień, w którym Słońce znajduje się w najwyższym punkcie bezpośrednio nad miastem Meksykiem, co, uwzględniając pierwotne umiejscowienie monolitu na stopniach Wielkiej Piramidy w Tenochtitlán, wydaje się sensowne. Jednocześnie strzałka ma na krawędzi niewielkie wypustki, znane jako gnomony. Rzucają one cienie nad różne detale rzeźbionego oblicza, wskazując dni, w których następują punkty przesilenia, równonocy i zenitu. Rejestrowały one także roczny obrót okołobiegunowych skupisk gwiazd, a także pozorną wędrówkę Słońca każdego roku. Dzięki monolitowi możliwe były bardzo skomplikowane astronomiczne wyliczenia.

Prawdziwa nazwa kamienia kalendarzowego brzmiała *Cuauhtlixicalli* (dosłownie: Dom Orła, Orla Misa lub w najbardziej dosłownym tłumaczeniu: Naczynie Czasu). Nie był to kalendarz we współczesnym znaczeniu tego słowa. To raczej złożony, zaawansowany technicznie almanach wróżebny. Aztekowie bowiem tak naprawdę czcili nie Tonatiuha, ale większą moc, którą on symbolizował: czas, co podkreślają orzeł i Słońce, władcy nieba. Aztekom bóg czasu jawił się jako najwyższe bóstwo, ponieważ powołał wszystko do istnienia. Podobno to on zniszczył wszystko i znów wszystko odrodził w cyklu stworzenia nowych form, zniszczenia i odtworzenia.

Jak już wspomniano, Aztekowie wierzyli, że świat był w przeszłości niszczonej kolejno cztery

razy przez ogromne kataklizmy, które unicestwiły cywilizację i przyniosły całkowitą zagładę ludzkości. Po latach nieszczęść i trudów ci, którzy ocaleli, zawsze odbudowywali cywilizację, doprowadzając do rozkwitu wielkiej kultury. Jednak dobre czasy trwały tylko tak długo, jak długo ludzie pozostawali posłusznymi woli niebios. Gdy znów następował upadek moralny, bogowie zsyłali na nich kolejną masową zagładę, zaś garstka oszczędzonych musiała ponownie rozpoczynać powolne wspinanie się po stopniach cywilizacji.

Dlatego niezwykle ważne było, aby społeczeństwo rządziło się dokładnie według obserwowalnych praw natury, odzwierciedlanych w regularnym ruchu ciał niebieskich i kalendarzu niebios – objawianym każdego dnia 150.000 mieszkańcom Tenochtitlán za sprawą gigantycznej tarczy lśniącej na schodach Wielkiej Piramidy. Jak pisał Peter Tompkins, Zelia Nuttall postrzegала ten kamienny wytwór jako „kalendarz opracowany w celu kontrolowania działań wszystkich ludzkich istnień w państwie, harmonizowania życia społecznego w zgodzie z okresowymi ruchami ciał niebieskich”. Respekt Azteków przed cyklami czasu przenikał ich życie, gdyż wierzyli, że prawo ludzkie i prawo kosmiczne nie wpływają na siebie, lecz są jednym i tym samym.

Podobna sytuacja powstałaby, gdyby na przykład amerykański system prawny został zastąpiony zasadami rządzącymi astrologią, które byłyby wpajane ludności na mocy prawa federalnego. Los członka społeczeństwa wyznaczałby horoskop, zaś symboliczny dzień narodzin determinowałby całe życie, włącznie z pracą wykonywaną w wieku dorosłym, a nawet imieniem dla dziecka. Każdy dzień ma przypisane mu bóstwo, którego symbol stanowił stylizowany portret jego funkcji i charakteru.

Imię tubylczej kochanki Cortésa, La Malinche, to zniekształcona hiszpańska forma jej prawdziwego imienia, Ce Malinalli, czyli Trawa-1 – nazwy dnia z azteckiego kalendarza. Dla Azteków nawet najpopularniejsza narodowa rozrywka *Patolli* – gra planszowa – miała postać specjalnej wersji kalendarza w kształcie krzyża. Dzięki tej grze gracze oddawali się hazardowi, dając świadectwo swej wiary w bogów. Plansza składała się z 52 pól. Odzwierciedlały one 52-letni cykl Orlej Misy. Zawierano małżeństwa, odbywano podróże, odprawiano rytuały, wypowiedziano wojny, zawierano sojusze, wznoszono budowle, prowadzono interesy, przyzwalano na akty seksualne lub ich zakazywano – dosłownie każdą czynność lub działalność regulowało Naczynie Czasu.

Przyrząd ten udoskonalono w ciągu ponad 30 wieków stosowania; w procesie tym uczestniczyły najtęższe umysły co najmniej czterech mezoamerykańskich kultur: Olmeków, Majów, Zapoteków i Azteków. W ciągu tysiącleci pieczołowicie rejestrowanych obserwacji astronomicznych w kalendarzu *Cuauhtlixicalli* zapisano tak wysoko rozwiniętą wiedzę naukową, że nawet współcześni badacze wciąż odnajdują niespodzianki w konfrontacji ze skomplikowanym obiektem. Jako astronomiczny zegar z alarmem, mający ostrzegać ludzkość przez nadciągającą zagładę, wielki i straszliwy kalendarz działał bardzo dobrze. Przewidział władcy imperium Moctezumie katastrofalny powrót Pierzastego Węża w roku określanym jako Trzcina-1 lub w 1519 roku według kalendarza chrześcijańskiego – dokładnie wtedy, gdy Cortés po raz pierwszy postawił stopę w Meksyku.

Na samej górze kamiennej tarczy tkwi znak hieroglificzny w postaci czworoboku, w którym agawa jest otoczona z trzech stron przez 13 punktów – każdy symbolizuje 13 „niebios” stanowiących jedno „słońce”, czyli okres czasu. Hieroglif ten jest znany jako Trzcina-13 i oznacza koniec „świata” czy też wielkiej ery. W tym przypadku jest to 1479 rok – dokładnie 13 lat przed wylądowaniem Kolumba na atlantyckich wybrzeżach Meksyku – wyznaczający początek końca azteckiego świata.

Ta przepowiednia lub też przypadkowa zbieżność – w zależności od punktu widzenia – dotycząca zgubnego przybycia Hiszpanów rodzi pytanie, dlaczego właśnie wówczas wykonano kamień kalendarzowy. Jest to nadzwyczaj istotna kwestia; Aztekowie robili wszystko zawsze we właściwym czasie. Z pewnością tak przełomowe przedsięwzięcie, jak stworzenie gigantycznego, misternie rzeźbionego monolitycznego kręgu, nie zostało podjęte przypadkowo przez ludzi fanatycznie oddanych wypełnianiu precyzyjnie zaplanowanych procedur. Budowa wielkiego kamiennego kalendarza rozpoczęła się w 1479 roku, w tym samym, o którym mówi nieszczęsny hieroglif. W rzeczywistości Trzcina-13 nie tylko zajmuje górną pozycję na kamieniu; hieroglif ten

jest wskazywany z obu stron przez groty strzałek, zaś poniżej – przez najwyższy wskaźnik. Wszystkie elementy kalendarza spotykają się w tym szczególnym znaku.

Jest to wyróżniona i najważniejsza data w całym obiekcie. Przypuszczalnie został on wykonany właśnie wtedy, gdyż kapłani astrolodzy ustalili, że lata 1479-1492 jednocześnie zawrą w sobie rok jego stworzenia i rok upadku ich społeczności. Został skonstruowany głównie w celu zwiastowania zagłady w momencie, w którym miała się ona wydarzyć. Został ustawiony tak, aby górować nad mieszkańcami Tenochtitlán. Dla nich był to monstrualny zegar, odliczający ostatnie lata azteckiego imperium i przypominający im o konieczności przygotowania się na nieunikniony kres ich świata. Stąd wzięły się wszystkie graficzne aluzje wokół obrzydliwego oblicza Tonatiuha, personifikacji czasu w jego całkowicie destruktywnym aspekcie.

Dla nas najbardziej niepokojącą informacją kamienia kalendarzowego jest zapowiedź *4-Olin*, Piątego Słońca – piątej globalnej zagłady, która jeszcze się nie wydarzyła. Aztekowie wierzyli, że dopóki człowiek żyje w harmonii z przewidywalnymi rytmemi wszechświata, dopóty może odwlekać własną zgubę. Ale jeśli ponownie popadnie w grzech, jeśli będzie przedkładał chciwość i egoizm nad prawa natury, „Świat” zostanie zniszczony nieuchronnie i doszczętnie, tak jak to bywało wcześniej. Piąte Słońce, era, w której ostatnich latach teraz żyjemy, ma zakończyć się potężnym *4-Olin*, czyli Czterema Trzęsieniami Ziemi.

Nie musi to oznaczać, że świat zniszczy aktywność sejsmiczna. „Trzęsienie ziemi” to poetycka czy rytualna nazwa opisowa, oznaczająca, że następny kataklizm będzie buntem całej Ziemi przeciwko ludzkości. Innymi słowy – katastrofą ekologiczną. To, że Aztekowie lub ich przodkowie tak wiele stuleci temu przewidzieli globalną katastrofę w naszej wyniszczającej środowisko naturalne erze, w niesamowity sposób dodaje wiarygodności złowieszczemu kamieniowi kalendarzowemu. Jak wspomniano, powstał on na podstawie wcześniejszych systemów rachuby czasu. Ów aztecki kamień wydaje się kopią znacznie starszej wersji kalendarza Majów, który podawał, że obecna epoka, era Piątego Słońca, zakończy się w chwili zimowego przesilenia na początku XXI wieku. Nowoczesna symulacja komputerowa, znana jako *Voyager*, ujawnia, że rankiem 21 grudnia 2012 roku, kiedy Słońce znajdzie się 1 stopień nad horyzontem na równiku (74 stopni długości geograficznej zachodniej), słoneczna ekliptyka skrzyżuje się z ekliptyką galaktyki, zaś Słońce znajdzie się w samym środku, na „celowniku” między drogą słoneczną i drogą naszej galaktyki. Ekliptyka to linia, którą Słońce wykreśla w swojej pozornej wędrówce po niebie.

Zdumiewające jest, że astronomowie Majów przewidzieli to kosmiczne zdarzenie ponad 2000 lat temu z maksymalną dokładnością. Jednak to nic w porównaniu z rzeczywistym znaczeniem tej przepowiedni. Z naszej ziemskiej perspektywy Słońce znajduje się w ekliptycznym „celowniku” tylko raz na 26.000 lat. Astronomowie określają ten moment jako wielką precesję punktu równonocy. Ostatnie odkrycia astrofizyki zdają się potwierdzać, że ta wielka precesja jest zjawiskiem całkowicie subiektywnym i czysto teoretycznym – a zatem bez znaczenia – ponieważ obserwacje sięgające w przestrzeń kosmiczną poza 18.000 lat świetlnych tracą ważność. W tym przypadku wschód Słońca w czasie zimowego przesilenia 2012 roku przydarza się tylko raz w całej historii wszechświata! Jeszcze bardziej zdumiewające jest to, że współcześni naukowcy odkryli położenie galaktycznego centrum dopiero w 1963 roku. Jak więc mogli znać jego dokładne położenie starożytni Majowie? I dlaczego wybrali to unikatowe w skali kosmicznej wydarzenie za datę końca ich kalendarza?

Według azteckich kapłanów astronomów nasze Piąte Słońce, era, która rozpoczęła się 5106 lat temu, ma zakończyć się pomiędzy 21 grudnia i Wigilią Bożego Narodzenia 2012 roku. Może będzie to wigilia innego wydarzenia?



Dysk z Niebry – dowód obecności prekolumbijskich odkrywców

Sceptykom twierdzącym, że żeglarzom sprzed epoki Krzysztofa Kolumba brakowało przyrządów nawigacyjnych potrzebnych do odnalezienia drogi przez Ocean Atlantycki, zadano kłam, kiedy na przełomie XX i XXI wieku odkryto okaz starożytnej techniki nawigacji morskiej. Już 100 lat przed tym odkryciem natrafiono na podobne znalezisko, choć wtedy w pewnej greckiej sieci rybackiej u wybrzeża wyspy Antikythery na Morzu Egejskim znaleziono bardziej skomplikowany sprzęt. „Było to niczym znalezienie silnika odrzutowego w grobowcu Tutanchamona” – obwieścił pewien zdumiony archeolog 60 lat później, kiedy w końcu zrozumiano charakter tego przedmiotu. Te dwa zaawansowane technologicznie przyrządy stanowią materialny dowód, że starożytni ludzie naprawdę dysponowali środkami naukowymi umożliwiającymi przemierzanie oceanów. Istnienie tych przyrządów wskazuje, że były używane w zamierzczłej przeszłości, jak to przedstawiono w tekście w *Ancient American* z lutego 2004 roku.



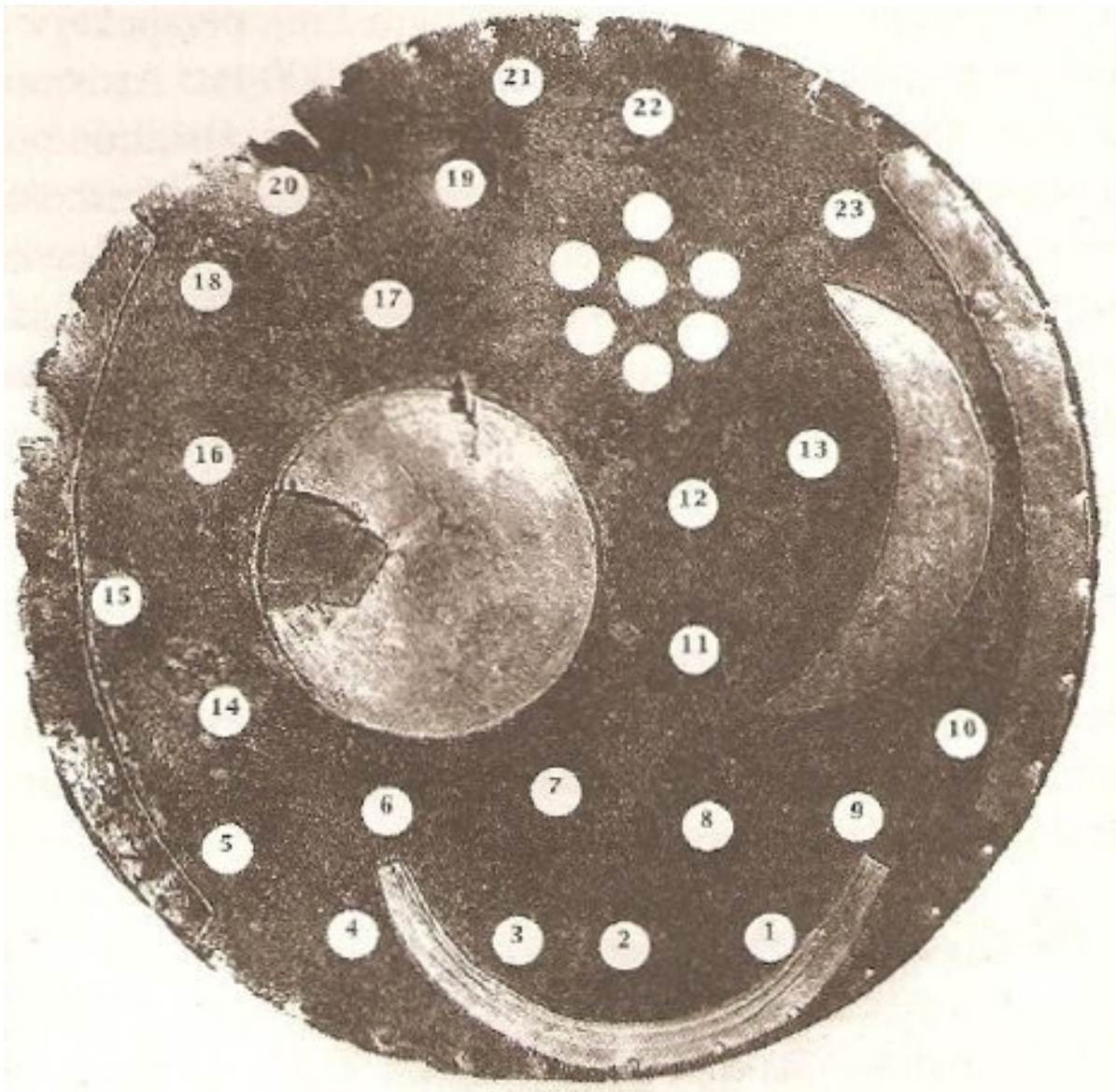
Dysk z Niebry był uznawany za wytwór wysokiej techniki w świecie starożytnym.

R.M. de Jonge i J.S. Wakefield

Niemiecki dysk z epoki brązu: przrząd zza Atlantyku?

W 1999 roku z prehistorycznego grobu na obszarze Saksonii-Anhalt w górach Harzu w Niemczech zrabowano pewien brązowy dysk. Trzy lata później odzyskano ten interesujący obiekt i od tej pory rzuca on nowe światło na powiązania między Starym i Nowym Światem w odległej przeszłości.

Osobliwa metalowa tarcza o średnicy 32 centymetrów i ciężarze 2 kilogramów nie przypomina niczego, co znaleziono wcześniej w Europie. Częściowo pokryta jest warstwą pozłoty, choć w niektórych miejscach brakuje płatków złota. Grób mający 3000 lat, z którego wydobyto obiekt, jest zlokalizowany w obrębie systemu murów o kolistym kształcie na wysokości 200-300 metrów na zboczu góry Mittelberg w miejscowości Niebra, w pobliżu dopływu rzeki Weser, 250 kilometrów od wybrzeży Morza Północnego. Dysk z brązu zawiera stosunkowo dużo arsenu, zaś złoto jest zanieczyszczone innymi substancjami. Jednak te zanieczyszczenia oraz silna korozja powierzchni wraz z całym kontekstem stratygraficznym grobu, w którym go odnaleziono, pozwalają datować przedmiot na około 1600 lat p.n.e.



Na frontowej stronie dysku z Niebry, jak nazwano ten obiekt, widnieje duży wizerunek Słońca, z uszkodzeniami pozłoty, a także przedstawienie ćwiartki Księżyca. Po obu stronach dawniej znajdowały się paski pozłoty, której obecnie brakuje po jednej stronie. Astronomiczne obrazy mogły oznaczać wschodni i zachodni horyzont, zazwyczaj wyobrażany przez starożytnych twórców piktogramów jako łąd lub góry. Rysunek u dołu w kształcie spodka lub misy (4) być może symbolizuje Mleczną Drogę, zaś grupa siedmiu gwiazd (22) to najprawdopodobniej Plejady. Ponadto na dysku ukazano 23 inne gwiazdy, co w sumie daje 30 gwiazdnych symboli. Gwiazdy na lewo od ćwiartki Księżyca przypominają planety: Jowisza (13) oraz Wenus (12). Co ciekawe, względne położenie jednego obiektu (11) na dysku odpowiada supernowej (eksplozji gwiazdy) udokumentowanej przez chińskich astronomów około 1600 roku p.n.e., właśnie wtedy, kiedy wykonano dysk z Niebry.

Powierzchnia tarczy przywodzi na myśl również ludzką twarz lub głowę. Coś, co przypomina „oko”, znajduje się obok ćwiartki Księżyca – półprzymkniętego oka. Poniżej widnieją uśmiechnięte usta. Po bokach być może widać włosy albo uszy. Ówczesne petroglify niekiedy przedstawiały słoneczne oblicza, symbolizujące solarne bóstwa, zaś w egipskiej sztuce świątynnej bóg Słońca, Re, zazwyczaj był ukazywany, gdy unosił się znad wschodniego horyzontu z Księżycem na zachodzie, w kierunku łądu. Codziennie Re przemierzał nieboskłon od jednego krańca horyzontu po drugi i każdego wieczoru żeglował swoim niebiańskim okrętem na drugą stronę świata. Jego pojazd niekiedy ukazywano jako wywróconą do góry dnem łódź na niebie lub łódź-Słońce we właściwej pozycji na wodzie. Możliwe jest, że dysk z Niebry także nie wyraża konwencjonalnego pojmowania „góry” i „dołu”. Może został zaprojektowany jako przyrząd trójwymiarowy, uwzględniający cztery strony świata oraz wymiar pionowy – kierunek ku niebu.

Gwiazdozbiór przypominający plejady i 23 inne gwiazdy odpowiadają pozycji geograficznej zwrotnika Raka, leżącego na 23 stopniu szerokości geograficznej północnej. Ta szerokość geograficzna była uznawana za świętość przez wyznawców religii solarnych na całym świecie, ponieważ w południe 24 czerwca (w chrześcijaństwie dzień Świętego Jana) Słońce znajduje się dokładnie nad tą szerokością geograficzną, przesunąwszy się z południa. Po utrzymywaniu się nad tą szerokością geograficzną przez kilka dni Słońce rozpoczyna powolną wędrówkę z powrotem na południe. Większość europejskich megalitów uwzględnia tę świętą pozycję, co potwierdza wniosek archeoastronomów, że paleolityczne budowle, takie jak Stonehenge w Brytanii, zostały celowo zorientowane pod względem ważnych zjawisk astronomicznych. Pojedyncze gwiazdy dysku z Niebry również odpowiadają pozycji geograficznej południowego egipskiego imperium na 23 stopniu szerokości geograficznej północnej – geograficznemu centrum kultu religijnego Re.

Trzydzieści gwiazd dysku odpowiada lokalizacji geograficznej Deltę Nilu – centrum północnego egipskiego królestwa, leżącego na 30 stopniu szerokości geograficznej północnej. Skupisko siedmiu gwiazd może również wskazywać na położenie od 23 stopnia do 30 stopnia szerokości geograficznej północnej. Znajdujący się w hierarchii bogów bezpośrednio poniżej Re bóg zmartwychwstania Ausar (znany w Persji, Grecji i na całym świecie jako Ozyrys) oraz bóg nieba Horus (oryginalnie Hr) odpowiadają parze „oczu” na „obliczu” dysku z Niebry, który w rezultacie symbolizuje kulistą Ziemię, a zwłaszcza północny Ocean Atlantycki. „Usta” na tym obliczu to słoneczna łódź Re, żeglująca ku zachodowi. Szczegóły dotyczące przeprawy oceanicznej mogą być zaszyfrowane w rozmieszczeniu gwiazd na tarczy.

Załóżmy, że „łódź” znajduje się w normalnej pozycji na oceanie, Księżyc unosi się w pobliżu wschodniego horyzontu, a Słońce wędruje ku zachodowi. Zazwyczaj na megalitycznych petroglifach centrum wschodniego horyzontu stanowi Cieśnina Gibraltarska na obrzeżach Starego Świata. Zwrotnik Raka opuszcza kontynent afrykański na 23 stopniu szerokości geograficznej północnej, co jest synonimem 23 gwiazd. Jest to historyczne miejsce, w którym starożytni chcieli przemierzyć ocean na cześć boga Słońca Re.

W pobliżu wizerunku misy czy też „łodzi” na dysku z Niebry znajdują się trzy gwiazdy (1,2, 3), które odpowiadają trzem archipelagom Wysp Zielonego Przylądka nieopodal zachodnich wybrzeży Afryki. Poniżej środka Słońca i Księżyca znajduje się 15 gwiazd. Położenie najbardziej południowych Wysp Zielonego Przylądka to 15 stopień szerokości geograficznej północnej, zaś kierunek żeglugi stamtąd to 15 stopień w kierunku zachodnio-południowo-zachodnim do Ameryki

Południowej, jak również przylądek Graciosa-Dios, na wschód od Przylądka Honduras – również 15 stopień szerokości geograficznej północnej. Piętnasta gwiazda dotyka zachodniego horyzontu tam, gdzie ma początek cywilizacja Ameryki Środkowej. Trzydzieści gwiazd dysku przedstawia prawidłową długość południowej przeprawy oceanicznej, czyli 30 dl (ang. *distance line*) lub 30 stopni – odległość równą 3,333 kilometra.

Po lewej stronie Słońca znajduje się jeszcze jedna gwiazda (15), której pozycja ma związek z ośrodkami obrzędowymi Majów wzdłuż północnego wybrzeża Hondurasu, Belize i Gwatemali na 16 stopniu szerokości geograficznej północnej. Ponad nimi są kolejne dwie gwiazdy (17, 18) w sercu cywilizacji Olmeków, nieopodal południowego zlewiska zatoki Campeche na 18 stopniu szerokości geograficznej północnej. Ponad nimi widnieją jeszcze dwie gwiazdy (19, 20), które wyznaczają północną granicę świata Olmeków na 20 stopniu szerokości geograficznej północnej. Środek zachodniego horyzontu (niegdyś pokryty złotem na dysku z Niebry) odnosi się do południowego wybrzeża zatoki Campeche i jest wyraźnie skierowany w kierunku zachodnio-południowo-zachodnim do środka wschodniego horyzontu. Odpowiada to położeniu geograficznemu Gibraltaru na 36 stopniu szerokości geograficznej północnej; potwierdzałoby to odkrycie Ameryki przed datą powstania dysku z Niebry, czyli 1600 rokiem p.n.e.

U góry dysku widnieje 21. gwiazda (21) odnosząca się do północno-wschodniego półwyspu Jukatan na 21 stopniu szerokości geograficznej północnej. Dwudziesta druga gwiazda wyznacza położenie południowo-zachodniej Kuby na 22 stopniu szerokości geograficznej północnej. Jeśli grupa siedmiu gwiazd rzeczywiście symbolizuje konstelację Plejad, ich pojawienie się na niebie mogło oznaczać koniec pory żeglarskiej późną jesienią. Ponadto łączą się one również z sąsiednimi gwiazdami (22, 23), tworząc archipelag Azorów. Księżyc na tarczy odpowiada zatem Maderze. Jeśli uwzględnimy dwie kolejne gwiazdy za pokrytym złotem wschodnim horyzontem (15, 16), ich łączna liczba wyniesie 32, co stanowi zaszyfrowaną informację o położeniu geograficznym Bermudów na 32 stopniu szerokości geograficznej północnej.

Po odczytaniu zakodowanych wartości położenia geograficznego dysku z Niebry okazuje się starożytnym astrolabium – przyrządem nawigacyjnym, który umożliwiał żeglarzom z epoki brązu transatlantyckie wyprawy do Ameryki i z powrotem na tysiące lat przed ponownym wynalezieniem tego instrumentu pod koniec średniowiecza. Odkrycie dowodzi, że pradawni żeglarze znali technikę morską tak dobrze, że mogli pomyślnie odbywać podróże po oceanach między Starym i Nowym Światem na wiele stuleci przez Kolumbem.

Rozdział 3

Zaginione rasy

Tajemnicze podwodne miasto na Kubie

Bestsellerowe książki brytyjskiego pisarza Andrew Collinsa przyniosły mu światowe uznanie za śmiałe badania pradawnej przeszłości. Do najlepiej sprzedawanych tytułów, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie, należały: *Gods of Eden* („Bogowie Edenu”), *From the Ashes of Angles* („Z prochów aniołów”) i *Tutankhamun, the Exodus Conspiracy* („Tutanchamon. Spisek Exodusu”).

Jednak to *Gateway to Atlantis* („Brama Atlantydy”) okazała się szczególnie prorocza. Postawiona w niej oryginalna teza, że na Kubie istniała zaginiona cywilizacja, została poparta ważnym materialnym dowodem cztery lata po opublikowaniu książki, kiedy w pobliżu wybrzeży Hawany dostrzeżono na sonarze obrazy zatopionego miasta.

W lipcu 2001 roku Collins nie tylko przedstawił czytelnikom *Ancient American* swoją teorię kubańskiej Atlantydy, ale także wzbogacił ją najbardziej wiarygodnymi i pasjonującymi opisami odkrytej tam podwodnej zagadki.

Andrew Collins

Czy Atlantyda była na Kubie?

Kanadyjski zespół naukowy zlokalizował „zaginione miasto”, które mogło być osławioną stolicą Atlantydy. W komunikacie prasowym z 14 maja 2001 roku z Hawany placówka agencji Reuters w Londynie poinformowała świat, że pochodząca z Rosji Paulina Zelitsky, specjalistka w dziedzinie inżynierii oceanicznej i prezes firmy Advanced Digital Communications (ADC) z siedzibą w Kanadzie, wykryła „zatopione miasto” w głębinach wodnych niedaleko zachodniego wybrzeża Kuby, największej wyspy Karaibów.

Satelitarny system obrazowania dna morskiego, echosondy i precyzyjny sonar zanurzeniowy podwójnej częstotliwości wykryły obecność czegoś, co ma kształty „przypominające piramidy, drogi, budynki”. Ich regularność zdaje się potwierdzać hipotezę, iż stanowią ślady „założenia urbanistycznego” o „symetrycznej architekturze”. Reuters donosił, że podwodne miasto leży na rozległym płaskowyżu około 700 metrów pod wodą.

Ponadto w opinii Pauliny Zelitsky kompleks ów pochodzi z „okresu przedklasycznego” dziejów Ameryki Środkowej i był zaludniony przez „wysoko rozwiniętą cywilizację podobną do wczesnej kultury Teotihuacán z półwyspu Jukatan”. W rozmowie z wysłannikiem agencji Reuters, przeprowadzonej w Tarara, na wschód od Hawany, stwierdziła: „To zdumiewające. Na obrazach sonarowych wysokiej rozdzielczości widzimy bezkresne, pofalowane połacie białego piasku, a pośrodku tego pięknego, nieskazitelnego piasku tkwią wyraźne, wykonane ludzką ręką wielkie

obiekty architektoniczne. Przypomina to przelot nad jakimś ośrodkiem miejskim i oglądanie autostrad, tuneli i budynków. Nie wiemy, co to jest, i na razie jeszcze nie nagraliśmy tego na wideotaśmę, ale nie wierzymy, by tego rodzaju architekturę była w stanie stworzyć przyroda”, chyba że „były to jakiś cud”, dodała badaczka.

Paulina Zelitsky jest ciekawa, co spoczywa pod lśnącymi, błękitnymi wodami Cieśniny Jukatańskiej, i przyznaje, że „jest podekscytowana, ale nie chce na ten temat spekulować aż do chwili rozpoczęcia wspólnych badań planowanych na początek lata przez Kubańską Akademię Nauk i National Geographic Society”.

Odkryć dokonano zeszłego lata podczas podwodnego sondowania przeprowadzonego przez Paulinę Zelitsky i wyspecjalizowany zespół naukowy na pokładzie kubańskiego statku badawczego *Ulises*. Obrazy sonarowe ujawniły „rozległy zespół struktur” na obszarze kilku mil uwidoczniony pod postacią ciemniejszych i jaśniejszych cieni. Znajduje się on w pobliżu krawędzi podwodnego tworów geologicznego znanego jako Szelf Kubański, który opada ostro, w postaci serii półek, na głębokość kilku tysięcy metrów. Obszar anomalii mieści się na jednej z tych skalnych półek. Skupisko prostoliniowych obiektów podobno znajduje się w sąsiedztwie „wygasłego wulkanu, uskoku geologicznych i koryta rzeki”. Tylko ten ostatni fakt świadczy, że szelf, który podnosi się do wysokości około 40 metrów poniżej lustra wody, dawniej znajdował się nad wodą.

Paul Weinzwieg, mąż Pauliny i dyrektor ADC, zauważył: „W obliczu wulkanów bardzo często spotyka się ludzkie osiedla. Nie wiem, jak dokładnie było w tym przypadku, ale osiedle znajduje się w sąsiedztwie wulkanu, linii uskoku geologicznego i rzeki, które są położone blisko siebie”. W odniesieniu do tego, czy obrazy sonarowe rzeczywiście pokazują piramidy, drogi i budynki, Paul oświadczył: „Przyglądamy się tym obrazom od kilku miesięcy. Mamy na ścianie zdjęcie przedstawiające piramidy na Jukatanie i można powiedzieć, że podwodne obiekty bardzo przypominają te struktury. Naprawdę wygląda to jak obszar miejski”. O jasnych i ciemnych obszarach na obrazach sonarowych, które wyglądają jak trójwymiarowe obiekty, Paul powiedział: „Występuje tu wyraźna symetria, widoczna w kształcie i pewnych elementach budowli. Kilku amerykańskich geologów oglądało te obrazy i stwierdziło, że ciemniejsze zacienienia mogą wskazywać na metalowe dachy”.

W celu bliższego zbadania tego miejsca ADC zamierza wysłać pod wodę zdalnie sterowanego robota z kamerami wideo oraz jednoosobowy okręt podwodny. Czytelnicy *Ancient American* mogą spodziewać się nowszych informacji o tych odkryciach w najbliższych miesiącach.

Co ciekawe, ADC nigdy nie miała zamiaru szukać zatopionych miast. Naukowa operacja, mająca na celu sondowanie głębin w pobliżu kubańskiego wybrzeża, stanowi część wspólnego przedsięwzięcia tej kanadyjskiej firmy i kubańskiego rządu, reprezentowanego przez firmę Geomar. Jednym z najważniejszych zadań było odkrycie wartego miliard dolarów kruszcu w sztabach i zaginionego skarbu z zatopionych okrętów z czasów hiszpańskiej konkwisty. Jak to ujął Paul, „Kuba ma najbogatsze cmentarzysko galeonów na świecie”.

Szacuje się, że w ciągu ostatnich pięciu wieków setki, jeśli nie tysiące statków musiały zginąć na kubańskich wodach z powodu błędów w nawigacji, piractwa na otwartym morzu, a także gwałtownych karaibskich sztormów, które nawiedzają ten rejon z przeraźliwą regularnością. Visa Gold, firma z Toronto, korzystająca z tradycyjnego sprzętu do badań podwodnych, która prowadzi operacje z *Marina Hemingway* na Hawanie, twierdzi, że wydobyła już około 7000 obiektów z zatopionych statków, w tym biżuterię, brylanty i pistolety. Uważa się, że są to przedmioty z brygantyny *Palemon*, która zaginęła nieopodal północnego wybrzeża Kuby w 1839 roku. Następnym celem firmy Visa Gold jest *Atocha San Jose*, kolejna hiszpańska jednostka, która zatonała w Zatoce Hawanskiej w styczniu 1642 roku w trakcie ucieczki przed sztormami na morzu.

Zainteresowanie wydobywaniem skarbów z przybrzeżnych wód kubańskich ożyło po tym, jak rząd Fidela Castro ogłosił, iż nie dysponuje oceanograficzną techniką pozwalającą na prowadzenie operacji o takim charakterze. Kubańscy nurkowie, uznawani za jednych z najlepszych na świecie, od dziesięcioleci zajmowali się wyławianiem skarbów przy brzegach Kuby. Mimo to krajowi temu brakuje doświadczenia i technologii niezbędnych do badań głębinowych. Właśnie dlatego rząd kubański zaprosił ADC do podjęcia tego wyzwania. Należący do firmy 80-metrowy statek do badań

oceanograficznych jest wyposażony w najnowocześniejszy sprzęt i ma na pokładzie wyspecjalizowany zespół naukowy, dzięki czemu może sondować dno morskie do głębokości kilku tysięcy metrów. To właśnie wyspecjalizowani analitycy odczytów sonaru zauważyli podwodne ślady w Cieśninie Jukatańskiej.

Eddy Fernandez, wiceprezes Geomar, powiedział: „Te projekty ogromnie pomagają nam ratować obiekty historyczne, ważne dla naszego narodowego dziedzictwa. Jak wiadomo, mamy problemy finansowe. Jest to niezwykle kosztowna działalność. Oni dostarczają nam technologię i środki finansowe. My wnosimy specjalistyczną wiedzę oceaniczną i historyczną”.

Konsekwencje odkryć ADC u wybrzeży Kuby są dalekosiężne i naprawdę niezwykle. Internetowy sondaż przeprowadzony przez MSNBC, lokalny serwis telewizji NBC, wykazał, że spośród 1827 osób, które oddały głos do 26 maja 2001 roku, nie mniej niż 73 procent wierzyło, że znalezisko „może być doniosłe; następny przystanek – Atlantyda”. Dyrekcja NBC rozważa możliwość, że zatopione miasto może mieć jakiś związek z relacją Platona o tym zaginionym mieście. Dla mnie są to dobre wieści, ponieważ w książce *Gateway to Atlantis*, opublikowanej w 2000 roku, zawarłem wniosek, że najbardziej prawdopodobną lokalizacją zatopionego imperium, o którym wspominał Platon, jest Kuba – wtedy po raz pierwszy wyspa rządzona przez Fidela Castro została ukazana w takim świetle.

Podkreślałem, że świadectwa zamieszczone w dziełach Platona – dialogach *Timaios* i *Kritias* – dają do zrozumienia, że jego opowieść o Atlantydzie powstała na podstawie przekazów i plotek, docierających do starożytnego świata za pośrednictwem Fenicjan i Kartagińczyków, którzy przemierzali Atlantycką przed czasami Platona. Ponadto Platoński opis wielkiej równiny Atlantydy, która rzekomo miała rozmiar 3000 na 2000 stadiów (552 na 368 kilometrów), doskonale odpowiada wielkiej zachodniej równinie Kuby.

Przed gwałtownym podniesieniem się poziomu morza, które nastąpiło u kresu ostatniej epoki lodowcowej, wyspa rozciągała się w kierunku południowym przez zatokę Batabanó aż po tajemniczą Wyspę Młodości i pierwotnie miała powierzchnię 540 na 160 kilometrów. Choć w książce (opublikowanej już w Stanach Zjednoczonych, Włoszech, Holandii, Niemczech i Portugalii) spekulowałem, że miasto Atlantydy może czekać na odkrycie pod płytkimi wodami zatoki Batabanó, informacja o tym, że jakieś zatopione miasto zostało już odkryte w Cieśninie Jukatańskiej, jest naprawdę ekscytująca. Nawiasem mówiąc, ADC zamierza zbadać zatokę Batabanó w ciągu najbliższego roku, ciekawe więc, co tam znajdą.

We wrześniu 1972 roku amerykański badacz oceaniczny J. Manson Valentine wraz ze współpracownikiem Jimem Richardsonem przelatywał nad Bahamami awionetką. Dostrzegł jakieś skupisko prostoliniowych i krzywoliniowych obiektów w płytkich wodach niedaleko południowo-zachodniego skraju dawnego bahamskiego lądu stałego, obecnie u brzegów Wielkiej Bahamy. Valentine określił to skupisko potencjalnych archeologicznych obiektów jako „żyłę złota” odkryć archeologicznych. Rzeczywiście, tkwią one nad wodami Old Bahama Channel niczym jakiś starożytny port obsługujący kubański ląd.

Już w latach 50. XX wieku piloci awionetek donosili o obserwacjach czegoś, co określali jako podwodną „architekturę kamienną”, a co znajdowało się „daleko w strofie wód kubańskich”. Możliwe że podobne obserwacje rzekomego „zatopionego kompleksu budowli pokrywającego obszar ponad 4 hektarów” na północ od Kuby przekonały kubański rząd, że prawdziwe miasto czeka na odkrycie w ściśle chronionych wodach. Istnieją na przykład niepotwierdzone doniesienia, że ten „kompleks budynków” został zbadany w latach 60. przez radzieckie okręty podwodne stacjonujące na Kubie. Nie dziwi zatem, że najnowsze badania zatopionego miasta w wodach kubańskich prowadzi kanadyjska specjalistka pochodzenia rosyjskiego.

W gronie osób, które zaobserwowały pozostałości zaginionego miasta w kubańskich wodach, znajdował się Leicester Hemingway, brat pisarza Ernesta Hemingwaya.

Podczas lotu do USA Leicester spostrzegł za północnym wybrzeżem Kuby „obszar kamiennych ruin o powierzchni kilku hektarów, wyraźnie białych, jakby były z marmuru”. Dokładne położenie tych podwodnych obiektów jest nieznane. Czas pokaże, czy okrycia dokonane przez Paulinę Zelitsky i ADC stanowią solidny dowód na istnienie Atlantydy opisanej przez Platona. Jeśli tak, to

ustalą raz na zawsze położenie geograficzne tej zaginionej wyspy na obszarze Bahamów i Karaibów. Lokalizacja zaginionego miasta na wielkim płaskowyżu leżącym na głębokości 600-700 metrów pod wodą stwarza jednak nowe problemy w dyskusji o Atlantydzie.

Platon napisał, że imperium Atlantydy zostało zniszczone przez „straszne trzęsienia ziemi i potopy” w ciągu „jednego dnia okropnego i jednej okropnej nocy” po 8570 roku p.n.e. według relacji w *Timaiosie* i około 9421 roku p.n.e. według relacji w *Kritiasie*. Te ramy czasowe zbiegają się z końcem ostatniej epoki lodowcowej. Wtedy to zgodnie z naszą wiedzą poziom morza gwałtownie zaczął się podnosić, gdy pola lodowe pokrywające od dziesiątków tysięcy lat rozległe tereny Ameryki Północnej i Europy zaczęły zanikać.

W książce *Gateway to Atlantis* sugerowałem, że zagładę Atlantydy mogło spowodować uderzenie komety, które około 8500 lat p.n.e. (± 500 lat) zniszczyło wschodnie, atlantyckie, wybrzeże Ameryki, powodując powstanie pół miliona eliptycznych kraterów, znanych dziś jako Carolina Bays. Fragmenty komety opadające do zachodniego akwenu Atlantyku na północ od Bahamów wytworzyłyby fale tsunami przypuszczalnie wysokości setek metrów. Fale takie zalałyby, przynajmniej tymczasowo, znaczne obszary Bahamów i Karaibów, oraz wiele nisko położonych regionów na wschodzie obecnych Stanów Zjednoczonych. Mity i legendy opowiadane przez tubylczą ludność archipelagów Bahamów i Karaibów, kiedy Hiszpanie po raz pierwszy zjawili się w Nowym Świecie, mówiły o takim właśnie kataklizmie. Głosiły, że wody nagle wtargnęły na ląd i zatopiły wielki kontynent, rozrywając go na poszczególne wyspy, które znamy dzisiaj.

Choć fragmentacja dawnej masy kontynentalnej Bahamów i Karaibów w taki sposób nie mogła być spowodowana wyłącznie przez tsunami, stopniowy wzrost poziomu morza, który nastąpił po tej katastrofie, doprowadziłyby do zatopienia wszystkich nisko położonych regionów, tworząc znane dzisiaj archipelagi. Jednak w ciągu tysięcy lat, potrzebnych do całkowitego stopienia pół lodowych, poziom morza wzrósł zaledwie o 300 metrów, a według niektórych wyliczeń – najwyżej 400 metrów. Jeśli „miasto” rzeczywiście leży 600-700 metrów pod wodą, to musimy przedstawić geologiczny mechanizm tłumaczący jego zanurzenie na tak wielką głębokość po 9000 roku p.n.e. Albo to uczynimy, albo będziemy musieli określić geologiczny przedział czasowy, w którym płaskowyż z jego wulkanem, linią uskoku i rzeką znajdował się powyżej poziomu morza.

Oświadczenie Pauliny Zelitsky, że „miasto” mogło pochodzić z „okresu przedklasycznego” dziejów Mezoameryki i było zasiedlone przez „wysoko rozwiniętą cywilizację podobną do wczesnej kultury Teotihuacán z półwyspu Jukatan”, bardzo trudno odnieść do tego odkrycia. Kultura Teotihuacán, która rozkwitała w środkowym Meksyku od około 400 roku p.n.e. do 500 roku, pozostaje dla archeologów zagadką.

Pochodzenie tej kultury jest niejasne. Wiemy tylko, że legendy opowiadane niegdyś przez indiański lud Totonaków ze wschodniego Meksyku mówiły, że założyciele świętego miasta Teotihuacán z potężnymi piramidami Słońca i Księżycy przybyli na wybrzeże zatoki z wyspiarskiej ojczyzny leżącej za morzem. Tam miało znajdować się Chicomoztoc lub Siedem Jaskiń, gdzie u zarania czasu pierwsi ludzie mieli wyłonić się z ciemności.

Wiele wskazuje na to – choćby typowo karaibski wygląd muszel morskich wyrzeźbionych na ścianach Świątyni Quetzalcoatl w Teotihuacán – że ludność kultury Teotihuacán postrzegała ojczyznę swoich przodków jako związaną z Karaibami. Co więcej, w książce *Gateway to Atlantis* zidentyfikowałem zespół Siedmiu Jaskiń jako kompleks jaskiń Punta del Estó na kubańskiej Wyspie Młodości, spośród których jedną, Cueva 1, nazywa się Kaplicą Sykstyńską prehistorycznego świata. Wiele tysięcy lat temu nieznanymi artyści ozdobili jej ściany i sklepienie abstrakcyjnymi petroglifami o tematyce astronomicznej.

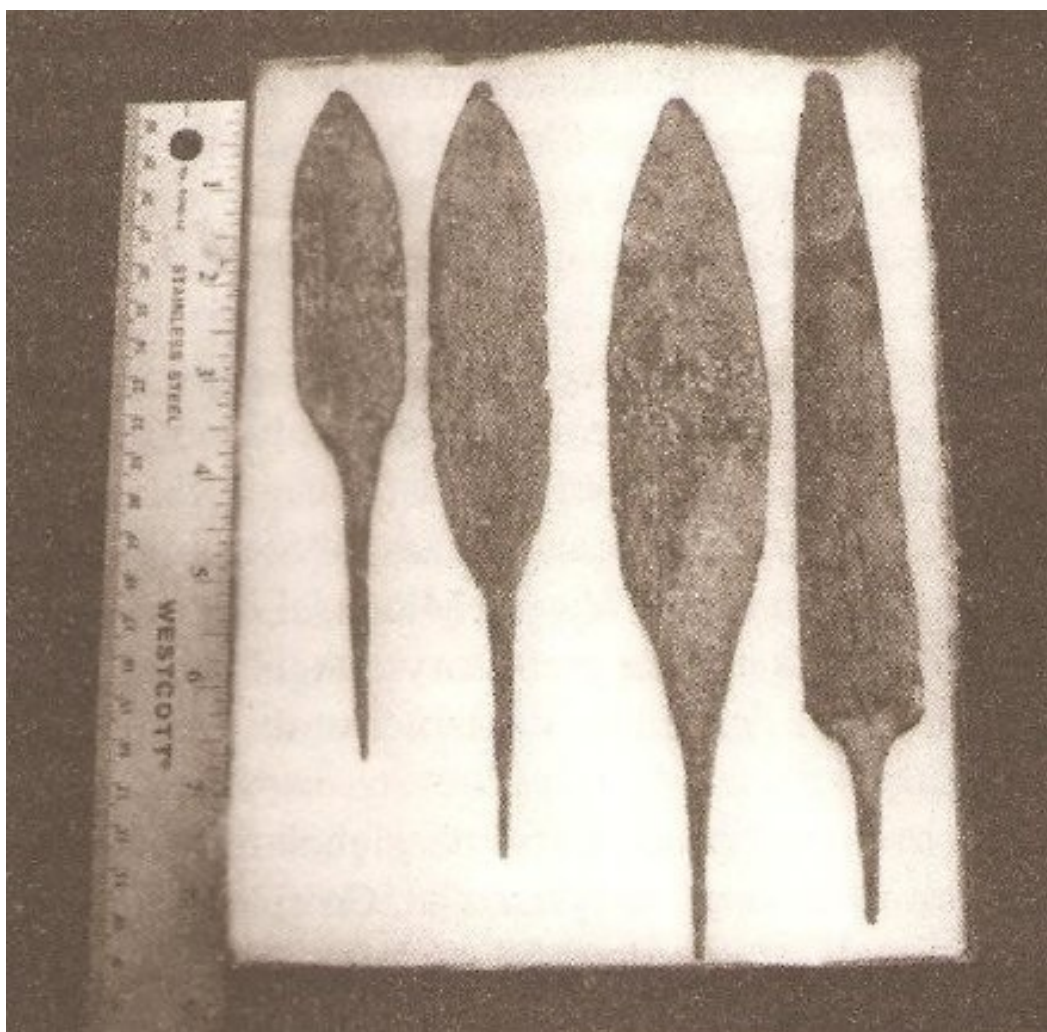
Zatopione miasto leżące u północnych wybrzeży Kuby na głębokości 600-700 metrów musiałyby poprzedzać kulturę Teotihuacán o tysiące lat. Co ciekawe, Paulina Zelitsky odwiedziła Cueva 1 w kompleksie Punta del Estó latem 2000 roku, na krótko przed dokonaniem sensacyjnego odkrycia podwodnego „miasta”. Miejsce to ma w sobie coś magicznego. Atakuje zmysły i pobudza do myślenia o początkach tubylczej ludności Kuby, a także ich wiedzy o kataklizmie, który zniszczył tę część świata wiele tysięcy lat temu.

Jeśli Paulina Zelitsky i jej koledzy oceanografowie mają słuszość, twierdząc, że „piramidy, drogi i budynki” tkwią pod wodą nieopodal zachodniego wybrzeża Kuby, staje się jasne, że trzeba będzie na nowo napisać prehistorię Karaibów i ustalić wpływ karaibskiej kultury na narodziny cywilizacji Mezoameryki. Poza tym możliwe jest, że wielowiekowa tajemnica Atlantydy, największa zagadka historyczna ludzkości, wkrótce zostanie rozwiązana w bardzo widowiskowy sposób.



Starożytne cmentarzysko

Jednym z najpilniej strzeżonych sekretów archeologicznych było wydobyte sposobem górniczym około 230.000.000 kilogramów miedzi w północnej części amerykańskiego regionu Wielkich Jezior ponad 3000 lat temu. Aby dowiedzieć się, kto mógł zdobyć się na tak gigantyczne przedsięwzięcie, wydawca *Ancient American* Wayne May odwiedził miejsce ostatniego spoczynku tych górników i przedstawił swój raport w październikowym numerze magazynu z 2000 roku.



Starannie wykonane miedziane groty oszczepów z terenu Upper Peninsula w Michigan są datowane na III tysiąclecie p.n.e. Okaz pierwszy z prawej ma wygląd bardzo zbliżony do europejskich grotów z epoki brązu.

Najstarszy cmentarz Ameryki: cmentarzysko górników miedzi

Latem 1952 roku 13-letni chłopiec z Oconto w Wisconsin bawił się na terenie opuszczonej żwirowni na zachodnich peryferiach miasta, gdy nagle natrafił na ludzkie kości. Przypadkowe odkrycie dokonane przez Donalda Baldwina doprowadziło do rozpoczęcia jednego z najbardziej znaczących archeologicznych przedsięwzięć badawczych w Stanach Zjednoczonych. Rozrosło się ono do tego stopnia, że wzięli w nim udział nie tylko naukowcy z Milwaukee Public Museum, ale też z University of Chicago, Natural History Museum z Chicago i Wisconsin Historical Society.

Prace wykopaliskowe były prowadzone wspólnie przez Oconto County Historical Society i Wisconsin Archaeological Survey. Znaleździ dokonane przez młodego Baldwina oraz późniejsze odkrycia w Oconto sprawiły, że obszar ten nabrał ogromnego znaczenia archeologicznego. Datowanie metodą ¹⁴C ujawniło tam ślady ludzkiego osadnictwa sprzed ponad 7500 lat. Szczątki co najmniej 45 osób i prawdziwy skarb w postaci miedzianych, kościanych i kamiennych artefaktów okazały się (przynajmniej w owym czasie) najstarszymi zabytkami kulturowymi odkrytymi na wschód od rzeki Missisipi.

Na stanowisku odkryto najstarsze znane cmentarzysko w Ameryce Północnej. Artefakty i pochówki stały się potężnym dowodem na złożoność pradawnej Kultury Starej Miedzi z Ameryki Północnej. Wkrótce jednak naukowcy zapomnieli o odkryciu. Tymczasem legenda Kultury Starej Miedzi rosła, stając się jedną z najbardziej kontrowersyjnych interpretacji pradziejów Ameryki Północnej. Obecnie skansen archeologiczny w Wisconsin State Park jest otwarty dla zwiedzających – leży około 135 metrów od rzeki Oconto i niespełna 5 kilometrów od miejsca, w którym wpada ona do zatoki Green.

Stanowisko znajduje się na równinie bogatej w plejstoceniową glinę lodowcową, pokrytą 45-centymetrową warstwą piasku i 15-centymetrową warstwą humusu. Obszar wokół stanowiska był dawniej płaski, lecz kopalnia żwiru w tym miejscu w latach 20. XX wieku doprowadziła do usunięcia znacznej ilości gleby i podłoża oraz zniszczenia wielu relikwii. Badacze szacują, że pierwotnie cmentarzysko mogło zawierać aż 200 pochówków. Odkryto zarówno ziemne groby szkieletowe, jak i ciałopalne, jednak nie natrafiono na kopce. Zarysy jam grobowych były zazwyczaj koliste w przypadku grobów ciałopalnych i eliptyczne lub prostokątne w przypadku szkieletowych. W przekroju miały kształt nieckowaty. Obszary cmentarzysk kremacyjnego i szkieletowego dzieliła odległość 30-150 centymetrów. W dwóch przypadkach groby naruszały wcześniejsze lub sąsiednie groby.

Łącznie znaleziono osiem jam grobowych ciałopalnych. Na ogół miały średnicę 60-120 centymetrów, głębokość – około 30 centymetrów i często nie zagłębiały się w warstwę żwiru. Każda jama grobowa ciałopalna zawierała szczątki co najmniej jednego człowieka. Obecność węgla drzewnego, poczernionych kamieni i innych śladów ognia na ścianach i dnie jam grobowych świadczy, że kremacja odbywała się wewnątrz jam. Rozszczerzone kości, fragmenty czaszki i raczej chaotyczne ułożenie kości wskazują na to, że zmarli mogli być przed kremacją rozczłonkowywani albo układani na specjalnych naziemnych rusztowaniach lub nadrzecznych platformach. W sumie w trakcie prac wykopaliskowych odsłonięto 21 grobów ziemnych obu typów.

Rozpoznano szczątki 33 mężczyzn, kobiet i dzieci. Jeden z grobów okazał się pusty, w jedenastu znajdowały się pojedyncze osoby, w siedmiu leżały po dwie osoby, zaś w jednym spoczywały szczątki trzech osób. Pięć osób umieszczono wspólnie w jednej jamie grobowej. Wszystkie groby wykopano w warstwie żwirowej (gliny lodowcowej), a mogiły szkieletowe były wysypane w środku i przykryte piaskiem. Groby były rozpoznawalne z góry ze względu na żwirowy obrys. Zmarli leżeli w różnych pozycjach – od wyprostowanej, na brzuchu, do częściowego wygięcia ciała

(jak u starożytnych Egipcjan). W części grobów odnaleziono pochówki w formie zawiniątek, co sugeruje, że osoby zmarły gdzie indziej i zostały ponownie pogrzebane w Oconto. Artefakty odkryte na stanowisku są najbardziej wymownym świadectwem Kultury Starej Miedzi. Dowodzą, że mieszkańcy Oconto znali się świetnie na metalurgii i stworzyli silną gospodarkę dzięki intensywnej wymianie handlowej.

W ich handlu istotną rolę odgrywały podróże, o czym świadczą liczne miedziane artefakty odnajdywane w całej dolinie rzeki Missisipi. W sumie w Oconto odkryto 26 miedzianych artefaktów, w tym 10 szydeł długości 5-10 centymetrów, cztery sierpy, trzy kłamy, dwie łopaty, spiralny kawałek metalu, haczyk wędkarski, nit, bransoletę, a także pewną liczbę grotów. Kilka przedmiotów wydobyto wraz z resztkami włókien i drewna brzoźowego zachowanymi dzięki kontaktowi z miedzią. Z wyjątkiem szydeł wszystkie artefakty odnaleziono w grobach szkieletowych lub jamach ciałopalnych.

Oprócz tych miedzianych przedmiotów odkryto wiele innych ważnych artefaktów. Na przykład piszczałkę wykonaną z kości oraz dwie grudki hematytu znaleziono w pobliżu dziecięcej czaszki w grobie dziecka. Ten prosty instrument muzyczny wykonano z polerowanej kości długości około 15 centymetrów i średnicy niespełna 2 centymetrów. Miał on prostokątny otwór pośrodku, dwie mniejsze dziurki po bokach i kilka rzędów krótkich linii naciętych po wierzchniej i spodniej stronie, najwyraźniej dla dekoracji. Początkowo badacze sądzili, że obiekt ten wyrzeźbiono z kości puszczelowej jelenia. Później Robert Blade z Natural History Museum w Chicago ustalił, że został wykonany z kości ramiennej łabędzia trębacza.

Kościanna piszczałka przypomina instrumenty muzyczne tego samego typu odnalezione w Kentucky na pagórku Indian Knoll, a także w kopcu Carlton Annie Mound (spoczywały one przy ludzkiej czaszce, tak jak piszczałka z Oconto). Instrument przypomina też podobne wyroby kultury Fourche Maline z Oklahomy. Artefakty tego typu odkryto w pochówkach wszystkich rodzajów, włącznie z jamami ciałopalnymi. Większość z nich pogrzebano wraz ze zwłokami dzieci i niemowląt, nie osób dorosłych. Obiekty te sugerują możliwość istnienia kontaktów handlowych lub może nawet regularnego odbywania podróży przez przedstawicieli tej kultury. W jednym z grobów odnaleziono fragmenty dwóch nieobrobionych muszel.

Jeden fragment pochodził ze słodkowodnego małża (*Unio ellipsis*), który występuje najbliżej w rzece Missisipi. Drugi fragment należał do morskiego ślimaka (*Fulgar perversus*), który żyje wzdłuż wybrzeża atlantyckiego od Karoliny Północnej po Florydę. Obecność tej drugiej muszli świadczy o kontaktach z regionem oddalonym o ponad 1600 kilometrów od Wisconsin. Datowanie materiałów ze stanowiska w Oconto przeprowadził doktor W.F. Libby, fizyk z University of Chicago. Podał on analizie metodą węgla ^{14}C 56 gramów węgla drzewnego pobranego z jednego z pochówków ceremonialnych. Wyniki zdumiały naukowców. Wskazywały, iż miejsce było zasiedlone już w 3646 roku p.n.e. (± 400 lat).

Konserwatywni naukowcy, chcąc podważyć tę datę, ich zdaniem nie do zaakceptowania, pobrali ze stanowiska i poddali analizie kolejne próbki węgla drzewnego. Ku ich zdumieniu i rozczarowaniu ta druga seria testów przyniosła jeszcze wcześniejszą datę: 5556 rok p.n.e. (± 400 lat). Później jeszcze stanowisko Oconto oficjalnie datowano na około 7510 roku p.n.e., czyli mniej więcej 2000 lat wcześniej niż najstarsze znane ślady cywilizacji w dolinie Nilu i Mezopotamii. W 1952 roku daty te czyniły stanowisko w Oconto najstarszym kulturowym znaleziskiem na wschód od rzeki Missisipi – były to najwcześniejsze ślady działalności prehistorycznego człowieka w Wisconsin i zarazem najwcześniejsze relikty ludzkich szczątków w całej północno-wschodniej Ameryce Północnej. Rozbieżność 1910 lat w przypadku tych dwóch datowań wytłumaczono później jako skutek zanieczyszczenia pierwszej próbki materiałami zawierającymi młodszy węgiel.

Znaczenie odkryć w Oconto zostało potwierdzone przez jeszcze bardziej spektakularne znalezisko wytworów Kultury Starej Miedzi, dokonane siedem lat wcześniej w południowo-wschodnim Wisconsin. Stanowisko w pobliżu Osceola w hrabstwie Grant zostało ujawnione w 1945 roku, kiedy wody Missisipi odsłoniły tam podobne cmentarzysko. Tak jak w przypadku stanowiska w Oconto, cmentarzysko to zostało naruszone przed dokonaniem odkrycia i tylko niewielką część grobów można było zbadać w czasie wykopalisk przy zastosowaniu starannych metod archeologicznych. W miejscu tym zgodnie z szacunkami mieściło się ponad 500 pochówków. Oba stano-

wiska miały wiele cech wspólnych. Znalezione w nich miedziane artefakty oraz łupane lub szlifowane kamienne narzędzia umieszczone w grobach. Jednak na cmentarzysku w Osceola znajdowały się głównie pojedyncze lub zbiorowe pochówki w formie zawiniątek i brakowało tam śladów kremacji ciał.

W Osceola odkryto również mnóstwo przedmiotów, takich jak miedziane paciorki, szydła, kłamry i grotty. Wśród innych przedmiotów znalezionych na stanowisku, choć niezwiązanych bezpośrednio z pochówkami, warto wymienić: grudki czerwonej ochry, gliniane kulki, kostki galenitu. Oprócz wyrobów Kultury Starej Miedzi znalazły się tu trzy rodzaje kamienia łupanego w postaci wielu grotów z czertu. Jest to znacząca różnica w porównaniu z Oconto, gdzie dominowały grotty miedziane. Z biegiem lat artefakty z prac wykopaliskowych w 1952 roku w Oconto zostały odłożone na bok w niedostępnych zakamarkach Milwaukee Public Museum i zapomniane.

Mimo to stanowisko w Oconto wciąż żyje dzięki wysiłkom grupy zaangażowanych w tę sprawę obywateli, którzy pracują w Oconto County Historical Society Museum. Każdego lata teren badań archeologicznych jest udostępniany zwiedzającym. Na miejsce przybywa wielu dociekliwych miejscowych historyków, by opowiadać o odkryciu zwiedzającym stanowisko osobom, i dzięki temu ocalić je od zapomnienia.



Mumie z Alaski

Nawet archeolodzy zazwyczaj zapominają o Alasce podczas rozważań o amerykańskiej prehistorii. A właśnie na dalekiej północy natknięto się na jedną z największych zagadek amerykańskiego kontynentu. Trudna do zdefiniowania tożsamość zaawansowanego technologicznie ludu oraz jego ostateczny los zostały opisane tylko w *Ancient American* z czerwca 2001 roku.

F.S. Petty John

Mumie białych ludzi z Alaski

Lud Mumii z Alaski należał do prehistorycznej grupy etnicznej zamieszkującej Wyspy Aleuckie w okresie od 7000 lat temu aż po czasy historyczne. Kiedy Rosjanie przybyli na Alaskę w 1741 roku, nieliczni przedstawiciele tego tajemniczego ludu wciąż żyli na położonych najbardziej na zachód wyspach Alaski. Aleuci, obecnie zamieszkujący Alaskę, stanowią mieszanekę tego wyjątkowego Ludu Mumii oraz Eskimosów, którzy rozpoczęli podbój poszczególnych wysp 1000 lat temu. Eskimosi, opanowując Archipelag Katarzyny, przemieszali się z pierwotnymi mieszkańcami tych terenów. Odziedziczyli wiele ich cech fizycznych oraz kulturę, by wreszcie stać się historycznymi Aleutami. Do dziś przetrwało bardzo niewiele.

Pochodzenie dawno wymarłego Ludu Mumii nie jest znane. Ich szczątki badało niewiele

archeologów. Jednak niektórzy naukowcy kładą nacisk na podobieństwo tego zaginionego ludu do dawnych Ajnów, europeoidalnego ludu, który zamieszkiwał Wyspy Japońskie od czasów neolitycznych aż do chwili, gdy został wyparty przed mongoloidalnych Japończyków. Tak jak Lud Mumii, Ajnowie mieli podłużne czaszki, używali drewnianych zbroi, hełmów, krótkich i szerokich mieczy oraz pik. Żyli w ziemiankach. Zajmowali się łowiectwem na morzu i praktykowali mumifikację zmarłych. Byli średniego wzrostu, mieli muskularne ciała, brody i wąsy (znów podobnie jak Lud Mumii). Gdy Rosjanie zjawili się tam w połowie XVIII wieku, ocalała zaledwie garstka Ajnów w północnej części Wysp Kurylskich.



Na czaszkach mumii z Alaski często spotyka się zachowane rude włosy.

Starożytni Aleuci byli znani Eskimosom pod nazwą *Ta-iagu-muit*, co znaczy „młodszy brat”. Każda ich wioska miała powszechnie szanowanego wodza, zwanego *Toukoo* lub *To-en*. Był on przede wszystkim sędzią i rozjemcą, którego postanowienia respektowała cała ludność. Na szczycie władzy stała rada starszych, kolejne miejsce w hierarchii zajmował szaman. W czasie wojny wódz przejmował władzę dyktatorską za powszechną zgodą i dzierżył ją aż do nastania pokoju.

Aleuci prowadzili zażarte walki z Eskimosami z rejonu zatoki Bristol i wyspy Kodiak oraz z mieszkańcami półwyspu Alaska. Nigdy nie atakowali natomiast mieszkańców Przesmyku Cooka, rejonu Kenai czy Chugachmuit. Brali jeńców, którzy jako niewolnicy należeli do końca życia do

swoich panów. Mogli oni być przekazywani komu innemu jako prezenty lub w ramach wymiany handlowej. W czasie walki Aleuci używali zbroi, hełmów, masek, ochraniaczy przegubów rąk i ochraniaczy na ciało. Ochraniacze te były wykonane z drewna i płaskich kości łączonych ścięgami i pokrytych niewyprawioną skórą. Nosiły one nazwę *kuyake*. Uzbrojeni w sztylety, włócznie, piki i szerokie miecze, często zrobione z surowego żelaza, wojownicy aleucy byli niezwykle groźnymi przeciwnikami. Mieli tarcze używane głównie podczas ataku. Chroniły one wojowników, którzy miotali oszczepy, kamienie i strzały za pomocą miotaczy oraz ręcznie przy użyciu zabójczych dwukamieniowych proc z za osłony tarcz, tworzących mur niczym w fortyfikacji.

Pierwsze rosyjskie okręty, które przyplłynęły na wyspę Kodiak, zostały odparte przez zbrojnych stosujących te wielkie tarcze, skuteczne nawet w obronie przed ogniem dział. Tubylcy otwarcie zaatakowali przybyszów, spychając Rosjan z plaży gradem kamieni miotanych z katapult, oszczepów, strzał i włócznie. Rosjanie wycofali się, odniósłszy poważne straty w ludziach i okrętach.

Aleuci stosowali system dziesiętny, w którym potrafili zliczyć do 100.000, a także posługiwali się 12-miesięcznym kalendarzem. Wytwarzali biały pergamin, który przetrwał stulecia. Produkowali sieci rybackie, liny harpunniczne i kajakowe z łądyg morskich wodorostów, wyplatali kosze i maty do spania z korzeni wysokich traw. Udomowiali gęsi, chwytając je w porze gubienia piór i następnie przycinając ich skrzydła; dzięki temu corocznie zapewniali sobie zapas żywności. Mieli praktyczną znajomość astronomii, ludzkiej i zwierzęcej anatomii, nastawiali proste złamania i przeprowadzali operacje chirurgiczne, na przykład usunięcie ropnia oka.

Byli nieustraszeni w pościgach za wielorybami, morsami, krowami morskimi, lwami morskimi i fokami. Stworzyli pierwszy na świecie „instytut” meteorologiczny. Gdy myśliwy stawał się zbyt stary, by polować, często wprowadzano go w tajniki sztuki przepowiadania pogody. Do układania rzetelnych prognoz wykorzystywano analizy ciśnienia atmosferycznego, gęstości powietrza, prędkości wiatru i temperatury oraz wiedzę wywodzącą się z wielowiekowych obserwacji miejscowych warunków meteorologicznych.

Aleuci podczas polowania oraz walk używali oszczepów i strzał. Skład umieszczanej na strzałach trucizny był sekretem zawodowym garstki wybranych. Wytwarzano ją z rozkładającego się oleju i sproszkowanego korzenia tojadu. Paloną siarkę wykorzystywano do wzniecania ognia przy użyciu iskier krzesanych ze skał zawierających piryt. Aleuci zajmowali się także górnictwem siarczków i tlenków miedzi i żelaza, synitu, łupku, piaskowca, pumeksu, zieleńca i wielu innych minerałów, które wykorzystywali do barwienia lamp, naczyń, stołów, narzędzi czy broni. Obecnie jedna z archeologicznych teorii mówi, że żelazna broń używana przez ten lud trafiła tam wraz z nimi przez Morze Beringa. Jednak doktor Fredericka de Laguna podważa ten pogląd, podkreślając, że nigdy nie przeprowadzono żadnych badań porównawczych w celu zweryfikowania owej hipotezy.

Smithsonian Institution w Waszyngtonie jest jedyną oficjalną skarbnicą nielicznie zachowanych mumii z Alaski. Znaczną ich część spalili dawni chrześcijańscy misjonarze, tępiący wszelkie formy „pogaństwa”. Jednak wiele mumii wciąż czeka na odkrycie w zamrożonej północnej krainie. Być może w trakcie przyszłych prac wykopaliskowych uda się odnaleźć ich tyle, by raz na zawsze ustalić tożsamość jasnowłosych ludzi, dominujących niegdyś na obszarze, który stał się z czasem największym stanem USA.



Tajemniczy tubylcy

Na spotkanie hiszpańskich odkrywców amerykańskich wybrzeży Oceanu Spokojnego wyszła rdzenna ludność niepodobna pod względem fizycznym do plemion indiańskich napotykanych w pozostałych częściach kontynentu. Kontrowersje dotyczące pochodzenia tych nietypowych tubylców zostały opisane w magazynie *Ancient American* z marca-kwietnia 1997 roku przez Williama Donata, szefa The Atlantis Organization (Buena Park, Kalifornia), największy na świecie autorytet w dziedzinie podwodnej struktury na Bahamach, znanej jako Droga Bimini. Osobę Williama Donata i jego wieloletnie badania przedstawiono w kilku filmach dokumentalnych, takich jak *Secrets of the Deep: The Hunt for Atlantis* („Sekrety głębin: Na tropie Atlantydy”, 1994) kanału telewizyjnego Discovery, *Arthur C. Clarke's Mysterious Universe: Secrets of Ancient Worlds* („Tajemniczy wszechświat Arthura C. Clarke'a: Sekrety starożytnych światów”, 1996) oraz *Truth or Dare: The Bermuda Triangle* („Prawda czy wyzwanie: Trójkąt Bermudzki”, 2004).

William M. Donato

Kim byli „biali z Zachodu”?

W 1576 roku Juan Fernandez, zboczywszy z kursu nieopodal brzegów Ameryki Południowej pomiędzy peruwiańskim Callao a chilijskim Valparaiso, trafił w miejsce, które uznał za wybrzeża jakiegoś wielkiego południowego kontynentu. Twierdził, że widział tam „ujścia bardzo wielkich rzek (...) oraz ludzi całkiem białych i bardzo dobrze odzianych, i pod każdym względem innych od tych z Chile i Peru”.

W XVI wieku Cabrillo opisał lud *Gha-las-Hat* (z San Nicholas Island w Kalifornii) jako znacznie wyżej rozwinięty niż mieszkańcy kontynentu. Opisał kobiety o „nadobnych kształtach, pięknych oczach i skromnym zachowaniu” oraz dzieci „białe, z jasnymi włosami i rumianymi policzkami”. Wydaje się, że ich kultura stanowiła odmianę kultury Chumash-Gabrieleno. Dawne dzienniki pokładowe i inne ówczesne pisemne relacje także wspominają o społecznościach „białoskórych” rdzennych Amerykanów na wyspie Santa Catalina. Wyspa ta była nazywana przez pierwotnych mieszkańców Pimu, Santa Cruz zaś była wśród nich znana jako Limuw. Tak się składa, że Limuw znaczy „na morzu”. Badania ludzkich czaszek przeprowadzone przez doktora Jeffreya Goldmana wykazały, że starożytni mieszkańcy amerykańskich Channel Islands byli najbliższym spokrewnieni z grupą określaną jako „archaiczni europeidzi”.

Zgodnie z tradycjami indiańskiego ludu Yurok, zanim jego przodkowie zjawili się nad rzeką Klamath, ziemie te zamieszkiwali jasnoskórzy ludzie. Podobno byli moralni i cywilizowani, dzielili się wszystkim, co mieli, z ludem Yurok, który zapamiętał ich jako *Wah-ghas*. Chcielibyśmy podać coś bardziej konkretnego na temat tych starożytnych ludzi, jednak to niemożliwe. Nikt nie wie, kim byli, skąd przybyli i dokąd się udali. Fakt ich istnienia jest niepodważalny, ponieważ ich szczątki znajdują się w zbiorach muzealnych w Kalifornii i Nowadzie.

Mimo że przypominają białych ludzi, wydaje się, że występowali tu zbyt wcześnie, żeby mogli być Celtami lub wikingami. Fakty, które znamy, wskazują, że ich kultura nie miała europejskich korzeni. Czy byli potomkami przybyszów z krainy Mu, znanej również jako Lemuria, zaginionego „kontynentu” na Oceanie Spokojnym? Wskazują na taką możliwość stosowane przez nich nazwy

dla niektórych Wysp Normandzkich, takie jak Pimu i Limuw.



Olbrzymie niedźwiedzie

Przeszkody, na jakie natrafili pierwsi mieszkańcy Ameryki Północnej, zniechęcały do przebywania na tych ziemiach. Zapewne najgroźniejsze były ogromne niedźwiedzie, które panowały na tym lądzie przez tysiące lat. W starciu brutalnej siły i twórczej inteligencji rozstrzygała się kwestia przetrwania jednego bądź drugiego gatunku. Doktor E.J. Neiburger, emerytowany kustosz działu antropologii Lake County Museum w Waukegan w Illinois, opowiedział czytelnikom magazynu *Ancient American* w lutym 2000 roku o tym, jak bliski wymarcia był nasz gatunek na amerykańskim kontynencie.

E.J. Neiburger

Niedźwiedzie olbrzymy terroryzowały starożytną Amerykę

Człowiek zamieszkuje Ameryki Południową i Północną od 50.000-60.000 lat. Najwcześniejsze ślady jego osadnictwa skupiają się w Ameryce Południowej. Czemu jednak dawni ludzie nie osiedlili się w Ameryce Północnej przed skolonizowaniem terenów położonych na półkuli południowej? Być może odpowiedź stanie się jasna dzięki hipotetycznemu scenariuszowi wydarzeń z odległej przeszłości.

Boki wreszcie zakończył długi marsz po zimnym i wietrznym, lodowym pomoście, który potem zyska nazwę Cieśniny Beringa. Wraz ze swoją grupą Paleoazjatów przeszedł na południe skrajem wielkiej wody na ląd, poza granicę lodowców. Krainę tę porastały gęste lasy sosnowe i zamieszkiwało mnóstwo zwierzyny. Ich śladem wędrował jednak także wielki cień. Rzucił go gigantyczny niedźwiedź.

Boki i jego drużyna nazwali ryczącego stwora Gor. Miał naturę straszliwszą niż bardziej pospolite niedźwiedzie brunatne czy czarne. Gor był dużo większy niż wielki kudłaty kodiak czy też biały jak duch niedźwiedź polarny. Wzrostem przewyższał dwukrotnie lub nawet trzykrotnie najwyższych ludzi. Potrafił rozpostrzeć ramiona tak, że ich długość równała się wzrostowi dwóch mężczyzn. Pazury miał dłuższe niż ludzka ręka. Nie dawało się go zabić. Wiele drużyn wojowników wyruszało do walki z nim wykorzystując pułapki, zapadnie i oszczepy. Nikt nie powrócił. Był to stwór ze skórą tak grubą, że nie mogły jej przebić nawet najostrzejsze groty obsydianowe. Nie udawało się go schwytać w pułapkę, ponieważ dzięki gigantycznym pazurom mógł wydobyć masywne cielsko z każdego dołu lub jaskini.

Gor miał na tyle silne łapy, że z łatwością łamał drzewa grubości ludzkiej nogi. Żadna pleciona lina nie była w stanie go powstrzymać. Był zawsze głodny i zawsze w pobliżu. Podążał za grupą myśliwych wszędzie tam, gdzie udawali się ze swoim obozowiskiem. Gdy próbowali się ukryć, wyczuwał ich zapach i wygrzebywał ludzi z kryjówek. Tropił ich na łąkach, gdzie mógł powalić człowieka na ziemię pacnięciem łapy, i roztrzaskiwał ich głowy jednym kłapinięciem szczęk. I był przebiegły. Często leżał bezgłośnie w kryjówce aż do zapadnięcia ciemności, po czym błyskawicznie wpadał do obozowiska i porywał człowieka lub czasem dwóch ludzi na kolację. Niektórzy łowcy zatrzymywali się, żeby ciskać oszczepy lub pochodnie w Góra. Inni usiłowali przed nim uciec, ale zawsze bez powodzenia. Drużyna Bokiego stawała się coraz mniej liczna, zaś potworne zwierzę było nieustępliwe.

Choć powyższa rekonstrukcja wydarzeń jest fikcją, Gor nie był wymysłem. *Arctodus sinus*, olbrzymi niedźwiedź z krótkim pyskiem z Ameryki Północnej, istniał naprawdę. Przemierzał północne krainy kontynentu amerykańskiego od około 36.000 lat temu po zaledwie 5000 lat temu, u schyłku plejstocenu. *Arctodus* był współczesny człowiekowi z epoki lodowcowej, mamutom i innym wielkim ssakom.



Niektórzy naukowcy uważają, że jego obecność sprawiała ogromny kłopot dawnym mieszkańcom Ameryki Północnej, zmuszając ich do pospiesznego przeniesienia się na południe i zaludnienie cieplejszych obszarów Ameryki Środkowej i Południowej – poza zasięgiem monstrualnego niedźwiedzia. *Arctodus* był gigantyczny. Na podstawie kości zachowanych wskutek fosylizacji ustalono, że zwierzę miało 3,7-4,3 metra wysokości, gdy znajdował się w pozycji wyprostowanej, oraz 1,5-1,8 metra w kłębie, gdy stał na czterech łapach.

Inne skamieliny wskazują, że był o 80-120 procent większy niż najpotężniejsze współczesne niedźwiedzie kodiak. Średniej wielkości niedźwiedzie polarne lub grizzly ważą około 230 kilogramów. Największy znany współczesny samiec niedźwiedzia polarnego miał około 410 kilogramów. Największy kodiak osiągnął ponad 520 kilogramów. *Arctodus* był znacznie cięższy. Przypominał grizzly z wyjątkiem dłuższych frontowych łap i cofniętego, skróconego, ale za to szerszego pyska. Skamieniałe szczątki średniej wielkości *Arctodus* z Indiany należały do zwierzęcia o zasięgu przedniej łapy ponad 2,7 metra oraz szacunkowym ciężarze 776 kilogramów. Skamieniałe

szczątki tego gatunku niedźwiedzia należą do okazu trzy razy większego niż okaz z Indiany.



Na podstawie znalezisk można stwierdzić, że niektóre osobniki *Arctodus sinus* mogły osiągać prawie 1600 kilogramów, trzykrotnie więcej niż największy współczesny niedźwiedź kodiak. Jeśli przyjmiemy, że zróżnicowanie rozmiarów *Arctodus* było podobne jak u współczesnych niedźwiedzi (niektóre współczesne osobniki są dwukrotnie większe od przeciętnych), to prawdopodobnie istniały też prehistoryczne niedźwiedzie o ciężarze ponad 2200 kilogramów (dwukrotnie większe niż skamieliny z Indiany) i wzroście ponad 6 metrów. Szczątki *Arctodus* odnaleziono w ponad 100 miejscach, między innymi w Jukonie, Kentucky, Pensylwanii, Indianie, Kalifornii i północnym Meksyku. Widoczne na nich ślady cięć mogły zostać zrobione paleoindiańskimi grotami oszczepów typu Clovis. Możliwe że w trakcie spotkań z *Arctodus* ludzie niekiedy potrafili mu się przeciwstawić.

Arctodus, tak jak współczesne niedźwiedzie, był wszystkożerny – żywił się roślinami i zwierzętami. Analiza jego skamieniałych szczątków wykazuje, że cierpiał na wiele schorzeń występujących u dzisiejszych ssaków, także u człowieka. Ze względu na jego rozmiary i siedlisko, powszechne były u niego bolesne schorzenia artretyczne i infekcje grzybicze, co z wielkim prawdopodobieństwem wywoływało u zwierzęcia stan stałego rozdrażnienia. Imponujące są nie tylko olbrzymie rozmiary niedźwiedzia. Niezwykła jest też częstość występowania jego szczątków. Rozległy zasięg występowania tego zwierzęcia i jego fizyczna siła przypuszczalnie wpłynęły na szybką migrację ludzi do Ameryki Środkowej i Południowej. Skamieliny dużych zwierząt są rzadkością, zaś odkrycie około 100 osobników świadczy o bardzo dużej populacji, bowiem w przypadku wszystkich grup zwierząt zaledwie bardzo niewiele osobników (jeden na 1.000.000) ulega fosylizacji.

Liczba niedźwiedzi *Arctodus* była ogromna, zatem gdy populacje mamutów, mastodontów, bobrów olbrzymich, wołów piżmowych i leniwców zanikły, człowiek stał się głównym źródłem ich pożywienia. Jak takie zwierzę, nawet tak ogromne, mogło zmusić rzesze dobrze zorganizowanych wspólnot plemiennych ludzi, uzbrojonych w oszczepy, umiejących zastawiać pułapki i zabijać tak ogromne stworzenia, jak mamuty, do panicznej ucieczki w bezpieczniejsze regiony Ameryki Południowej? Odpowiedź okazuje się prosta. Niedźwiedzie były wytrzymalsze od ludzi. Mamy niewielkie doświadczenie w polowaniu na niedźwiedzie za pomocą broni dostępnej pierwszym łowcom imigrującym do Ameryki z Azji.

Istnieje ogromna przepaść między strzelaniem do 270-kilogramowego kodiaka z półautomatycznego karabinu dalekiego zasięgu a podbieganiem na bliską odległość do rozwścieczonego zwierzęcia i ciskaniem oszczepem lub wystrzeliwaniem strzały w grubą, twardą skórę. Nawet jeśli taki pocisk przebił skórę, to mięśnie pokrywała kilkunastocentymetrowa powłoka tłuszczu. Delikatniejsze narządy wewnętrzne ochraniała 12-20-centymetrowa warstwa mięśni, zatem do zadania *Arctodusowi* śmiertelnej rany niezbędna była siła pozwalająca na zagłębienie grotu na głębokość około 30 centymetrów. Technika produkcji broni o takiej penetracji była niedostępna paleolitycznym łowcom, nawet jeśli zdecydowaliby się oni na samobójczy atak z bliska.

Siłę niedźwiedzi udokumentowali Lewis i Clark w raporcie dla prezydenta Jeffersona (1807) dotyczącym kontaktów z odkrytymi podczas ekspedycji na wybrzeże Oceanu Spokojnego stosunkowo niedużymi niedźwiedziami grizzly. Lewis oświadczył: „Wszyscy, także i my, obawialiśmy się spotkania z tymi niedźwiedziami. Indianie zdali nam wstrząsającą relację o sile i brutalności tego zwierzęcia, którego nigdy nie ważyli się atakować grupą mniejszą niż sześć, osiem czy 10 osób. Nawet wówczas często przegrywali walkę, tracąc jednego lub więcej członków drużyny”.

Piątego maja 1805 roku kapitan Lewis doniósł o „monstrualnym” niedźwiedziu (potem okazało się, że ważył około 270 kilogramów), do którego trzeba było strzelić 10 razy – z czego pięciokrotnie w płuca – żeby go uśmiercić. Nawet poważnie rany po dziewięciu strzałach z karabinów Harpers-Ferry kaliber 69 grizzly ścigał myśliwych po 6-metrowym, niemal pionowym brzegu i przez rzekę. Niedźwiedź został w końcu zabity 10. strzałem w głowę. Jeśli stosunkowo „drobne” niedźwiedzie, wspomniane w raporcie Lewisa, były tak zajadłe i stwarzały tak wielkie zagrożenie, to jak niebezpieczne musiały być stworzy tak ogromne jak *Arctodus*?

Dawnym ludziom dodatkowych problemów przysparzała inteligencja niedźwiedzi. Stosunek wielkości mózgu do ciała u *Arctodusa* był podobny jak u współczesnych niedźwiedzi. Wynika z tego, że *Arctodus* prawdopodobnie dysponował taką samą inteligencją, co współczesne niedźwiedzie. A są one bardzo mądre. Świadczą o tym opowieści z amerykańskich parków narodowych. Niedźwiedzie z parków generalnie są szkodnikami stale szukającymi pożywienia. Zawieszanie żywności na wysokich masztach na polu kempingowym czy na drzewach okazało się nieskuteczne, bowiem niedźwiedzie odkryły, jak przegryzać liny i strącać torby z żywnością. Zainstalowano więc metalowe skrzynki, ale niedźwiedzie nauczyły się otwierać zamki. Systematycznie dewastowały samochody, w których wybijały szyby, wrywały drzwi i dostawały się do bagażników przez wyjęte tylne siedzenia. Rekord należy do pewnej niedźwiedzicy i dwójki jej dzieci – wspólnie „obrobili” 44 samochody w jeden weekend.

Prehistoryczni mieszkańcy Ameryki musieli zmagać się z gatunkiem *Arctodus sinus* – gigantycznymi, gwałtownymi, niepowstrzymanymi i inteligentnymi niedźwiedziami. Nic dziwnego, że szybko przenieśli się do Ameryki Środkowej i Południowej. Chcieli znaleźć się poza zasięgiem największego drapieżnika od czasów dinozaurów!

Z jakiejś nieznaney przyczyny około 5000 lat temu *Arctodus* wymarł. Być może mniejsza odmiana płaskonosego *Arctodusa* (brunatny niedźwiedź grizzly) lub spiczastonosy niedźwiedź czarny były bardziej skutecznymi zdobywcami pożywienia w zmieniającym się, polodowcowym środowisku. Jest również możliwe, że wielkie niedźwiedzie wymarły na jakieś nowe, dotychczas niespotykane schorzenia. Nie wiadomo, ale zgodnie z ewolucyjnym schematem naturalnej selekcji, występowanie licznej zwierzyny o mniejszych rozmiarach sprzyja mniejszym drapieżnikom. Około 5000 lat temu zwierzęta Ameryki Północnej, takie jak mamuty, piżmowce i woły, były stosunkowo nieduże. Wcześniej jednak niedźwiedzie olbrzymy przemierzały Amerykę Północną, a ludzie

stanowili ich pokarm.



Tajemnicza przeszłość Michigan

Ogromne mury, piramidy, gigantyczne posągi i megalityczne monumenty, jak te wznoszone przez Europejczyków w epoce kamienia, niegdyś znaczyły krajobraz północnej części amerykańskiego Regionu Środkowozachodniego. Część z nich wciąż istnieje, ukryta w gęstej roślinności lub wodzie. Tubylcze przekazy ustne przypisują wykonanie tych imponujących dzieł obcym przybyszom, którzy wzniesli je w zamierzchłej przeszłości. Na poszukiwanie prawdy o tożsamości owych budowniczych, którzy dawno zniknęli z powierzchni ziemi, wyruszył Daniel Wood. Członek St. Joseph County Historical Society z Michigan jest autorem tekstu *Religious Motives for Columbus' First Voyage* („Religijne motywy pierwszej wyprawy Kolumba”), który ukazał się w *Discovery of the Archaeology of Spain and Portugal*. W magazynie *Ancient American* z maja-czerwca 2003 roku badacz ujawnił kilka wątków utajnionej historii Ameryki.

Daniel Wood

Zaginieni budowniczowie Michigan z epoki brązu

Gdzieś w głębokich mrokach prehistorii drużyna dzielnych odkrywców żeglowała w górę Rzeki Świętego Wawrzyńca. Wielkie Jeziora były wówczas znacznie cieplejsze niż obecnie, wręcz kojąco ciepłe. Grupa śmiałków natknęła się na tubylców, którzy prawdopodobnie zaoferowali w ramach wymiany różne miedziane przedmioty. Odkrywcy słyszeli o rozległych słodkowodnych morzach u źródeł występowania miedzi. Z czasem przybysze dotarli do południowego brzegu Jeziora Górnego.

Ci zamorscy goście, których tożsamość została dawno zapomniana, wykopali setki górniczych wyrobisk wzdłuż wybrzeży Upper Peninsula w Michigan. Płynęli regularnymi szlakami wodnymi i po drodze zostawiali swoje znaki terytorialne. Aby uniknąć srożej zimy, budowali liczne kamienne kalendarze, dzięki którym mogli wyruszyć do domu na długo przed pierwszym śniegiem.

Prace górnicze trwały 2000 lat. Potem nagle kopalnie zostały porzucone. Wyrobiska stopniowo zarastały lasami, jednak miejscowa ludność wciąż otaczała wciąż kamienne struktury.

Tubylcy składali symboliczne dary na kurhanach duchów strażniczych w nadziei zapewnienia sobie bezpiecznej przeprawy przez wody jeziora. Francuscy odkrywcy też dowiedzieli się o słodkowodnych morzach Michigan i górach miedzi. Natknęli się na kamiennych olbrzymów strzegących szlaków wodnych od Detroit po Green Bay. Rdzenni mieszkańcy Ameryki powiedzieli zarówno francuskim przybyszom, jak i późniejszym amerykańskim pionierom, że kamienne sanktuaria zostały zbudowane przez inny, znacznie starszy lud. Bela Hubbard, badacz z początku

XIX wieku, opisał w pamiętnikach mnóstwo kamiennych kaplic.

W 1837 roku odwiedził on kamienny monument stojący nad zatoką Saginaw. Donosił stamtąd: „Pomniki tubylczych mieszkańców licznie występowały na pagórku wznoszącym się nad zatoką. Pośrodku drogi przez krainę, gdzie całe drewno zostało wypalone, znajdowało się miejsce poświęcone złemu Manitou. Wzniesiono tutaj ołtarz, składający się z dwóch dużych głazów wysokości może 2 metrów, z płaskim wierzchem i szeroką podstawą. Wokół rozmieszczono mniejsze kamienie, pokryte ofiarami prześlągalnymi, drobinami tytoniu, kawałkami krzemienia i innymi obiektami mającymi niewielką wartość dla Indian, którzy zgodnie ze swymi wierzeniami poświęcają je Manitou”.

Trzy lata później, podczas podróży wzdłuż południowego brzegu Jeziora Górnego, Hubbard zauważył podobne kamienne „ołtarze”. Napisał o nich: „Często mijaliśmy pomniki indiańskich mieszkańców (...). Niekiedy napotykalismy prymitywne ołtarze z kamieni, gdzie składano porcje tytoniu i inne drobne dary dla Manitou”.

Bardzo podobny ołtarz istniał w czasach historycznych w hrabstwie Gratiot na północy Michigan, na brzegach rzeki Pine. Miedź, tytoń i inne dary składane Manitou umieszczono na wierzchu głazu. Wcześniej jezuicy misjonarze napotykali ołtarze z kamiennych płyt na całym północnym obszarze Wielkich Jezior. Obalali je, wierząc, że zniszczenie ołtarzy jest niezbędne do nawrócenia tubylców.

Charlevoix donosił, że pewną indiańską dziewicę złożono w ofierze bóstwu, przywiązując ją do jednego z takich ołtarzy. Wokół niej rozpalono ogień. Zanim płomień pochłonął nieszczęsną ofiarę, wódz wystrzelił z łuku strzałę prosto w jej serce. Wojownicy zanurzyli potem ostrza strzał w krwi tryskającej z rany, aby nabrały nadzwyczajnej mocy.

Na całym obszarze Michigan istniało mnóstwo świętych skał. W większości były to naturalne formacje, które rdzenni Amerykanie uznawali za święte z uwagi na wygląd lub położenie. Do takich miejsc należały: Red Rocks (Czerwone Skały) po obu stronach zatoki Keweenaw, Doric Rock (Skała Dorycka) niedaleko Marquette, Portal Rock (Skalna Brama) w rejonie Pictured Rocks National Lakeshore, Vanishing Indian (Znikający Indianin) z Huron Islands, a także Rabbifs Rock (Królicza Skała).

Przedstawiciele głównego nurtu nauki upierają się, że Indianie z Michigan nie tworzyli monumentalnych obiektów kamiennych. Jednak wydaje się prawdopodobne, że zostały one wzniesione przez rdzennych mieszkańców Ameryki. Jeszcze trudniejsze do jednoznacznego zdefiniowania są kamienne idole. Wszystkie odnaleziono nieopodal strategicznych akwenów. Najmniejsze ważyły kilkaset kilogramów. Prawie 10 kilometrów na północ od Rogers City w hrabstwie Presque Isle dwa kamienne idole stały około kilometra od brzegu, u ujścia Rzeki Łabędziej (Swan River), gdzie składano w ofierze psy.

Idole znad Rzeki Diabelskiej (Devil River) stały nieopodal Issineke w południowej części hrabstwa Alpena aż do lat 40. XX wieku, kiedy zabrali je miejscowi rybacy i używali jako kotwic. Idole, ważące kilkaset kilogramów każdy, przypominały ludzkie postacie. Indiańska nazwa tego miejsca, *Shing-gaw-bawaw-sin-ek-ego-ba-wat*, oznacza „kamienne wizerunki”, co mogłoby wskazywać, że pochodzą z czasów przedindiańskich. Duże kopce niedaleko ujścia rzeki akurat zbudowali rdzenni Amerykanie, ale słynny jezuicki misjonarz Claude Jean Allouez dał konserwatywnym badaczom znacznie twardszy orzech do zgryzienia.

Odkrył on w hrabstwie Outassuac, na obszarze obejmującym dziś wschodnią część Upper Peninsula w Michigan i sąsiednie tereny Kanady, że tubylcy czcili niezwykle ciekawego bożka. Oddawali cześć świętemu posagowi wysokości około 1,5 metra, który „znalezli na swojej ziemi”. Twórcy przydali mu „brodę jak u Europejczyków, choć dzicy nie mają zarostu. W określone dni czcili tę rzeźbę ucztami, grami, tańcami, a nawet modłami do niej w czasie różnych uroczystości”.

Kolejny osobliwy idol znajdował się na południowym wybrzeżu największego jeziora hrabstwa Alcona, aż do chwili gdy przepadł pod koniec XIX wieku. Tak zwany Indiański Bożek znad Jeziora Hubbarda również mierzył 1,5 metra i miał zdejmowaną głowę; po jej zdjęciu na posagu składano ofiary. Hrabstwo Alcona mogło się niegdyś poszczycić również świętą Black Rock (Czarną Skałą), niedaleko Springport, jak również obiektami z czasów historycznych: kopcami z Mikado oraz

usypanymi z ziemi ogrodzeniami znad Rzeki Czarnej. Nasuwa się pytanie, czy pozostałe kamienne głowy odkrywane na terenie całych Stanów Zjednoczonych były kiedyś częścią większych kamiennych idoli, takich jak Indiański Bożek.

Bab-o-quah, 120-centymetrowy idol, stał kiedyś między Flint i Grand Blanc przy starym indiańskim szlaku. Wielką, uśmiechającą się kamienną głowę odkopano przy granicy hrabstw Saginaw i Tuscola. W 1938 roku jeszcze jedną kamienną głowę odkryto w pobliżu jeziora Gogebec w Merriweather. W 1669 roku członkowie zespołu badawczego francuskiego odkrywcy Sieura de La Salle obalili i zniszczyli malowanego bożka mającego postać człowieka, który stał nad rzeką Detroit. Tubylcy wierzyli, że odpowiednie ofiary prześlugałne mogą zagwarantować bezpieczną przeprawę przez wodę. Wydaje się, że misjonarze poniekąd dawali wiarę tym twierdzeniom i obwiniali idola za część ich własnych niepowodzeń w czasie wyprawy.

Francuski misjonarz ojciec de Galinee napisał: „(...) odkryliśmy miejsce bardzo znaczące, darzone wielką czcią przez wszystkich Indian z tych krain, ze względu na kamiennego idola, którego uformowała tam natura. Jak mawiają, to jemu zawdzięczają pomyślność podczas żeglugi po jeziorze Erie i brak nieszczęśliwych wypadków. Czczą go poprzez ofiary i dary w postaci skór, prowiantu i tym podobnych rzeczy, składane, kiedy zamierzają wybrać się na jezioro. Miejsce to wypełniały obozowiska ludzi pragnących oddać hołd głazowi (...). Rdzenni Amerykanie pomalowali posąg, żeby podkreślić jego surowe, ludzkie rysy twarzy”.

Ojciec de Galinee wraz z towarzyszącym mu misjonarzem ojcem Dollierem pobłogosławili siekiere, po czym zaczęli niszczyć bożka. Złączyli dwa *kanoe*, żeby przewieźć fragmenty rzeźby w górę rzeki Detroit, gdzie zostały one zgodnie z planem porzucone. Ojciec Galinee natychmiast dostrzegł, że ich los się odmienił, że szczęście do nich wróciło: „Bóg wynagrodził nas natychmiast za ten dobry uczynek, jako że tego samego dnia zabiliśmy kozła sarny i niedźwiedzia”.

W *Les Relations des Jésuites* („Relacje jezuitów”) odnotowano podobny incydent niedaleko rzeki Oconto w Green Bay w Wisconsin: „O jeden dzień drogi w górę rzeki od zatoki Pauns znajduje się 15, może 20 kilometrów rzecznych progów. Przy wodospadzie stoi idol, któremu tubylcy składają ofiary – skała uformowana przez przyrodę w postać człowieka. Z oddali można w niej rozróżnić głowę, ramiona, pierś, a zwłaszcza twarz, którą odwiedzający zwyczajowo malują w najwspanialsze barwy. Aby usunąć pogańskie przekleństwo, kazaliśmy przenieść go wspólnymi siłami i zrzucić na dno rzeki, żeby nigdy się już stamtąd nie wyłonił”.

Na szczęście James Scherz, emerytowany profesor z University of Wisconsin-Madison, oraz Fred Rydholm, ekspert w zakresie starożytnej miedzi, znaleźli podobną kamienną głowę na Mummy Mountain (Górze Mumii) w Upper Peninsula. Dokładne pomiary przeprowadzone przez profesora Scherza dowodzą, że kamienna głowa jest zorientowana względem dolmenu z Huron Mountains (Gór Huron), skierowanego w stronę punktu letniego przesilenia. Dolmen czy też wykonany ręką człowieka kamienny monument, mierzący około 0,53 metra kwadratowego i ważący prawie 410 kilogramów, tkwi na wysokości 488 metrów w Huron Mountains.

Cztery tysiące lat temu mógł on stać na brzegu doskonale osłoniętego portu jako wyraźny znak dla marynarzy. Scherz wierzy, że inne kamienne struktury w bezpośrednim sąsiedztwie tej głowy były zorientowane względem Mount Bohemia za sprawą kolejnego, mniejszego dolmenu występującego razem z pewnym głazem. Dzięki całemu temu układowi kamieni wyliczono dzień dożynek – 1 sierpnia. Przekonuje, że większość takich miejsc, jeśli nie wszystkie, wzniesli starożytni kupcy jako punkty orientacyjne dla żeglarzy. Wskazują one zarówno kierunek, jak i czas.

Dolmeny takie jak w Huron Mountains zlokalizowano w Minnesocie (Boundary Waters) oraz w Kanadzie, gdzie Rydholm obecnie prowadzi badania. Kompleks podobny do tego z Huron Mountains, choć znacznie większy, podobno znajduje się nad rzeką Sanguiny, w miejscu, w którym wpada ona do Rzeki Świętego Wawrzyńca. W 1987 roku w hrabstwie Oakland odkryto co najmniej 40 kurhanów niedaleko dużej kamiennej głowy.

W czasach starożytnych ten kompleks budowli prawdopodobnie stał nad jeziorem, które już dawno wyschło. Badacze ze środowiska głównego nurtu nauki uparcie ignorują te obiekty, uznając je za „glacjalne głazy narzutowe”, dziwolągi z okresu epoki lodowcowej. Ich interpretacja mogłaby być wiarygodna, gdyby rzeczywiście istniało parę takich obiektów. Jednak już liczba tych struktur i

ich wyraźne podobieństwo do odpowiedników w Europie Północnej, a także udział człowieka w ich stworzeniu obalają teorię glacialnych głazów narzutowych. Wszystkie północnoamerykańskie dolmeny są umieszczone w strategicznych punktach przy dawnych szlakach wodnych, które istniały w epoce brązu od 3000 do 1200 lat p.n.e.

Jak już wspomniano, jezioro Michigan w tym czasie miało według dzisiejszych standardów bardzo ciepłe wody, zaś przeprawa przez Atlantyk nie była tak niebezpieczna, jak się sądzi; 7000 lat p.n.e. epoka lodowcowa przestała być dominującym czynnikiem środowiska naturalnego północnej części Wielkich Jezior. Tysiąc lat później zakończyło się ustępowanie zlodowacenia. Obszar Jeziora Górnego, uwolniony od olbrzymiego ciężaru lodowców, rozpoczął tak zwane wypiętrzanie, które stopniowo podniosło poziom jezior Huron i Michigan.

Jeziora w epoce brązu należały do tzw. fazy Nipissing (3000-1500 p.n.e.), okresu, kiedy wszystkie trzy ogromne jeziora połączyły się w jeden olbrzymi akwen. Wzrost poziomu jezior w fazie Nipissing spowodował zalanie prehistorycznych miejsc na terenie Lower Peninsula falami wody mającymi aż około 122 metrów wysokości. Na obszarze Upper Peninsula starożytne wybrzeża jezior znajdują się obecnie ponad 30 kilometrów w głębi lądu. To tłumaczy brak stanowisk z epoki brązu na Lower Peninsula: znajdują się one pod wodą. Epoka brązu w Starym Świecie i faza Nipissing Wielkich Jezior nastąpiły dokładnie w tym samym czasie.

Przez cały ten okres ów region mogły penetrować statki, które nie musiały korzystać z miejsc przeładunkowych. Miedź mogła być wydobywana i transportowana z pominięciem uciążliwych szlaków lądowych. Jeśli połączymy ten fakt z czystością miedzi, której właściwie nie trzeba było nawet wytapiać, staje się jasne, dlaczego sieć wymiany handlowej w Michigan mogła być ekonomicznie opłacalna. Wody jezior: Górnego, Huron i Michigan utworzyły jeden ogromny zbiornik. Kupcy mogli udać się stamtąd przez obecne North Bay do Ontario lub przez Chicago do Missisipi. Istnieją dowody, że korzystano z obu szlaków. Duże składowiska miedzi znajdowały się wzdłuż obu prawdopodobnych szlaków wodnych.

Składowisko Torch Lake Pit ma szerokość 15 metrów i ponadsześciometrowy wykop wokół obwodu. Zawierało 20 ton węgla miedzi i zostało datowane na około 1800 lat p.n.e. Składowiska takie znaleziono nawet tak daleko na wschodzie jak Sault Ste czy Marie. Inne nadal istnieją w południowym Wisconsin. Aż 20 zlokalizowano w starożytnym mieście Poverty Point w Luizjanie. Składowiska z Poverty Point miały 4,5-6 metrów szerokości, ale były pozbawione regularnego kształtu. Przepuszczalnie najstarsze amerykańskie miasto, rozkwitające w okresie 1500-500 lat p.n.e., nie miało lokalnego źródła miedzi.

Wydawca *Ancient American* Frank Joseph przedstawił dającą do myślenia teorię. Jego zdaniem wielkie składowisko miedzi powstało w Rock Lake w Wisconsin. Zalane dziś wodami jeziora miasto Tyranena niegdyś pełniło funkcję ośrodka gromadzenia i dystrybucji miedzi znad Jeziora Górnego – stąd wywożono ten surowiec na południe rzeką Missisipi. Frank Joseph osobiście koordynował prowadzone w tym miejscu badania, obejmujące nurkowanie głębinowe z najnowocześniejszym sprzętem oraz prace z sonarem zanurzeniowym.

Rozpoznano podwodne piramidy stożkowe, kopce przedstawiające różne postaci oraz inne budowle, które stały niegdyś na starożytnym wybrzeżu Rock Lake. Badania tradycji Winnebago ujawniły szczegóły dotyczące „dawnych, cudzoziemskich wodzów” Rock Lake, którzy mieszkali w mieście od 3000 do 1200 lat p.n.e. Joseph sądzi, że miasto założyli osadnicy z Wysp Kanaryjskich leżących niedaleko atlantyckich wybrzeży Afryki Północnej.

Liczne kamienne monumenty spotykane w stanie Michigan są czymś więcej niż glacialnymi dziwolągami. Kamienne kręgi zlokalizowano na Garden Island i Beaver Island w północnej części jeziora Michigan. Tylko na Beaver Island 39 głazów tworzy 121-metrowy krąg. Głaz centralny wysokości około 1,2 metra i szerokości około 1,5 metra tworzy oś pozwalającą obserwować letnie przesilenie.

Mimo że naukowcy z kręgów establishmentu wciąż lekceważą to stanowisko, uznając je za naturalną formację, starszyzna indiańskiego plemienia Odżibuejów (Ojibwa) utrzymuje, że przed ustawieniem kręgu ziemię poddano oczyszczeniu ogniem. Późniejsze badania pozwoliły ustalić, że pod jednym z kamieni ziemia rzeczywiście została wypalona. Ustne przekazy plemienia Odżibu-

ejów mówią, że starożytni zbudowali na Beaver Island kamienny krąg, który wstępnie datowano na około 1000 roku n.e. Na wyspie tej znajduje się także siedem szamańskich kręgów, mnóstwo petroglifów i kilka podwyższonych kamiennych grządek. Profesor Scherz j pisał o Beaver Island: „Badając sterty głazów i skalne zagłębienia nieopodal rozległych prehistorycznych ogrodów na Beaver Island, dowiedzieliśmy się od Indian, że w tym dawnym miejscu kultu przecinały się prastare »Linie Ptaka Grzmotu«”.

„Opisywali – donosił dalej profesor Scherz – w jaki sposób jedna z tych linii prowadziła do starożytnych kopalń na Isle Royale oraz na wyspie na południe od Rock Lake w Wisconsin. Pamita, miejscowy nauczyciel pochodzenia indiańskiego, stwierdził, że skalne struktury znajdujące się teraz pod wodami Rock Lake były powiązane z innymi skalnymi strukturami w Madison w Wisconsin oraz na Beaver Island. Opisał zespół kamiennych struktur jako rozległą »sieć linii mocy« wyznaczonych przez mędrców w czasach prehistorycznych. Zgodnie z legendą, inne starożytne linie wyznaczone przez starożytnych są oznakowane dwoma ogromnymi, przysadzistymi głazami nieopodal Madison – Chamberlain Rock i Spirit Rock. Stały one w odległości około 2 mil morskich od siebie. Geometryczna orientacja prawie dokładnie odpowiada osi północ-południe i można ją odnaleźć w innych miejscach, takich jak Wisconsin Rapid Site na rzece Wisconsin, a także w Ontonagon Site, nieopodal ujścia rzeki Ontonagon w Michigan. Może to tylko zbieg okoliczności, ale wydaje się, że starożytni mędrcy rzeczywiście stworzyli gigantyczny system krzyżujących się linii, wyznaczany przez skalne struktury pomiędzy ważnymi, rozpoznawalnymi miejscami na lądzie, by pomóc podróżnikom przemierzającym długie dystanse”.

Na obszarze Stanów Zjednoczonych odnaleziono wiele kurhanów. Mają one zazwyczaj postać sterty kamieni ułożonych bez zaprawy. Były powszechnie wznoszone nad ciałami zmarłych w wielu starożytnych kulturach. Niektóre pełniły funkcję prymitywnych obserwatoriów astronomicznych. Archeolodzy Greg Bambenek i Glen Langhorst z Duluth w Minnesocie określają tę drugą grupę mianem „kosmicznych kurhanów”. Przebadałi oni kurhany w pobliżu Thunder Bay w Kanadzie. Doszli do wniosku, że kamienie wyznaczały moment letniego przesilenia zarówno o wschodzie, jak i zachodzie słońca. Uważają też, że kurhany pomagały rozpoznawać sezon składania ikry przez pstrąga i siei kanadyjskiej w pobliskich płyciznach. W Michigan kurhany nad rzeką Black w parku stanowym Negwegon State Park prawdopodobnie służyły też jako drogowskazy i kalendarze dla starożytnych podróżników wędrujących szlakami handlu miedzią. Monumenty z Michigan bardzo przypominają struktury występujące w północno-zachodniej Europie, kolebce najstarszej monumentalnej architektury świata.

Kopalnie są podobne do tych z przedromańskiej Kornwalii. Od schyłku IV do początku I tysiąclecia p.n.e. przeprawy przez Atlantyk były mniej niebezpieczne niż w późniejszych czasach i nie powinny być postrzegane jako coś wykraczającego poza możliwości pierwszych cywilizowanych ludzi. Tak naprawdę okręty z epoki brązu nie odbiegały poziomem od tych z okresu wczesnego renesansu, a wiemy, że Kolumb odwiedził Wyspy Kanaryjskie, Islandię i Irlandię (miejsca bardzo znaczące z perspektywy Michigan w epoce brązu), kiedy planował swą przełomową wyprawę. W całej Ameryce Północnej epigraficy odkryli wiele kamiennych inskrypcji sporządzonych pismem kreteńskim (minojskim), fenickim, pranordyjskim i celtyckim.

Konserwatywnych badaczy dawniej oburzały najmniejsze wzmianki o tych inskrypcjach. Naukowcy ci oskarżali niektórych epigrafików o zaburzenia umysłowe tylko dlatego, że sugerowali, iż inskrypcje wykonali prekolumbijscy przybysze zza oceanu. Ostatnio jednak przynajmniej kilku znaczących akademików na nowo rozpatruje dzieło emerytowanego profesora z Harvard University, Barry'ego Fella, i jego zwolenników, dochodząc do przekonania, że kontrowersyjne znaki mogły zostać sporządzone przez przybyszów ze starożytnego Starego Świata.

Feli ogłosił, że odkryty w 1896 roku kamień z Newberry w Michigan, wykonany z miejscowej gliny, zawiera kreteński zapis o rolniczych prognozach. Zidentyfikował głaz z Escanaba, znaleziony w 1957 roku w rzece o tej samej nazwie, jako celtycki kamień modlitewny zapisany *ogamem consaine*, pismem stosowanym w Afryce Północnej i Europie Zachodniej, najwcześniej zaś w Irlandii w okresie 2000 p.n.e.-900 n.e. Tłumaczenie Fella brzmiało: „Modlitwa w mojej intencji: nie pozwól mi utonąć w wodzie”.

Celtycka tradycja kamieni modlitewnych utrzymywała się w Szkocji co najmniej aż do połowy

XX wieku. Szkoccy żołnierze otrzymywali małe kamyki do noszenia w mundurach, zaś marynarze zwykli zabierać ze sobą kamyki z wyspy Iona na Hebrydach, by chroniły ich przed utonięciem. Zdaniem Fella, do 1000 roku p.n.e. celtyccy żeglarze założyli niewielkie kolonie kupieckie na wschodnim wybrzeżu Ameryki Północnej – w krainie, którą nazywali Jargalon, czyli Krainą za Zachodem Słońca.

Potwierdzeniem tej interpretacji jest znaleziony na Garden Island celtycki topór z Irlandii, poza tym w całych Stanach Zjednoczonych rozpoznano wiele „celtyckich komnat”. Napotyka się również wyłożone kamieniami jaskinie z dużymi kamiennymi nadprożami nad każdym wejściem, skierowanymi ku północy. Występują one licznie w Nowej Anglii, kilka znajduje się także w Michigan. Jedna podobno mieści się niedaleko góry Huron; kolejna na szczycie Beacon Hill w Champion; dwie następne mogą się znajdować w hrabstwach Alger i Ontonagon; jeszcze jedna leży nad rzeką Escanaba.

Niepotwierdzone doniesienia mówią o celtyckiej komnacie otoczonej grupą kurhanów niedaleko Baldwin w hrabstwie Lake. Europa epoki brązu przejawiała ogromny apetyt na miedź; było to wtedy, gdy miedź wykopywano w ogromnej ilości na obszarze całego Upper Peninsula w Michigan. Tak się również składa, że zarówno klimat, jak i poziom rzeki sprzyjały powstaniu tej potężnej komnaty. Przypuszczenie to znajduje potwierdzenie w mnóstwie przedmiotów materialnych należących do jakiejś nieindiańskiej kultury amerykańskiej. Ich relikty są znajduwane w miejscach strategicznych dla morskiego handlu. Ponadto relikty te często mają związek z letnim przesileniem. Kimkolwiek byli owi prehistoryczni górnicy, dołożyli wszelkich starań, aby opuścić kopalnie przed nastaniem zimy. Wszystko wskazuje na to, że kilka różnych grup ludzi w starożytnych czasach przypuszczalnie odwiedzało te ziemie i utrzymywało kontakty z ludami zamieszkującymi obecny stan Michigan. Archeolodzy amatorzy prowadzą wykopaliska, analizują ślady i piszą o prawdziwych kopalniach miedzi. Tymczasem profesjonalni archeolodzy pomijają milczeniem ich odkrycia.

Ogromna liczba dowodów wymusza jednak opracowanie nowego paradygmatu. Oficjalne zręby prehistorii Ameryki zostały wzniesione na piaszczystej glebie – bez solidnej podstawy, która osadziłaby je w globalnym kontekście. Michigan od dawna jest opisywany jako stan zmiennej koniunktury gospodarczej. Historia odnotowuje imperia kupieckie zbudowane na handlu futrami i drewnem; XIX-wieczne kopalnie miedzi w tym stanie realizowały aż 4/5 amerykańskiego zapotrzebowania na ten surowiec. I oczywiście Michigan był głównym ośrodkiem światowego przemysłu samochodowego przez większą część stulecia.

Trzeba jednak dopisać jeszcze jeden rozdział historii zmiennej koniunktury gospodarczej tego stanu. Miedź z Michigan posłużyła do zbudowania wielu wspaniałych imperiów w dziejach ludzkości. Ze względu na olbrzymie bogactwo złóż miedzi i słodkowodne szlaki transportowe region ten zajmował znaczące miejsce w starożytnym świecie – zarówno w skali lokalnej, jak i globalnej. Powszechne uznanie tego faktu sprawi, że Michigan znajdzie się w ścisłej czołówce miejsc, w których w przyszłości będą prowadzone badania nad amerykańską prehistorią. Michigan, niegdyś skupiające na sobie uwagę starożytnych, powinno znaleźć się w centrum zainteresowania przyszłych badaczy.

Rozdział 4

Prekolumbijscy przybysze z Pacyfiku

Piramidy Majów

David Hatcher Childress, znany na wszystkich kontynentach jako „prawdziwy Indiana Jones”, jest typem niezależnego archeologa tropiącego prawdę na przekór przedstawicielom archeologicznego establishmentu. Już w wieku 19 lat opuścił dom, by z plecakiem ruszyć na wyprawę dookoła świata. Trzymał się z dala od utartych szlaków, poszukując rozwiązania zagadki początków rodzaju ludzkiego w sposób, który jest absolutnie obcy gabinetowym naukowcom.

W ciągu 20 lat często niebezpiecznych podróży – przeżył zamach stanu Idi Amina Dady w Ugandzie i widział mroczne głębin Oceanu Spokojnego w Mikronezji – Childress zdobył ogromną wiedzę o współczesnym i minionym świecie. Zawarł ją w bestsellerowej serii „Zaginione miasta”, a oprócz tego w ponad 15 innych dalekich od zachowawczości książkach o zamierzchłej przeszłości i alternatywnej nauce. Jest szefem World Explorers Club z Kempton w Illinois, klubu, który ma filie w Peru i Australii. Childress występował też z Charltonem Hestonem w nadawanym w całych Stanach Zjednoczonych programie telewizyjnym *Mysterious Origins of Man* („Tajemnicze początki człowieka”), pojawił się też w programie *The Search for Atlantis* („Poszukiwanie Atlantydy”) z Richardem Crenną.

Już w 4. numerze magazynu *Ancient American* ze stycznia 1994 roku Childress opisał napotkanie niezwyklej piramidy w dżungli Indonezji. Podkreśliło ono dobitnie powiązania między Jawą i Meksykiem na długo przedtem, nim pierwszy Hiszpan postawił stopę w Ameryce Środkowej.

David Hatcher Childress

Poszukiwania piramidy Majów na Jawie

Spędziłem znaczną część dorosłego życia na wędrowce po świecie w poszukiwaniu zaginionych miast i starożytnych tajemnic. Przemierzyłem całą Amerykę Środkową i Amerykę Południową, gdzie poznałem wiele stanowisk archeologicznych, w takich miejscach jak Tikal i Quirigua w Gwatemali czy też Copán w Hondurasie. Pisałem o niektórych zagadkach Majów, udowadniając ich kontakty ze starożytnymi Chińczykami i Hindusami. Wyobraźcie więc sobie moje zdumienie, kiedy odkryłem coś, co wyglądało dokładnie jak zespół piramid Majów, ze stelami włącznie, na zboczu wzgórza w odległym zakątku Jawy. Przyjechałem do Indonezji z Australii, gdzie wygłaszałem wykłady na temat śladów pozostawionych przez starożytnych egipskich podróżników i ekspedycje

górnictwo na wybrzeżach tego kontynentu.

Po tygodniu na Bali popłynąłem promem na główną indonezyjską wyspę Jawę, skupisko dużego wyspiarskiego narodu Azji Południowo-Wschodniej. Udałem się do Dżakarty, na wzgórze starożytnej stolicy muzulmańskiego królestwa. Z Dżakarty można bez trudu odbyć jednodniowe wypadki do tak sławnych miejsc, jak świątynia Borobudur – największa buddyjska budowla świata, skryta pod zastygłą lawą aż do jej odkrycia przez Holendrów na początku XIX wieku. Pewnego dnia, siedząc w kawiarni nieopodal mojego hotelu, przeglądałem stojak z pocztówkami i ze zdziwieniem natrafiłem na kartkę przedstawiającą coś, co wyglądało dokładnie jak czworoboczna piramida Majów otoczona dżunglą. Wokół piramidy widniały nawet stele (rzeźbione kamienne płyty), podobne do wykonywanych przez Majów. Była to Sukuh, starożytna piramidalna świątynia na zboczach góry Lawu niedaleko Surakarty (Solo) w środkowej części Jawy.

Na terenie zdumiewającej świątyni znajdują się kamienne stele oraz schodkowa piramida, która idealnie współgrałaby z każdą inną piramidą w dżunglach Ameryki Środkowej. Opuściłem Dżakartę następnego ranka i pojechałem autobusem do Surakarty, dużego miasta środkowej Jawy oraz prądawnej stolicy jednego z jawajskich królestw. Zameldowałem się w hotelu w centrum miasta i zacząłem wypytywać, jak można dostać się do Candi Sukuh. Dowiedziałem się, że najlepiej będzie wyruszyć nazajutrz o świcie, zatem zamiast udać się tam od razu, wybrałem się na wycieczkę do słynnego stanowiska archeologicznego pracźłowika jawajskiego w wąwozie kilka kilometrów poza miastem. Następnego ranka wsiałem do miejscowego autobusu jadącego w stronę góry, na której mieści się interesujący mnie obiekt. Przez godzinę autobus błędził pośród tarasów z poletkami ryżowymi, zabierając mieszkańców wioski wraz z ich produktami i przewożąc ich na targowiska.

W niedużym miasteczku Karangpandan przesiadłem się do minibusu kursującego małą, ale utwardzoną boczną drogą przez góry środkowej Jawy. Powiedziałem kierowcy, a właściwie wszystkim w autobusie, że zmierzam do Candi Sukuh. Wszyscy skinęli głowami i zapewnili mnie, że powiedzą, gdzie mam wysiąść. Gdy objeżdżaliśmy jakieś wzgórze i zbliżyliśmy się do grupki domostw przy gęsto zalesionym obszarze, zdezelowany minibus zatrzymał się gwałtownie i wszyscy wskazali na drzwi. Chwyciłem plecak i wyskoczyłem na drogę zalaną porannym światłem słonecznym. Natychmiast jakiś młodzieniec z kaskiem motocyklowym w dłoni chwycił mnie za ramię i zapytał: „Candi Sukuh? Zabiorę cię tam motocyklem!”

Sprawdziłem kierunek i upewniłem się, że piramidalna budowla znajduje się u szczytu stromego wzniesienia, przy którym zatrzymał się autobus. Na pierwszy rzut oka było widać, że to bardzo wyczerpująca, godzinna przejażdżka, choć droga nie prowadziła na sam szczyt. Zacząłem targować się z moim zmotoryzowanym przewodnikiem i gotów byłem pomaszerować na wzgórze sam, ale interesowało mnie również zwiedzenie pobliskiego obiektu, który był zbyt daleko, abym mógł do niego dotrzeć pieszo. Zawarliśmy umowę i wkrótce ruszyliśmy pod górę na małym motocyklu. Droga pięła się wyjątkowo stromo. Zapewne tylko motocykl lub mały samochód terenowy z napędem na cztery koła był w stanie pokonać to wzniesienie. Były to zbocza Gunung Lawa, prastarego, zniszczonego wskutek erozji wulkanu, który pomimo upływu czasu zachował symetryczny kształt.

Piramida mieściła się na wypiętrzonym stromym grani, skąd w kierunku zachodnim rozciągał się niesamowity widok na okolicę. Byłem zdumiony widokiem czworobocznej piramidy, przypominającej budowlę Majów, a także wyglądem znajdujących się wokół niej wielu posągów. Główny obszar świątynny był ogrodzony, ale dozorca pozwolił mi przejść przez bramę. Budowla jest mała, tak jak wiele piramid Majów, ma nieco ponad 12 metrów wysokości. Schody po zachodniej stronie prowadzą przez kolejne tarasy ku platformie na szczycie. W zasadzie piramida jest identyczna z tymi, które występują w starożytnym ośrodku Majów w Uaxactun, niedaleko Tikal. Zgodnie z podręcznikami Candi Sukuh to dawna hinduska świątynia, która działała aż do XV wieku, kiedy islam stał się dominującą religią na Jawie, w tym również w odległych zakątkach interioru. Wiele przewodników błędnie podaje, że świątynia jest XV-wiecznym zabytkiem, chociaż jest pewne, że wzniesiono ją wcześniej niż wielką buddyjską świątynię Borobudur, którą zakryła lawa wskutek erupcji wulkanu w IX wieku.



Piramida Candi Sukuh na Jawie w zestawieniu z jej odpowiednikiem z obszaru kultury Majów w Uaxactun (Osiem Kamieni), miejsca nazwanego tak od kalendarza z ośmioletnim cyklem, znalezionego na Jukatanie.



Prawdopodobnie Candi Sukuh ma tysiące lat. Jej początki mogą sięgać 500 roku p.n.e. lub nawet głębiej w przeszłość. Odkąd holenderscy i indonezyjscy archeolodzy zamienili obszar w mały park, nie przeprowadzono żadnych poważnych prac wykopaliskowych ani datowania zespołu. Jedno jest pewne: wyjątkowo stare schody prowadziły z niżej położonych równin Jawy do świątynnej

piramidy. Wielu Indonezyjczyków, jak również archeologów z innych krajów dostrzegło podobieństwo do piramid Majów. Popularny przewodnik po Indonezji Billa Dantona podaje: „Kształt Candi Sukuh ze schodami prowadzącymi do górnych części świątyni jest uderzająco podobny do świątyń Majów z Jukatanu i Gwatemali, które zostały zbudowane w tym samym czasie!” Candi Sukuh to kontrowersyjna i zagadkowa budowla dla samych Indonezyjczyków. Ma wyraźnie seksualną wymowę – wystarczy wspomnieć o posągach mężczyzn trzymających swoje fallusy.



Zgodnie z jedną z teorii świątynia mogła być wykorzystywana do edukacji seksualnej! Na kamiennej posadzce u szczytu stromego tunelu prowadzącego do kompleksu widnieje duży, realistycznie przedstawiony penis zwrócony ku uroczo wyrzeźbionemu reliefowi nabrzmiałej z podniecenia wagi. Uważa się, że świątynie były poświęcone hinduskiemu Bhimie, gigantycznemu bogowi-wojownikowi z wielkiego indyjskiego eposu *Mahabharata*. Rzucający się w oczy posąg na terenie świątyni przedstawia skrzydlatego boga Garudę, którego imieniem nazwano również indonezyjskie linie lotnicze. Większość posągów ustawiono na nowożytnych betonowych płytach, przez co powstał niewytłumaczalny miszmasz rzeźbiarskich stylów, epok i motywów. Można tu ujrzeć posągi strażników dzierżących maczugi w jednej dłoni, a drugą trzymających penisy, stele ze starożytnym południowindyjskim pismem, posągi Bhimy czy pylony z historią Garudy. Tak czy inaczej, jest to zdumiewające miejsce, niepasujące do Indonezji nawet podług indonezyjskich standardów.



Każdy, kto widział Candi Sukuh, zauważa podobieństwo do architektury Majów. Czy mogło istnieć takie powiązanie kultur? Choć nie można wykluczyć, że jakaś samotna wyprawa morska z Ameryki Środkowej dotarła do Jawy i jej uczestnicy wzniesli świątynie w stylu Majów, wydaje się to wątpliwe. Bardziej prawdopodobne jest, że starożytni Hindusi mieli jakiś udział we wczesnym rozwoju zarówno Indonezji, jak i Ameryki Środkowej. Doskonale wiadomo, że starożytni odkrywcy czy kupcy rozpoczęli penetrację indonezyjskiego archipelagu wiele tysięcy lat temu. Indyjscy kronikarze pisali o Indonezji już 600 lat p.n.e. Wspomina o niej także indyjski epos *Ramajana* (prawdopodobnie znacznie starszy). Dawni Nagowie z południowych Indii, Birmy, Azji Południowo-Wschodniej i Indonezji byli potężnym kupcami, którzy przemierzali Indonezję w gigantycznych statkach i teoretycznie przepłynęli poza Indonezję na wielki Ocean Spokojny. Mogli zbadać północne wybrzeża Australii i przybrzeżne obszary Nowej Gwinei. Następnie udali się do różnych wysp na Oceanie Spokojnym aż po Amerykę Środkową.

Antropolodzy opowiadający się za dyfuzją kulturową, tacy jak Thor Heyerdahl, Barry Feli i ja, wierzą, że starożytni Hindusi, Drawidowie, Babilończycy i Kambodżanie żeglowali w wielkich okrętach po archipelagu indonezyjskim, a następnie wyruszyli na wyspy Oceanu Spokojnego, udając się albo na północ, albo na południe od Nowej Gwinei. Dobrze wiadomo, że starożytni hinduistyczni Indonezyjczycy nawiązali kontakt z Majami, co miało wpływ na kształt piramidalnych budowli świątynnych Majów. Antropolog Gunnar Thompson dowodzi istnienia taoistycznych wpływów w Ameryce Środkowej w książce *Nu Sun. Asian American Voyages, 500 B.C.* („Słońce Nu. Azjatyckie wyprawy do Ameryki 500 lat p.n.e.”). Thompson rozpoczyna wywód od opisu starożytnej chińskiej dynastii Shang i przedstawia jej symbole i motywy (najsłynniejszym jest symbol *jin-jang*, ale jest ich znacznie więcej). Następnie odnosi je do znanych dzieł sztuki Majów. W wielu częściach Azji Południowo-Wschodniej taoizm zastąpił hinduizm jako dominującą filozofię owych czasów. Czy taoizm zajął miejsce starszej hinduistycznej religii, która pozostawała w kontakcie z Ameryką Środkową wcześniej niż 500 lat p.n.e.?

Przyjmuje się hipotetycznie, że kolejne starożytne cywilizacje wyruszały z Indonezji na Ocean Spokojny, w tym Egipcjanie, Sumerowie, Hindusi i Chińczycy. Słynny antropolog Peter S. Buck, autor klasycznej pozycji *Vikings of the Pacific* („Wikingowie Pacyfiku”), sądzi, że rasa polinezyjska (do której on sam należy) pochodziła od grup indonezyjsko-malezyjskich. Najwyraźniej przybyły one na wyspy Oceanu Spokojnego na łodziach typu katamaran. Jeśli chodzi o świątynię Sukuh, jej zdumiewające podobieństwo do wczesnych świątyń Majów w dżunglach regionu Peten w Gwatemali może skłonić do pytania, czy jej projekt pochodził z Ameryki Środkowej? A może z jakiegoś innego, trzeciego miejsca? Podobieństwa praktyk Majów, jak wznoszenie piramid, tworzenie kamiennych stel czy pismo hieroglificzne, omawiano w wielu publikacjach zwolenników kulturowego dyfuzjonizmu. Czy piramida Sukuh dowodzi istnienia kontaktów między Azją i Ameryką Środkową?

Podróżując po wyspach rozsianych wokół Jawy, można odnaleźć ślady obecności starożytnych żeglarzy o wysokiej kulturze i rozwiniętej nauce. Indonezyjska wyspa Celebes, leżąca na północ od Jawy, słynie z wielkich, prastarych megalitów Tana Toradża. Te pokryte mchem kamienie przypominają menhiry z Europy Zachodniej. Z całą pewnością są dziełem tworzącego megality żeglarskiego ludu, który przemierzał cały region zachodniego Oceanu Spokojnego od wysp Indonezji, poprzez Nową Gwineę oraz archipelagi Fidzi, Mikronezji, Samoa, Tahiti i Markizy, aż po obie Ameryki. W artykule dla prestiżowego czasopisma *New Scientist* z 12 grudnia 1992 roku, zatytułowanym *Pacific Islanders were the First Farmers* („Wyspiarze z Pacyfiku byli pierwszymi rolnikami”), autorka Leigh Dayton podkreśla, że archeolog J. Golson, pracujący wcześniej dla Australian National University, odkrył rowy i prymitywne poletka w tym regionie Nowej Gwinei.

Wynika z tego, że ludzie uprawiali tutaj rośliny w okresie od 7000 do 10.000 lat p.n.e. Dayton dodaje, że na wyspie Buka w archipelagu Wysp Salomona w trakcie prac wykopaliskowych w jaskini Kioly archeolodzy M. Spriggs i S. Winkler odnaleźli małe narzędzia z kamienia łupanego o powierzchniach pokrytych drobnymi ziarenkami skrobi oraz innymi roślinnymi pozostałościami. Najwyraźniej narzędzi tych używano do przetwarzania bulw kolokazji. Drobinę skrobi przypominają te, które są typowe raczej dla uprawnych, a nie dzikich odmian kolokazji. Wiek znaleziska był zdumiewający – 28.000 lat p.n.e.! Dayton zaznacza, że wiek stanowiska w Wadi

Kubbaniya w Egipcie G. Hilman z Institute of Archaeology w Londynie określił na 17.000-18.000 lat. Stanowisko to również zawierało mnóstwo żaren i pozostałości bulw roślinnych, lecz odkrycie na Wyspach Salomona było 10.000 lat starsze!

Kolejną piramidę przypominającą Candi Sukuh, a nawet kamiennego sfinksa znaleziono na odludnej wyspie niedaleko Nowej Gwinei. Miejsce to jest znane pobliskiej firmie zajmującej się wyrębem lasu, ale poza tym nikt o nim nie wie. Ogromną piramidę oglądali tylko piloci śmigłowców oraz garstka tubylców z wyspy. Stanowi ona jeszcze jeden przykład dawnych powiązań Hindusów i Majów na Oceanie Spokojnym. Jak dotąd nie ukazały się żadne fotografie tego miejsca. Nikt nie zna wieku tej nowogwinejskiej piramidy i „sfinksa” z odludnej wyspy nieopodal Wysp Salomona. Gdy przeprowadzono prace wykopaliskowe na części z ponad 400 zwirowych wzgórz na Nowej Kaledonii, okazało się, że zawierają one cementowe kolumny z wapna i muszel datowane metodą węglową przez Yale i New Caledonia Museum. Uzyskano datę przed 5120 rokiem p.n.e. Te dziwaczne cementowe słupy można znaleźć na południowej Nowej Kaledonii i na Ile des Pins.

Ceramika typu Lapita, występująca na całym obszarze Wysp Salomona, Nowej Kaledonii, Vanuatu aż po Fidzi, Tonga i Samoa, jest datowana na 4000 lat temu. Duży ośrodek na bogatych w drewno i metale Wyspach Salomona stanowiłby doskonałą kolonię morską i bazę wypadową do eksploracji i prowadzenia handlu na Oceanie Spokojnym. Odnajdujemy tutaj powiązania z kultem solarnym z Aroe i religią Polinezyjczyków, w której piramidy pełniły ważną funkcję. Raiatea była ich świętą wyspą i ośrodkiem kultowym. Zbudowali tam masywne platformy i piramidy schodkowe nad morzem, a także wzniesli olbrzymie posągi.

Innymi słowy, liczne archeologiczne dowody potwierdzają istnienie kulturowego powiązania Jawy, na której mieści się Candi Sukuh, oraz regionu Oceanu Spokojnego ciągnącego się aż po Amerykę Środkową z jej kamiennymi świątyniami platformowymi. Starożytne piramidy wciąż istnieją na całym świecie – od Chin i Indonezji, poprzez wyspy Oceanu Spokojnego, aż po Amerykę. Piramidy Majów w Indonezji – lub też piramidy Indonezyjczyków w Ameryce Środkowej – wskazują, że starożytni ludzie i ich architektura mieli zasięg globalny.



Chiński skarb

Na długo przedtem, nim Kolumb wyruszył w odkrywczą wyprawę transatlantycką, Ocean Spokojny przemierzały statki z cesarskich Chin trzykrotnie większe niż *Santa Maria* Kolumba. Ogromne okręty, zdecydowanie lepiej przystosowane do żeglugi niż jednostki Europejczyków epoki odrodzenia, dotarły ponoć na drugi kraniec oceanu, na kontynent nazywany Fu Sang – do krainy, którą wielu badaczy uznaje za Amerykę Północną. Jakby na poparcie takiego stanowiska znaleziono na zachodnim wybrzeżu USA drogocenny chiński obiekt datowany na XV wiek. Napisano o nim w *Ancient American* z grudnia 2003 roku.

Arthur D. Palmer

Pradawne chińskie złoto w Kalifornii

W 1957 roku Orval Stokes i kilku członków jego rodziny polowali w rejonie Susanville w północnej Kalifornii. Niedawno przeprowadzili się w tę okolicę i cieszyli pięknem krajobrazu oraz możliwością rekreacyjnych polowań. Jak dotąd, myśliwy nie zdołał wytropić kozła – wymarzonego celu. Siedział na kamieniu od ponad godziny, cierpliwie wyczekując. Ostrożnie oparł strzelbę o drzewo i podniósł się, żeby rozciągnąć zeszywniałe mięśnie, po czym zrobił kilka kroków i potknął się o coś, co wyglądało jak samochodowy kołpak na felgę sterczący z ziemi.

Wydobywając go z piachu, zorientował się, że przedmiot był cięższy niż zwykły metalowy kołpak. Zapakował go do plecaka. Wróciwszy do domu, przekonał się, że pokryte warstwą brudu naczynie czyści się znacznie trudniej, niż się spodziewał. Odłożył je więc na bok i zapomniał o znalezisku. Siedem lat później postanowił spróbować oczyścić przedmiot szczotką ze sztywnym włosiem. Po porządnym skrobaniu obiekt wciąż był pociemniały, ale Orval mógł wreszcie rozpoznać niektóre obrazy na jego dnie. Stosując łagodny roztwór kwasu, uzyskał niespodziewanie jasny połysk brązu, mosiądzu czy też złota. Nie zrobiło to jednak na nim zbyt wielkiego wrażenia i odłożył obiekt na kolejne 40 lat, aż do chwili, gdy pewna młoda para Chińczyków osiedliła się w sąsiedztwie. Młodzi, dowiedziawszy się o znalezisku Orwała, poprosili, żeby im je pokazał. Chińczyk patrzył na misę zdumiony, jako że natychmiast rozpoznał w niej część skarbu z czasów dynastii Ming. „To zostało skradzione i musi zostać zwrócone!” – obwieścił.

Orval jednak, znalazłszy, a nie ukradłszy ów przedmiot, nie zamierzał oddawać go władzom komunistycznych Chin i zamknął go w szafie pancерnej. Po namyśle udał się do Yixiana Xu, profesora historii Chin na Idaho State University. Naukowiec dokładnie obejrzał naczynie i odkrył słabo widoczną inskrypcję, którą z pewnym trudem zdołał przetłumaczyć. Napis brzmiał: „Wykonano za panowania Xuan De [1426-1435] z dynastii Ming [1368-1644]”. Chiński sąsiad Orwała miał słusność – przedmiot był autentycznym zabytkiem z okresu dynastii Ming i został wykonany najprawdopodobniej ze stopu brązu ze złotem.



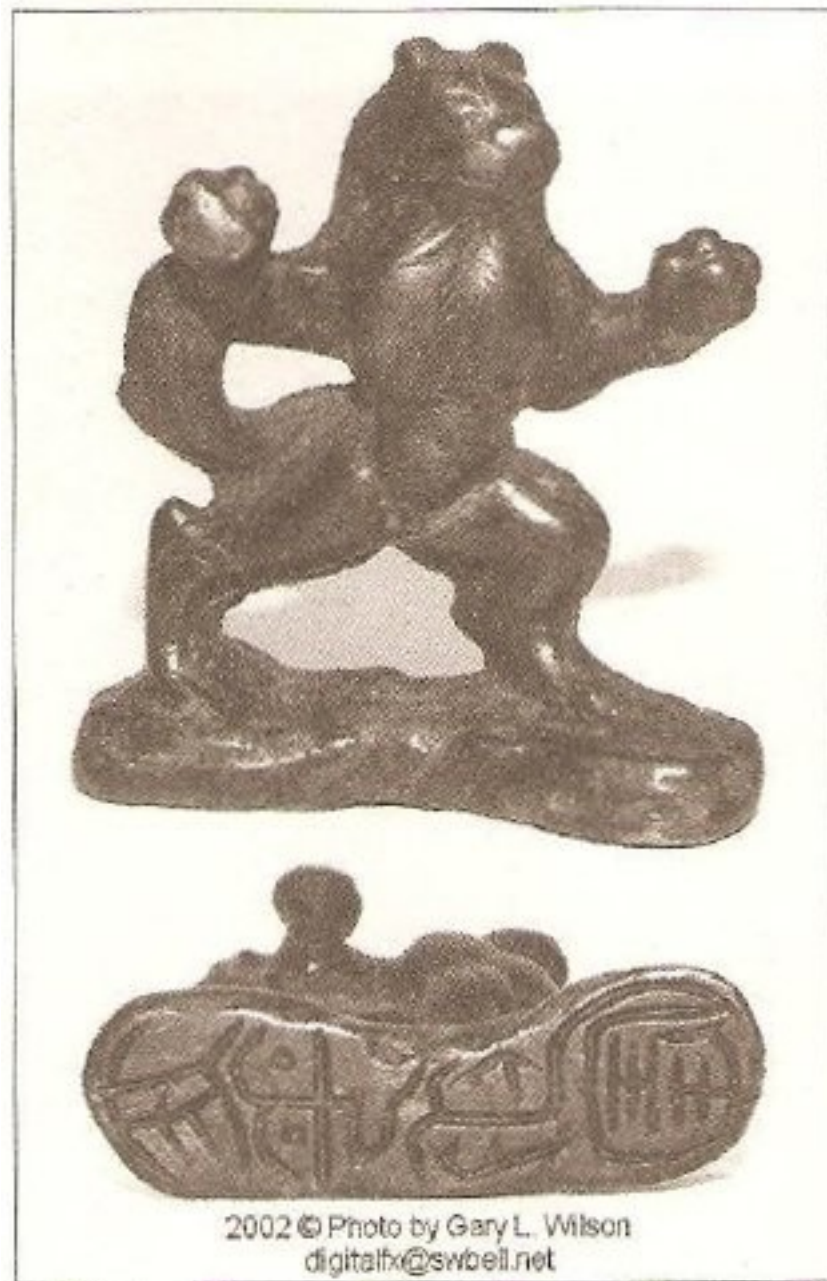
Znalezione w Kalifornii naczynie z okresu dynastii Ming kryje wiele tajemnic. Czy jakiś żeglarz z cesarskich Chin wyprzedził Hiszpanów w dotarciu do Kalifornii?

Mniej pewne jest to, w jaki sposób znalazł się w niedostępnym, rzadko odwiedzanym rejonie Susanville. Niektórzy Indianie Yurok twierdzą, że w ich żyłach płynie chińska krew. Czy jakiś chiński statek ze skarbami mógł przybić do wybrzeża północnej Kalifornii na początku XV wieku? Być może odkrycie Orwała Stokesa stanowi materialny dowód transoceanicznych wypraw na kontynent amerykański ludzi z cesarskich Chin na dziesiątki lat przed zjawieniem się tu zdobywców z chrześcijańskiej Hiszpanii. Dokładne badania obszaru, na którym znaleziono misę, mogłyby przynieść odkrycie kolejnych elementów łamigłówki, cenniejszych niż złoto.



Tajemnicza figurka niedźwiedzia

Przypadkowe odkrycie dokonane przez małą dziewczynkę bawiącą się w piasku może rzucać nowe światło na przybyszów zza Oceanu Spokojnego na amerykański Północny Zachód na długo przed dotarciem na te ziemie XIX-wiecznych osadników. Unikatowy artefakt opisano w magazynie *Ancient American* z maja-czerwca 2002 roku.



Figurka niedźwiedzia z rzeki Puyallup pozostawiona przez przybyszów ze starożytnej Japonii.

Zagadkowe zwierzę ze stanu Waszyngton

Około 1840 roku rodzina osadników przybyła na północno-zachodnie wybrzeże Oceanu Spokojnego – obszar późniejszego stanu Waszyngton. Podczas kopania studni rodzice spostrzegli, że ich czteroletnia córka bawi się czymś, co wyjęła ze sterty sypkiego, wykopanego piachu. Figurka miała około 4,5 centymetra wysokości i 3,8 centymetra u podstawy. Przedstawiała zwierzę podobne do niedźwiedzia, stojące na szeroko rozstawionych tylnych łapach i trzymające w zaciśniętych pazurach jakieś kuliste przedmioty. Była dość ciężka, solidna i najwyraźniej wykonano ją ze stopu kilku metali, w tym brązu i – sądząc po śladach patyny – miedzi. Podstawa była poznaczona symbolami niedającymi się przypisać żadnej znanej kulturze, choć znaki hieroglificzne były wyraźnie azjatyckie. Próby ich jednoznacznego zidentyfikowania oraz ustalenia wieku artefaktu nie przyniosły rezultatu.

Odkrycie obiektu w rejonie Tacoma niedaleko rzeki Puyallup, która uchodzi bezpośrednio do zatoki Commencement na Oceanie Spokojnym, sugeruje, że przedmiot mógł zostać sprowadzony na teren stanu Waszyngton przez pradawnych – uwzględniając wykopanie go z ziemi – przybyszów z oceanu. Wydaje się, że zwierzęca postać tańczy i być może wywodzi się z kultury czczącego niedźwiedzie ludu znanego jako Ajnowie, który zamieszkiwał Japonię wcześniej niż Azjaci. Zaliczono go do przedstawicieli odmiany białej. Profesor Gunnar Thompson w swojej klasycznej już encyklopedii dyfuzji kulturowej *American Discovery, the Real Story* („Odkrycie Ameryki. Prawdziwa historia”), poświęcił cały rozdział 2, zatytułowany *Japanese Voyagers* („Japońscy podróżnicy”), prezentacji mnóstwa dowodów przybycia podróżników ze starożytnej Japonii na północno-zachodnie pacyficzne wybrzeże Ameryki.

Na przykład ołowiane narzędzia z prehistorycznej Japonii znaleziono na stanowisku w Ozette, części Olympia National Park, kolejnym miejscu na wybrzeżu w stanie Waszyngton. Niedźwiedź był również świętym zwierzęciem dla Indian Haida i Tlingit, jednak żadne plemiona z Kolumbii Brytyjskiej nie tworzyły metalowych figurek w czasach prehistorycznych. Choć nie da się odnaleźć żadnych bezpośrednich powiązań między pismem na tym przedmiocie a językami znanymi w Azji, to jednak może on zawierać jakieś protojapońskie symbole dokąd nieodkryte. Nowożytnemu lub miejscowemu pochodzeniu obiektu zaprzeczają okoliczności jego odkrycia oraz brak podobieństwa do przedmiotów miejscowych rdzennych kultur.

Zdaniem doktora Thompsona, japońscy żeglarze zaczęli przybywać na pacyficzne wybrzeże Ameryki 7000 lat temu. Biorąc pod uwagę raczej wysoki poziom wykonania figurki, bardziej prawdopodobna wydaje się data bliższa 1200 lat p.n.e. Jeśli tak, to mały tańczący niedźwiedź mógł być przywieziony przez Ajnów lub innych przybyszów z dawnej Japonii przez Ocean Spokojny, następnie przetransportowany przez zatokę Puget i w górę rzeki Puyallup w czasie, kiedy po drugiej stronie globu toczyła się wojna trojańska. Tak czy inaczej, musi być coś szczególnego w tym tajemniczym, drobnym artefakcie, ponieważ w rodzinie pionierów stał się pieczołowicie strzeżonym skarbem, przekazywanym z matki na córkę – począwszy od dziewczynki, która znalazła figurkę w ziemi ponad 150 lat temu.



Kukurydza łączy dwa światy

Gunnar Thompson, członek bractwa Phi Beta Kappa, w 1968 roku ukończył z wyróżnieniem *magna cum laude* Wydział Antropologii University of Illinois w Urbana. Pomimo imponującego akademickiego dorobku władze uniwersyteckie „zaleciły” mu, by przerwał dalsze studia. Uznały bowiem jego poglądy o prekolumbijskich kontaktach pomiędzy Starym i Nowym Światem za nie do przyjęcia. Thompson, zmuszony do zmiany planów zawodowych, uzyskał doktorat w zakresie konsultacji terapeutycznej na University of Wisconsin w Madison, następnie został profesorem na Wydziale Terapeutyki University of Hawaii w Honolulu. Nigdy jednak nie zarzucił badań nad prehistorią i w 1989 roku opublikował pierwszą książkę *Nu Sun, Asian-American Voyages, 500 B.C.* Pięć lat później wydał cieszącą się szerokim uznaniem *American Discovery, the Real Story*.

W swoim artykule dla październikowego numeru *Ancient American* z 1998 roku doktor Thompson prześledził globalny zakres występowania kukurydzy w czasach prekolumbijskich, aby ustalić, jaki był wpływ Indii na rdzenną ludność Nowego Świata.

Gunnar Thompson

Rajskie nasiona

W 1992 roku w trakcie obchodów 500. rocznicy wyprawy Kolumba Smithsonian Institution sfinansowała wystawę pod tytułem *The Seeds of Change* (Nasiona zmian). Według kustoszy Smithsonian Institution od wyprawy Kolumba w 1492 roku rozpoczęło się rozprzestrzenianie tej rośliny rodem z Nowego Świata po drugiej stronie Atlantyku ku wielkiej korzyści ludzkości. Wydarzenie to bywa określane mianem „wielkiego spotkania” lub „wielkiej wymiany”. U wejścia na wystawę (na jej zorganizowanie wydano 2.500.000 dolarów) widniała ogromna brama zrobiona z 14.000 kolb kukurydzy, najważniejszej rośliny spożywczej, która miała dotrzeć do Starego Świata z Ameryki. Głosi się, że w ciągu dwóch dziesięcioleci od powrotu Kolumba do Europy uprawa kukurydzy rozprzestrzeniła się po całym świecie.

Konserwatywni historycy uzasadniają sławę i chwałę należną Kolumbowi, przypominając na okazałych wystawach prześwieczone osiągnięcia tego żeglarza. Problem w tym, że uprawy kukurydzy istniały w Europie, Afryce i Azji na wiele stuleci przed narodzinami Kolumba. Znajomość tej rośliny w Europie datuje się co najmniej na czasy starożytnego Rzymu. W I wieku Pliniusz Starszy opisał kilka roślin, których uprawę zapoczątkowano w Nowym Świecie. Zaliczył do nich tytoń, a także kukurydzę, którą nazywał „indyjskim prosem”. Już w XVI wieku hiszpański historyk Joseph De Acosta wiedział, że podobna do kukurydzy roślina była znana starożytnym: „Proso, które trafiło z Indii do Włoch 10 lat przedtem, nim opisał je Pliniusz, wykazywało podobieństwo do kukurydzy, jako że jest to, jak on podaje, zboże, które wyrasta niczym trzcina i okrywa się liściem, a na szczycie ma włoski i jest niezwykle płodne; wszystko to zaś nie pasuje do prosa” (Markham, 1880).

Hiszpańscy archeolodzy potwierdzili, że kukurydza występowała w Europie w czasach cesarstwa rzymskiego. Miguel Oliva znalazł pozostałości tego zboża wewnątrz silosów z III wieku w Ullastret na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Ową „indyjską kukurydzę” uprawiano sporadycznie w Hiszpanii i Włoszech aż do czasów Kolumba. Hiszpanie nazywali ją *panizo* (proso). Współczesny Kolumbowi słynny historyk Pietro Martire d'Anghiera porównywał proso (*Panicum*)

rosnące pod Mediolanem i Granadą z pochodzącą z Nowego Świata rośliną *mahiz*, którą Kolumb przywiózł ze sobą z Hiszpanioli w 1493 roku. Pietro Martire odnotował, że ten sam rodzaj ziaren rozmiarów grochu mieli „w obfitości Insubres (mieszkańcy Mediolanu we Włoszech) oraz mieszkańcy Granady (w Hiszpanii)”. Jego relacja znalazła się w liście napisanym do kardynała Sforzy, później zamieszczonym w książce *De orbe novo decades octo* („Osiem dekad Nowego Świata”). W czasie swej trzeciej wyprawy w 1498 roku Kolumb napisał, że „już teraz sporo kukurydzy rośnie w Kastylii”. Zdaje się, że to zbyt mało czasu, by obca roślina zastąpiła tradycyjne gatunki uprawne. Konserwatywni historycy zinterpretowali te słowa tak, że hiszpańscy rolnicy już zaadaptowali „nowe” zboże z Hiszpanioli. Jednak bardziej prawdopodobne jest, że Kolumb po prostu użył indiańskiej nazwy rośliny zamiast *panizo*.

Do Europy różne odmiany kukurydzy dotarły w okresie średniowiecza. Wydaje się, że przywożono je głównie drogą wodną z Azji Mniejszej przez Morze Śródziemne na arabskich lub tureckich statkach kupieckich. Zboże to niezmiennie nazywano *grano de turkey*, „zbożem tureckim”, „zbożem z Mekki”, „zbożem saraceńskim” lub podobnie, dając tym samym wyraz przekonaniu, że źródło jego dostaw znajdowało się na Bliskim Wschodzie.

Botanik Leonhard Fuchs (1542) opublikował najstarszą znaną ilustrację kukurydzy w Europie i opatrzył ją podpisem „tureckie zboże”, dodając łacińską nazwę *Turcicum frumentum*. W tym czasie Fuchs był przeświadczony, że tureckie zboże pochodziło z Bliskiego Wschodu, skąd przywożono je do europejskich portów. Nie istnieją żadne historyczne wzmianki innych ówczesnych botaników, że ta popularna roślina spożywcza mogła być sprowadzana z Nowego Świata. Różne inne nazwy nadawane roślinie sugerują możliwość, że istniało wiele źródeł pochodzenia kukurydzy w Europie. Na wybrzeżach Morza Adriatyckiego we Włoszech tajemnicza, przywożona z morza roślina była znana jako *grana de Brasil*, czyli „zboże brazylijskie”. Nazwę taką wymieniało w pewnym (datowanym na 1193 rok) kupieckim kontrakcie pomiędzy księstwem Ferrary i sąsiednim miastem.

Irlandzkie legendy z tego samego okresu opowiadają o krainie nazywanej Hybresail, leżącej za północnym Atlantykiem. Sugerują możliwość importowania kukurydzy w zamierzchłej przeszłości ze wschodniego wybrzeża Ameryki Północnej. Islandzcy odkrywcy nazwali zboże z Nowego Świata, które odkryli w pobliżu Winlandii, „samosiewnym zbożem”. Odnotowano to w XI-wiecznej sadze. Skandynawowie nazywali to zboże „indycznym”, prawdopodobnie z tego względu, że karmiono nim ten drób. Indyk, ptak z Nowego Świata, również dotarł do Europy w czasach starożytnych. Stąd też wzięło się w krajach północnych tradycyjne przekonanie, że „indyczne zboże” nie nadaje się dla człowieka, ale jest doskonałym pokarmem dla drobiu i świń. Najstarsza wzmiankowana nazwa kukurydzy w Portugalii brzmi *milho marroco* – czyli „zboże z Maroka”. To wskazuje, że Portugalczycy pozyskali kukurydżę z Afryki Północnej.

Mieszkańcy niektórych niemieckich miast nazywali roślinę „zbożem walijskim” i takim właśnie mianem określił ją Hieronimus Bock w swoim zielniku z 1572 roku. Wielu Europejczyków rozróżniało dwie odmiany kukurydzy: w Hiszpanii znano jednocześnie *panizo* i *mahiz*, w Anglii – „zboże tureckie” i „zboże indyjskie”, w Niemczech – „zboże walijskie” i *Indienisches Kom*; Francuzi mieli *bied d'Turquie* oraz *bied d'Inde*. Tutaj określenie „indyjskie” odnosi się do tak zwanych Nowych Indii, które Kolumb zlokalizował po drugiej stronie Atlantyku i nazwał zgodnie z romańską tradycją. Tak różne nazwy nie pasują do uznanej tezy, że kukurydza pochodziła z jednego źródła, czyli została sprowadzona przez Hiszpanów powracających z Nowego Świata. Nazwy te jednak zgadzają się z poglądem, że rozmaite odmiany kukurydzy zostały sprowadzone z różnych miejsc lub w różnych epokach.

Botanicy i historycy nie zajmowali się kwestią pierwotnego pochodzenia kukurydzy aż do początku XVII wieku. Do tego czasu powszechnie przyjmowano, że wszystkie kontynenty są ze sobą połączone, co ułatwiałoby rozprzestrzenianie się roślin drogą lądową. Jednak pod koniec XVI wieku geografowie pojęli, że kontynenty zachodniej półkuli Ziemi, czyli Nowy Świat Ameriga Vespucciego, są skutecznie odseparowane od Starego Świata barierą w postaci wielkiego oceanu. Wkrótce botanicy zrozumieli, że udomowienie roślin musiało nastąpić albo w jednej części świata, albo w drugiej. Kwestia, gdzie rozpoczęto uprawę kukurydzy, stała się kłopotliwym problemem. Europejska tradycja mówiła, że kukurydżę znano najpierw na Bliskim Wschodzie; jednak bez wątplenia ta roślina była także pradawnym elementem flory Nowego Świata.

Z biegiem czasu powstały dwa przeciwstawne obozy: ci, którzy wierzyli, że kukurydżę udomowiono niezależnie na obu półkulach, oraz ci, którzy upierali się, że kukurydza była produktem udomowienia z Nowego Świata, całkowicie nieznanym w Starym Świecie aż do czasów Kolumba. Do zwolenników paradygmatu „dwóch ośrodków” należeli tak słynni botanicy, jak Bock, Ruellius, Fuchs, Sismondi, Michaud, Gregory, Lonicer, Amoreux, Regnier, Viterbo, Donicer, Tragus, Tabernamontanus, Bonafus, St. John, DeTurre, Daru, DeHerbelot i Klippart. Żyli oni w na tyle niewielkim odstępnie czasu, by przyjmować tureckie nazwy kukurydzy oraz przekazy mówiące o imporcie tego zboża z Turcji jako dowód na to, że pochodziło ono z Bliskiego Wschodu. Botanik Tragus porównywał tureckie zboże z roślinami opisywanymi przez Teofrasta i Pliniusza w I wieku.

Oczywiste było również, że kukurydza stanowiła tradycyjne zboże cywilizacji Nowego Świata, dlatego też wskazywano na dwa ośrodki jej udomowienia. Zgodnie z tym w 1588 roku Tabernamontanus zidentyfikował dwa rodzaje kukurydzy: turecką i indyjską. Jego indyjska kukurydza była nową odmianą sprowadzoną z Nowego Świata, który czasami określano jako „Indie Zachodnie” lub „Nowe Indie”. Ta nowa odmiana charakteryzowała się czymś, co nazwał on „korzeniami podporowymi” i większymi kolbami, odróżniającymi ją od odmian ze Starego Świata. Przekonanie, że zboże to było znane zarówno w Starym, jak i Nowym Świecie odzwierciedla naukowa nazwa, którą Linneusz nadał roślinie w 1753 roku. Nazwał ją bowiem *Zea mays*, łącząc greckie słowo oznaczające zboże (*zea*) oraz termin pochodzący z języka Arawaków (*maiz*).

Jednocześnie powiększała się grupa botaników występujących przeciwko modelowi dwóch ośrodków. Utrzymywali oni, że kukurydza była rośliną z Nowego Świata i w żaden sposób nie mogła trafić do Starego Świata przed Kolumbem. Z pewnością dużą zasługę w rozwinięciu tej teorii miała doktryna religijna. Powszechnie już wówczas uważano Nowy Świat za całkowicie odizolowany od reszty globu aż do chwili, gdy postrzegana jako zrządzenie boskie misja Kolumba przetrzała szlaki eksploracji i podboju. Przedstawiciele tej grupy wierzyli, że kukurydza mogła zostać udomowiona tylko w jednym miejscu. Wyraźne podobieństwa między kukurydzą występującą w Ameryce i Europie postrzegano jako dowód, że rośliny miały wspólne odmiany macierzyste. Ponadto kukurydza odgrywała zasadniczą rolę w kulturach rdzennych Amerykanów w przeciwieństwie do Europy, gdzie służyła głównie za karmę dla zwierząt. Dlatego wydawało się oczywiste, że wcześniej znano ją w Nowym Świecie i właśnie tam było jedyne miejsce jej udomowienia. Nazwy kukurydzy istniejące w Starym Świecie, takie jak „tureckie zboże”, zignorowano jako zwroty kolokwialne; przypuszczalnie wszystkie towary importowane lub pośledniej jakości kojarzono z tureckimi kupcami. Nazwy te postrzegano zatem jako pewien anachronizm w epoce po Kolumbie.

Botanik Matthioli w 1570 roku pierwszy przypisał kukurydzy amerykańskie pochodzenie. Rebart Dodoens poszedł w jego ślady w 1583 roku. Camerarius w 1588 roku dodał opis kukurydzy jako amerykańskiej rośliny. Ci, którzy opowiadali się za pochodzeniem kukurydzy z Nowego Świata, brali ewidentne i nagłe rozprzestrzenienie się nowego zboża w Afryce i Azji za dowód ogromnego znaczenia wyprawy Kolumba. Wniosek, oparty wyłącznie na wymyślnych, skomplikowanych wywodach, nie był ani logiczny, ani poparty świadectwami materialnymi i historycznymi. Po prostu służył przedstawieniu w bardziej pozytywnym świetle twierdzeń przeciwnego obozu, który uważał, że tak szybka i gwałtowna zmiana tradycyjnych praktyk rolniczych była niemożliwa.

Zwolennicy doktryny „Kolumb był pierwszy” tworzą historię przez piętnowanie „błędów” swoich poprzedników oraz adwersarzy w tym sporze. Botanik Herbert Prescott ubolewał nad popularną francuską nazwą kukurydzy, *ble de Turque*, czyli „tureckie zboże”. Uznał ją za „błędną” z powodu przeciwnych świadectw, mówiących o udomowieniu kukurydzy w Nowym Świecie. Słynny szwajcarski taksonom Alphonse DeCandolle (1890) również uznał francuski termin za „błąd”. Swoją argumentację wywodził od istotnego znaczenia tej rośliny dla rdzennej amerykańskiej kultury oraz jej podobieństwa do meksykańskiej rośliny *Zea diploperennis*. Jego teoria o pochodzeniu kukurydzy była pełna niepotwierdzonych domysłów. Błędnie zakładał, że oceany stanowiły skuteczną przeszkodę uniemożliwiającą rozprzestrzenienie się kukurydzy aż do czasów Kolumba. Przyjmował również, że roślina była lepsza od wcześniejszych zbóż i rozprzestrzeniła się w Starym Świecie w ciągu dwóch dziesięcioleci od wyprawy Kolumba dlatego, że rolnicy natychmiast docenili jej wyjątkową wartość.

Ta teoria „błyskawicznego rozprzestrzenienia się” kukurydzy była wyłącznie wytworem

wyobraźni DeCandolle'a. Niestety, jego fantazje wielu ochoczo uznało za kanon. Wszelkie świadectwa, które podważały tę teorię, z góry potępiano. Podobnie jak tych, którzy je przedstawiali – oskarżano ich bowiem o nielojalność lub naukową naiwność.

Zwolennicy kulturowego dyfuzjonizmu proponują alternatywne rozwiązanie zagadki. Dowody zdają się wskazywać, że kukurydza była przewożona przez oceany w czasach starożytnych. Gdyby prawdziwa była teza mówiąca o dwóch ośrodkach, roślina z Nowego Świata powinna znacząco różnić się od odmian ze Starego Świata. Tymczasem wszystkie główne odmiany kukurydzy występują na obu półkulach. Gdyby słuszne było przypuszczenie mówiące o izolacji Nowego Świata, nie powinny istnieć żadne świadectwa występowania kukurydzy w Starym Świecie przed czasami Kolumba. A jednak dowody istnienia tej rośliny w Azji i Afryce przed 1492 rokiem są wystarczająco liczne, żeby odrzucić teorię kulturowej izolacji.



W lewej ręce tego XIII-wiecznego posągu z Indii widnieje kolba kukurydzy – dowód, że roślina była znana na subkontynencie indyjskim o wiele wcześniej, nim Hiszpanie sprowadzili ją z Ameryki do innych części świata.

W okresie brytyjskiej kolonizacji w Indiach dzieci uczyły się, że kukurydzę pierwsi sprowadzili na subkontynent indyjski Portugalczycy około 1498 roku wraz z innymi dobrodziejstwami europejskiej cywilizacji. W przeszłości historyczne relacje zdawały się potwierdzać ten pogląd. *Milho* (portugalskie słowo oznaczające kukurydzę) jest wymieniane w archiwach morskich tego regionu już w 1503 roku. Wśród dokumentów znajdują się inwentarze zbóż stosowanych do

wyżywienia marynarzy w portugalskiej flocie, która wyruszyła na Ocean Indyjski.

Wygląda na to, że w ciągu skromnych 11 lat od wyprawy Kolumba portugalscy żeglarze zdobyli zboże, przetransportowali je wzdłuż wybrzeży Afryki i podarowali indyjskim rolnikom, którzy wówczas po raz pierwszy poznali metody uprawy tej rośliny. Wkrótce potem uprawiano ją tam w tak ogromnych ilościach, że można nią było wykarmić załogi portugalskiej floty. Dzięki temu cudownemu osiągnięciu konserwatywni historycy mogli przypisywać Kolumbowi zasługę odmienienia świata za sprawą sprowadzenia kukurydzy z Hispanioli. Dziś jednak jest pewne, że owa koncepcja sprowadzenia kukurydzy do Indii wynikała z motywowanej względami religijnymi krótkowzroczności i naukowej niedbałości.

Mohammed Azhar Ansari i Jaweed Ashraf należą do nowego pokolenia naukowców, którzy zakwestionowali te przestarzałe paradygmaty i akademicką nieporadność doktrynerskich badaczy. Ansari zastanawiał się, jak indyjscy rolnicy mogli tak błyskawicznie zmienić rodzaj upraw. Ashraf zauważył, że europejscy naukowcy całkowicie pominęli istnienie starożytnych rzeźb tej rośliny w indyjskich świątyniach. Nie udało im się też zidentyfikować potocznych, lokalnych nazw kukurydzy w starożytnych tekstach religijnych i medycznych. Rzeźby hinduskich bóstw trzymających kolby kukurydzy występują w dużej liczbie w północnych Indiach i zwracały uwagę amerykańskich geografów. Stephen Jett ściągnął na siebie gniew izolacjonistów w 1976 roku, przedstawiając ilustrację, na której widniała hinduska bogini trzymająca kukurydzianą kolbę. Konserwatywni naukowcy zareagowali stwierdzeniem, że obiekt w dłoni bogini musi być „garścią paciorków, jakimś wyrobem cukierniczym lub owocem granatu”.

Te spekulatywne twierdzenia upadają wobec dogłębnych badań przeprowadzonych przez Carla Johannessena i Annę Parker z University of Oregon. Dokonana przez nich analiza wielu hinduskich posągów potwierdziła, że rośliny przedstawione na kamiennych rzeźbach mają wszelkie cechy kukurydzy: wydłużone łuski, równoległe biegnące rzędy ziaren, jedwabiste nitki na kolbie. Wśród nich znalazły się też hybrydowe odmiany kukurydzy z ziarnami w dwóch rozmiarach. Ich kształty również odzwierciedlają różnorodność kształtów cechującą kukurydzą – są bulwiaste, stożkowe i podłużne. Podobne kolby znajdziemy na współczesnych targowiskach z żywnością.

Rzeźby w świątyniach dynastii Hoysala dzięki historycznym przekazom można datować na wiek XII lub XIII, dlatego należą niepodważalnie do epoki prekolumbijskiej. Według Ashrafa, najstarsze rzeźby kukurydzy w Sanchi w Indiach pochodzą z II wieku p.n.e. W 1995 roku archeolog doktor John Jones udał się do północnych Indii w celu sfotografowania rzeźbiarskich przedstawień kukurydzy. Jego raport terenowy świadczy o sporze, który wciąż toczy się na indyjskich uniwersytetach pomiędzy zwolennikami błędnych przekonań epoki kolonialnej dotyczących kukurydzy a ludźmi przyjmującymi współczesne oceny istniejących dowodów. Naukowiec napisał: „W Halebid zaczęła mnie grupa indyjskich profesorów z pytaniem, skąd pochodzę. Kilku z nich było botanikami. Podekscytowany pokazałem im rzeźby w świątyni i poprosiłem o opinię, co trzymają rzeźbione postaci. Po krótkiej dyskusji stwierdzili, że jest to kukurydza. Poruszyłem wówczas zagadnienie kukurydzy jako rośliny pochodzącej z półkuli zachodniej. To wzbudziło wśród nich ożywione dyskusje w miejscowym języku”.

Nieświadomie Jones wywołał spór w grupie indyjskich naukowców. Zgodnie z powszechną wersją historii odziedziczoną po brytyjskim kolonializmie, kukurydzą uznawano za portugalski import, który przekształcił indyjskie rolnictwo. Jednak profesorowie, których spotkał Jones, doskonale zdawali sobie sprawę, że świątynia pochodzi z XIII wieku! Gdy Jones zauważył ewidentną sprzeczność, musieli natychmiast uświadomić sobie, że kamieniarze nie mogli wyrzeźbić postaci trzymających kukurydzą ponad 200 lat wcześniej, nim została rzekomo „sprowadzona” przez Portugalczyków. Zapewne zastanawiali się, jakich jeszcze błędów nauczano w ramach oficjalnej akademickiej doktryny.

Rzeźby roślinne w świątyniach w Halebid, Mysore, Khadžuraho i Somanthpur niewątpliwie przedstawiają odmiany kukurydzy. Jednak roślina jest tu ukazywana niejako obiekt rolniczy, lecz święty! Wyjaśnia to jeden z powodów, dla których zachodni badacze nie dostrzegli zapisów o kukurydzy w starożytnych hinduskich dokumentach. Zaczęli poszukiwania przeświadczeni o wprowadzeniu tej rośliny przez Portugalczyków, więc szukali wyłącznie wzmianek o *milho* w czasach kontaktów z Portugalczykami. Polegali tylko na dokumentach gospodarczych i całkowicie

pominęli wzmianki w tekstach religijnych i medycznych, nie zadali sobie bowiem trudu uwzględnienia niespożywczych zastosowań kukurydzy w hinduskiej kulturze. Ponadto nie byli biegli w miejscowych językach (hindi i sanskrycie), zlekceważyli więc starożytne *Wedy* i *purany*.

Wyniki badań starożytnych tekstów, podjętych przez Jaweeda Ashrafa, przedstawiono w *Annals of The National Association of Geographers of India* („Roczniki Krajowego Stowarzyszenia Geografów Indyjskich”) z 1994 roku. Prześledził on dawne regionalne nazwy kukurydzy, sięgając do lokalnego nazewnictwa z XVI wieku: *juarijwarijunhari* oraz *makka*. *Juari* Mata była hinduską boginią gorączki; *juari* (kukurydza) to medyczny termin związany z leczeniem gorączki. Na tej podstawie przypuszcza się, że kolby kukurydzy powinny znajdować się w świątyniach poświęconych tej bogini. Szesnastowieczny *Padrivat z Akbaru* opisuje *junari* jako owoc ogrodu królewskiego i pożywienie dla armii Mogołów. Kilka hinduskich słowników podaje również inną nazwę kukurydzy: *lohjara*. XIV-wieczny medyk Hakim Diya stosował lekarstwo, które nazywał *makka* lub *bhutta*.

Te słowa z języka hindi wciąż są stosowane na określenie kukurydzy w niektórych regionach Indii. Arabski podróżnik z tego okresu Tahir Maqaddasi donosił, że na zachodnim wybrzeżu Indii posługiwano się słowem *durah*. Termin ten był synonimem *khundrus*, hinduskiego zioła wspomnianego w grekoarabskim dziele medycznym *Canon medicinae Awicenny*. *Dura* to powszechnie spotykana arabska nazwa kukurydzy, dlatego *khundrus* też można uznać za nazwę tej rośliny. Średniowieczny słownik Mohammeda Husainiego podaje termin *hanta* jako synonim *khundrus*. W owym czasie w niemal całym Indiach powszechnie postrzegano tę roślinę jako lekarstwo lub owoc ogrodowy, podczas gdy w górzystych regionach północy była również uprawą rolniczą. Tłumacz sanskrytu Hakim Huba Khan (1491) zidentyfikował roślinę *mak* lub *makka* jako ajurwedyjskie lekarstwo na gorączkę stosowane w wiekach II-XVIII. Leksykony sanskryckie, *purany* i rękopisy na liściach palmowych także wspominają o roślinie nazywanej *markata* lub *makataka*, co jest starszą wersją *makka* (kukurydza).

Pochodzący z V wieku p.n.e. tekst *Apstharbha Sarutasutra* wspomina o roślinie nazywanej *markataka* – jest to najwcześniejsza spisana nazwa kukurydzy w Indiach. Hinduskie teksty religijne podają, że kukurydza była jedną z 12 roślin podarowanych przez bogów. Jest znana jako „owoc Ramy”, najwyższego z bóstw. Tak głęboka religijna symbolika kukurydzy stanowi poważny argument za tym, że owa roślina, zbożowa czy owocowa, była prastarą rośliną indyjską. Podobnie przekazy tybetańskie świadczą o tym, że kukurydza jest bardzo stara. Lamaiści powiadają, że to pierwsza roślina udomowiona przez śmiertelników. Odgrywa ona zasadniczą rolę w obrzędach na cześć narodzin Buddy. Tego rodzaju tradycje nie zgadzają się z twierdzeniami, że roślinę sprowadzili do Indii portugalscy kupcy w XVI wieku. Geologiczne i archeologiczne znaleziska potwierdziły jej występowanie w starożytnych Indiach. Uzyskany metodą radiowęglową wiek pyłków *Zea mays* znalezionych w ziemnych rdzeniach z odwiertów w Kaszmirze przypada na okres między III i X tysiącleciem p.n.e. Indyjski archeolog doktor Vishnu-Mittre doniósł o odcisniętych wizerunkach kukurydzy na skorupkach rozbitych naczyń ceramicznych z Kolhapur datowanych na rok 1435.

Historyczne zapiski dotyczące chińskich roślin są bardzo skąpe, dlatego możemy tylko spekulować na temat początków uprawy kukurydzy w tej części świata na podstawie kilku krótkich tekstów. *Kronika Ning Po* z II wieku wspomina o zbożu, które paleobotanik Heinrich Bretschneider (1870) zidentyfikował jako kukurydżę. Pochodząca z VI wieku relacja nadwornego historyka Wang Yu Kie o tajemniczej podróży afgańskiego mnicha Hui Shen do krainy o nazwie Fu-Sang może zawierać opis kukurydzy z około 500 roku. Według Yu Kie mnich wrócił z zamorskiej wyprawy z nasionami nowej rośliny, która miała liście podobne do dębowych, łodygę zbliżoną do trzciny cukrowej oraz rudawe owoce o gruszkowatym kształcie (kukurydza?). *Kronika Anwei* z 1511 roku wspomina kukurydżę jako „barbarzyńskie zboże”. Kilkadziesiąt lat później drzeworytnicza ilustracja w zielniku *Pen-tsao-kung-mu* określała kukurydżę jako „sorgo przypominające klejnot” oraz „zboże z Szechwan będące niczym drogocenny kamień” (*shu-cho-yu*). Mieszkańcy innych prowincji nazywali kukurydżę „cesarską pszenicą”.

Portugalska nazwa *milho* nie występuje, mimo że konserwatywni historycy przyjmują, że to portugalscy kupcy sprowadzili „nowe” zboże. Niezależnie od tego, czy przybysze z zewnątrz

rozpropagowali rolnicze zastosowanie kukurydzy, istnieją dowody, że była ona już wcześniej rośliną kultową lub medyczną. Posągi w buddyjskich jaskiniach datowane na VI wiek mają na ramionach wieńce łudząco przypominające kolby kukurydzy. Kukurydza jest bez wątpienia ukazana na ceramicznym malowidle ściennym w prowincji Shanxi. Tam 30-centymetrowa żółta kolba z ziarnami ma długie liście u podstawy. Profesor California State University, Sidney Chang, zidentyfikował malowidło ścienne jako wzór IX- lub X-wieczny. W 1422 roku chińscy oficerowie marynarki wojennej donosili, że widzieli „wyjątkowo duże kolby zboża” podczas wypraw do Afryki i Indii. Żeglarze chana mieli więc zapewne niejedną okazję ku temu, żeby sprowadzić do domu próbki kukurydzy, rosnącej już wówczas w Starym Świecie.

W dziele poświęconym taksonomii roślin szwajcarski botanik Alphonse DeCandolle wspomniał, że ziarna kukurydzy wydobyto z pewnego staroegipskiego sarkofagu. Uznał to jednak za niemożliwe i wytłumaczył jako dowód „nikczemnej arabskiej próby wypaczenia nauki”. Jednak dokonane ostatnio odkrycie w mumii Ramzesa III takich roślin z Nowego Świata, jak krzew kokainowy i tytoń, przestrzegają przed twierdzeniem, że Egipcjanie nie znali kukurydzy aż do 1492 roku. M.D.W. Jeffreys na podstawie wizerunków kolb kukurydzy na skorupach naczyń określił datę sprowadzenia kukurydzy do Ife w Nigerii – stało się to około 1000 lat temu. Poza ziarnami znalezionymi wewnątrz egipskiego sarkofagu i skorupami naczyń z Ife dysponujemy jedynie świadectwami lingwistycznymi.

Kukurydza była tak rozpowszechniona w Afryce Środkowej w czasach portugalskiej kolonizacji, że niektórzy konserwatywni historycy przyjęli, że zboże dotarło tam drogą lądową z Egiptu i Sahary. Choć niektóre nazwy sugerują, że kukurydza bywała sporadycznie sprowadzana przez Portugalczyków, większość lokalnych nazw, podobnie jak utrwalone silnie tradycje kulturowe, wskazują, że roślina ta występowała na tych terenach w dawniejszych czasach. Najwcześniejsze portugalskie wzmianki o kukurydzy w Afryce Zachodniej znajdują się w kronice Valentima Fernandeza (1502). Donosił on, że widział *milho zabuffo* na wybrzeżu. Późniejsi autorzy przyrównywali tę roślinę do *mehiz* z Indii Zachodnich. Jeden z nich zamieścił szkic rośliny w książce *Del navigatione e viaggi* („Wyprawy morskie i podróże”) z 1554 roku.

Roślina była znana w Afryce Zachodniej jako *misr*. To arabskie słowo oznacza „Egipt”. W liście datowanym na 1514 rok kupiec Goncalo Lopes wspominał, że odebrał „czerwone zboże” z Sierra Leone. Osiemnastowieczny żeglarz John Locke opisywał w 1554 roku pewną „pszenicę” na zachodnim wybrzeżu Afryki, która miała kolby z ponad 200 ziarnami wielkości grochu. Brytyjski marynarz Andrew Battell (1591) pisał o „pszenicy” w Angoli, znanej również jako „gwinejska pszenica”, co było powszechną europejską nazwą dla kukurydzy na Gwinei. Tubylcy nazywali to zboże *masa maputo*. Nad rzeką Niger kukurydza była nazywana *clough-eub* w Zanguay i *makkary* w Fuli.

Gdy europejscy odkrywcy spotkali tamtejsze plemiona w XVII wieku, w obu miejscach kukurydza odgrywała istotną rolę w kulturze i religii. W 1746 roku brytyjski botanik Thomas Ashtley opisał cztery rodzaje kukurydzy rosnące w Angoli.

Jedna odmiana, *massanga*, miała kolby metrowej długości. Inne odmiany to: *masambala*, *masinpeta* („gwinejska pszenica”) oraz *masamambala* („wielkie proso”). Jeszcze inna odmiana, *mazza* (lub *mazza maput*), była znana Portugalczykom jako „zboże kongijskie”; karmiono nią tylko świnie. Duarte Lopez widział tę roślinę w Kongo w 1591 roku. Fonetyczne zbieżności między indyjsko-perskim terminem *makka*, zachodnioafrykańskim *mazza* i indiańskim *maize* stanowią lingwistyczny ślad starożytnych transoceanicznych kontaktów.

Konserwatywni historycy utrzymują, że afrykański termin *mazza* pochodzi od portugalskich handlarzy niewolników, którzy przywieźli ze sobą indiańską nazwę *maize* wraz z udomowioną rośliną po 1492 roku. Jednak potoczne portugalskie określenie kukurydzy najwyraźniej stanowi świadectwo tego, jaką rolę odegrali w XVI wieku Portugalczycy w popularyzacji kukurydzy – ale tylko w kilku miejscach. Jednym z nich była Afryka Południowa, gdzie rdzenni mieszkańcy nazywali kukurydżę *mielie* lub *mealie*, co najprawdopodobniej pochodzi od portugalskiego *milho*. W 1798 roku odkrywca Lacerda donosił o kukurydzy rosnącej w głębi zachodniej Zambii. W swoich zapiskach z prac terenowych określał ją mianem *milho grosso*. Później tłumacze porównywali *milho grosso* z hinduskim *diowarri*, perskim *durrah*, indiańskim *maize*. Najwyraźniej

była to ta sama roślina.

Europejscy dostawcy „tureckiego zboża” w średniowieczu uzyskiwali nasiona i zapasy kolb z jeszcze bardziej odległych źródeł. Kukurydza była znana Turom jako *misr* („egipskie zboże”) lub *kukuruz* („barbarzyńskie zboże”). Arabowie nazywali ją *dhurah India* („sorgiem z Indii”), abisyńskim sorgiem („etiopskim zbożem”), *bandum-i-makka* oraz *hanta-i-rusia* („zbożem z Rosji”); w Egipcie określano ją syryjskim sorgiem. Persowie nazywali kukurydżę *ghendum*, *ghendumi-makkah*, *haldah*, *duram-i-makka*, *kakui*, *Jao-i-barhana* oraz *gandum-isahrai*. Inne perskie określenie rośliny sugeruje, że przynajmniej jedna jej odmiana pochodziła z Rosji. Pisano o niej w XV-wiecznym tekście. Przypuszczalnie rosyjską kukurydżę pierwotnie sprowadzili hanzeatyccy kupcy żeglujący po północnym Atlantyku.

Kukurydza odgrywała ważną rolę w starożytnej grecko-arabskiej tradycji medycznej, której przedstawicielem był Awicenna. Jedną z medycznych nazw kukurydzy to *hantah-i-rumi*. Średniowieczne słowniki medyczne uznawały *hanta-i-rumi* za ekwiwalent *khundur*s („kukurydza z Indii”). Jeden ze słowników, *Nasiral-Mualyin* podaje, że *khundur*s to arabska nazwa *foqowar* („kukurydza z Indii”), zaś roślina ta jest znana w Persji jako *durah-i-makka*. Oto jej opis: „Owoc to bulwa pełna słodkich, białych ziaren. Roślina wzrasta na wysokość człowieka i przypomina trzcinę cukrową”. Al-Ber-uni w medycznym słowniku z 1385 roku stwierdza, że jej owoc to „kolba czerwonych, białych lub żółtych ziaren wielkości grochu”. Wymienione cechy pozwalają utożsamiać tę roślinę z kukurydzą. Inne gatunki zbóż, takie jak proso, jęczmień, pszenica czy sorgo, mają mniejsze ziarna i nie występują w odmianach różniących się barwą.

Najstarszy dotychczas odnaleziony ślad istnienia kukurydzy pochodzi z Meksyku. Tam botanik Paul Manglesdorf oszacował wiek uległych fosylizacji pyłków roślinnych na prawie 80.000 lat. Pyłek pobrano z geologicznych próbek rdzeni ziemnych wywierconych na głębokość 200 metrów pod miastem Meksykiem. W pobliskiej dolinie Tehuacan archeolog Richard MacNeish odkrył kolby kukurydzy, które datowano metodą radiowęglową na 5000 lat p.n.e. Co istotne, botanicy zidentyfikowali dwie rodzime trawy, *teosinte* i *diploperennis*, które wyraźnie przypominają kukurydżę. Do czasu wyprawy Kolumba lokalne odmiany kukurydzy rozprzestrzeniły się w obu Amerykach: Północnej i Południowej. Na Haiti Kolumb natrafił na zboże, które miejscowi nazywali *mahiz*, co jest typowym określeniem kukurydzy w regionie karaibskim. W innych miejscach kukurydza występowała pod różnymi lokalnymi nazwami. W Wirginii określano ją mianem *pagatowar*. W okolicy Bostonu była znana jako *nokehick* lub *nasaump*. Mieszkańcy Natchez zwali ją *boota copassa*. Dla Irokezów była *sagamite*. W Brazylii jedno z określeń, *milho de Guinea*, prawdopodobnie pojawiło się wraz z afrykańskimi niewolnikami w XVI wieku. Nazwa sugeruje, że kukurydza i niewolnicy z Gwinei zostali razem sprowadzeni do Brazylii. To tylko jeden historyczny przykład przywiezienia kukurydzy ze Starego Świata do Ameryki Południowej – miejsca, w którym istniały już lokalne odmiany tego zboża.

Kolumb mógł przywieźć próbki kukurydzy z powrotem do Hiszpanii w 1493 roku. Choć może się to wydawać dziwne, nie ma żadnych historycznych śladów tego, że Hiszpanie lub inni Europejczycy zakładali uprawy z nasion z Nowego Świata aż do połowy XVI wieku (długo po tym, jak portugalscy koloniści rzekomo sprowadzili „nową” roślinę na wybrzeża Afryki i Azji). Występująca w Ameryce kukurydza, czy też „indyjskie ziarno”, mogła zapewnić większy plon niż odmiany rosnące już w Europie. Jest to prawdopodobne, jeśli przyjrzeć się ilustracji Tabernanontanusa (1588), na której kolby i ziarna indyjskiego zboża z regionu karaibskiego są znacznie większe niż u rośliny z Europy, czyli „kukurydzy tureckiej”.

Ani paradygmat izolacjonistyczny, ani model dwóch ośrodków udomowienia nie wyjaśniają zadowalająco faktu, że kukurydza zachowała zarówno genetyczne zróżnicowanie, jak i genetyczną kompatybilność populacji z obu kontynentów. Nie byłoby to możliwe, gdyby rośliny były skutecznie odizolowane przez kilka tysięcy lat.

Jednym z argumentów przemawiających za pochodzeniem kukurydzy z Chin lub Indii jest obecność prymitywnych odmian rośliny, które uszlachetniano na wczesnych etapach wprowadzania uprawy. Przypuszczalnie, gdyby kukurydżę sprowadzili tam Portugalczycy, występowałyby tylko współczesne odmiany i miałyby one europejskie nazwy, takie jak „portugalskie proso”. Zwolennicy paradygmatu izolacjonistycznego dowodzą, że takie prymitywne odmiany – wciąż rosnące na

gorszych ziemiach – nie stanowią dowodu na udomowienie rośliny w Azji, ponieważ te same odmiany występują również w obu Amerykach. W tym przypadku izolacjoniści zakładają, że prymitywne odmiany, tak jak współczesne, zostały sprowadzone do Chin i Indii przez Portugalczyków. Logika podpowiada, że Portugalczycy musieliby sprowadzić wszystkie odmiany kukurydzy z różnych obszarów Ameryk do Azji przy jednoczesnym zachowaniu genetycznej odrębności każdej odmiany. Byłoby to imponujące przedsięwzięcie. Być może zbyt wielkie, by w ogóle je brać pod uwagę.

Ponadto nie istnieją żadne historyczne podstawy, że takie simultaniczne wprowadzenie wielu odmian rośliny kiedykolwiek przebiegało pod patronatem portugalskich żeglarzy.

Aby usunąć niedociągnięcia starszych teorii o pochodzeniu kukurydzy, przedstawiam nowy paradygmat: roślina ta jest produktem globalnego udomowienia. Była transportowana przez oceany dzięki starożytnym odkrywcom, przyjmowana przez wiele ośrodków kulturowych i wielokrotnie krzyżowana. To okresowe rozdzielanie, a następnie ponowne łączenie różnych odmian tej rośliny niewątpliwie przyczyniło się do powstania ogromnej liczby odmian kukurydzy, którymi możemy się dzisiaj cieszyć.

Rozdział 5

Wikingowie wylądowali!

Wieża w Newport

Przedstawiona w epickim poemacie Henry'ego Wadswortha Longfellowa *The Skeleton in Armor* („Szkielet w zbroi”) surowa wieża na Rhode Island jest od przynajmniej 200 lat przedmiotem żywiołowego sporu. Choć większość niezależnych badaczy podkreśla jej podobieństwo do innych budowli ze średniowiecznej Skandynawii, naukowcy akademicki głównego nurtu nauki (odrzucający wszelkie związki z wikingami) utrzymują, że był to po prostu wiatrak należący do niesławnego zdrajcy Benedicta Arnolda. Paul Chapman w tekście dla *Ancient American* z lipca-sierpnia 1996 roku wyszukał słabe punkty w oficjalnym opisie tej zabytkowej budowli i wykazał, jak ojciec nowożytnej kartografii pomógł potwierdzić jej prekolumbijskie pochodzenie. Chapman, autor wnikliwych artykułów dla *Ancient American*, w latach 90. XX wieku napisał również książkę *Norse History of America* („Wikińska historia Ameryki”), która była podręcznikiem na Harvard University i chwalona przez redaktorów *U.S. News & World Report*.

Paul H. Chapman

Wieża w Newport: kolonialny wiatrak czy latarnia morska wikingów?

Oficjalna teza akceptowana przez środowisko akademickie mówi o kolonialnym pochodzeniu wieży w Newport na Rhode Island. Teza ma jednak poważne niedociągnięcia. Zawiera tyle wewnętrznie sprzecznych danych, że podważa to całą argumentację. Archeolog William S. Godfrey junior został wyznaczony do przeprowadzenia prac wykopaliskowych w latach 1948-1949 w celu ustalenia, czy kamienna wieża jest dziełem Skandynawów przybyłych do Ameryki przed 1000 lat, czy zwyczajną budowlą z okresu kolonialnego. Wyniki jego odkryć opublikowano później w *American Antiquity* (2, 1951): „Wieża nie mogła zostać zbudowana przed drugą połową XVII wieku. Nie można dłużej brać pod uwagę teorii mówiącej o wikingach”.

Jednak w trakcie zbierania materiałów do książki *The Norse Discovery of America* („Odkrycie Ameryki przez wikingów”) zauważyłem, że już na mapie Merkatora (Gerharda Kremera) z 1569 roku widać wieżę w Newport nad zatoką Narragansett. Ponieważ Merkator opublikował mapę jakieś 67 lat przed rozpoczęciem kolonizacji, staje się jasne, że wieża nie ma pochodzenia kolonialnego. W odróżnieniu od słynnej *Vinland map* (Mapy Winlandii) z biblioteki Yale University mapa Merkatora została opracowana przez znanego kartografa i ma znaną historię. Jest przechowywana w Markiem Museum Prins Hendrik w Holandii. Merkator był słynnym twórcą map, pionierem w tej dziedzinie. Opracował nazwaną jego imieniem powszechną dziś metodę tworzenia

map, tzw. odwzorowanie Merkatora. Wydaje się, że zamieszczenie przez niego informacji o wieży na mapie z okresu przedkolonialnego stanowi niepodważalny dowód na istnienie tej budowli przed przybyciem Europejczyków w XVII wieku.

Jednak pomimo odkrycia wieży na mapie Merkatora specjaliści z kręgów establishmentu nie przestają obstawać przy swoich przestarzałych teoriach. W 1982 roku Archaeological Institute of America działający w Chicago Historical Society był jednym ze sponsorów sympozjum zatytułowanego *Vikings in the West* („Wikingowie na Zachodzie”). Prezentowano tam wówczas tekst *Viking Hoaxes* („Wikińskie oszustwa”) Briggity Wallace. Moich też nikt nie zauważył, natomiast odkurzono interpretację Godfrey'a sprzed 32 lat. Jego pełen niedociągnięć raport był traktowany z istną czcią jako akademicka klasyka demaskowania oszust naukowych. Co więcej, rozszerzono go nawet, pomijając mnóstwo nieścisłości. Na poparcie wniosków Godfrey'a Wallace oświadczyła, że „wykopaliska dowiodły również raz na zawsze, że ambit otaczający wieżę nigdy nie istniał”.



Tajemnicza wieża na Rhode Island zdradza niezwykle podobieństwo do średniowiecznych budowli w Skandynawii.

Raport Godfreya podaje jednak, że „w wykopanym rowie, który rozciągał się od otworu w wieży, znaleziono dół prawdopodobnie po jakimś słupie”. Możliwe że był to dół na słup ogrodzenia, tak jak to postulowałem, nie można jednak odrzucić możliwości, że znajdowała się w nim kolumna jakiejś sąsiedniej budowli. Mapa Merkatora pokazuje taką właśnie sąsiednią budowlę. W każdym razie wkopywane w ziemię słupy nie są niezbędne do wznoszenia zabudowań; w Ameryce domy bez nich budowano nawet w XX wieku. Doktor Godfrey sumiennie rozkopał rów pod tą budowlą i opisał szczegóły swojej pracy, uwzględniając nawet te materialne świadectwa, które nie pasowały do wyników jego analizy. Pozostał jednak ślepy na prawdę, którą sam odkrył. Nie jest niczym dziwnym, że współpracownicy Godfreya, którzy przyjęli jego raport, wykazali się równie małą otwartością umysłu oraz godną pożałowania ignorancją jego treści. Nawet współcześnie środowisko archeologów i historyków na ogół ślepo akceptuje tę przestarzałą opinię pomimo jej wad tylko dlatego, że ogłosił ją „ekspert”. Jak zauważył Christopher Fry w sztuce *The Lady's not for Burning* („Pani nie jest do spalenia”): „To, co oficjalne, jest bezsporne”.

Dlaczego raport Godfreya jest błędny? Co dziwne, naukowiec rozpoczyna stwierdzeniem: „Ciężar dowodów sprzyja teorii wikińskiej”. Potem jednak poprawia się i dodaje: „Ciężar źródeł sprzyja teorii kolonialnej”. Innymi słowy, Godfrey przyznaje się, że ignoruje te dowody, które działają na niekorzyść akademickich zleceniodawców. Jego wyznanie to wiele mówiący komentarz do żalostnego stanu współczesnej archeologii. Jedynym potwierdzeniem kolonialnego pochodzenia wieży był testament ówczesnego zarządcy Benedicta Arnolda, w którym „wspominał wieżę”. Następnie Godfrey przytacza tę ostatnią wolę: „Mój kamienny wiatrak”. Takie oświadczenie o własności, zawarte w testamencie, nie stanowi dowodu, że to Arnold postawił wieżę. Możemy przyjąć, że gdyby tak było, osobista duma skłoniłaby go do stwierdzenia: „Kamienny wiatrak, który zbudowałem”. Testament Arnolda to mizerny dowód na kolonialne pochodzenie budowli i całkowicie niewystarczający argument do potwierdzenia rzeczywistego znaczenia wieży. Co ważniejsze, ujawnia przyjęte z góry stronnicze nastawienie autora.

Pewien zwolennik wikińskiego pochodzenia budowli przedstawił mapę obszaru zatoki Narragansett sporządzoną w 1634 roku. Ukazywała osadę podpisaną „Old Plymouth” na wschodnim brzegu zatoki. Godfrey atakuje tego badacza, uważając, że jego „twierdzenie, iż »znajduje się ona dokładnie w miejscu dzisiejszego Newport«, jest bezpodstawne (...), nie poparte niczym więcej niż osobistą interpretacją danych, która prawdopodobnie jest błędna”. Godfrey szukał dziury w całym. Jeśli chodzi o „dokładne” położenie, to „Old Plymouth” rzeczywiście widnieje na wschodnim brzegu zatoki. Newport też jest na wschodnim brzegu. Pozycja, mimo że nie jest całkiem precyzyjna, z pewnością jest poprawna.

Następnie Godfrey potępił jako „dokumentnie błędne przekonanie” to, że tzw. petycja Plowdena z 1632 roku odnosiła się do wieży w Newport. Zawierała ona prośbę o przyznanie Long Island oraz części lądu stałego i wspominała o „okrągłej, kamiennej wieży”. Autor dowodzi, że „trudno uwierzyć w twierdzenie Hollanda, jakoby odnosiła się do wieży w Newport. Żadna interpretacja owej petycji nie pozwala uznać, że Rhode Island mogła być stałym lądem przylegającym do Long Island”.

Współczesna Rhode Island znajduje się po przeciwnej stronie zatoki Block Island Sound w stosunku do Long Island. Mapy z XVII wieku nie zawsze były skonfigurowane względem północy i południa – często mapy przybrzeżne były zorientowane względem linii brzegowej. Zgodnie z tym nawet współczesna Rhode Island byłaby przedstawiona jako „przylegająca”.

Godfrey upierał się, że zatoka Narragansett nie jest Winlandią ze skandynawskich sag. Przynajmniej w tym jednym punkcie mogę się z nim zgodzić. Analizy nawigacyjne przedstawione w mojej książce lokalizują Winlandię gdzie indziej. Jest to jednak kwestia dyskusyjna. Sagi winlandzkie obejmują krótki okres około 15 lat, a wiadomo, że wikingowie wyruszali na wyprawy morskie z Grenlandii przez blisko 500 lat. Trzeba przyjmować możliwość istnienia innych osad.

O kominku na pierwszym piętrze wieży w Newport Godfrey pisze: „Wielu architektów i znawców archeologii bezowocnie dyskutowało o tych obiektach, ale pod względem charakterystyki fizycznej wieża pozostaje zagadką”. Pokazałem lokalizację kominka (włącznie z jego położeniem na pierwszym piętrze), a także kształt i rozmiary okna w przeciwległej ścianie, które rzucało sygnały świetlne z kominka w kierunku kanału. Tym samym wieża służyła za latarnię morską. Moja

hipoteza została jednak opublikowana dopiero po tym, jak Godfrey sporządził raport.

Dochodzimy teraz do błędnego rozumowania, które doprowadziło archeologa do opacznego zrozumienia własnych dokonań. Podczas prac wykopaliskowych odkrył niebieskawą glinę na podłożu skalnym w sąsiedztwie żółtej gliny. Nad nią znajdował się gliniasty piasek zawierający artefakty kolonialne, a następnie „prawdopodobnie pozostałości oryginalnej żwirowej posadzki (...). Tym samym potwierdziliśmy obecność warstwy brunatnej ziemi poniżej najstarszej posadzki”. Zgodnie z relacją autora żwir odkryto w trakcie wykopywania rowów. Nie pokrywał całej posadzki. Występował tylko w trzech miejscach. Mimo to badacz spekuluje, że były to „prawdopodobnie pozostałości oryginalnej żwirowej posadzki (...)”.

Po pierwsze, przyjmuje on, że żwir występował na całym poziomie. Następnie zakłada, że posadzkę wykonano ze żwiru. Wreszcie stwierdza, że była to oryginalna posadzka. Nie istnieją dowody na potwierdzenie któregokolwiek z tych przypuszczeń. Godfrey zapomniał o stosowaniu gliny jako materiału na posadzki lub może pominął ten fakt. Podczas wyprawy badawczej na Wyspy Owce natknąłem się na taki dom. Posadzka wyglądała zadziwiająco schludnie i czysto, zupełnie jak linoleum. Wydaje się znacznie bardziej prawdopodobne, że górna warstwa gleby, o której wspomina naukowiec (tj. brunatny piach), została nagromadzona po wzniesieniu całej budowli. Założenie archeologa, że trzy odseparowane od siebie kupki żwiru są fragmentem oryginalnej posadzki, jest po prostu nie do przyjęcia. Posadzka powinna rozciągać się od ściany do ściany, a nic nie wskazuje, że tak było w tym przypadku.

Po drugie, nie ma powodu wierzyć, że żwir został wykorzystany jako materiał na posadzkę, podczas gdy już znajdowała się tam doskonale nadająca się do tego glina. Bardziej logiczne wydaje się inne wytłumaczenie obecności kupek żwiru. Jak zauważył Godfrey, przynajmniej dwukrotnie w czasach historycznych przy wieży przeprowadzano prace budowlane. Poza tym na zewnątrz ewidentnie istniały dwa kolejne obiekty: cementowy chodnik oraz żelazne ogrodzenie osadzone w betonie. Oba wymagały użycia żwiru, zaś w epoce przed wynalezieniem betoniarek żwir był sprowadzany na plac budowy wraz z piaskiem i cementem, następnie magazynowany w dowolnym, zdatnym do tego zadaszonym miejscu. Wieża mogła służyć za taki magazyn.

Godfrey i jego współpracownicy doszli też do wniosku, że ponieważ kolonialne artefakty odkryte w górnej warstwie gleby znajdowały się poniżej poziomu posadzki, to cała budowla miała pochodzenie kolonialne. Na nieszczęście dla tych konserwatywnych badaczy, główna idea ich raportu bazowała na założeniu dotyczącym żwiru. Pośrodku wieży w Newport łowcy skarbów wykopali niegdyś dół głębokości 1,2-1,5 metra. Nie był to wcale jedyny przypadek naruszenia tego miejsca. Sami archeolodzy nazwali kolejny obszar „dołem do grillowania” ze względu na występujące w nim duże ilości kości i zwęglonego drewna. Twierdzenie, że został ponownie wypełniony, uznali za „ryzykowne”. W latach 1930-1948 ekipy remontowe „rozkopały środek wieży i pod koniec sezonu w 1948 roku uzupełniły wierzchnią warstwę ziemi”.

Najważniejszy wątek dotychczasowych badań ujawniają jednak nie wykopaliska archeologiczne, lecz kolejny pisemny raport przytaczany przez Godfreya. Mówi on o „planach pomiarowych Catherwood z 1837 roku, które ukazują odsłoniętą ponad 40-centymetrową część bębna północnej kolumny”. Sposób myślenia Godfreya o „poziomie posadzki” nabiera sensu. Szukał on wyłącznie dowodów na poparcie swojej teorii o kolonialnych początkach wieży, tylko one go interesowały. Odrzuciwszy z góry wszelkie rozważania nad możliwym przedkolonialnym pochodzeniem wieży w Newport, w planie pracy skupił się wyłącznie na znalezieniu argumentów dla swoich politycznie poprawnych założeń. Godfrey pisze: „W celu obejrzenia tego obszaru usunąłem kilka luźnych kamieni u podstawy kolumny, ale nie sposób było stwierdzić, czy były one najwyższymi kamieniami węgielnymi otynkowanego bębna. W brunatnej ziemi, chroniony przez jeden z usuniętych przeze mnie kamieni, znajdowały się niewielki zamek skałkowy i fragment tynku. Obiekty te tkwiły w brunatnej ziemi pod krawędzią kolumny”.

Autor wcześniej rozsądnie przekonywał, że „trzeba było koniecznie wypełnić rów (wokół kamieni węgielnych) przed rozpoczęciem prac naziemnych, jako że kamienie węgielne nie były wcześniej łączone zaprawą ani dopasowywane w jakikolwiek sposób. Najwyraźniej to ponowne wypełnienie przeprowadzono przed pokryciem kamieni węgielnych zaprawą murarską”. Godfrey pisze dalej: „Wykopaliska po wewnętrznej stronie pionowych kolumn ujawniły, że żółtozielona

głina, która wypełniła rów, jak również bardzo cienka warstwa gliniastego piasku pokryły część kamieni węgielnych, zanim wylano zaprawę murarską (...) na powierzchnie przygotowane pod zaprawę, następnie zbudowano kolumny, przypuszczalnie kształtując z grubsza kamienie po ich ułożeniu, a potem otynkowano bębem”.

Jak z tego wynika, otynkowanie ścian i bębna nastąpiło po ponownym umieszczeniu kamieni węgielnych i położeniu warstwy zaprawy. Jako że kawałek tynku przedostał się pod spód, mogło do tego dojść tylko podczas jakichś prac wykopaliskowych. Wskutek podobnego rozkopywania ziemi w to samo miejsce mógłby się dostać „niewielki zamek skałkowy”.

Nie ustalono daty wzniesienia wieży w Newport w okresie kolonialnym. Archeolodzy, historycy i antropolodzy z kręgów establishmentu, którzy bezkrytycznie przyjęli wnioski Godfrey'a, muszą ponownie przyjrzeć się jego dowodom. Niezależnie jednak od roku jej budowy, przedkolonialne początki wieży w Newport są oczywiste. Mimo że niczego podobnego nie wzniesiono w Nowej Anglii, jej duże podobieństwo do budowli konstruowanych na wybrzeżach XI-wiecznej Szwecji potwierdza, że była to latarnia morska z epoki wikingów, służąca skandynawskim podróżnikom z północnego Atlantyku.



Kot maine coon

Artykuł w *Ancient American* opisujący pewnego kota z Nowej Anglii z prekolumbijskim rodowodem przyciągnął uwagę czytelników od Nowej Zelandii po Holandię i wywoływał żywe reakcje przez lata od chwili jego publikacji we wrześniu-październiku 2002 roku. Sally, kotka rasy maine coon, o której opowiadał ów artykuł, zdążyła w międzyczasie przenieść się do krainy wiecznych łowów, lecz przetrwała pamięć o niej oraz o wpływie, jaki wywarła jej rasa na prehistorię amerykańskiego kontynentu.

Frank Joseph

Kot wikingów, który odkrył Amerykę

Analiza DNA to nie tylko rewolucyjna metoda pracy policyjnej. Pozwala również na odkrywanie niedostępnych w inny sposób informacji historycznych o nie mniej rewolucyjnych konsekwencjach dla naszego pojmowania przeszłości. Za przykład niech posłuży niespodziewane rozwiązanie starego sporu dotyczącego kotów rasy maine coon. Rasa ta od dawna zdumiewała biologów, ponieważ nie potrafili wyjaśnić wyjątkowego wyglądu tych kotów ani odtworzyć jej pochodzenia. Rasa zawdzięcza współczesną nazwę stanowi, w którym jej przedstawiciele występują w największej liczbie, choć mniejsze populacje zamieszkują także nadatlantyckie regiony Nowego Brunszwiku i Nowej Szkocji.

Maine coon jest nieco większy od typowego kota domowego – okazy o ciężarze 4,5 kilograma lub więcej nie należą do rzadkości. Jednak zwierzę jest najbardziej znane z powodu niezwykłych

tylnych łap, które przypominają łapy szopa pracza; stąd właśnie wzięła się druga część nazwy (ang. *coon* znaczy „szop”) – Ponadto puszysty ogon, brązowe i białe pręgi oraz skłonność do sporadycznego moczenia żywności przyczyniły się do rozpowszechnienia opinii, że jest to krzyżówka kota z szopem praczem. Jednak jest to niemożliwe z punktu widzenia biologii, ponieważ szopy należą nie do rodziny kotowatych, lecz psowatych.

Aby ustalić genetyczne pochodzenie pewnego osobnika rasy maine coon, naukowcy w zeszłym roku po raz pierwszy poddali analizie kocie DNA. Wyniki okazały się równie jednoznaczne, co zadziwiające: maine coon jest bezpośrednim potomkiem nieznannej, udomowionej rasy, która wymarła w ciągu kilku ostatnich stuleci, oraz *skogkatt*, czyli norweskiego kota leśnego, sprowadzonego na kontynent amerykański ze Skandynawii 1000 lat temu. Na stronie internetowej Cat Fancier's Association znajdujemy takie wyjaśnienie: „Są to koty, które przemierzały świat razem z wikingami, chroniąc przed szkodnikami zapasy zboża na lądzie i morzu. Uważa się, że ich potomstwo pozostało na brzegach Ameryki Północnej jako dziedzictwo przeszłości. Czy skandynawska nazwa jest właściwa? Owszem, *skogkatt*, co znaczy »leśny kot«, rzeczywiście opuścił skandynawskie lasy w ciągu ostatnich 4000 lat”.

Ponieważ koty są zapamiętałymi łowcami, nieodłącznie były zabierane na pokłady łodzi wikingów, aby oczyścić je ze szkodników podczas wypraw. Gdy średniowieczni mieszkańcy Skandynawii wylądowali na wybrzeżach Ameryki Północnej, część tych zwierząt przedostała się na ląd i skrzyżowała z nieznaną udomowioną rasą, która już nie istnieje. Żyjącymi potomkami tych kocich związków z czasów pobytu wikingów w Ameryce są współczesne osobniki rasy maine coon. Ich występowanie w stanie Maine, od którego wzięła się nazwa rasy, sugeruje, że wikingowie nie tylko założyli na krótko osadę w L'Ans aux Meadows, jak tego chcą przedstawiciele głównego nurtu nauki, ale też rozpoczęli kolonizację innych części wschodniego wybrzeża. Koncentracja populacji maine coon w tym stanie wskazuje, że trudno dostępną Winlandią wikingów było Maine.



Norweski *skogkatt*, czyli kot leśny, od którego pochodziła uwieczniona na zdjęciu Sally, jest znany w Skandynawii jako kot górski ze względu na wyjątkową umiejętność wspinania się na pionowe ściany skalne.

Pochodzenie potomka maine coon od norweskiego kota leśnego jest niepodważalne. *Skogkatt* jest nieco większy. Jego sierść nie jest tak jedwabista. Głowa ma nieco inny kształt. Pędzelki sztywnych włosów, niewystępujące u amerykańskiego odpowiednika, rosną mu na końcach uszu. Najbardziej rzuca się w oczy, że jego tylne łapy są bardziej wyprostowane niż u maine coon. Mimo to fizyczne i behawioralne podobieństwa nie pozostawiają wątpliwości, że jest to przodek kota maine coon, co potwierdziły badania DNA.



Pięcioletni kot norweski leśny (*skogkatt*).

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności *skogkatt* został uznany oficjalnym kotem Norwegii przez króla Olafa pod koniec zeszłego stulecia, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy oficjalnie obwołano rasę maine coon symbolem krainy sosen – stanu Maine. Związki między tymi dwiema rasami są namacalnym dowodem obecności średniowiecznych Skandynawów w Ameryce na wieki przed Kolumbem. Każdy, kto chciałby spotkać bezpośredni ślad obecności pierwszych wikingów na kontynencie amerykańskim, musi tylko zapoznać się z którymś z kotów rasy maine coon.



Falszerstwa kamieni runicznych

Spośród różnych kamieni runicznych z Regionu Środkowozachodniego USA, jakoby wyrzeźbionych przez wikingów przed XVI wiekiem, najsłynniejsze są okazy z Minnesoty i Oklahomy. Dla konserwatywnych myślicieli rok 1492 stanowi nienaruszalną barierę – ich zdaniem przed tą datą nikt ze Starego Świata – czy to zachodniego, czy to wschodniego – nie mógł dotrzeć do Ameryki. Stąd też wszelkie zaprzeczające temu dowody muszą być *ipso facto* fałszywe – są elementem spisku mającego na celu oszukanie godnych szacunku naukowców. Taka doktrynerska postawa to dokładne przeciwieństwo naukowego rozumowania, które polega na zawieszeniu osądu aż do poznania wszystkich istotnych faktów. Mimo to krótkowzroczność dominuje w kręgach archeologicznego establishmentu, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych.

W pierwszym zdaniu artykułu dla magazynu *Ancient American* z listopada-grudnia 2002 roku doktor Haines utrzymuje, że „obecnie powszechnie przyjmuje się”, że wikingowie przybyli do Nowego Świata na długo przed Kolumbem. Zapomina wspomnieć jednak, że należący do establishmentu sceptycy, którzy dziś uznają kamienie runiczne z Minnesoty i Oklahomy za fałszyfikaty, to ci sami niedowiarkowie, którzy przez lata wyśmiewali wszelkie sugestie o obecności wikingów w Labradorze aż do chwili, gdy zostali dosłownie przytłoczeni dowodami. Ponadto jego teoria, że kamień runiczny z Oklahomy został wykonany przez niemieckich farmerów z końca XVI wieku, jest ewidentnie błędna, ponieważ: po pierwsze, inskrypcja z Heavener została wyryta w języku pranordyjskim, a po drugie jest absurdem, że imigranci, znający tylko język niemiecki i podstawy angielskiego, wyrzeźbili monumentalny znak terytorialny w martwym języku, którego nie rozumieli!

Niemniej jednak przeciwnie opinie, na przykład wygłaszane przez doktora Hainesa, są zawsze mile widziane przez czytelników *Ancient American*. Wierzą bowiem, iż prawdę można ustalić tylko wówczas, gdy uwzględni się na równi wszystkie punkty widzenia.

J.D. Haines

Fałszywe kamienie runiczne z Kensington i Heavener

Obecnie powszechnie przyjmuje się, że wikingowie byli pierwszymi Europejczykami, którzy postawili stopę w Nowym Świecie. Ale czy byli również pierwszymi białymi ludźmi, którzy odkryli Minnesotę i Oklahomę?

Uważa się, że Leif Ericsson przypłynął z Grenlandii do Ziemi Baffina, Nowej Szkocji, Labradoru, a być może Nowej Fundlandii, lecz dalsza eksploracja północnoamerykańskiego interioru przez wikingów wydaje się mało prawdopodobna. Gdy Ericsson wrócił na Grenlandię w 1012 roku, nazwał odkryte lądy Winlandią, gdyż widział tam winne krzewy i dziką pszenicę. Swoją podróż opisał w księdze „Saga Grenlandczyków”. Niedawne badania archeologiczne potwierdziły autentyczność wikińskich artefaktów na Arktyce, w Labradorze, Nowej Fundlandii oraz Zatoce Świętego Wawrzyńca, uwiarygodniając te stare opowieści. Poczawszy od 1837 roku, zaczęto przedstawiać świadectwa wypraw skandynawskich sięgających głębiej w kontynentalną Amerykę. Dwa takie miejsca znajdowały się na obszarze Nowej Anglii w Cape Cod i Newport, na Rhode Island, a także w głębi Regionu Środkowozachodniego, w Kensington w Minnesocie, odległej aż o

prawie 6500 kilometrów (w prostej linii) od Grenlandii.

Zainteresowanie skandynawskimi przybyszami we współczesnej Ameryce osiągnęło szczyt w 1837 roku za sprawą publikacji *Antiquate America* („Starodawna Ameryka”) islandzko-duńskiego archeologa Carla Christiana Rafha. Romantyczny obraz jasnowłosych nordyckich wojowników zdobywających Nowy Świat pobudzał wyobraźnię. W ciągu kolejnych 150 lat doliczono się łącznie 52 miejsc, 69 artefaktów i aż około 100 inskrypcji dowodzących eksploracji całej Ameryki Północnej przez wikingów.

Dwa najślawniejsze obiekty z amerykańskiego Regionu Środkowozachodniego to kamień z Kensington w Minnesocie oraz głaz runiczny z Heavener w Oklahomie. Początkowy entuzjazm towarzyszący odkryciom wkrótce przygasł, utrzymując się jedynie w gronie najbardziej zagorzałych zwolenników budzącej kontrowersje teorii. Niestety, państwowe muzea oficjalnie uznały oba fałszyfikaty, co jest ewidentną kpina z podatników. Historia kamieni runcicznych z Kensington i Heavener to pouczające przykłady wpływów pseudonauki we współczesnym świecie.

W 1898 roku odkryto kamień z Kensington na farmie Olofa Ohmana w Minnesocie. Jej właściciel był Szwedem, który wyemigrował do Ameryki w 1879 roku i kupił farmę od pewnego Norwega. Ohman twierdził, że na niedużym, porośniętym drzewami pagórku znalazł zakopany intrygujący kamień w formie tablicy, pokryty starożytnymi runami. Kamień był podobno oplatany korzeniami drzewa. Runiczny tekst zamieszczony na kamieniu opisywał grupę 30 Skandynawów podróżujących z Winlandii (przypuszczalnie Maine lub Labradoru) na zachód, na obszar leżący dziś w północno-środkowej części Minnesoty. Inskrypcja podaje, że 10 ludzi z tej grupy zostało zabitych. Wszystko to miało się wydarzyć w 1362 roku.

Odkrycie autentycznego kamienia runcicznego w Minnesocie było niezwykle. Zwyczaj wznoszenia kamieni runcicznych nie przedostał się bowiem ze Skandynawii na Islandię i Grenlandię. Sam kamień również był unikatowy, dlatego że runy zostały w nim wycięte przy użyciu dłuta i szpicaka z wyraźnymi i ostrymi wszystkimi nacięciami. W Skandynawii runy zawsze były wykuwane ostro zakończonym młotkiem. Ponadto znaki na kamieniu ułożono tak jak na stronicy książki, nie zaś w sposób typowy dla Skandynawii, czyli wokół obwodu kamienia. Gdy Ohman nagłosił swoje odkrycie, kamień runiczny przewieziono do Northwestern University, gdzie zbadał go profesor G.O. Curme. Naukowiec oświadczył, że tekst napisano niedawno odkrytymi runami we współczesnym języku szwedzkim. Zwrócił również uwagę na świeże nacięcia bez osadu patyny, widocznej na pozostałej powierzchni obiektu. Curme potraktował znalezisko jako żart i zwrócił je Ohmanowi. Później ujawniono, że Ohman znał się na kamieniarstwie, zaś niektóre runy wykazywały podobieństwo do dialektu szwedzkiego z regionu, z którego pochodził Ohman. Farmer ponadto miał dwie książki o runach i wiedział, jak runy czytać i zapisywać, tak jak wielu Szwedów w XIX wieku.

Pewnie szybko zapomniano by o kamieniu, gdyby nie ambitny antykwariusz i historyk amator Hjalmar Holand. Dziewięć lat po znalezieniu przez Ohmana kamienia Holand rozpoczął życiową krucjatę, mającą na celu przekonanie świata, że kamień jest autentyczny. Aż do śmierci w 1963 roku Holand nigdy nie ustał w wysiłkach, stale szukając w okolicy wszelkich potwierdzających to dowodów – przedmiotów, dokumentów i innych kamieni runcicznych.

Ohman nie przyznał się do wykonania kamienia, ale mógł mieć ku temu prawny powód. Po zdobyciu kamienia Holand usiłował sprzedać go Minnesota Historical Society w 1910 roku. Cena wywoławcza podana przez Holanda była naówczas astronomiczna – 5000 dolarów. Ohman sprzeciwił się temu, nakłaniając towarzystwo historyczne do wszczęcia oficjalnego śledztwa, które obejmowałoby sprawdzenie autentyczności obiektu. Gdyby Ohman sam wyrzeźbił kamień, niewątpliwie obawiałby się zdemaskowania fałszerstwa, co uczyniłoby go winnym oszustwa wobec państwa. W tych okolicznościach jest zrozumiałe, że Ohman nie przyznałby się do wyrzeźbienia kamienia. W następnym roku Ohman przyjął 100 dolarów od towarzystwa historycznego za kamień, ale nie zgadzał się na rozmowę na ten temat przez resztę życia. Po śmierci Holanda dwaj amerykańscy badacze, Alf Monge i O.G. Ladsverk, dodali nowy wątek do sprawy tłumaczenia runów. Stwierdzili bowiem, że runy zawierały ukryty przekaz w postaci kryptogramów.

Kamień z Kensington pociągnął za sobą nowe odkrycia artefaktów na wschodnim wybrzeżu i w

Regionie Środkowozachodnim USA. Okazało się, że tak zwane nordyjskie topory bojowe były narzędziami dawnych mieszkańców Ameryki służącymi do rąbania drewna. Szczególnie zabawne było odkrycie 30 niewielkich „halabard” na obszarze całych Stanów Zjednoczonych. Gdy sceptycy spostrzegli, że owe halabardy były zbyt lichej roboty, aby można je było zastosować w walce, ich przeciwnicy szybko obwołali je halabardami obrzędowymi. Holand żywiłowo bronił autentyczności halabard. Gdy nie udało się odnaleźć podobnych obiektów w Skandynawii, obwieścił, że są one tak rzadkie, że nawet skandynawskie muzea nie mają takich okazów. Badania wykazały, że halabardy były w rzeczywistości XIX-wiecznymi przyrządami do cięcia tytoniu rozprowadzanymi w ramach wielkiej kampanii reklamowej Battle Axe Tobacco Company. Przycinaki zostały wykonane przez Rogers Iron Company w Springfield w Ohio. Gdy przestały służyć jako przycinaki tytoniu, zostały usunięte z zawiasowego mocowania na drewnianej podstawie i odtąd były używane jako siekierki. Podobno niektóre służyły do ścinania głów kurczakom.

Kamień z Kensington bardzo przypomina inne fałszerstwo, tym razem z Oklahomy. Pewien kamień z osobliwymi rzeźbieniami podobno znali Indianie Choctaw, wypędzeni do wschodniej Oklahomy w latach 30. XIX wieku. Na kamień ten natknęli się potem biali osadnicy, którzy założyli miasto Heavener w 1894 roku. Obiekt nosił miejscową nazwę Indian Rock (Indiańska Skala), ponieważ rzeźbienia przypuszczalnie zostały wykonane przez rdzennych Amerykanów.

Z czasem ustalono, że wyrzeźbione znaki to runy. Skłoniło to miejscową mieszkankę Glorię Farley do próby udowodnienia, iż inskrypcję wykonali wikingowie, którzy odbyli podróż do Oklahomy prawie 1000 lat temu. O istnieniu kamienia Gloria poinformowała Smithsonian Institution. Jednak kierownicy instytucji odparli, że choć runiczny tekst wykonał ktoś, kto znał skandynawską gramatykę, wątpliwe, aby uczynili to wikingowie. Farley jednak obstawała przy swoim i wkrótce poparła ją historyk Ole Landsverk i kryptolog Alf Monge.

Inskrypcja z Heavener składa się z ośmiu runów, które brzmią: GAOMEDAT lub GNOMEDAL. Zmieniając dwa runy, które wydają się różnić od pozostałych, napis zamienia się w GLOMEDAL, czyli „Dolina Glome”. GNOMEDAL można również przetłumaczyć jako „Dolina Słońca”, „Pomnik” lub „Granica”. Według jeszcze innej interpretacji inskrypcja może brzmieć *G. Nomedal*. Nomedal to norweskie nazwisko rodowe.

Kryptolog Monge zaproponował, że inskrypcja to kryptogram daty 11 listopada 1012 roku. Wyjaśniałoby to, dlaczego dwa runy pochodziły z jednego alfabetu nordyjskiego, pozostałe zaś z innego. Monge utrzymywał, że znane są nordyjskie znaki terytorialne, na których pomieszano alfabety, by ukryć daty w formie szyfrowanej układanki. Kilka innych kamieni runicznych odkryto nieopodal miasteczek Poteau i Shawnee, co doprowadziło do powstania teorii głoszącej, że kamienie runiczne stanowiły oznakowania graniczne. Jeśli to prawda, to tłumaczenie *Gnomedal* jako „Granica” mogłoby być prawidłowe.

Mimo że cała uwaga poświęcona kamieniowi runicznemu z Heavener skupiała się na jego domniemanym wikińskim pochodzeniu, Leslie McRill w 1966 roku wysunął teorię, która wydaje się znacznie bardziej wiarygodna. Francuscy odkrywcy w 1682 roku zajęli całą Dolinę Missisipi, ogłaszając, że należy do Francji. Nowy Orlean założono w 1718 roku. Cztery lata później stał się on stolicą francuskiej kolonii Luizjana. Kolonia obejmowała 1/3, środkową, część obecnych Stanów Zjednoczonych, w tym cały stan Oklahoma. Kapitan Jean Bossu z francuskiej marynarki wojennej opisał dwie niemieckie wioski znajdujące się w górę rzeki od Nowego Orleanu w 1751 roku. Wysłano go, aby przejął władzę w pewnym księstwie, czy też nadaniu, w krainie Illinois. Kapitan Bossu oświadczył, że niemieckie osady powstały wcześniej na terenach położonych dalej w górę rzeki Missisipi i nad rzeką Arkansas.

Bossu pisał: „Te dwie wioski zasiedlone przez Niemców są pamiątką po nadaniu ziem w 1720 roku Johnowi Lawowi, szkockiemu finansistcie i hazardziście, znanemu z opracowania szaleńczego planu spekulacji finansowych we Francji, obejmującego również kolonię w Luizjanie. Plan doprowadził do gospodarczego załamania, znanego jako pęknięcie tzw. bańki spekulacyjnej. Kolonia składała się z Niemców i Prowansalczyków w liczbie do 1500. Zajmowała obszar czterech lig kwadratowych [1 liga to około 4,8 kilometra – przyp. tłum.], nieopodal dzikiego ludu nazywanego Arkancas (sic); kolonię założono jako księstwo (...). Panu Lawowi jednak nie

powiodło się i Kompania Indyjska przejęła jego dobra”.

Leslie McRill twierdzi, że ponieważ Francuzi zakładali księstwa lub nadawali ziemie poza Nowym Orleanem, kamień runiczny z Heavener równie dobrze mógł być znakiem takiego nadania. Doktor Muriel Wright z Oklahoma Historical Society zgadza się z tą opinią. Duński archiwista Kaj Monrad zauważył, że run odpowiadający literze „n” został zapisany tak, jakby uczynił to Szwed. Co ciekawe, kapitan Bossu odnotowuje, że pewien szwedzki kapitan sprawował nadzór nad dwiema niemieckimi osadami. Bossu wymienia go jako „pana Arntsbourga, który brał udział w bitwie pod Połtawą u boku Karola XII”.

Istnieje mnóstwo dowodów na to, że Francuzi w XVIII wieku dokonywali eksploracji ziem i prowadzili handel nad rzeką Arkansas i jej dopływami na obszarze dzisiejszej Oklahomy. Wiadomo też, że Francuzi docierali do dzisiejszego hrabstwa Le Rore, gdzie leży Heavener. Wydaje się całkiem możliwe, że ktoś znający runy, na przykład szwedzki kapitan Arntsbourg, wyrył napisy na tym kamieniu jako znaku granicznym jednego z francuskich księstw. Znacznie mniej prawdopodobna wydaje się alternatywna wersja, mówiąca o tym, że wikingowie 1000 lat temu przyплыnęli z Grenlandii do Zatoki Meksykańskiej, stamtąd dalej w górę rzeki Missisipi, następnie rzeką Arkansas do Oklahomy. Zwłaszcza jeśli jedynym dowodem na to jest osiem runów wyrzeźbionych w kamieniu.

Francuzi pozostawili wiele śladów swojej kultury w Ameryce Północnej, podobnie jak inni Europejczycy. Jak dotąd nie odkryto niczego, co można by zweryfikować naukowo, świadczącego o istnieniu społeczności wikingów. Ekspertsi powszechnie zgadzają się w jednej kwestii – inskrypcje nie miały pochodzenia indiańskiego. Gloria Farley twierdziła, że biali osadnicy na obszarze Heavener byli analfabetami niezdolnymi do wyrzeźbienia runicznych napisów. Jest to oczywiście fałsz, jako że wielu Europejczyków obszernie opisywało swoje wyprawy badawcze w tej części Ameryki Północnej w XVII i XVIII wieku. Zwolennicy teorii mówiącej o wikingach popełnili wiele błędów w rozumowaniu – powoływali się na mitologię, zmieniali zestawy dowodów, odwoływali się do argumentów popartych przez autorytety, hipotezy brali za fakty. Wszystko to są pospolite chwytły pseudonaukowców preferowane przez zwolenników mitów i fałszerstw.

Oba kamienie runiczne – w Kensington i Heavener – stanowią główne atrakcje parków stanowych i są oczywistym świadectwem poszukiwania nowych źródeł dochodów z turystyki. I to pomimo licznych wątpliwości dotyczących hipotezy wikingów. Mit o wikingach w Regionie Środkowozachodnim USA przetrwa dopóty, dopóki sprawdzalne naukowe fakty i logiczna argumentacja nie przekonają jego zwolenników, jak bardzo się mylą.



Piętnastowieczny kamień runiczny

Wbrew bezpodstawnym opiniom uznającym kamień runiczny z Kensington za fałszerstwo, zastosowanie metod nauk ścisłych i najnowocześniejszej techniki badawczej potwierdziło, że znajdująca się na nim inskrypcja ma XV-wieczne, skandynawskie pochodzenie. Ponadto ponowna analiza obiektu ujawniła wewnętrzną spójność runicznego tekstu, z której nie mogli zdawać sobie sprawy naukowcy w latach 90. XIX wieku, gdy odkryto ten zabytek. Wiadomości o najnowszych danych dotyczących tego kontrowersyjnego artefaktu pojawiły się w *Ancient American* z grudnia 2000 roku.

Nauka potwierdza autentyczność kamienia runicznego z Minnesoty

Ósmego listopada 1898 roku pewien szwedzki imigrant oczyszczał ziemię w Minnesocie niedaleko Kensington, około 193 kilometrów na północny zachód od Minneapolis, kiedy właśnie dokonał niezwykłego odkrycia. W korzeniach starej, uschniętej topoli zaplątana była osobliwa płyta szarego granitu łupkowego z grupy twardych skałeni. Prostokątny blok kamienny długości 91,5 centymetra, szerokości 38 centymetrów i grubości 15 centymetrów po dwóch stronach pokrywały szeregi dziwnych liter. Były to runy z alfabetu używanego w średniowieczu przez wikingów.

Specjaliści w zakresie języków skandynawskich przetłumaczyli inskrypcję. Opowiadała ona o grupie Skandynawów przybywających na teren dzisiejszej Minnesoty przez północny Ocean Atlantycki 130 lat wcześniej, niż Kolumb zjawił się w Nowym Świecie. Poprawione tłumaczenie, przedstawione przez eksperta językoznawcę doktora Richarda Nielsena po raz pierwszy na konferencji archeologicznej (Midwest Archaeology Conference) w Minnesocie, brzmiało: „My, ośmiu Gotlandczyków i 22 Norwegów, płyniemy w tej łupieskiej wyprawie daleko na zachód z Winlandii. Mamy nasze rzeczy nieopodal dwóch szałasów o jeden dzień marszu na północ od tego kamienia. Pewnego dnia wybraliśmy się na połów ryb. Po powrocie do domu znalazłem dziesięciu ludzi zalanych krwią, martwych. Ave Maria, chroń nas przed złem! Mam dziesięciu ludzi nad morzem, pilnujących naszych statków, czternaście dni drogi z tego miejsca. Rok Pański 1362”.

Gotlandczycy wymienieni w tym opisie pochodzili ze szwedzkiej wyspy Gotlandii. Winlandia znajdowała się na obszarze dzisiejszego stanu Maine. Tak zwany kamień runiczny z Kensington, którzy konserwatywni archeolodzy niemal powszechnie uznawali za ewidentne oszustwo przez ponad 100 lat, wciąż bierze w obronę mała grupa profesjonalistów cechujących się większą otwartością umysłu. Upierają się oni, że powinny zostać przeprowadzone staranne analizy tego obiektu, zanim ponad wszelką wątpliwość uzna się go za współczesny falsyfikat lub prehistoryczny artefakt. Do działania zmotywowała ich przede wszystkim szacowna Smithsonian Institution w 1999 roku. Jej cyniczna dyrekcja zamierzała obwozić kamień runiczny po całym kraju i wystawiać go jako przykład archeologicznej mistyfikacji.

Wielu badaczy oskarżało waszyngtońską Smithsonian Institution o świadome niszczenie materialnych świadectw niezgodnych z obecnie obowiązującą wizją historii, zgodnie z którą Kolumb był jedynym odkrywcą Ameryki. Zamiast przyłączyć się do tego obwoźnego cyrku pod dyktando szamanów ze Smithsonian Institution, kustosze Muzeum Kamienia Runicznego w Kensington w Alexandrii, w Minnesocie, przekazali kontrowersyjny artefakt prawdziwym naukowcom i poprosili o przeprowadzenie poważnych badań. Część wyników aktualnych badań przedstawiono po raz pierwszy na Midwest Archaeology Conference zorganizowanej w Raddison Hotel w St. Paul 10 listopada 2000 roku. Wśród uczestników konferencji znalazła się archeolog Alice Keyhoe, która zwróciła uwagę na to, że data wyryta na kamieniu, 1362 rok, była bezsprzecznie ważnym momentem w historii. Zaledwie 13 lat wcześniej mieszkańców Skandynawii zdziesiątkowała epidemia dżumy, zwanej czarną śmiercią. Szacuje się, że 1/2, a może nawet 2/3 ludności Europy Północnej zmarło w ciągu 24 miesięcy od wybuchu epidemii w 1349 roku.

Do tej katastrofy przyczynili się zachłanni kupcy z Hanzy niemieckiej. Tworzyli oni związek miast bałtyckich – przymierze ekonomiczne w celu przejmowania rozległych, wartościowych terytoriów od sprzymierzonych Szwedów i Norwegów. Keyhoe stwierdziła, że w 1360 roku Hanza przejęła ważne porty morskie w Bergen i Skahne, powodując niemalże bankructwo skandynawskich królestw. To właśnie wówczas szwedzcy i norwescy władcy zaczęli rozwijać długodystansowe szlaki handlowe, wiodące aż po Nowogród na terenie dzisiejszej Ukrainy i Bizancjum.



Wiek kamienia runicznego z Kensington mógł zostać ustalony wkrótce po jego odkryciu w 1898 roku. Jednak specjaliści z waszyngtońskiej Smithsonian Institution oczyścili go do czna ze wszystkich sprawdzalnych danych.

Co gorsza, dowiedzieli się oni o pewnym oksfordzkim zakonniku, który opublikował książkę o swoich podróżach do Grenlandii i nieznanach terytoriów leżących jeszcze dalej na zachód. Zaniepokojony, że Anglicy ubiegą go w odkryciu nowych bogactw naturalnych, norweski król Magnus II Eriksson wydał w 1355 roku dekret nakazujący wszczęcie misji badawczej dla sprawdzenia warunków utworzenia skandynawskiej kolonii na Grenlandii i dalej. Ekspedycja pod kierownictwem hrabiego Paula Knudsena wróciła w 1364 roku, zaledwie dwa lata później od daty widniejącej na kamieniu runicznym z Kensington. Raport złożony nowemu królowi Hakonowi Magnussonowi opisywał tę podróż jako „odkrywczą wyprawę”.

Keyhoe podkreśliła historyczny kontekst wyrycia inskrypcji na kamieniu runicznym z Kensington. Zwróciła uwagę na to, że podobne kamienie runiczne występują w wielkiej liczbie w Szwecji, gdzie wznoszono je także jako pomniki zmarłym. Tekst na kamieniu runicznym z Minnesoty również opowiada o mieszanej drużynie Szwedów, z których część zginęła z ręki amerykańskich tubylców. Na terenie całej Skandynawii, głównie w Szwecji, rozpoznano około 5000 kamieni runicznych.

Badacz Barry Hansen opowiadał na konferencji o „niezawodnym” doświadczeniu, które przeprowadził, by poznać sekrety kamienia runicznego z Kensington. Zatrudnił zawodowego geologa Scotta Waltera, który przeprowadził analizę ujawniającą, że większość, jeśli nie wszystkie, runów na tym kamieniu „poprawiono” jakimś współczesnym narzędziem już po odkryciu artefaktu u schyłku XIX wieku. Dokonano tego prawdopodobnie po to, by uczynić zniszczone litery łatwiej rozpoznawalnymi.

To sfalszowanie oryginału sprawiło, że sceptycy ogłosili, iż inskrypcja jest współczesnym wytworem. Mikroskopowe oględziny runów przeprowadzone przez Waltera wykazały, że współczesne ryty zostały wykonane na wierzchu oryginalnych runów wykutych wiele stuleci wcześniej, o czym świadczyły ślady utleniania otaczające każdy z symboli. Porównanie obszarów zewnętrznej powierzchni kamienia, w różnym stopniu uległych erozji, również sugerowało datę wykonania inskrypcji co najmniej kilkaset lat wcześniejszą niż data jego odkrycia w 1898 roku. Kolejne odkrycie dotyczyło zarysowań, które ktoś zrobił, żeby uwolnić kamień z większego głazu. Stary farmer z Minnesoty nie posunąłby się do takiego fałszerstwa, które nie przyniosłoby mu żadnego zysku, a tylko dożywnie szyderstwa.

Doktor Nielsen wykazał, że argumenty najczęściej przytaczane w celu podważenia wikińskiego pochodzenia kamienia runicznego w rzeczywistości pomogły dowieść jego autentyczności. Przeciwnicy tezy o jego prekolumbijskim pochodzeniu upierali się, że niektóre słowa, liczby i znaki gramatyczne, a także poszczególne litery pisma pojawiły się w skandynawskim piśmie runicznym dopiero w czasach historycznych. Na przykład w inskrypcji z Kensington pojawia się angielskie *fromm*, które rzekomo było nieznane XIV-wiecznym Skandynawom. Nielsen odnalazł jednak ówczesne szwedzkie manuskrypty, w których stosowano słowo *fromm*. Twierdzono również, że litera „J” nigdy nie występowała jako run, ale Nielsen przedstawił kilka XIV-wiecznych przykładów.

Konserwatywni naukowcy przekonywali, że najwyższa runiczna liczba to 19, natomiast w inskrypcji z Minnesoty pojawia się liczba 22. Doktor Nielsen zaprezentował XIV-wieczne runy zawierające nawet liczbę 26.

Pewien dawny ekspert w zakresie języka starowysokoniemieckiego zwrócił uwagę na znak umlaut nad kilkoma runami z Kensington. Doszedł do wniosku, że kamień musi być fałszerstwem, ponieważ znaki umlaut wprowadzono dopiero w XVII wieku. W rzeczywistości jednak podwójne kropki wcale nie są znakami umlaut – to element konwencji gramatycznej stosowanej przez cały XIV wiek.

Być może najbardziej przekonującym dowodem przedstawionym przez doktora Nielsena było powołanie się na „dialekt E” rozpoznawalny w inskrypcji na kamieniu runicznym z Kensington. Olof Ohman, szwedzki imigrant, który znalazł kamień i później został oskarżony o jego sfalszowanie, posługiwał się „dialektem A” używanym w jego rodzinnym Rosander. Nie znał „dialektu E”. Tekst wspomina o mieszanej drużynie, w której skład wchodził Goci, ludzie z Gotlandii oraz wyspy Skahne, gdzie używa się „dialektu E”.

W dokumencie rozdawanym uczestnikom konferencji przed prezentacją badacz Arne Brekke podkreślił, że nie mniej niż 11 średniowiecznych form rumcznych na kamieniu z Kensington było nieznanymi naukowcom w czasach Ohmana, ale do tej pory wszystkie okazały się prawdziwe. Ponadto na kamieniu runicznym znajduje się kilkanaście starszwedzkich słów (niektóre odkryte dopiero niedawno) niepublikowanych w żadnym słowniku średniowiecznego języka sporządzonym w końcu XIX wieku. Dodatkowo kamień zawiera średniowieczne skróty rękopiśmiennicze nieznanymi skandynawskim specjalistom w 1898 roku. Brekke stwierdził, że jeśli Ohman miałby sfalszować kamień runiczny, musiałby spowodować „mineralizację w obrębie zagłębień w runach po ich wykuciu”, a także „degradację łyszczaków po spēkanej stronie kamienia, aby uzyskać efekt upływu 500 lat”.

W 1974 roku, kiedy konstruowano ogrodzenie dla płyty pamiątkowej w miejscu znalezienia kamienia, robotnicy odkryli fragmenty skały takiej samej, jak ta, z której wykonano kamień runiczny. Tkwiły one około 60 centymetrów pod powierzchnią ziemi. Jest to wyraźna wskazówka, że kamień został wycięty w miejscu, w którym go znaleziono, i to na długo przed czasami Ohmana.

W oświadczeniu przefaksovanym po konferencji Barry Hansen oznajmił, że „kamień runiczny z Kensington zawiera 24 formy runiczne, które są »dziwaczne« w opinii ekspertów i z których powodu początkowo uznano go za falsyfikat. Wszystkie, jak się później okazało, były w użyciu na wyspie Gotlandii w średniowieczu. O kilku z nich nawet najwięksi światowi specjaliści nie mieli pojęcia w 1898 roku. Eksperti ci obwieścili, że oszust (niewykształcony farmer) musiał je »wymyślić«, skoro oni nie potrafili ich wytłumaczyć. Kamień runiczny z Kensington zawiera około 12 słów, które zdaniem wielu ekspertów »nie mogły istnieć w XIV wieku, zatem kamień ten jest falsyfikatem«. Do dziś wszystkie te słowa odkryto w średniowiecznych archiwach w Dalsland, Bohusland i Vastergothland (na obszarze zachodniej Szwecji) i zweryfikowano w procedurze naukowej. Jeśli nie znali ich specjaliści w czasach, kiedy powstał ów spór, to skąd miałyby o nich wiedzieć jakiś oszust?

„Kamień runiczny z Kensington zawiera skomplikowany system liczbowy, uwidoczniiony w dacie i sześciu innych grupach cyfr. Uznano to za niemożliwe. Dotychczas wykazano, że jest to nie tylko możliwe, ale nawet bardzo prawdopodobne dla kogoś z XIV-wiecznej Gotlandii”. Hansen zapowiedział, że w najbliższej przyszłości odbędą się kolejne badania: „W ciągu kilku kolejnych lat mamy nadzieję między innymi bliżej przyjrzeć się degradacji łuszczaków, formacji mineralnej, warstwom zewnętrznym i ich zmianom przy zastosowaniu skaningowego mikroskopu elektronowego, rozróżnić erozję kalcytu i szarego granitu łupkowego, zbadać erozję znajdującą się w stanie początkowym przy użyciu trójwymiarowego obrazowania laserowego, przyjrzeć się zróżnicowanej absorpcji mineralnej powstającej w wyniku pionowego ustawienia kamienia w ziemi, zbadać plamę od kontaktu z korzeniem na tylnej stronie kamienia runicznego. Przeprowadzimy też drobiazgową analizę skutków użycia żelaznych narzędzi do wyrzeźbienia kamienia, sprawdzimy pochodzenie oryginalnej siady – szarego granitu łupkowego z Greeribelt”.

Dodatkowe badania z pewnością przyniosą nowe informacje o kamieniu runicznym z Kensington. Mimo to sceptyczni profesjonalści, którzy tradycyjnie nie uznają danych niezgodnych z powszechnie akceptowanymi teoriami, zapewne nadal będą zaprzeczać pochodzeniu tej inskrypcji ze Starego Świata. Ich nieprzejednanie okazuje się jednak bez znaczenia dzięki faktom, które potwierdzają, że kontrowersyjny kamień to autentyczna pamiątka pobytu skandynawskich żeglarzy w Minnesocie na długo przedtem, nim Kolumb wylądował na plaży w San Salvador.



Głaz runiczny z Heavener

Doktor Cyclone Covey jest emerytowanym profesorem Wake Forest University w Winston-Salem w Karolinie Północnej. Jest jednym z niewielu akademickich luminarzy na tyle odważnych, by zdobyć się na sprzeciw wobec swoich kolegów ze środowiska naukowego. Jest zdeklarowanym zwolennikiem kulturowego dyfuzjonizmu od ponad 40 lat. *Futhark*, o którym wspomina w swoim artykule w *Ancient American* z maja-czerwca 1994 roku, to runiczny alfabet, nazwany tak od jego pierwszych sześciu liter (trzecia i czwarta łączą się w jeden znak runiczny). Znamy co najmniej trzy rodzaje alfabetu *futhark*, które stworzono w ciągu kilku stuleci. Ich pojawienie się na kamieniu runicznym z Heavener dobitnie dowodzi autentycznego nordyjskiego pochodzenia jednego jedyne- go wyrytego na nim słowa.

Olbrzymi kamień runiczny z Heavener

W latach 30. XIX wieku, wkrótce po przymusowym przesiedleniu rdzennych plemion amerykańskich na Terytorium Indiańskie, myśliwi z plemienia Chocktaw przemierzający rozległe, opustoszałe, porośnięte lasem wzgórza Oklahomy natknęli się na olbrzymi, naznaczony tajemniczą inskrypcją kamień w sielskiej dolinie Poteau. Tkwił tam od niepamiętnych czasów, skryty w odludnym wąwozie przez więcej lat, niż ktokolwiek mógłby zliczyć. W kolejnym stuleciu pewna dziewczyna z tamtych stron natknęła się na głaz, kiedy jeszcze żadna ścieżka w górę zbocza nie prowadziła do niego z odległego o ponad 3 kilometry domostwa w Heavener, gdzie mieszkała. Gloria Farley zdała sobie sprawę, że wielkie symbole wyrzeźbione na Indiańskiej Skale nie są zwyczajnymi literami. Były to runy, znaki średniowiecznego pisma mieszkańców Europy Północnej.

W 1951 roku Gloria przeprowadziła się z Ohio z powrotem do Heavener. Tam znów zainteresowała się zapamiętanym z dzieciństwa kamieniem – usunęła przesłaniające go porosty, zmierzyła ochronny półokrąg wznoszących się nad nim 12-metrowych ścian skalnych i rozpoczęła poważne badania tego „starożytnego billboardu”, jak określiła zabytek. Wielki głaz był pionowo ustawioną szarą płytą bardzo twardego, drobnoziarnistego pensylwańskiego piaskowca o wysokości 3,66 metra, szerokości 3,05 metra i grubości 4,88 metra. Zdaniem geologów musiał on odpaść od znajdującej się ponad nim ściany skalnej i wylądować w obecnej pozycji wiele tysięcy lat temu.

Duże runy, wielkości 16,5-24,1 centymetra, rozciągają się poziomo na długości około 1,8 metra po zachodniej stronie gładkiej skalnej ściany. Ślady po narzędziach, głębokości od około 0,48 centymetra, zostały wygładzone przez długotrwałe działanie erozji, pomimo że obiekt znajduje się w naturalnie osłoniętym miejscu. Nazwisko Glorii i badania „kamienia runicznego z Heavener” zyskały już rozgłos w całej Oklahomie do chwili, gdy zacząłem badać *cause celebre* jej życia w maju 1965 roku. Działo się to, zanim zabytek ogrodzono płotem w parku stanowym. Kilka dni później ujrzałem repliki krzyża z Ruthwell i innych dużych brytyjskich kamieni runicznych w National Museum of Scotland, które miały na sobie te same lub podobne symbole, co ich odpowiednik z Oklahomy. Łatwo było zauważyć, że inskrypcja z Heavener składała się z symboli 24-literowego starszego alfabetu *futhork*, nie zaś 16-literowego młodszego *futhark*, lub też z dowolnej kombinacji tych dwóch rodzajów alfabetu.



Układającą się w jedno słowo inskrypcję na kamieniu runicznym z Heavener mógł sporządzić tylko ktoś władający językiem pranordyckim.

W kolejnych latach po mojej pierwszej wizycie w Heavener norweski kryptolog Alf Monge zidentyfikował sześć spośród liter kamienia runicznego z Oklahomy jako należące do starszego i dłuższego alfabetu *futhark*, jak również zaledwie dwie litery z drugiego, młodszego alfabetu. Następnie odszyfrował napis jako średniowieczną szyfrowaną układankę oznaczającą konkretną datę: 11 listopada 1012 roku, czyli dzień Świętego Marcina. Monge, będący wcześniej kryptologiem wojskowym, przyjął, że wszystkie domniemane kamienie runiczne w Ameryce Północnej stanowią podobny zapis ważnych dat – a wszystkie daty przypadają na XI wiek, ponieważ opisana w sadze ekspedycja Thorfinna Karlsefhis do Winlandii odbyła się po 1000 roku. Do tego czasu jednak stary styl niektórych form runicznych z Heavener wyszedł już z użytku od prawie 500 lat.

Kamień runiczny z Kensington w stanie Minnesota bez wątpienia zawiera datę: 1362 rok, zaś jego ponury przekaz odpowiada XIV-wiecznemu stylowi pisania runów. Natomiast gład runiczny w Heavener jest pokryty pismem w stylu typowym dla III-V wieku. Monge zinterpretował jedyny widniejący na nim napis jako GNO-MEDAL, tak aby zgadzała się data. W 1961 roku specjalista w zakresie kultury wikingów Frederick Pohl, mający norweskie pochodzenie, przetłumaczył GNOME-DAL z języka pranordyjskiego jako „Dolina gnomów” (*dal* to po nordyjsku „dolina”). Być może nazwa odnosiła się do rdzennych mieszkańców doliny Poteau, w której znajduje się kamień runiczny z Heavener. Inni badacze uznali, że inskrypcja stanowi starodawną nazwę własną miniaturowej doliny (Indian wikingowie nazywali *Skrealings*, co znaczy „piskliwe istoty”).

Runy w tym samym stylu zapisywano w różnych dialektach: norweskim, szwedzkim, duńskim i saksońskim. Odkrycie, że dialektem saksońskim wciąż się posługiwano w mowie w odosobnionych regionach Szwecji, zdumiało XIX-wiecznych filologów. Nie mam zielonego pojęcia, jak znający ten dialekt dotarli do Oklahomy w okresie używania stylu runicznego z Heavener (lata 200-500). Wybitny badacz duńskiej historii doktor Richard Nielsen wykazał – co nigdy nie powinno ulegać wątpliwości – że inskrypcja z Heavener składa się z tylko jednego alfabetu. Jednak musiał rozszerzyć go o elementy alfabetu z X wieku, żeby odczytać napis jako GLOMETHAL. Uznał, że „D” to „th” po samogłosce, co właściwie jest bez różnicy, ponieważ *thal* i *dal* znaczy to samo – dolinę.

Glom (zazwyczaj *Gla*) to nazwa własna ze skandynawskiej sagi z 1014 roku oznaczająca „upiornie wyglądającego człowieka”, powiązana z pranordyjskim *glamr* („księżyc”), współczesnym szwedzkim *glama* („wpatrywać się”) i angielskim *glamour* („urok”). Nielsen zasugerował, że w niektórych dialektach „e” mogło być zastąpione standardowym „a” w dopełniaczu, stąd jego tłumaczenie: „Glom's Valley” (Urokliwa dolina). Nie omieszkał też wspomnieć, że Glomdal i Glomstad to nazwy rzeczywistych miejsc w Norwegii. Niezależnie od tego, czy Nielsen mylił się, czy nie mylił w transliteracji, zdawał sobie sprawę z tego, że kamień runiczny z Heavener pochodził najprawdopodobniej z 800 roku lub nieco późniejszego okresu. Rozciągnął tę datę tak, by objąć początkowy okres ekspansji wikingów, który jednak rozpoczął się, gdy już rozpowszechnił się młodszy *futhark*.

Forma „n” oraz „o” z Heavener zmieniła się w Anglii w V wieku. Jeśli inskrypcja z Heavener jest saksońska, to powinna pochodzić sprzed 500 roku. Przynajmniej jej styl musiał zostać zaczerpnięty ze stylu tego okresu. Znany żeglarz i lingwista Paul Chapman dokonał transliteracji runów z Oklahomy na wspak – jako LADEMONG – w powieści, w której odwołuje się do symboli starszego *futhark*. Uznając je za nordyjskie, rozpoznał bliższy związek ze staroangielskim *leaden* („przewodzić”) niż ze staroislandzkim *lada* (we współczesnym islandzkim *leidd*) lub duńskim *lede*. Chapman odkrył, że nordyjskie *lada* w drugim znaczeniu to „zapraszać” lub „targować się”, skutkiem czego słowo mogłoby oznaczać coś w rodzaju „zapraszamy do handlu” lub „punkt wymiany handlowej”. Doktor Berry Feli w *Saga America* („Amerykańska saga”) dziwnym sposobem odczytał „O” jako „R” i uzyskał słowo *Gnrmedaedt*, po czym ze zdumiewającą konsternacją zastanawiał się nad jego sensem.

Gloria Farley spostrzegła, że co najmniej cztery spośród kamieni runicznych w okolicach Heavener leżą na linii prowadzącej z północnego zachodu na południowy wschód, tak więc bardziej wiarygodna staje się hipoteza o mniejszych obiektach runicznych jako wyznacznikach granic. Kamień z Warner, odkryty w grudniu 1972 roku przez chłopca na polu nieopodal Dirty Creek, dopływu rzeki Arkansas, pomiędzy Warner i Muskogee w środkowo-wschodniej Oklahomie,

zawiera trzy symbole, spośród których tylko X odpowiada runom alfabetu *futhark*. Mogłyby one jednocześnie znaczyć OCHS w języku greckim lub QATTA w libijskim. W lutym 1959 roku Wes Thomas znalazł ponownie kamień, który widział 45 lat wcześniej na występie skalnym około 16 kilometrów na północ od okazu w Heavener – nieco wyżej na tej samej górze Poteau. Kamień runiczny z Poteau ma z inskrypcją z Heavener wspólne pierwsze trzy symbole, piąty i szósty, przypuszczalnie również siódmy, „L”, w normalnej, zamiast w odwróconej pozycji, „przecięte” dodatkowo małym krzyżykiem. Całe słowo to najwyraźniej GNOIEAELD, co brzmi wystarczająco nordyjsko lub saksońsko.

Farley wytropiła kilkanaście runicznych inskrypcji na odcinku około 320 kilometrów na zachód od rzeki Arkansas, w tym kunsztownie wyrzeźbiony okaz na najwyższym wzniesieniu Tulsy, inny na zboczu góry niedaleko miejsca, w którym zbiegają się rzeki North Canadian i South Canadian 120 kilometrów na zachód od Heavener. Znalazła także kamień z Shawnee, odgrzebany spod ziemi w sierpniu 1969 roku nieopodal małej odnogi rzeki North Canadian, 200 kilometrów na zachód północny zachód od Heavener. Dwie kolejne runiczne inskrypcje podobno znajdowały się 320 kilometrów od Heavener. Farley zdołała odszukać oba obiekty, które mogliby zniszczyć jacyś bezmyślni rolnicy, tak jak to uczynili z wieloma innymi artefaktami. Inskrypcje takie nierzadko zakopane pod ziemią czy porośnięte mchami są trudne do odnalezienia i odczytania.

Bryła piaskowca czerwonego z okresu permu z Shawnee bez cienia wątpliwości zawiera napis w alfabecie *futhark*: MYRDOC, który może być imieniem pograbanego w pobliżu lub, jak zauważył Chapman, zamordowanego tam człowieka: *Myrda* w języku staroislandzkim oznacza „ukryć ciało zamordowanego”. Runy z Byfield w Massachusetts są w tym samym stylu i głoszą: NIOIC. „N” oraz „O” są wspólne z inskrypcją z Heavener. „C” występuje również w runicznym tekście na kamieniu z Shawnee, zaś identyczne „I” znajduje się na kamieniach runicznych z Poteau i Tulsy.

Inskrypcja z Heavener w tak wielkim stopniu przypomina styl napisu z Byfield, że Gloria Farley sądziła nawet, iż mogła je wyrzeźbić ta sama ręka w odstępie roku. Lokalne rozproszenie tych kamieni runicznych z Oklahomy i zgodność ich elementów stylistycznych z oryginalnymi nordyjskimi kamieniami runicznymi ze Skandynawii wskazuje na ich średniowieczne (lub nawet wcześniejsze) pochodzenie. Ponadto wszystkie zostały odkryte niedaleko ważnych szlaków wodnych, którymi ludzie znający się na nawigacji mogli dotrzeć głęboko w interior stanu Oklahoma i do morza.

Mimo że konserwatywni archeolodzy, niezdolni do uznania świadectw przeczących ich poglądom, odrzucają kamień runiczny z Heavener jako ewidentne fałszerstwo, jest on dziś chroniony w parku stanowym przed ignorantami, którzy mogliby go uszkodzić. Niezależnie od tego, czy jedyne widniejące na nim słowo obwieszcza 1000-letni ośrodek handlowy czy dolinę gnomów, ten starożytny szyld jest trwałym świadectwem obecności wikingów na obszarze dzisiejszej Oklahomy setki lat przed narodzinami Krzysztofa Kolumba.

Rozdział 6

Wschód spotyka Zachód w starożytnej Ameryce

Narkotyki starożytnej Ameryki

Wydaje się, że Ameryka Południowa jest światowym dostawcą narkotyków od znacznie dłuższego czasu, niż się przyjmuje – wynika to w każdym razie ze szczególnie intrygującego artykułu w *Ancient American* ze stycznia-lutego 1995 roku. Jego autor, biolog z Austin w Teksasie, ujawnia bezpośrednio, zaskakujące powiązanie między Andami i doliną Nilu.

AJ. Julius

Przypłynęli po kokainę

Czy mieszkańcy Ameryki Południowej dostarczali narkotyków pochodzenia roślinnego mieszkańcom doliny Nilu 3000 lat temu? Czy szlaki handlowe łączyły starożytne imperia Egipcjan i Inków? Zdaniem większości historyków – nie, ponieważ teorie o transoceanicznych kontaktach i dyfuzji kulturowej rzekomo cierpią na chroniczny brak solidnych dowodów. Niedawno opublikowany raport naukowców z Niemiec na nowo ożywia tę dyskusję.

Badacze z Instytutu Antropologii i Genetyki Człowieka Uniwersytetu Monachijskiego wykryli kokainę i nikotynę w tkankach egipskich mumii. Trudno wytłumaczyć te zaskakujące wyniki. Kokaina i nikotyna należą do grupy związków chemicznych zwanych alkaloidami. Rośliny zawierające alkaloidy miały duże znaczenie kulturowe i ekonomiczne od tysięcy lat. Nikotyna występuje w wielu roślinach na całym świecie; nie można jednak powiedzieć tego samego o kokainie. Krzew kokainowy (*Erythroxylon coca*) był nieznan w Starym Świecie aż do okresu hiszpańskich ekspedycji do Ameryki Południowej w XV i XVI wieku. Od tego czasu uprawiano go w wielu innych częściach świata. Prawie rok po ukazaniu się raportu w *Naturwissenschaften* (1992), czasopismo to opublikowało kilka kontrowersyjnych listów od środowisk naukowych. Niektórzy uważali, że redakcja nierzetelnie zrecenzowała doniesienie, a projekt był albo dziwaczną mistyfikacją, albo nieudanym eksperymentem. Badacze niemieccy zostali zaatakowani, ponieważ nie uwzględnili właściwych procedur kontrolnych i nie udało im się w wystarczającym stopniu wyeliminować możliwości błędu spowodowanego przez instrumenty pomiarowe. Doktor Franz Parsche, jeden z badaczy mumii, odpowiedział na to: „(...) nasza analiza stanowi wyraźny dowód obecności alkaloidów w starożytnych szczątkach ludzkich”.

Badacze nie przedstawili żadnego wytłumaczenia, jak narkotyczne związki mogły znaleźć się w tkankach mumii, ale bronili poprawności wyników, powołując się na uznaną wiarygodność zastosowanych metod analizy. Naukowcy zaproponowali kilka możliwych wyjaśnień. W tkanki niektórych mumii mógł wniknąć dym tytoniowy w trakcie przeprowadzania badań mumii i eksponowania w muzeach. Być może reakcje prowadzące do powstania owych substancji zaszły wskutek działania osadów pestycydów wykorzystywanych do konserwacji i przechowywania zabytków. Kilku naukowców zauważyło, że w badanej zmumifikowanej skórze, włosach i tkankach kostnych mogły zajść nieznane im reakcje chemiczne. Skład substancji chemicznych używanych w starożytnym Egipcie do mumifikacji nie jest zbyt dobrze znany, ale wiemy, że procedury zmieniały się z biegiem czasu. Ta niepewność przemawia za obecnością narkotyków w mumiach. Badane materiały pochodziły z okresu od 1070 roku p.n.e. do 395 roku i we wszystkich stwierdzono obecność kokainy i nikotyny.

Z jednej strony, jest mało prawdopodobne, by egipskie techniki balsamowania nie zmieniały się przez ponad 1500 lat; można więc wnosić, że obserwujemy długoterminowe skutki reakcji chemicznych. Z drugiej strony, nie ma pewności, jak długo kokaina i nikotyna pozostają w zmumifikowanych szczątkach. Być może Egipcjanie wykorzystywali jakieś lokalne rośliny (dzisiaj nieznane), które zawierały kokainę, nikotynę lub pokrewne alkaloidy. Takie rośliny mogły mieć duże znaczenie z medycznego punktu widzenia lub mogły stanowić normalny składnik pożywienia. Nikotyna występuje w wielu roślinach z rodziny psiankowatych (*Solanaceae*), w tym w jadalnych i leczniczych, na przykład w pomidorach, ziemniakach, tytoniu czy bieluniu dziedzierzawie.

Jeśli narkotyki nie były lokalnego pochodzenia i nie znalazły się w tkankach mumii wskutek mimowolnego wprowadzenia, pozostaje tylko jedna możliwość. Znaleźiska te byłyby dobrymi dowodami z zakresu medycyny sądowej na poparcie tezy o prekolumbijskich kontaktach transoceanicznych. Ponieważ badane mumie pochodzą z okresu trwającego 1500 lat, a więc naprawdę długiego, takie kontakty musiałyby być regularne, chyba że rośliny zostały przywiezione do Egiptu i tam rozpowszechnione. Kokaina to dobrze znany środek znieczulający i pobudzający. Byłaby doskonałym towarem do wymiany między starożytnymi medykami, jeśli tylko mieliby ku temu okazję. Pożyteczne właściwości rośliny były znane mieszkańcom Ameryki Południowej już przed Inkami. Dziś ludność górzystych regionów Peru i Boliwii wykorzystuje krzewy kokainowe podobnie jak przodkowie. Liście żuje się ze sproszkowanym wapnem (węglanem wapniowym, tradycyjnie otrzymany z zmiądzonych muszel lub z popiołu). Wapno wytwarza alkaliczne środowisko w ślinie, co powoduje skuteczniejsze wchłanianie kokainy i innych alkaloidów.

Teksty medyczne starożytnych Egipcjan powstawały już 4000 lat temu i jak na owe czasy zawierały ogrom wiedzy. W całym ówczesnym świecie wysoko ceniono medyków z Egiptu. Choć praktykowali oni chirurgię i znali różnorodne substancje lecznicze, ich wiedza o środkach znieczulających i pobudzających – na ile wiemy – była słaba. Nie znamy żadnych starożytnych egipskich zapisów ani artefaktów, które wyraźnie odnosiłyby się do ziół lub procesów znanych z Nowego Świata, takich jak żucie liści kokainowych. Badania wskazują, że wiedza medyczna rozprzestrzeniała się w czasach starożytnych powoli.

Doktor Parsche przekonuje: „Nie powinniśmy interpretować obecności narkotyków w mumiach egipskich na podstawie tego, jak rolę odgrywają narkotyki we współczesnych społeczeństwach. Prowadzi się dalsze doświadczenia mające wyjaśnić niektóre z tych kwestii”.

Rzeczywiście potrzeba wyjaśnień. Mumie nie są rzadkością, a więc można je poddawać badaniom. Dalsze prace mogą nam pomóc w zrozumieniu tej biochemicznej zagadki; do tego czasu owa tajemnica egipskich mumii pozostanie nierozwiązana.



Egipcjanie w prekolumbijskiej Ameryce

Nie istnieją dowody na poparcie tezy o wpływach starożytnych Egipcjan w prekolumbijskiej Ameryce – w każdym razie upierają się przy tym twierdzeniu zwolennicy kulturowej izolacji. Do najbardziej elokwentnych i mających najbardziej rozległą wiedzę rzeczników tego poglądu należał Erie Lurio, znany nowojorski artysta, rysownik i autor *A Fractured History of the Discovery of America* („Niepełne dzieje odkrycia Ameryki”) – satyry na kulturowych dyfuzjonistów. Tablica z Davenport, o której wspomina on w *Ancient American* ze stycznia-lutego 1995 roku, podobno przedstawiająca staroegipską uroczystość podnoszenia *dzed*, czyli świętej kolumny, została rzekomo odnaleziona w zachodniej części stanu Iowa pod koniec XIX wieku. Większość archeologów uznała ów obiekt za podróbkę. Zdaniem Luria to samo można powiedzieć o wszystkich hipotezach na temat zamorskich przybyszów docierających do prekolumbijskiej Ameryki.

Erie Lurio

Teza: Egipcjan nie było w starożytnej Ameryce

Głównym, jeśli nie jedynym, powodem, dla którego niektórzy badacze wierzą w kontakty starożytnych Egipcjan z ludnością Meksyku czy Andów, są piramidy. Prawie wszystkie książki i artykuły stwierdzające, że starożytni Egipcjanie utrzymywali kontakty ze starożytnymi mieszkańcami Meksyku czy Andów, powołują się na piramidy jako główny materiał dowodowy. Wyjątkiem był Barry Fell, który opierał swoją „argumentację” dotyczącą egipskich kontaktów na znanym oszustwie z Davenport. Posłużenie się udowodnionym fałszerstwem jako dowodem, jak to uczynił Fell, dyskredytuje resztę przedstawionych faktów.

Gunnar Thompson w swojej najnowszej książce powtarza to kłamstwo, jak również kłamstwa innych badaczy. Podkreślają oni, że Majowie i Aztekowie mieli piramidy, Inkowie mieli piramidy oraz Egipcjanie mieli piramidy, zatem po prostu musiało dojść do kontaktu tych kultur. Profesjoniści, z wyjątkiem Thora Heyerdahla, odrzucają to z miejsca. Czy słusznie? W tym artykule przyjrzymy się dowodom, żeby przekonać się, która strona ma rację.

Aby właściwie zbadać tę kwestię, musimy zadać sobie dwa pytania. Czy starożytni Egipcjanie przebyli drogę przez Morze Śródziemne, następnie przepławili się przez Atlantyk, potem przez Karaiby i Zatokę Meksykańską, następnie Meksyk i sporą część wschodniego Oceanu Spokojnego, aż do Peru? Jeśli tak, to czy dotarli tam w czasie, kiedy mieszkańcy Meksyku i Andów rozpoczęli wznoszenie piramid? Przyjrzyjmy się dowodom.

Po pierwsze – drewno. Zwolennicy transoceanicznych kontaktów, choćby Thor Heyerdahl, twierdzą, że w Egipcie drewno, jeśli w ogóle występowało, było tak rzadkie, że Egipcjanie używali niemal wyłącznie papirusowych łodzi trzciniowych do podróży zarówno po Nilu, jak i po morzach i oceanach. To właśnie przypuszczenie zainspirowało nieudaną ekspedycję *Ra I* w 1969 roku i następną wyprawę kilka lat później. Ekspedycje te, które często przytacza się jako dowód kontaktu, nie mają żadnego znaczenia, ponieważ w Egipcie było przecież drewno. Akacje, sosny i jałowce, choć nie rosły masowo, nie należały też do rzadkości, zaś drewno akacyjne było podstawowym materiałem do budowy statków większych niż prywatne łodzie zazwyczaj wykonane z trzciny.

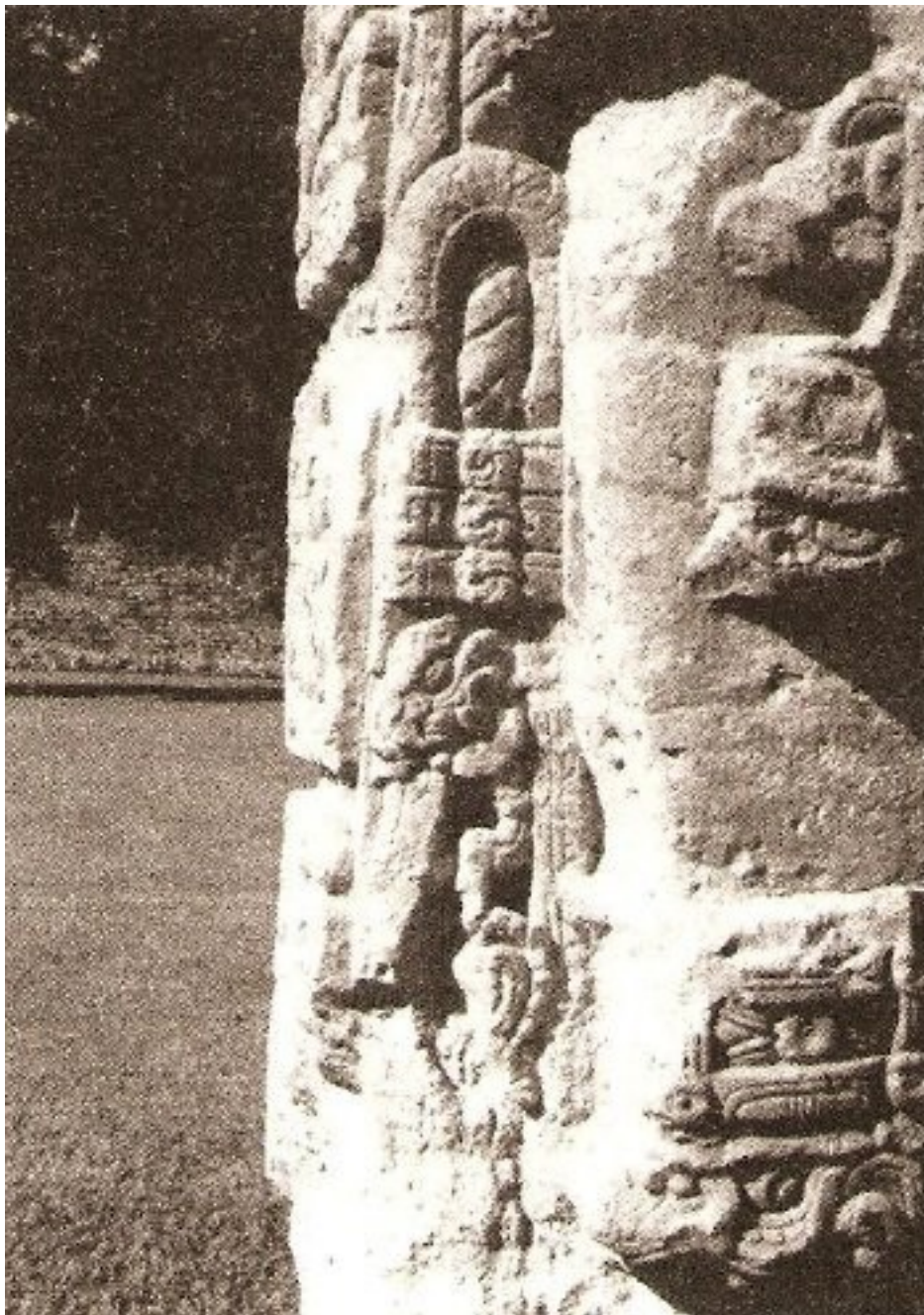
Akacja, choć znacznie lepsza od trzciny, nie była najdoskonalszym z możliwych materiałów. Egipcjanie udali się zatem na tereny dzisiejszego Libanu, żeby zdobyć cedr, z którego ten kraj słynął.

Najlepszym przykładem cedrowego statku jest tak zwana łódź Cheopsa, znaleziona pod piramidą Cheopsa. Starożytny handel drewnem cedrowym jest wyjątkowo dobrze udokumentowany i stanowił główny powód, dla którego Egipt podbijał i odbijał Kanaan przez tysiąclecia. Częściej jednak Kananejczycy dostarczali to drewno drogą lądową przez ziemie dzisiejszego Izraela i Synaju, rzadziej drogą morską, łodziami. Raz jednak Egipcjanie wysłali własną flotę aż na libańskie wybrzeże, by zdobyć cenione drewno. Ówczesny faraon (Sahure, około 2460 roku p.n.e.) tak bardzo chełpił się swoim osiągnięciem, że kazał umieścić opis całej przygody na ścianach piramidy, w której spoczął po śmierci. Czemuż Sahure miałby odczuwać tak wielką dumę ze zwykłej wyprawy do Libanu, jeśli Egipcjanie podróżowali aż do Peru?

Pytanie to staje się jeszcze bardziej istotne, kiedy przypomnimy sobie, że Numidia, leżąca na zachód od Libii, miała bujne, rozległe lasy pełne cedrów, świerków i sosen. Rzymscy cieśle okrętowi przez stulecia wykorzystywali niemal wyłącznie numidyjskie drewno, niszcząc większość lasów i przy okazji trzebiąc również słonie Hannibala. Gdyby spragnieni drewna Egipcjanie wiedzieli o tych numidyjskich lasach, jakież historie by opowiadali! Nie zachował się jednak żaden ślad jakichkolwiek egipskich kolonii na zachód od delty Nilu. Egipcjanie wraz z wytworami ich rąk, znajdowanymi w całej dolinie Nilu aż po północną Kenię, są nieznanymi na zachód od najdalej na wschód wysuniętych terenów dzisiejszej Libii przed wyprawami Fenicjan w IX wieku p.n.e. Według moich ustaleń najwcześniejsza egipska wzmianka o Sycylii i Sardynii pojawiła się, gdy tak zwane Ludy Morza zaatakowały Egipt w okresie panowania Ramzesa III (1184-1153 p.n.e.). Bez odpowiedzi musi zostać istotne pytanie, jak Egipcjanie zdołali przedostać się przez Cieśninę Gibraltarską, jeśli nie mieli pojęcia o obfitych, cennych źródłach drewna tak blisko domu.

Drugim poważnym zagadnieniem jest ustalenie chronologii. Czy mieszkańcy Meksyku i Andów rozpoczęli budowę piramid w czasie, gdy Egipcjanie wznosili swoje piramidy? Aby rozstrzygnąć tę kwestię, musimy poznać historię wznoszenia piramid w Egipcie. Pierwszym egipskim obiektem tego typu jest piramida schodkowa Dżesera. Zbudował ją wezyr tego faraona, Imhotep, nie wcześniej niż w 2750 roku p.n.e., a najprawdopodobniej 100 lat później. Starożytne źródła mówią, że zaprojektował on piramidę jako serię mastab, czyli grobowców ustawionych jeden na drugim. W całej Afryce nie ma starszych konstrukcji tego typu. Egipska tradycja budowania piramid utrzymywała się przez ponad 1000 lat, aż do kresu XVII dynastii, około 1570 roku p.n.e. Później Egipcjanie zaczęli dokonywać pochówków faraonów w grotach-komorach w Dolinie Królów. Po tym czasie nie zbudowano w Egipcie żadnej piramidy, choć XXV dynastia (715-660 p.n.e.) wzniosła kilka w Meroe, w Nubii. Siedemnasta dynastia władała Górnym Egiptem, podczas gdy Hyksosi, najeźdźcy z Azji, okupowali Dolny Egipt. Królewskie piramidy tej dynastii są małymi, żalonymi budowlami w porównaniu z monumentalnymi piramidami w Gizie. Dosadnie mówiąc: są niczym szalety w porównaniu z Empire State Building.

Jak wyglądała sytuacja w Meksyku? Aztekowie i Majowie nie byli pierwszymi mieszkańcami Meksyku, którzy budowali piramidy. Cywilizacja Mezoameryki zaczęła rozkwitać około 1200 roku p.n.e. Jej najstarszy ośrodek w obecnym San Lorenzo zbudowano na wielkim, sztucznym kopcu. Choć miejsce zostało zniszczone w 900 roku p.n.e., odkryto tam pozostałości piramidalnych usypisk. Kolejny duży ośrodek wzniesiono w San Lorenzo mniej więcej 100 lat później. Tamtejsza piramida, przypominająca bardziej stożkowaty kopiec, jest najstarszą, wciąż nienaruszoną piramidą w Meksyku. Zauważmy, że cywilizacja Olmeków rozwinęła się w czasie, kiedy piramid nie budowano w Egipcie od ponad 3000 lat. Czyż to nie oznaczałoby, że egipscy architekci musieli bardzo długo zwlekać?



Przeciwnicy teorii zakładającej wpływ starożytnych Egipcjan na ludy prekolumbijskiej Ameryki mają problemy z wytłumaczeniem istnienia takich obiektów, jak widniejący na boku monumentalnego posągu w Copán, obrzędowym mieście Majów w Hondurasie. Przedstawiona tu zasuplona pętla była również znakiem czczonym w dolinie Nilu jako *Sa*, czyli „ochrona” – amulet kojarzony z „Wielką” – boginią Taoris, protektorką zmarłych.

Andyjskie cywilizacje Peru stanowią podobny problem. Po pierwsze, mieszkańcy Andów byli pierwsi. Najstarsze andyjskie piramidy są starsze niż najstarsze egipskie. Najstarsza piramida w Andach stoi w Aspero na peruwiańskim wybrzeżu, mniej więcej w połowie drogi między Ekwadorem a Chile. Nosi nazwę *Huaca de los Sacrificios*. Budowla ma około 9 metrów wysokości, zaś datowane metodą radiowęglową jej mułowe cegły na wierzchołku są ocenione na 2857 rok p.n.e. Podstawa jest znacznie starsza. Najstarsza możliwa data to 2800 rok p.n.e., co najmniej 70 lat wcześniej niż najstarsza możliwa data wzniesienia piramidy Dżesera (Dżeser był królem w latach 2638-2609 p.n.e.). Rozbieżność jest prawdopodobnie większa. *Huaca de los Sacrificios* wzniesiono w okresie nazywanym przez archeologów „przedceramicznym IV”. Nadano mu taką nazwę, gdyż mieszkańcy Andów w tym czasie nie potrafili wytwarzać wyrobów garncarskich. Pierwsze okazy ceramiki na tym obszarze są o 100 lat młodsze.



Huaca de los Sacrificios

Egipt jednak znał garncarstwo prawie 2000 lat przed wzniesieniem pierwszej piramidy. Tylko ten argument wystarczy, aby przekreślić możliwość kontaktu. Rozwój architektury piramidalnej w Amerykach nie mógł nastąpić wskutek kontaktów z Egiptem z powodu odległości, nieznamomości przez Egipcjan zachodniej części Morza Śródziemnego i, co najważniejsze, rozbieżności czasowych.

Inne rzekome świadectwa kontaktu, takie jak ekspedycje *Ra* Thora Heyerdahla, nie mają znaczenia lub, jak w przypadku kamienia z Davenport, są oczywistymi oszustwami. Najgorszą z mistyfikacji jest fałszywa lista słów, która pojawiła się w książkach *They Came Before Columbus* („Oni przybyli przed Kolumbem”) oraz *American Discovery* („Odkrycie Ameryki”), z której pochodzi następujący cytat: „Majowie mieli swoje podziemne królestwo nazywane Mani. Meksykańskie i peruwiańskie nazwy boga Słońca (Ra) są fonetycznie identyczne z egipską nazwą boga Słońca Re (Ra)”. Dla porządku przypomnę, że podziemny świat Majów nosił nazwę Xibalba, inkaski bóg Słońca nazywał się Inti, a słoneczne bóstwa Majów i Azteków były znane pod imionami Ki i Tonatiuh. A więc to się po prostu nie zgadza.



Egipcjanie na wybrzeżach Ameryki

Replika Gunnara Thompsona na zjadliwą krytykę Erica Luria, opublikowana w tym samym numerze *Ancient American*, była w odróżnieniu od tekstu Luria pozytywna i życzliwa. Niemniej jednak wytknęła kilka słabych punktów w jego argumentacji przeciwko wszelkim możliwościom bliskowschodnich wpływów w prekolumbijskiej Ameryce. Doktor Thompson zaprezentował także nowe świadectwa, które z pewnością sprawiły, że niejeden nawet najbardziej zatwardziały sceptyk zaczął zastanawiać się, czy Egipcjanie z okresu dynastycznego rzeczywiście nie zjawili się na wybrzeżach amerykańskich tysiące lat temu.

Gunnar Thompson

Antyteza: Rola Egipcjan w starożytnej Ameryce

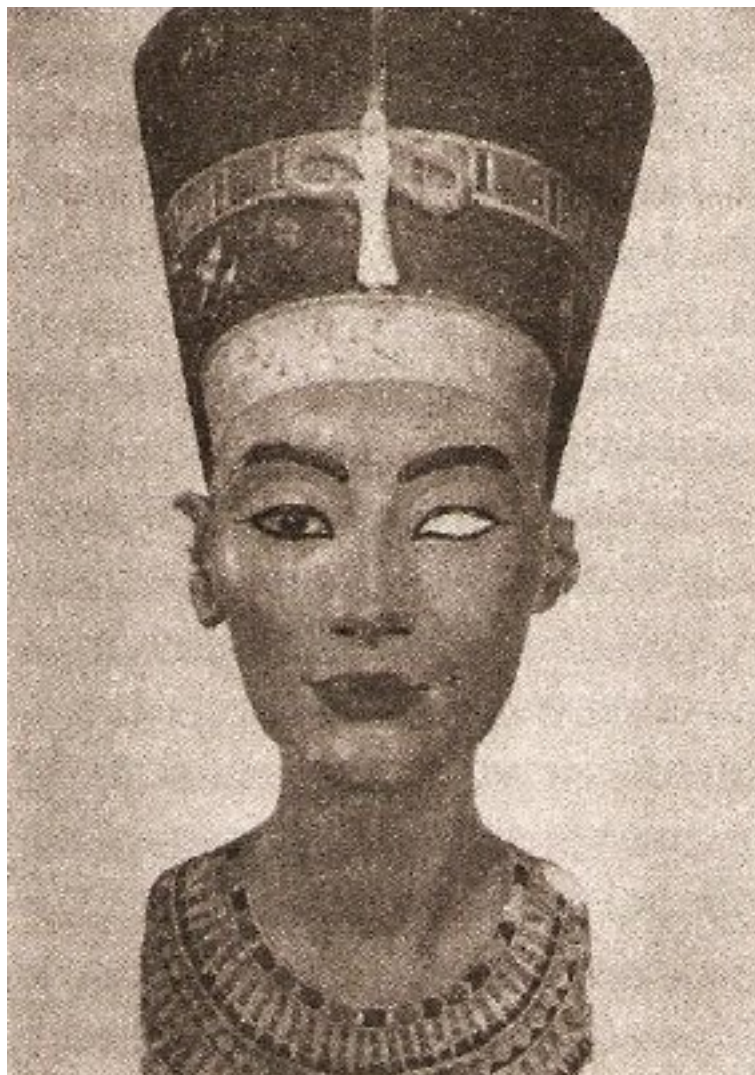
Artykuł Erica Luria wymierzony przeciwko kulturowemu dyfuzjonizmowi – przenikaniu kultury starożytnego Egiptu do Ameryki – ma kilka mocnych stron. Autor słusznie stwierdza, że najstarsze piramidy w Peru wykonane z cegły suszonej na słońcu poprzedzają kamienne piramidy w dolinie Nilu. Ma również słuszną, gdy oświadcza, że Egipcjanie znali drewniane statki. Stąd też wypływa jego słuszna krytyka wyboru trzciny totora (*Scirpus totora*) do konstrukcji *Ra II* przez Thora Heyerdahla, który dokonał udanej wyprawy tą tratwą z Maroka do Barbadosu w 1970 roku.

Lurio przytacza też kilka dobrze znanych faktów dotyczących piramid w Egipcie i Ameryce. Jednak jego dane są niepełne, a wnioski błędne. Upieranie się przy tym, że egipski bóg Słońca Ra był nieznan w starożytnej Ameryce, to tylko fałszywe założenie, nie zaś fakt. Egipskie nazwy Słońca w starożytnej Ameryce są głęboko zakorzenione. Egipskie przedmioty były odnajdywane na amerykańskich stanowiskach archeologicznych podczas wykopalisk prowadzonych zgodnie z naukowymi standardami, a egipskie wpływy są widoczne w sztuce, architekturze, piśmiennictwie, a także w praktykach religijnych starożytnych mieszkańców Ameryki.

Erie Lurio rozpoczyna swój wywód stwierdzeniem, że autor książki *American Discovery* uznaje piramidy za „główny materiał dowodowy”, potwierdzający kontakty z Egiptem. Po takim oświadczeniu poważnie wątpię, czy przeczytał moją książkę *American Discovery, the Real Story*. W rzeczywistości w rozdziale o Egipcie stwierdzam: „Tylko dwie piramidy w Nowym Świecie (Panche i La Venta) przywołują obraz piramid egipskich”. Dwa przykłady spośród kilku tysięcy piramid Nowego Świata nie najlepiej ilustrują przyjęty z góry pogląd Luria, że piramidy stanowią trzon mojej argumentacji za kontaktami z Egiptem. Jak to możliwe, że Lurio pominął moje oświadczenie na stronie 85: „Miejscowe tradycje architektoniczne były na tyle ustalone, że oparły się egipskiemu wpływowi”.

Wbrew twierdzeniom Luria *American Discovery, the Real Story* przedstawia szczegółowo świadectwa architektonicznych inspiracji indo-sumeryjskich i chińskich widocznych w piramidach Ameryki. Liczne miejscowe kurhany i niektóre ziemne piramidy były prawdopodobnie lokalnym zjawiskiem. Lurio ma słuszną, wątpiąc w to, że Egipcjanie wywierali wpływ na peruwiańskich architektów. Zgadzamy się przynajmniej pod tym względem. Świadectwa wskazują, że wczesne piramidy z cegły suszonej w Peru, jak również bawełniane wyroby włókiennicze, tykwy służące jako naczynia do napojów i łodzie trzciniowe są najprawdopodobniej wynikiem kontaktów z indo-

sumeryjskimi podróżnikami w IV tysiącleciu p.n.e.



Pochodzące z połowy XIV wieku p.n.e. słynne popiersie egipskiej królowej Nefretete ukazuje ją w nakryciu głowy ozdobionym emblematem podwójnej pętli, reprezentującym zjednoczone królestwo egipskie.

Lurio stwierdza, że Inti, Ki i Tonatiuh to miejscowe nazwy boga Słońca. Ma rację, ale nie były to jedyne nazwy. Izolacjoniści muszą zdawać sobie sprawę, że półprawdy nie pokazują pełnej historii lokalnego rozwoju kulturowego. Dyfuzja kulturowa ze Starego Świata stanowi znaczącą część tej historii. Musimy szukać całej prawdy, jeśli chcemy naprawdę zrozumieć przeszłość. Podjęta przez Luria próba wydedukowania tego, co się wydarzyło, oparta na logice, ograniczonej ilości informacji oraz błędnych założeniach, to interesujące, lecz bezowocne ćwiczenie.

W Nowym Świecie żyło wiele plemion, które miały sporo nazw dla boga Słońca. Niektóre zapomniano z powodu spustoszeń, poczynionych przez choroby wśród rdzennych populacji, a także z powodu zacierającej się pamięci kolejnych pokoleń. Jednak egipskie słowo *Ra* (lub *Re*) na oznaczenie Słońca przetrwało tysiąclecia jako świadectwo kulturowego wpływu Egiptu w starożytnej Ameryce. Archeolog Curt Muser doniósł o symbolu hieroglificznym *Re* w Teotihuacán w Meksyku, gdzie znajduje się olbrzymia piramida Słońca. Ten ważny symbol hieroglificzny składał się ze zwoju i motywu oka wewnątrz koła. Zarówno Muser, jak i meksykański archeolog Alfonso Caso dzięki etnograficznej analizie zidentyfikowali znak hieroglificzny *Re* jako *ojo de reptil*, czyli „oko węża”. Miejscowi artyści z Teotihuacán umieszczali hieroglif *Re* pośrodku słonecznych symboli, aby reprezentował „oko Słońca”. Egipcjacy używali podobnego symbolu składającego się z *udjat* („oka Horusa”) umieszczonego wewnątrz symbolu Słońca. Nazywał się on *Ra* lub *Re*, „oko Słońca”. Obecność zbliżonej symboliki wraz z identycznym nazewnictwem silnie przemawia za dyfuzją kulturową. Tym samym dwaj szanowani archeolodzy, Curt Muser i Alfonso Caso, ustalili, że część ludności Teotihuacán знаła boga Słońca pod egipską

nazwą Re, choć późniejsi mieszkańcy Meksyku wybrali inne imiona dla swojego bóstwa.



Prekolumbijski posąg niezidentyfikowanej, prominentnej tolteckiej kobiety ukazuje ją w kapeluszu nie tylko podobnym do nakrycia głowy Nefretete, ale także ozdobionym identycznym emblematem podwójnej pętli.

Thor Heyerdahl dostrzegł imię egipskiego boga Słońca (Ra) w imieniu peruwiańskiego bohatera kulturowego, Kontiki Viracochy. Imię to oraz peruwiańska tradycja używania trzciniowych łodzi doprowadziła Heyerdahla do wniosku, że istniała dyfuzja kulturowa pomiędzy Egiptem a Peru. Celem jego wyprawy w trzciniowej łodzi przez Atlantyk było udowodnienie, że starożytni Egipcjanie przy wykorzystaniu najbardziej prymitywnej technologii mogli dotrzeć do Ameryki, Technologię wyrobu łodzi trzciniowych mieszkańcy Bliskiego Wschodu znali już w X tysiącleciu p.n.e. Mimo że w III tysiącleciu p.n.e. większość Egipcjan korzystała z drewnianych statków, duże łodzie trzciniowe wciąż były w użyciu na Morzu Czerwonym jeszcze w I wieku. Mniejsze łodzie trzciniowe nadal cieszą się popularnością wśród rolniczej ludności Afryki Północnej, Azji i Peru.

Izolacjoniści często skarżą się na „brak artefaktów” do wsparcia ich twierdzenia o „braku kontaktów przed Kolumbem”. Jednak to narzekanie często maskuje nazbyt restrykcyjne kryteria akceptacji świadectw oraz zwyczajną ignorancję.

Jednego z najważniejszych odkryć egipskich artefaktów dokonano w 1914 roku w El Salvador. Od tamtego czasu jednak znalezisko było w dużej mierze ignorowane przez naukowców akademickich w Stanach Zjednoczonych. W trakcie wykopaliśk archeologicznych pod kierownictwem profesora Miguela Angela Gonzalesa wydobyto dwa egipskie posąжки zagrzebane głęboko w ziemi. Jedna ze statuetek przedstawia sarkofag (lub mumię) faraona z koroną Ozyrysa, boga będącego symbolem wiecznego życia. Druga zdaje się ukazywać boginię-matkę, Izydę. Inskrypcja na męskim

posążku przypomina kartusz faraona Osorkona (XXII dynastia, około 1000 roku p.n.e.). Fotografie tych przedmiotów opublikowano w *Historia de la Nacion Mexicana* („Historia narodu meksykańskiego”, 1940), napisanej przez historyka jezuitę Manuela Cuevasa. Był on przeświadczony o autentyczności tych artefaktów oraz ich wielkim znaczeniu dla starożytnych dziejów Nowego Świata. Mimo to uprzedzenie jankeskich naukowców do wszystkiego, co mogłoby potwierdzić kontakty transoceaniczne przed Kolumbem, spowodowało całkowite pominięcie tych świadectw.

Z biegiem lat cenne wskazówki, służące zrozumieniu kultur Nowego Świata, takie jak powyższe, zostały dosłownie utracone wskutek spisku ignorantów podsycanego przez akademicką arogancję profesorów tytularnych. Ponownie odkryłem te artefakty w książce Cuevasa w trakcie jednej z wielu wizyt w bibliotece University of Hawaii. Publikacja ta tkwiła na półce nieotwierana, gromadząc kurz przez ostatnich 40 lat. Manuel Cuevas zasugerował w swoim dziele, że starożytni mieszkańcy Meksyku nawiązali kontakt z Egipcjanami lub kupcami, którzy odbywali podróże po Nilu. Sądził, że egipskie inspiracje są widoczne w piramidzie Słońca w Teotihuacán. Porównywał meksykańską piramidę z piramidą Cheopsa w Gizie – obie są identycznie zorientowane pod względem geograficznym oraz mają takie same wymiary podstawy.



Piramida Słońca w Teotihuacán. Poniżej Piramida Cheopsa w Gizie.



Meksykańska piramida nie jest jednak zwykłą repliką egipskiej. Ma unikatowe cechy, które odzwierciedlają sposób dostosowania obcych idei do miejscowej kultury. Piramida miała zaledwie połowę wysokości swojego egipskiego odpowiednika, a także schody prowadzące do świątyni na szczycie. Ponadto odgrywała większą rolę w lokalnej kulturze, ponieważ była nie tylko centrum obrzędowym, ale także ośrodkiem publicznych targów. Obecność symbolu hieroglificznego *Re* na ceramice w Teotihuacán stanowi poparcie teorii Cuevasa, że ta piramida z Nowego Świata zdradza egipskie wpływy.

Erie Lurio, tak jak jego koledzy, upiera się, że różnica wielu stuleci między wzniesieniem piramid egipskich oraz amerykańskich wystarcza do wykluczenia możliwości dyfuzji. Należy przyznać, że hipoteza dyfuzji kulturowej w tym przypadku całkowicie opiera się na domniemaniu, jednak zwykłą arogancją jest utrzymywanie, że wpływy egipskie były niemożliwe. Piramida Cheopsa nadal inspiruje tych, którzy patrzą na jej potężne kamienne bloki. Niedawno jeden z amerykańskich przedsiębiorców wybudował w Las Vegas hotel w kształcie piramidy, zainspirowany nieprzemijającą spuścizną Cheopsa. Podobnie mogło być z władcami Teotihuacán. Gdy dowiedzieli się o piramidach nad Nilem, mogli w 300 roku p.n.e. podjąć decyzję o wzniesieniu miasta piramid rywalizującego z pomnikami Egiptu, długo po śmierci egipskich architektów.

Wciąż pojawiają się nowe świadectwa kontaktów z Egiptem. W 1994 roku George Carter wykrył obecność nikotyny i kokainy w staroegipskich mumiach. Te narkotyki pochodzące z lokalnych amerykańskich roślin zostały wstępnie zidentyfikowane przez zespół niemieckich mikrobiologów. Inni naukowcy znaleźli amerykańskiego chrząszcza tytoniowego (*Lasioderma serricorne*) w grobowcu króla Tutanchamona. Barry Fell dowodził istnienia egipskich wpływów w piśmie hieroglificznym plemienia Mikmaków. W książce *American Discovery* zamieściłem ilustrację libijskiego pisma na szatach kapłańskich w centrum obrzędowym Majów w Bonampak na Jukatanie. Poprzez Libijczyków Egipcjanie mogli kontaktować się z odległymi stronami świata, takimi jak Ameryka Środkowa. Naukowcy stojący na stanowisku izolacjonistycznym całkowicie przeoczyli to libijskie pismo w Bonampak, ponieważ „nie pasuje” ono do ich przyjmowanych z góry, ustalonych poglądów na pismo Majów. Niemniej jednak obce pismo wyraźnie widać na malowidłach ściennych w Bonampak i w wielu podręcznikach zawierających zdjęcia tych malowideł.

Wydaje się, że wpływy egipskie najbardziej utrwaliły się w rdzennych amerykańskich praktykach religijnych i sztuce. Egipskie motywy na miejscowych dziełach sztuki to: wizerunki węży – symbolu płodności – na posągach Majów; aztecki bóg Słońce (Tonatiuh) trzymający kadzielnicę w taki sam sposób, jak egipcjanie bogowie Słońca (faraonowie); węzowe nakrycie głowy Misteków, które przypomina nakrycia głowy faraonów i królowych egipskich. Niektóre posągi olmeckie mają stylizowane brody, podobne do sztucznych bród egipskich faraonów. Wszystkie te artystyczne tradycje mają religijne korzenie, które przeciwstawiają się przypuszczeniom izolacjonistów o „niezależnym pochodzeniu” lub „przypadku”. Potwierdzają dyfuzjonistyczne teorie o wszechogarniającym kulturowym wpływie Egipcjan w starożytnej Ameryce.

Erie Lurio ma słuszość, podkreślając niedociągnięcia zwolenników dyfuzjonizmu, które wynikają z mistyfikacji, działalności nadmiernie fantazjujących pisarzy czy braku odpowiednich badań. Jednak to, co uznaje za kłamstwa, zdaje się odzwierciedlać jego dogmatyczne akademickie przygotowanie i brak zrozumienia. Odkrywanie tajemnic przeszłości wymaga dodatkowego wysiłku ze strony prawdziwych badaczy. Choć akademicy naukowcy mają pełne prawo szcycić się wyspecjalizowanymi badaniami terenowymi, moje przygotowanie antropologiczne i stała konfrontacja z dogmatyką akademicką przekonały mnie, że najbardziej staranni badacze są w gronie kulturowych dyfuzjonistów.



Aztecki bóg Słońce (Tonatiuh).

Tymczasem dysponujący specjalnymi uprawnieniami akademicy często przejawiają postawę „rozkosznej ignorancji”, pracując w izolacji od innych naukowców. Trzeba mieć nadzieję, że Erie Lurio doceni i uhonoruje piękno wielokulturowego dziedzictwa Ameryki. O takim dziedzictwie zaświadcza mnóstwo artefaktów, zapożyczeń słownych, tradycji, cech fizycznych, symboli, map, systemów pisma, chorób przywleczonych zza oceanu czy praktyk rolniczych starożytnych ludów. Znaczną część tych dowodów znaleźli niezależni badacze oraz amatorzy spoza ekskluzywnego klubu konserwatywnej archeologii amerykańskiej.

Niech pan zachowa sceptycyzm, panie Lurio, ale niech pan także spróbuje mieć otwarty umysł.



Kamień Waubensee

Przemysłowe miasto Chicago nie jest zazwyczaj kojarzone z prehistorią Ameryki. Jednak w jednym z jego muzeów jest eksponowane absolutnie unikatowe dzieło sztuki, które mogli zostawić w Nowym Świecie przybysze z Bliskiego Wschodu ponad 2000 lat temu. Jeśli to prawda, to ich wkład w historię Chicago mógłby okazać się równie odkrywczy z archeologicznego punktu widzenia, co makabryczny. Opowiada o tym artykuł z *Ancient American* z sierpnia-września 1998 roku.

Frank Joseph

Wielka kamienna twarz z Chicago

W sercu miasta Chicago na południowym brzegu rzeki Chicago stał niegdyś duży, osobliwy głaz. Z jednej strony była na nim fachowo wyciosana twarz mężczyzny z zamkniętymi oczami i rozwartymi ustami oraz z małą bródką.

Na górnej stronie kamienia znajdowało się zagłębienie – niewielkie korytko. W obu bokach kamienia i pomiędzy rozchylonymi wargami oblicza były trzy przewiercone przez twardą skałę otwory połączone tunelowo ze sobą oraz z owym korytkiem. Relief miał 30,5 centymetra szerokości i 44,5 centymetra wysokości oraz głębokość 3,8 centymetra. Wążący 1360 kilogramów granitowy blok, z owym zagłębieniem głębokości 11,5 centymetra, długości 45,5 centymetra i szerokości 23 centymetrów, pierwotnie dominował nad piaszczystą wydumą nad jeziorem Michigan. Geolodzy uważają, że wyrzeźbiony monolit został tam przeniesiony przez lodowiec (wobec czego miałby około 10.000 lat) lub był częścią Tarczy Kanadyjskiej, obszaru skalnego liczącego co najmniej 750.000.000 lat.

W każdym razie ta unikatowa kamienna twarz w przeszłości tkwiła na zewnątrz palisady fortu Dearborn, dawnego obozu amerykańskiego wojska, który z czasem rozrósł się i przemienił w ogromne miasto. Na tym głazie w 1837 roku stał Daniel Webster, gdy wygłaszał mowę do mieszkańców fortu. Po zlikwidowaniu wojskowej placówki pod koniec XIX wieku wążący niemal 1,5 tony obiekt przeniesiono z jego pierwotnej lokalizacji – przy skrzyżowaniu dzisiejszych arterii Wacker Drive i Michigan Avenue – do Sanitary District po północnej stronie rzeki. Parę lat później został usunięty z tego niegodnego miejsca i znalazł odpowiednie miejsce na ekspozycji w Chicago Historical Museum. Można go tam oglądać jako część dioramy rekonstruującej wygląd fortu Dearborn za głównym holem na pierwszym piętrze.

Henry Hurlburt w 1881 roku pierwszy opisał ten dziwny kamień. Postawił hipotezę, że wyciosał go jakiś nieznany, dysponujący wolnym czasem żołnierz z fortu Dearborn, który zechciał wyrzeźbić podobiznę Waubensee, wodza indiańskiego plemienia Potawatomi. Hurlburt nie dysponował autentycznymi zapiskami czy jakąkolwiek dokumentacją. Wysnuł swoje wnioski tylko na podstawie starych pogłosek. Przyjął, że zagłębienie na górze obiektu musiało być wykorzystywane jako moździerz do rozcierania kukurydzy, choć pytanie, po co komuś potrzebny byłby 1360-kilogramowy moździerz, pozostało bez odpowiedzi. Oba te kiepskie wytłumaczenia zostały już dawno odrzucone, jednak nazwa przyłgnęła do przedmiotu i masywny artefakt jest znany jako kamień Waubensee.

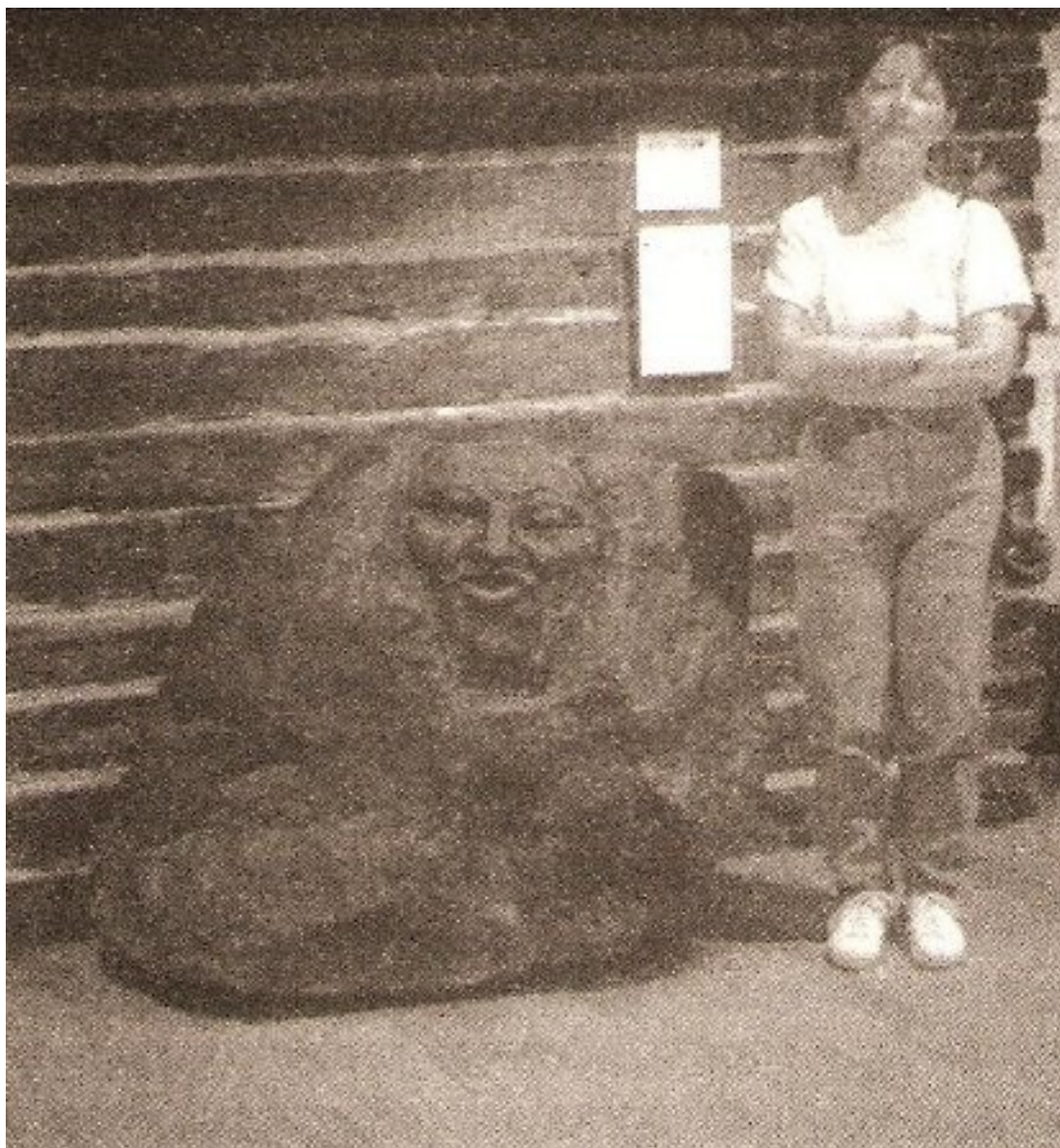


Kontrowersyjna rzeźba Waubensee.

Granit należy do najtrudniejszych materiałów rzeźbiarskich. Wyrzeźbiona w nim twarz jest bez wątpienia dziełem sztuki bardzo uzdolnionego kamieniarza, który poświęcił mnóstwo czasu i wysiłku temu dziełu. Raczej nie mógłby pogodzić pracy nad nim z obowiązkami frontowego żołnierza. Biorąc pod uwagę obustronną wrogość między ówczesnymi Indianami i osadnikami, wydaje się mało prawdopodobne, aby jakikolwiek biały człowiek, a zwłaszcza żołnierz, miał ochotę poświęcić tyle wysiłku dla upamiętnienia jakiegoś indiańskiego wodza. Wobec skąpych materiałów źródłowych hipoteza o anonimowym żołnierzu, niemającym lepszego zajęcia niż rzeźbiarstwo, jest mniej prawdopodobna niż to, że kamień już tkwił na swoim miejscu na piaszczystej wydmie, gdy żołnierze budowali fort Dearborn. Ponadto jeden rzut oka na zagłębienie na wierzchu kamienia wystarczy, żeby stwierdzić, że podłużna, nieco wklęsła niecka nie nadawałaby się do użycia jako moździerz.

Żaden z XIX-wiecznych osadników z rejonu Chicago nie był rzeźbiarzem, ale nie był nim również nikt spośród rdzennych Amerykanów. Indianie z Wielkich Równin rzadko obrabiali kamień, a już na pewno nigdy nie pracowali w granicie i z pewnością nie w takiej skali i nie z takim kunsztem, jakiego wyrazem jest kamień Waubensee. Co więcej, amerykańscy Indianie nie mają zarostu, zaś wyciosana w głazie twarz jest ozdobiona brodą. Jeśli zatem nie wykonał tego obiektu anonimowy żołnierz dla upamiętnienia indiańskiego wodza ani też zagłębienie na jego wierzchu nie było używane jako moździerz, jakiemu znamienitemu artyście można przypisać to dzieło? Po co je stworzono? I jak długo ów głaz stoi u ujścia rzeki Chicago? Nie posiadamy bogatszej dokumentacji niż Hulburt, żeby odpowiedzieć na te pytania. Współczesna archeologia dostarcza nam jednak innego rodzaju dowodów. Ponadto sam obiekt może do nas przemówić, jeśli tylko będziemy mieli

wystarczająco dużo cierpliwości, żeby go wysłuchać.



Kamień Waubensee na wystawie w Chicago Historical Society.

Przede wszystkim rozważmy pierwotną lokalizację głazu na południowym brzegu rzeki Chicago tuż nieopodal brzegu jeziora Michigan. Miejsce to już od czasów najstarszych znanych wypraw stanowi naturalny punkt przeładunkowy przed żeglugą na zachód systemem rzeczny Illinois aż do Missisipi. Louis Joliet i Pere Marquette zatrzymali się tu w 1673 roku, zaś Rene Robert Cavalier Sieur de la Salle dziewięć lat później zbudował w tym miejscu magazyn zaopatrzeniowy. Statki nadal cumują w pobliżu mostu Michigan Avenue, pierwotnej lokalizacji kamienia Waubensee. Jest to historyczne potwierdzenie, że miejsce owo stanowiło punkt, w którym okręty przybijały do brzegu. Tym samym zyskujemy pierwszą wskazówkę co do funkcji tego obiektu. Na jego identyfikację jako kamienia cumowniczego wskazuje wcześniejsze ustawienie w stronę rzeki, gdzie tak wiele statków cumowało przynajmniej od XVII wieku. Dwa boczne otwory w kamieniu są wystarczająco duże, żeby przeprowadzić przez nie linę cumowniczą. Wążący 1360 kilogramów granitowy blok z łatwością mógłby utrzymać nawet spory statek.

Przeznaczenie tego obiektu jako kamienia cumowniczego potwierdza XIX-wieczna pogłoska o podobnym skalnym bloku (o niemal identycznych rozmiarach, lecz bez wyrzeźbionego oblicza) około 45 metrów na zachód od kamienia Waubensee, również stojącym nad brzegiem rzeki. Ten bliźniaczy głaz został podobno zepchnięty do rzeki podczas konstruowania pierwszego mostu Michigan Avenue w latach 50. XIX wieku. W każdym razie kolejny podobny głaz stojący nad rze-

ką, oddalony o długość statku, przemawia za jego przeznaczeniem jako kamienia cumowniczego, do którego przywiązywano statki od strony dziobu i rufy.

Pytanie brzmi: czyje statki? Para 1,5-tonowych monolitów raczej nie była niezbędna do cumowania indiańskich kanoe z kory brzozonej. Być może odpowiedź tkwi w detalach widocznych na kamiennej rzeźbie Waubensee.

Rzekomo służące za moździerz zagłębienie na wierzchu kamienia brano dawniej za rodzaj chrzcielnicy. Rzeczywiście, owalna niecka odpowiada wielkością i kształtem postaci niemowlęcia. Spekulacje te zbliżają nas do prawdy, ale być może wcale nie chodzi o chrzest, ale o coś zupełnie przeciwnego i makabrycznego. Badając, do czego mógł służyć ów kamień z Chicago, zaczynamy odnajdywać paralele w świecie leżącym po drugiej stronie globu, daleko od prehistorycznego Chicago i jego rdzennej indiańskiej ludności.

Fenicjanie to starożytny semicki lud, znany również pod nazwą Kananejczyków, który pochodził z obszaru dzisiejszego Libanu. Po wojnie trojańskiej, w pierwszych dziesięcioleciach XII wieku p.n.e. Fenicjanie zaczęli tworzyć państwo, które stało się rozległym imperium zbudowanym głównie dzięki niekwestionowanym umiejętnościom żeglarskim i kupieckim Fenicjan. Okręty fenickie żeglowały wokół kontynentu afrykańskiego do wszystkich regionów znanego świata, a nawet dalej, do bogatych obszarów, o których wiedzę Fenicjanie utrzymywali w tajemnicy, takich jak Antylia, „najdalsza kraina”, gdzieś za Słupami Melkarta, czyli dzisiejszą Cieśniną Gibraltarską. Dokładnego położenia tej krainy – obfitującej we wszelkie bogactwa mineralne – nigdy nie udało się zadowalająco ustalić, choć coraz większa liczba badaczy, w tym słynny kryptolog Cyrus Gordon, sądzi, że Antylia to synonim Ameryki, zwłaszcza Brazylii.

Jak niedawno donosiliśmy w numerze 17 magazynu, w artykule *New Discovery of Ancient Map Puts Phoenicians in the America* („Nowe odkrycie starożytnej mapy pozwala zlokalizować Fenicjan w Ameryce”), doktor Mark McMenamin, profesor geologii i paleontologii Mount Holyoke College w South Hadley w Massachusetts, dowiódł zeszłej zimy, że Fenicjanie zamieścili przedstawienia brazylijskiego wybrzeża na części swoich bitych monet. Choć monety te stanowią materialne świadectwo, że starożytni wiedzieli o Ameryce Południowej, są one zaledwie na końcu listy zgromadzonych dowodów, sięgających ponad 300 lat w przeszłość. Kamień pokryty fenickim pismem odkryto w Brazylii około 120 lat temu.

Zdaniem pisarza Gunnara Thompsona „inskrypcję tę znaleźli brazylijscy niewolnicy na początku lat 70. XIX wieku. Nazwana tekstem z Paraiba opisuje podróż fenickich kupców, którzy wyruszyli z Sydonu w VI wieku p.n.e. Tekst z Paraiba po jego publikacji obwołano fałszerstwem. Jednak późniejsze badania potwierdzają, że inskrypcja jest autentyczna. Fragmenty uznawane wcześniej za fałszyfikat zostały zweryfikowane na podstawie identycznych inskrypcji na *bona fide* fenickich przedmiotach. Inskrypcje zawierały starożytne sformułowania i formy gramatyczne nieznanne w XIX wieku. Cyrus Gordon, badacz języków semickich z Brandeis University, odrzucił możliwość fałszerstwa, ponieważ dopiero niedawno udało się rozszyfrować archaiczny język inskrypcji. W 1641 roku jezuici mieszkający niedaleko Minas Gerais w Brazylii zgłosili znalezienie brązowych figurek z osobliwymi napisami. Watykańscy archeolodzy rozpoznali inskrypcje jako fenickie. W 1754 roku misjonarze donosili o ruinach jakiegoś kamiennego miasta w dżungli amazońskiej, na których również widniały fenickie inskrypcje”.

Wydaje się pewne, że Fenicjanie wiedzieli o Brazylii i podróżowali do niej. Co zatem miałyby powstrzymać ich przed wyprawą do Ameryki Północnej, a konkretnie nad jezioro Michigan u ujścia rzeki Chicago? Niestety, obecności Fenicjan w Illinois nie potwierdza równie duża liczba świadectw, co ich starożytnych wypraw do Brazylii – wyjątkiem jest jeden duży artefakt. Trudno się dziwić takiej dysproporcji, jeśli porówna się słabo rozwiniętą Brazylię, w której mogły pozostać nienaruszone materiały archeologiczne, z rejonem Chicago nadmiernie rozwiniętym pod względem przemysłowym.

Integralną częścią fenickiej religii były ofiary z małych dzieci składane bogom w celu ułagodzenia gniewu bóstw i zyskania ich przychylności. Ofiary składano głównie Molochowi, bóstwu zsyłającemu błogosławieństwa. Dzieci przynoszono do *tofet*, świętego miejsca, często pod gołym niebem, w którym znajdował się kamienny ołtarz z zagłębieniem na górze, bardzo przypominający

chrzcielnicę. Tam rytualnie podrzynano dziecku gardło, zaś krew ofiarna spływała przez nieckę wielkości dziecka, połączoną tunelem z rzeźbioną twarzą Molocha, do otwartych ust boga. Następnie krew rytualnie zamordowanego dziecka była wypływana do rzeki lub morza jako ofiara składana bogom wody. Podobieństwo kamienia Waubensee do *tofet* podkreśla wygląd oczu tego oblicza, zamkniętych w śmiertelnym grymasie. Ta niezwykła, charakterystyczna konwencja jest widoczna w zachowanych dziełach fenickiej sztuki, na przykład w brązowej głowie mężczyzny z zamkniętymi oczami z Ugarit. Ponadto tak jak rzeźbiarze kamienia z Chicago, fenicy artyści preferowali portrety ukazujące twarz od przodu. Do wybitnych przykładów należą tak zwana Mona Lisa z Nimrud oraz liczne reliefy w kości słoniowej typu „kobieta w oknie” znalezione w Kartaginie, największym fenickim mieście w Afryce Północnej. Co ciekawe, kamienna podobizna Waubensee ma brodę. Fenicjanie byli niepomiernie dumni z tej ozdoby męskiej twarzy. Natomiast amerykańscy Indianie nie mają zarostu.



Mona Lisa z Nimrud.

Kamień Waubensee sugeruje następujący możliwy scenariusz wydarzeń. Fenicki okręt wyładowany drewnem, miedzią i innymi surowcami opływa zachodnie wybrzeża jeziora Michigan, zmierzając na południe. Statek kieruje się do ujścia rzeki Chicago, gdzie cumy zostają zrzucone z dzioba i rufy do ludzi czekających na brzegu przy prowizorycznym miejscu przeładunkowym. Liny okrętowe, przełożone przez otwory w dwóch granitowych kamieniach cumowniczych na południowym brzegu, zabezpieczają dziób i rufę. Później w jakimś dogodnym momencie małe dziecko, przypuszczalnie kupione w ramach wymiany handlowej od miejscowych Indian, zostaje umieszczone w niecce na górze kamienia. Tam podrzyna mu się gardło. Ofiarna krew spływa przez kanaliki w kamieniu do rozchylonych ust rzeźby (być może przedstawiającej samego Molocha), a następnie wpada do rzeki. Jest to najważniejszy rytuał poświęcony bogom w intencji pomyślnej

podróży do domu w trakcie długiej, niebezpiecznej przeprawy rzeką Missisipi, przez Zatokę Meksykańską i dalej przez Ocean Atlantycki ku Afryce i Kartaginie.

Nie sposób przedstawić bliższych dat dla takiej opartej na domysłach rekonstrukcji wydarzeń. Fenicka potęga utrzymywała się przez około 1000 lat – od około 1200 roku p.n.e. do drugiej wojny punickiej (218-201 p.n.e.). Niezależnie od tego, kiedy zachodziły te dramatyczne wydarzenia, możliwe, że Chicago Historical Society dysponuje najcenniejszym artefaktem z prekolumbijskiej historii Ameryki Północnej. Gdyby tylko twarz na kamieniu Waubensee mogła przemówić – o jakich wspaniałościach i jakich okropnościach mogłaby nam opowiedzieć!

Rozdział 7

Goście z Afryki

Czy mieszkańcy Afryki Zachodniej zjawili się w Ameryce przed Hiszpanami?

Świadectwa przybycia ludów Afryki Zachodniej do Nowego Świata przed konkwistadorami gromadzono systematycznie od czasu, gdy hiszpański dowódca Hernán Cortés wylądował na wschodnich brzegach Meksyku pięć stuleci temu. Zdaje się, że konkwistadorów znacznie wyprzedzili przodkowie tej samej czarnej rasy, której przedstawiciele tkwili skuci w kajdany w cuchnących trzewiach hiszpańskich niewolniczych galer. Willard P. Leutze wykazał w artykule w *Ancient American* z kwietnia-maja 1996 roku, że czarnoskórzy ludzie nie tylko zamieszkiwali Meksyk w czasach prekolumbijskich, ale nawet – w kontraście do ich XVI-wiecznej niedoli – osiągnęli tam niekiedy nawet status bogów.

Willard P. Leutze

Starożytni Amerykanie: czerwoni czy czarni?

Najkrótsza droga morska przez Atlantyk prowadzi z Afryki Zachodniej do wschodniej wypukłości kontynentu Ameryki Południowej. Każda tratwa czy kanoe porwane przez prądy oceaniczne u wybrzeży Afryki Zachodniej zostaną nieuchronnie przeniesione do wschodnich wybrzeży Ameryki. Ekspedycja *Ra II* doktora Thora Heyerdahla z 1971 roku uwiarydliła siłę tych prądów i potwierdziła, że morskie wyprawy z Afryki do Ameryki były w starożytności nie tylko możliwe, ale wręcz bardzo prawdopodobne. Mniej odważni konserwatywni archeolodzy kręcą nosem, mówiąc, że Heyerdahl dowiódł jedynie tego, iż Norwegowie to dobrzy żeglarze.

W rzeczywistości jednak Heyerdahl wykazał, że każda jednostka pływająca wyruszająca z północnoatlantyckich wybrzeży Afryki nieuchronnie dotrze do Karaibów.

Był to zasadniczo ten sam transatlantycki szlak, który Krzysztof Kolumb wykorzystał do „odkrycia” Nowego Świata niespełna 500 lat wcześniej. Podobne wyprawy podejmowano bezpośrednio po nim. Hiszpańscy żeglarze określali centralną część oceanu mianem Niewieściego Morza ze względu na błogą, niewymagającą wysiłku przeprawę. Na zdrowy rozum, prędzej czy później – czy to przypadkowo, czy to celowo – jakiś mieszkaniec Afryki Zachodniej z wybrzeża sąsiadującego z tym spokojnym, stałym prądem oceanicznym, musiał przeżyć podróż do Meksyku lub Ameryki Południowej.

Pewien niemiecki antropolog znalazł mnóstwo materialnych dowodów na poparcie tego przypuszczenia. Począwszy od lat 60. XX wieku Alexander von Wuthenau gromadził dziesiątki mezoamerykańskich glinianych i kamiennych statuetek, które bez wątpienia przedstawiają Murzynów. Znaleźiska te krytycznie przeanalizował szanowany archeolog J. Erik Thompson w ramach recenzji naukowej. Doszedł do wniosku, że figurki Wuthenaua przedstawiają podróżników parających się handlem. Thompson oświadczył, że w wierzeniach Majów bogiem kupców był Ek (co znaczy „czarny”) Chuah. Ten sam nieśmiertelny był również boskim patronem czekolady, ponieważ ziarna kakao ceniono powszechnie wśród Majów, którzy kojarzyli je z handlem. Majowie uwielbiali gry słowne, więc wybór czarnoskórego bóstwa na boga czekolady jawił im się jako coś wyjątkowo słusznego. Majowie mieli księgi wykonane z kory i iluminowane zdobnymi znakami hieroglificznymi, jak również wielkie biblioteki dokumentujące historię cywilizacji i osiągnięcia w dziedzinie sztuki i nauki. Wśród garstki tomów, które uratowano przed zagładą w płomieniach chrześcijańskiej nietolerancji, znalazły się *Kodeks Drezdeński* i *Kodeks Madrycki*. Oba dzieła zawierają malowidła czarnoskórego człowieka o zdecydowanie afrykańskich rysach twarzy, trzymającego włócznię. William Gates, tłumacz XVI-wiecznego tekstu *Relación de las cosas de Yucatán* („Relacja o sprawach Jukatanu”) autorstwa biskupa Diega de Landy, stwierdził, że owa postać to Ek Chuah.

Zdaniem Ann A. Morris, autorki wielotomowego dzieła *The Temple of the Warriors at Chichen Itza* („Świątynia wojowników w Chichen Itza”), znajdujące się wewnątrz świątyni malowidło mężczyzny było „zbyt typowo murzyńskie i niepodobne do Majów, aby można to uznać za przypadek”.

Również historyk hiszpańskiego dworu królewskiego Pietro Martire d'Anghiera w 1530 roku zaświadcza, że czarnoskórzy ludzie byli obecni w odległych zakątkach Ameryki Środkowej w okresie przybycia tam hiszpańskich zdobywców. Kronikarz opisuje odkrycie Oceanu Spokojnego. Cytuje słowa Nuneza de Balboa twierdzącego, że przy Przesmyku Panamskim wraz z towarzyszącymi mu Hiszpanami natknął się na „czarnych niewolników z regionu, gdzie rodzą się tylko czarni, dzicy i wyjątkowo okrutni. Sądzimy, że w dawniejszych czasach Murzyni, którzy wybrali się na rozbój, przypłynęli z Afryki i po rozbiciu okrętu założyli osadę w górach. Indianie toczyli z tymi czarnymi pełne nienawiści wojny domowe”.

Nawet przedstawiciele głównego nurtu archeologii i zachowawczy historycy wiedzą, że czarnoskórzy mieszkańcy Afryki Zachodniej byli obecni w Ameryce co najmniej tak długo, jak Majowie, których cywilizacja rozkwitała od 200 roku p.n.e. do 900 roku. W każdym razie wystarczająco dużo tych „rdzennych” amerykańskich Murzynów mieszkało wówczas w Nowym Świecie, aby mogli ich spotkać Balboa i towarzyszący mu konkwistadorzy. Wydaje się, że dzieje czarnoskórzych mieszkańców Ameryki nie rozpoczęły się wraz z przypłynięciem okrętów z niewolnikami w XVI wieku, lecz w bardziej zamierzchłej przeszłości i w zdecydowanie mniej wstydlwych okolicznościach – doszło bowiem nawet do deifikacji czarnoskórego człowieka jako boga kupców.



Terakotowe głowy

Twierdzenie, że czarnoskórzy ludzie mieszkali w Ameryce Północnej na długo przed zjawieniem się tam Europejczyków doby odrodzenia, opiera się na czymś więcej niż micie lub pogłosce. Istnieją materialne świadectwa w postaci dwóch prekolumbijskich portretów, znajdujących się w posiadaniu ważnego meksykańskiego muzeum, o czym pisaliśmy w *Ancient American* z czerwca-lipca 1996 roku.

Diane Wirth

Ludzie z Afryki Zachodniej w prehistorycznym Meksyku

Meksykańskie Museo de Antropologia de Jalapa wystawia dwa prekolumbijskie dzieła sztuki, które wydają się przedstawiać osoby o pochodzeniu zachodnioafrykańskim. Obie terakotowe głowy mają duże wargi i płaskie nosy – cechy niespotykane u rdzennej populacji Ameryki Środkowej. Jedna z głów jest albo łysa, albo ogolona, co stanowi kolejną anomalię, ponieważ łysienie nie należy do charakterystycznych cech genetycznych Indian amerykańskich. Także golenie włosów na głowie to zwyczaj, którego nie praktykują mezoamerykańskie kultury. Twarz postaci noszącej jakąś czapkę zdradza oznaki celowej skaryfikacji – rytualnej praktyki znanej wielu plemionom afrykańskiego Złotego Wybrzeża, ale niespotykanej w prekolumbijskim Meksyku. Kustosze nie potrafili udzielić dodatkowych informacji o dwóch głowach, które wyraźnie należą do ludzi odmiany czarnej. Nawet terakota została wypalona na czarno.

Oba okazy muzealne znajdują się w pomieszczeniu z ekspozycją innych rzeźb z obszaru Veracruz na wybrzeżu atlantyckim Meksyku. Tam właśnie, do Zatoki Meksykańskiej, zostałyby zaniezione z Afryki Zachodniej z terenu dzisiejszej Ghany lub Senegalu okręty podążające śladem Prądu Kanaryjskiego, przepływającego przez środek Atlantyku. Niemiecki antropolog Alexander von Wuthenau w publikacjach z lat 60. i 70. XX wieku reprodukował inne portrety ludzi z Afryki Zachodniej w Mezoameryce. Wuthenau sfotografował wiele takich rzeźb z prywatnych kolekcji i z tego powodu nie da się ich zweryfikować, ale w książce *Unexpected Faces in Ancient America* („Zaskakujące twarze w starożytnej Ameryce”) zamieścił również czarno-białe zdjęcia terakotowych głów, wciąż eksponowanych na wystawie w muzeum w Jalapie. Nie można mieć wątpliwości co do ich autentyczności. Istnieje mnóstwo materialnych dowodów na obecność czarnoskórych mieszkańców Afryki Zachodniej w Meksyku na długo przed przybyciem tutaj nowożytnych Europejczyków w początkach XVI wieku.



Rysów twarzy tych mezoamerykańskich terakotowych głów nie można uznać za typowo „indiańskie”.



Rzeźby ludzkich głów

Gigantyczne ludzkie głowy z rzeźbionego kamienia wykonywano z ziemi w północno-wschodnim Meksyku od początku lat 60. XIX wieku. Są one niezwykle ze względu nie tylko na surowy realizm, ale także na niewątpliwie afrykańskie rysy twarzy, które prezentują. Jak można wytłumaczyć istnienie w Meksyku tych monumentalnych wizerunków ludzi z przeciwległego krańca Oceanu Atlantyckiego? W artykule w *Ancient American* ze stycznia-lutego 1995 roku podjęliśmy próbę odpowiedzi na to pytanie, które wciąż dręczy archeologów – zarówno profesjonalistów, jak i amatorów.

Wielkie kamienne głowy mówią

Prawie 150 lat temu w dżungli niedaleko meksykańskiego miasta Tres Zapotes odkryto głowę kamiennego olbrzyma. Jeszcze bardziej uderzający niż jej ogromne rozmiary i doskonałość wykonania był wygląd twarzy, która zapewne była portretem prawdziwej osoby, ale całkiem niepodobnej do amerykańskich Indian. Rysy twarzy niewątpliwie miały cechy afrykańskie. Od chwili tego pierwszego zdumiewającego odkrycia odkopano 17 kolejnych okazów, głównie wokół starożytnego ośrodka obrzędowego z podobnym do stożka wulkanu kopcem w San Lorenzo w południowej części stanu Veracruz.

Obiekty mają rozmaite wymiary, ciężar i indywidualne rysy twarzy, ale wszystkie zostały wykonane w bazaltowej skale, która nie występuje w tym rejonie. Najbliższe źródło bazaltu znajduje się w górach Tuxtla, gdzie archeolodzy odnaleźli nieukończoną głowę – dowód, że tam właśnie wyciosano kolosalne portrety, a następnie przetransportowano w niepojęty sposób na odległość ponad 80 kilometrów do San Lorenzo. Największy okaz mierzy 2,75 metra wysokości i waży 40 ton. Wszystkie głowy są dziełem Olmeków, założycieli najstarszej cywilizacji Mezoameryki, która rozkwitała w latach 1500-800 p.n.e.

Dawni badacze, nie mogąc zaprzeczyć afrykańskim rysom twarzy gigantycznych głów, doszli do wniosku, że były to portrety Murzynów sprowadzonych przez Arabów i sprzedanych Olmekom w charakterze niewolników. Inni uważali, że monumentalne rzeźby reprezentowały afrykańskich wojowników z Atlantydy. Po II wojnie światowej archeolodzy, wzdragając się przed jakąkolwiek sugestią o transatlantyckich wpływach, po prostu zaprzeczali temu, co oczywiste. Zaczęli upierać się, że czarne kamienne oblicza wcale nie miały cech murzyńskich, lecz indiańskie. Domniemywali, że niektóre rysy twarzy celowo „spłaszczono”, aby ułatwić transport – nieumyślnie nadano przez to wizerunkom nieco afrykański wygląd. W latach 70. XX wieku niektórzy badacze spoza kręgów establishmentu naukowego uznali, że gigantyczne dzieła sztuki przedstawiały czarnych przedstawicieli królewskich elit z Egiptu lub wodzów plemiennych z Ghany, którzy stali się afrykańskimi krzewicielami kultury i rządzącą elitą pierwszej cywilizacji mezoamerykańskiej.

Wydaje się oczywiste, że takie interpretacje owych głów są teoriami motywowanymi rasowo i politycznie; odzwierciedlają epokę, w której się pojawiają, a nie stanowią szczerą, pozbawioną uprzedzeń i uczciwej próby rozwiązania zagadki. Naukowcy (Meksykanie, Amerykanie i Europejczycy), którzy począwszy od 1862 roku, studiowali znaleziska z Tres Zapotes, nie mogli uwierzyć, że czarnoskórzy ludzie gdziekolwiek i kiedykolwiek byli w stanie stworzyć coś cywilizowanego.

Przyjmowali zatem jako coś naturalnego, że głowy przedstawiały portrety niewolników. Przecież jednak nikt nie zadałby sobie ogromnego trudu wyrzeźbienia, przetransportowania na odległość wielu kilometrów i ustawienia 40-tonowych pomników najbardziej podrzędnej grupy ówczesnego społeczeństwa. A po ustaleniu ram czasowych cywilizacji Olmeków trzeba było ostatecznie porzucić wszelkie spekulacje o arabskich kupcach.

Platon, grecki filozof z V/IV wieku p.n.e., napisał, że Atlantyda w ostatnich latach istnienia była wielorasowym państwem, ale poza tą jedną wzmianką o „nie-Atlantydach” w wyspiarskiej cywilizacji nic w obszernej literaturze przedmiotu nie łączy Murzynów z zatopioną legendarną krainą. Chociaż zaktualizowana data ostatecznej zagłady Atlantydy – 1198 rok p.n.e. – pokrywa się z nagłym rozkwitem cywilizacji Olmeków, pierwsza kamienna głowa została wyciosana niemal 300 lat później.

Całkowicie hipotetyczne założenia, że wyrzeźbione twarze były świadomie spłaszczone, aby uniknąć odłupywania lub pęknięcia materiału w czasie przemieszczania z gór Tuxtla, można łatwo odrzucić dzięki szczególnej kamiennej głowie wystawionej w 1992 roku na objazdowej ekspozycji

Museo Nacional de Antropologia z Meksyku w Chicago Art Institute w Chicago. Goszczący w chicagowskim instytucie okaz miał bowiem długi, sterzcący nos i inne wyraziste rysy twarzy.

Dogmatyczni izolacjoniści są niezdolni do rozważania kwestii jakichkolwiek obcych kontaktów w prekolumbijskiej Ameryce. W konsekwencji są tak negatywnie nastawieni do tej kwestii, że odrzucają nawet własne naoczne świadectwa. Nie tylko rysy twarzy decydują o tym, że gigantyczne głowy przedstawiają czarnoskórych ludzi. Dodatkową sugestią jest sam materiał wybrany przez rzeźbiarza, czyli czarny bazalt. Zresztą głowy te nie są wcale jedynymi mezoamerykańskimi wizerunkami ewidentnie afrykańskich, czarnoskórych postaci. Takie wizerunki pojawiają się na wielu reliefach na stelach i posągach wolnostojących, zaś najliczniejsze i najbardziej wyraziste przykłady można znaleźć na publicznej ekspozycji w La Venta Park w Villahermosa. Większość tych portretów Murzynów w starożytnym Meksyku występuje w sztuce Olmeków, ale do wybitnych okazów tego typu należą również: rzeźba głowy czarnoskórego Afrykanina z zamkniętymi oczami z Veracruz; ceramiczna głowa kobiety z niezaprzeczalnie negroidalnymi rysami twarzy znaleziona przy wielkiej piramidzie w Teotihuacán; toltecki obsydianowy wyrób z Tuli, ukazujący murzyńskiego chłopca niosącego misę.

Tak obfite świadectwa kulturowe zostały uwiarygodnione przez szczątki kostne Murzynów zidentyfikowane przez polskiego antropologa i religioznawcę Andrzeja Wiercińskiego w Monte Alban, Tlatilco oraz Cerro de las Mesas – bardzo ważnych stanowiskach archeologicznych w Meksyku. Te ludzkie szczątki nie pozostawiają żadnej wątpliwości, że czarnoskórzy ludzie zamieszkiwali Amerykę Środkową w czasach prekolumbijskich.

Tylko jak i kiedy do niej się dostali? Naukowiec z Horydy, Kenneth Caroli, przedstawia świadectwa na dowód tego, że Meksyk Olmeków mógł być legendarnym Puntem (później znanym jako Ofir króla Salomona), odległą krainą o bajecznych bogactwach odwiedzaną przez ekspedycje wyprawiane z rozkazu faraona. Czy wielkie kamienne głowy upamiętniają czarnoskórych ludzi podróżujących jako żeglarze, wojownicy czy nawet władcy? Próby popularyzacji starożytnego Egiptu jako cywilizacji czarnej Afryki pojawiają się w mediach w całej Ameryce, a nawet w amerykańskich szkołach.

Do takiej charakterystyki nie pasują słynne popiersie królowej Nefretete oraz dwaj najlepiej znani faraonowie: Ramzes II, którego doskonale zachowana mumia miała proste, rude włosy, a także Tutanchamon, który był blondynem. W grobowcu Tutanchamona znajdowały się meble pałacowe, na których ukazywano Murzynów jako służących lub ludność podbijaną przez Egipt; przykładem jest fotel bujany przedstawiający postać czarnoskórego jeńca przykutego do bieguna fotela. Na podeszwach królewskich sandałów umieszczono czarnoskóre postaci, które faraonowie mogli nieustannie deptać. Pigmeje, jedyna czarnoskóra ludność bardziej przychylnie traktowana w egipskim społeczeństwie, byli wysoko cenieni jako artyści rozrywkowi. Jak twierdzi A.A. Sayce, autorytet w tej dziedzinie, mieszkańcy doliny Nilu okresu dynastycznego byli białymi ludźmi, niskimi i mocnej budowy, z bujnymi, ciemnymi włosami i nierzadko szarymi oczami. Należący zasadniczo do ludów chamickich stanowili homogeniczną mieszaninę tego, co wybitny odkrywca i badacz Sakkary W.B. Emery nazwał Rasą Panów – tajemniczym ludem (upamiętnionym jako Smsu-Hr, czyli Wyznawcy Horusa), który nagle przybył z zachodu, osiedlając się w dolinie Nilu około 3100 roku p.n.e.

Później, w okresie Nowego Państwa, wraz z imperialną ekspansją Ramzesa II znaczna liczba obcokrajowców po raz pierwszy stała się częścią miejscowej populacji. Zwłaszcza w okresie od XXII do XXIV dynastii, kiedy Egipcjanie nie mogli nawet zasiadać na tronie, kraj zalały fale imigracji; w czasie, gdy Egipt spadł do roli jednej z rzymskich prowincji pod rządami cesarza Oktawiana Augusta, nie można już było dłużej mówić o „egipskim narodzie”. Transformacja rasowa dobiegła końca wraz z islamskim podbojem w XVII wieku, kiedy Egipt stał się państwem arabskim. Egipcjanie okresu dynastycznego, którzy jeszcze sami mogli decydować o własnym losie, mieli bardzo rozwiniętą świadomość rasową. Często podkreślali wyraźne podziały obcej ludności na czarnych Nubijczyków, jasnoskórych Kheftiu (Kreteńczyków), żółtych Azjatów, Semitów o haczykowatych nosach, brodatych Lebu (Libijczyków) oraz europeidalnych Halebu (Ludy Morza).

Już za czasów XII dynastii, w okresie Średniego Państwa, około 1900 roku p.n.e. faraon

Senuseret I wznosił przy III katarakcie pokryty inskrypcjami tzw. nilomierz (przyrząd do mierzenia różnych stadiów wylewu rzeki). Przetrwał on do dziś i wciąż widnieją na nim słowa faraona: „Żaden czarny nie przejdzie poza ten punkt do mojego królestwa”. Ten znak ostrzegawczy stał przez 20 stuleci, jeszcze długo po tym, jak upadek Egiptu faraonów stał się nieodwracalny, zaś podzielony kraj zajęli nubijscy władcy w 712 roku p.n.e. Dwudziesta piąta dynastia, tzw. etiopska, z okresu Późnego Państwa przetrwała zaledwie 41 lat kompletnego chaosu, którego kulminacją była katastrofa: podporządkowanie Egiptu przez hordy Asyryjczyków. Ostatni uzurpatorzy – Shabaka, Shabataka i Taharka – byli jedynymi czarnoskórymi, którzy nosili *nemes*, czyli koronę faraonów, ale tak naprawdę nie byli wystarczająco silni, aby sprawować realną władzę nad egipskim społeczeństwem ogarniętym przez walki domowe i polityczny zamęt.

Najwyraźniej władcy ci nie mieli możliwości organizowania jakichkolwiek wypraw do Puntu, niezależnie od tego, czy leżałby on w Ameryce, czy w najbliższej okolicy. Ostatnia odnotowana ekspedycja odbyła się za panowania Ramzesa III, 500 lat wcześniej. Ostatnią afrykańską głowę przypisaną Olmekom wykonano 100 lat przed założeniem czarnej XXV dynastii. Te zestawienia dat oraz niepokoje okresu Późnego Państwa, kiedy nubijscy „faraonowie” mieliby wysłać morskich kupców do Ameryki Środkowej, przekreślają wszelkie prawdopodobieństwo, że kamienne głowy przedstawiają czarnoskórych Egipcjan.



Czy ten człowiek rodem z Afryki Zachodniej został przedstawiony przez starożytnych Olmeków na monumentalnym dziele sztuki dlatego, że był królem, faworyzowanym niewolnikiem, ofiarą czy może zwycięskim zawodnikiem?

Tak naprawdę dzieła sztuki ze starożytnego Meksyku znacznie bardziej przypominają wygląd mieszkańców Afryki Zachodniej. Uderzająco podobne jest zwłaszcza wybrzuszenie skóry wokół zewnętrznej krzywizny ust, cecha genetyczna charakterystyczna dla Murzynów z Ghany i odtworzona na kamiennych obliczach olmekskich. Jednak i w tym przypadku nie zgadzają się daty. Jak wspomnieliśmy, olmekskie głowy wyciosano dopiero po 800 roku p.n.e., natomiast społeczność Ghany przeżywała największy rozkwit od XIV wieku n.e.

Tak czy inaczej, zwolennicy hipotezy o obecności starożytnych Egipcjan lub mieszkańców Afryki Zachodniej w prehistorycznej Ameryce twierdzą, że sztuka Olmeków upamiętnia potężnych czarnoskórych władców. Jednak spośród 18 gigantycznych głów trzy przedstawiają wyraźnie indiańskie, z pewnością nieafrykańskie oblicza, tak jak wymieniony wcześniej okaz z długim nosem, wystawiany w Chicago.

Jeśli wielkie rzeźby są portretami linii czarnoskórych królów, którzy władali prekolumbijskim Meksykiem, to jak do nich dopasować indiańskie wersje głów? Co gorsza, wszystkie pozostałe obrazy Murzynów w sztuce Olmeków prezentują ich jako ludność niewolniczą (tak jak w przypadku steli z piaskowca z Alvarado), kulącą się przed brodatymi postaciami semickimi lub wyginającą się w spazmach bólu towarzyszących kastracji („tańczące figury” z Monte Altan). Nie są to wcale postaci wszechmocnych monarchów; przypominają raczej służalczych Nubijczyków ze sztuki staroegipskiej.

Wśród gigantycznych kamiennych głów przeważają twarze zachodnioafrykańskie, lecz nie są to jedyne cudzoziemskie postacie uwiecznione w sztuce Olmeków. Drewniana maska ze środka okresu przedantycznego pierwotnie inkrustowana jadeditową dekoracją, znaleziona w jaskini Guerrero (obecnie przechowywana w nowojorskim American Museum of Natural History), ma tak zdecydowanie azjatycki wygląd, że niejedyn obserwator mógłby przypisać ją konkretnej chińskiej dynastii. I nie jest to jedyne taki obiekt.

Jeszcze bardziej rozpowszechnione są profile wyraźnie semickich twarzy, często noszących sztuczne brody, tak jak kamienna płaskorzeźba jakiegoś ważnego urzędnika na steli numer 3 w La Venta Park. Olmekowie słynęli z gromadzenia jadeitu, drogiego minerału, który prawdopodobnie przyciągał łaknących bogactwa kupców zarówno z Zachodu, jak i z Orientu; na pewno przyczyniło się to do powstania zdumiewającej mieszanki kulturowej dawnej Mezoameryki. Być może czarnoskórzy przybysze znaleźli się po prostu w tłumie cudzoziemców poszukujących zielono-niebieskiego meksykańskiego skarbu? A może jednak byli kimś więcej?

Zwolennicy zachodnioafrykańskich korzeni kamiennych portretów przyrównują ich nakrycie głowy do koron noszonych przez ghańskich wodzów. Oba nakrycia głowy są rodzajem czapki, nie ma jednak więcej istotnych podobieństw, a pod względem innych detali różnią się one całkowicie. Symbolem władzy Olmeków był turban lub wysoki, stożkowaty kapelusz, natomiast nakrycie głowy kamiennych rzeźb to raczej prosty, skórzany hełm. Zbyt skromny jak dla członka królewskiego rodu i zupełnie nieprzydatny podczas walki. Zapewniałby natomiast odpowiednią ochronę graczowi podczas jakiejś gry drużynowej, takiej jak te, którym oddawali się Olmekowie na specjalnych dziedzińcach do gry w piłkę. Jeśli ta gra miała coś wspólnego z grą celebrowaną znacznie później przez Azteków (a naukowcy uważają, że pozostała ona w zasadzie niezmienną od czasów Olmeków), to jej związek z osobami przedstawionymi na bazaltowych rzeźbach może stanowić klucz do rozwiązania zagadki kamiennych głów.

Mezoamerykańska gra w piłkę, znana pod nazwą *tlachtli*, była czymś więcej niż popularną rozrywką. Zawodnicy z konkurujących drużyn walczyli niekiedy całymi tygodniami lub nawet miesiącami. Gra polegała na kopaniu lub wstrzeliwaniu twardej kauczukowej piłki do nadzwyczaj małej obryczy. Zawody, przyciągające uwagę całej społeczności, były ważnymi wydarzeniami religijnymi, w których poprzez grę odtwarzano zasady kosmologiczne – piłka reprezentowała zmaganie Słońca, usiłującego utrzymać się na niebiańskim torze. Wszyscy uczestnicy zawodów cieszyli się wielkim szacunkiem, zwłaszcza przywódca zwycięskiej drużyny. Nagrodą za zwycięstwo było złożenie przez niego życia w ofierze na wielkim ołtarzu boga Słońca. Tam dokonywano jego dekapitacji, a głowę lub czaszkę przechowywano w honorowym publicznym miejscu, podczas gdy jego dusza ulatywała ku błogosławionym krainom słonecznego bóstwa.

W kontekście tych rytualnych olmeckich zawodów gry w piłkę najbardziej wiarygodnym wyjaśnieniem istnienia ogromnych kamiennych głów jest to, że stanowiły one portrety i pamiątki po zwycięskich graczach w *tlachtli*, których pozbawiono głowy. Rzeźby nadnaturalnej wielkości przedstawiały złożonych w ofierze herosów. Interpretacja ta tłumaczy kolosalne rozmiary głów, obecność hełmów, zakładanych do gry w piłkę, a także ukazanie samych głów bez reszty ciała. Jak jednak wytłumaczyć ich afrykańskie rysy?

Jeśli rozejrzemy się po świecie z czasów wykonania wielkich kamiennych głów (okres od dziesięcioleci bezpośrednio poprzedzających X wiek p.n.e. aż po 800 rok p.n.e.), okaże się, że Salomon, największy spośród królów starożytnego Izraela, nadzorował działania wielkiej kupieckiej floty obsadzonej załogą fenickich żeglarzy. Ich okręty wpuszczały się daleko, żeby sprowadzać bogactwa z bajecznych terytoriów, takich jak legendarny Ofir. Jeśli tym odległym krajem drogocennych minerałów (jadeitu?) i obfitującym w złoto był Meksyk (co w niesamowity sposób pasuje do biblijnych opisów Ofiru), to niezwykle semickie profile i bliskowschodni wygląd postaci ukazanych na olmeckiej steli prawdopodobnie upamiętniają morskich kupców wynajętych przez króla Salomona. Fenicjanie utrzymywali bliskie kontakty handlowe z czarną Afryką, co poświadcza dobrze udokumentowana ekspedycja Fenicjanina o imieniu Hanno do Sierra Leone i Kamerunu. Edey pisze, że admirał „interesował się umocnieniem afrykańskiego handlu”, a Murzyni regularnie służyli na fenickich statkach. Po dotarciu do portu docelowego w meksykańskim Ofirze, część czarnoskórej załogi mogła zostać przekonana do olmeckiej religii i jej rytualnej gry w piłkę.

Sądząc po twarzach sportretowanych na kamiennych głowach, wśród Fenicjan nie znaleźli się żadni konwertyci. Naturalna sprawność sportowa w połączeniu z odpowiednim zapalem (wspomagany przez środki narkotyczne wpływające na stan umysłu), a także deifikacja w oczach całej społeczności, sprawiały, że czarnoskórzy przybysze stawali się graczami w *tlachtli*, dla których nagrodą za zwycięstwo była dekapitacja. Prawie 3000 lat od zgubnego zwycięstwa ich śmiało oblicza wciąż spoglądają na świat, z którego odeszli.

Rozdział 8

Prekolumbijscy Europejczycy na wybrzeżach Nowego Świata

Malowidło ściennie kwestionuje historię króla

Przypadkowe odkrycie dokonane w mało znanym angielskim miasteczku przywróciło do życia obraz króla zamordowanego w Ameryce Północnej. Tym, co czyniło stare malowidło wyjątkowym, było jego pochodzenie z VII wieku, a także sława sportretowanych na nim ofiar, co przedstawiliśmy w magazynie *Ancient American* z października 2001 roku.

James Michael

Czy króla Artura zamordowano w Ameryce?

W 1972 roku w niewielkim miasteczku Stoke Dry, w pobliżu walijskiej granicy w Anglii, robotnicy usuwali warstwę wapna z murów starego kościoła. Znaleźli pod nim malowidło ściennie przedstawiające młodego króla, ogolonego według modły brytyjskiej (nazywanej obecnie „walijską”), rażonego strzałami dzikusów, będących – zdaniem mieszkańców miasteczka – „rdzennymi Amerykanami”.

Odkrycie zaskakującego malowidła było niespodzianką dla miejscowej ludności. Nikt nie wiedział, jakie ukazuje ono wydarzenia. Niektórzy doszli do wniosku, że jest to dowód, iż wikingowie dotarli do Ameryki, wrócili do Brytanii w strojach rdzennych Amerykanów i zabili króla Edmunda!” Jednak król Edmund zmarł w 860 roku, 140 lat przedtem, nim wedle islandzkich sag wikingowie wyruszyli na zamorską wyprawę.

Wiele wieków temu Stoke Dry leżało na ziemiach władanych przez potomków Madoca, VII-wiecznego walijskiego monarchy. Młodym królem przedstawionym na odkrytym malowidle ściennym był Artur II, brat Madoca, który poniósł śmierć na kontynencie północnoamerykańskim. Jego zwłoki zmumifikowano i przewieziono statkiem do walijskiej ojczyzny, aby tu je pogrzebać.

Mimo że o tych wydarzeniach dawno zapomniano, nazwa Stoke Dry zachowała w sobie cześć wspomnień. Nikt nie nadałby miasteczku takiej złej nazwy, chyba że chciał upamiętnić szczególnie ważne wydarzenie. Stoke Dry bowiem w języku staroangielskim znaczy Diabelski Łuk.



Język mrocznych wieków

Ludzie w VI wieku mieli zarówno motywy, jak i środki ku temu, aby uciekać z europejskich ojczyzn, zamiast ulegać coraz głębszemu mrokowi średniowiecza. Część z nich przepłynęła skórzanymi łodziami na drugi brzeg Oceanu Atlantyckiego; świadectwem tej podróży była pewna kamienna inskrypcja aż do chwili, gdy została zniszczona w akcie wandalizmu. W wyniku bezmyślnej dewastacji przyszłe pokolenia zostały ogołoczone z cennego skarbu z prehistorii Ameryki. Pojęcie *ogam*, wspomiane w artykule w grudniowym wydaniu *Ancient American* z 1999 roku, odnosi się do tzw. pisma ogamicznego, używanego głównie przez irlandzkich mnichów od VI do XIV wieku.

M.C. Edwards

Zaginiona starożytna inskrypcja irlandzka z Kentucky

Inskrypcje wykute na ścianach skalnych wewnątrz czy w głębi jaskiń wciąż są znajdowane w całej Ameryce. Uważano niegdyś, że napisy takie, znane jako petroglify, wykonywali amerykańscy Indianie. Jednak analizy niedawno przeprowadzone przez najznakomitszych ekspertów w dziedzinie języków Starego Świata doprowadziły do odkrycia, że nie wszystkie inskrypcje były dziełem rdzennej ludności Ameryki.

Szczególnym przykładem są petroglify z Laurel Branch nad Goose Creek w hrabstwie Clay w Kentucky. Wydaje się, że zostały one wyrzeźbione przez irlandzkich mnichów przybyłych do Ameryki Północnej w 500-600 roku, niemal 1000 lat przed ponownym odkryciem tego kontynentu przez Kolumba. Jednym z tych mnichów mógł być święty Brendan. Chrześcijański mnich z Irlandii, który około 560 roku założył klasztor w Clonfert w Galway, już przez współczesnych był zwany Żeglarzem lub Podróżnikiem. W czasie pontyfikatu papieża Pelagiusza I (556-561), Brendan podobno odbył dwie transatlantyckie przeprawy, zaś klasztorne kroniki z tego okresu dokumentują odkrycie przez niego jakiegoś nowego lądu daleko na zachodzie. Podróże mnicha trwały po kilka lat. Towarzyszyło mu nawet 17 ludzi. W tym czasie konflikty religijne skłoniły wielu Europejczyków do szukania ratunku w ucieczce z ojczystych krajów; możliwe, że decydowali się nawet na niebezpieczne wyprawy oceaniczne. Irlandzcy mnisi, pragnący ocalić gasnące światło cywilizacji przed nadchodzącymi mrocznymi wiekami, zapewne znaleźliby dość odwagi, by zaryzykować ekspedycje zamorską.

Dla konserwatywnych naukowców sugestia, że ktokolwiek odbył wyprawę do Ameryki przed Kolumbem, są herezją, jednak transatlantyckie przeprawy doktora Thora Heyerdahla w wiernych replikach staroegipskich łodzi trzciniowych dowiodły, że takie podróże były w zasięgu możliwości starożytnych żeglarzy. Co do inskrypcji z hrabstwa Clay, jeszcze większe znaczenie ma wyprawa archeologa Timothy'ego Severina. Przepłynął on północny Atlantyk 23 lata temu w skórzanej łodzi, identycznej z łodziami z impregnowanej skóry rozpiętej na szkieletcie z wikliny, używanymi w VI wieku przez irlandzkich mnichów. Wykazał tym samym, że święty Brendan i jego towarzysze rzeczywiście dysponowali statkami zdolnymi z powodzeniem ukończyć podróż do Ameryki Północnej i z powrotem. Ekspedycje Severina opisano w artykule *The Voyage of Brendan* („Podróż

Brendana”) w *National Geographic Magazine* z grudnia 1977 roku.



Petroglify z Laurel Branch nad Goose Creek w hrabstwie Clay.

Wydaje się, że wiadomość pod skalnym urwiskiem w hrabstwie Cłay wykuli irlandzcy mnisi w celtyckim alfabecie zwanym *ogam*. W 1987 roku doktor John Payne z Berea w Kentucky przesłał fotografie i szkice tego stanowiska kalifornijskiemu Epigraphic Society do analizy, którą wykonał doktor Berry Fell, profesor emerytowany Harvard University i zarazem autor kilku książek opisujących prekolumbijskie kontakty na obszarze obu Ameryk. Zinterpretował on niepełną inskrypcję w następujący sposób: „Nie dąsaj się i nie bądź przygnębiony, śpiew wesołych kolęd bardziej przystoi mnichowi”.

Celtycka inskrypcja z Kentucky tylko w nieznacznym stopniu różni się od *ogamu* ze staroirlandzkich manuskryptów. Inna inskrypcja w języku gaelickim, znajdująca się w hrabstwie Boone w Wirginii Zachodniej, być może jest najdłuższym na świecie tekstem spisany alfabetem ogamicznym. Opowiada o narodzinach Chrystusa. Jeszcze jeden, krótszy, przykład *ogamu*, pochodzący z hrabstwa Wyoming w Wirginii Zachodniej, dotyczy Bożego Narodzenia i podobno ma jakieś odniesienia do zimowego przesilenia. Stanowiska w Kentucky i Wirginii Zachodniej przedstawiono w serii artykułów publikowanych w *Wonderful West Virginia* w marcu 1983 roku. Od tego czasu badacze należący do przeciwnych obozów spierają się o ich autentyczność. Jednak profesor Robert Meyer, autorytet w dziedzinie staroirlandzkich dialektów i profesor wydziału studiów celtyckich na Catholic University of America, potwierdził w wywiadzie dla West Virginia Public Television, że amerykański *ogam* był dziełem irlandzkich mnichów z VI wieku.

Niestety, tekst z Goose Creek został usunięty w 1994 roku przez bandę wandali z dłutami w garści. Bezmyślny akt zniszczenia ukazał podatność niechronionych stanowisk archeologicznych na wybryki złośliwych półgłówków, jednocześnie przypominając o straszliwej kruchości zabytków naszej przeszłości.

Sceptycy nie są w stanie udowodnić tego, że inskrypcje były fałszerstwami. Nietrudno wyobrazić sobie mnicha, który przebył długą drogę z Irlandii i siedzi w prymitywnym schronieniu, 1000 lat przed Kolumbem, nie wiedząc, co szykuje dla niego przyszłość. Może w czasie samotnych świąt Bożego Narodzenia zaczął myśleć o domu i pozostawionych tam bliskich, uprzytamniając sobie, że prawdopodobnie nigdy więcej ich nie ujrzy. Śpiewa więc wesołą kolędę, żeby wydobyć

się z depresji, która go dopadła. Melancholia pierzcha, a on pisze krótki tekst, żeby nie zapomnieć o celu swojego pobytu. Przez następnych 1500 lat inskrypcja ta istniała jako świadectwo tryumfu jego wiary.



Europejczycy w Wirginii Zachodniej

Robert L. Pyle wykładał archeologię w Smithsonian Institution, Carnegie Mellon University, Waynesburg College oraz innych wyższych uczelniach i instytucjach naukowych stanów Wirginii Zachodniej, Ohio, Maryland i Pensylwanii. Jednak kariera akademicka nie przygotowała go na życiowe odkrycie, gdy świadectwa obecności Europejczyków w Ameryce jednoznacznie datowano na 1200 lat.

Robert L. Pyle

Irlandczyk w VIII wieku odwiedza Wirginię Zachodnią

Wonderful West Virginia Magazine z marca 1983 roku opublikował artykuł o możliwej transatlantyckiej wyprawie podjętej przez świętego Brendana z Irlandii do Wirginii Zachodniej prawie 1000 lat przed oficjalnym odkryciem Nowego Świata. Przedstawiciele głównego nurtu nauki wyśmiewali każdą sugestią o prekolumbijskich wyprawach do Ameryki Północnej, niemniej jednak musieli ograniczyć sceptycyzm w świetle odkrycia szczątków ludzkiego szkieletu w skalnej wnęcie w hrabstwie Wyoming w Wirginii Zachodniej, bardzo blisko stanowiska znanego już z kontrowersyjnej, nieindiańskiej i niewspółczesnej inskrypcji.

Stwierdzono, że czaszka jest typu brachycefalicznego i należy do dorosłego osobnika płci męskiej. Brachycefaliczne, czyli krótkogłowe czaszki wskazują na europejskie pochodzenie. Niezbicie ustalono prekolumbijską proveniencję szczątków. Nie udało się jednak określić, jak stare było znalezisko, aż do chwili, gdy można było wykonać testy DNA i datowanie metodą radiowęglową do precyzyjnego wyznaczenia wieku i przynależności rasowej. Wreszcie w 2001 roku uzyskano fundusze; pewien prywatny sponsor był na tyle zaintrygowany okazem, że sfinansował badania laboratoryjne. Z korzeni zębów czaszki wyekstrahowano mitochondrialne DNA i porównano je z wcześniej skatalogowanymi sekwencjami DNA różnych grup etnicznych z całego świata. Nie stwierdzono wyraźnego związku z grupami z Ameryki Północnej, ale wykryto zgodność z DNA europejskim, co zgadzało się także z brachycefalicznym typem czaszki. Datowanie metodą radiowęglową ustaliło jej wiek na 1292±40 lat lub około 710 roku n.e. (±40 lat).

Tym samym znalezisko z Wirginii Zachodniej wyznaczyło najwcześniejszą datę obecności Europejczyka na kontynencie północnoamerykańskim. Po raz pierwszy dowód materialny dobitnie

wskazuje, że człowiek ze Starego Świata odwiedził Amerykę w czasach prekolumbijskich.

Dwadzieścia lat przed poznaniem zdumiewających wyników badań czaszki zaintrygowały mnie petroglify odkryte w górach południowej Wirginii Zachodniej. Na pierwszy rzut oka „skalne litery” przypominały archaiczne runy, symbole i litery pisma używanego przez Skandynawów w okresie europejskiego średniowiecza. Z całą pewnością różniły się od wszelkiego rodzaju indiańskiej sztuki naskalnej, którą dobrze znałem. Szczególnie intrygujące były petroglify ze stanowisk w hrabstwie Wyoming, gdzie znaleziono szkielet, a także z Manchester w stanie Kentucky. Bliższa analiza ujawniła, że symbole należały do starożytnego alfabetu znanego jako *ogam*, stosowanego ponad 1000 lat temu na Wyspach Brytyjskich, a zwłaszcza w Irlandii, Szkocji i Walii. Podobieństwo było tak uderzające, że w obiektach z Wirginii Zachodniej i Kentucky można rozpoznać konkretną odmianę pisma ogamicznego, określaną jako „ogam-drzewo”, którą posługiwano się we wczesnochrześcijańskiej Irlandii.

Identyfikacja tych petroglifów podsunęła możliwe powiązanie z opowieściami o świętym Brendanie, mnichu z VI wieku, który podobno przepłynął z grupą współbraci północny Atlantyk. Naukowcy uniwersyteccy specjalizujący się w językach celtyckich zbadali petroglify, aby zbadać domniemany związek. Doktor William Grant z Edinburgh University w Szkocji oraz doktor John Grant z Oakland University w stanie Maryland potwierdzili, że inskrypcje z hrabstwie Wyoming rzeczywiście są autentycznym, archaicznym pismem ogamicznym.

W 1998 roku i ponownie w 2000 roku udałem się do Irlandii, żeby porównać europejskie zapisy ogamiczne z ich domniemanymi amerykańskimi odpowiednikami. Doktor William Grant był na tyle uprzejmy, żeby zaprosić mnie do udziału w badaniach nad najstarszą znaną tablicą z irlandzkim alfabetem *ogam*. Znajduje się ona w odległych górach w południowej Irlandii. Przekonałem się tam, że *ogam* występuje powszechnie na narożnych krawędziach grobowców, nie zaś na formacjach skalnych. Ku mojemu zdziwieniu, irlandzka tablica z pismem *ogam*, choć większa (2,5 metra wysokości i ponad 6 metrów długości) i bardziej skomplikowana niż północnoamerykańskie wersje, składa się z wielu znaków dosłownie identycznych z petroglifami z Wirginii Zachodniej i Kentucky.

Czaszka Europejczyka z VIII wieku z hrabstwa Wyoming oraz podobieństwo petroglifów do ówczesnego irlandzkiego pisma stanowią silny argument za tym, że goście ze Starego Świata odwiedzali Wirginię Zachodnią w prekolumbijskiej przeszłości.



Templariusze

Przez prawie 200 lat templariusze dysponowali potężną flotą, która prowadziła handel i wojny na Morzu Śródziemnym i u atlantyckich wybrzeży Europy. Wobec zakazu działalności wydanego przez francuskiego króla i papieża templariusze szukali azylu w Szkocji. Jednak wiele ich okrętów zniknęło. Czy przynajmniej niektóre z nich mogły pożeglować aż do Ameryki Północnej? Zdaniem Michaela Kaulbacka, archiwisty i historyka z Fitchburga w Massachusetts, który napisał o tym dla *Ancient American* w styczniu-lutym 1999 roku, odpowiedzią może być zatarty obraz XIV-wiecznego rycerza na skale w Nowej Anglii.

Templariusze w Nowym Świecie

Krótko po zakończeniu II wojny światowej pewien miejscowy archeolog amator wykonał kilka zdjęć osobliwego, zwietrzałego rytu na ścianie głazu niedaleko miasteczka Westford w Massachusetts. W pracy *The Ruins of Greater Ireland and New England* („Ruiny Irlandii Większej i Nowej Anglii”) pisarz W.B. Goodwin zakładał, że zatarty zarys przedstawiał złamany wikiński miecz z XI wieku. Obawiając się, że niewyraźny obraz mógłby zostać zniszczony przez wandalów, Goodwin nigdy nie ujawnił jego dokładnej lokalizacji. Jednak książka ta nie przestawała przyciągać uwagi innych badaczy, pragnących odnaleźć to miejsce po śmierci Goodwina.

Wśród nich był również Frank Glynn, który po wielu trudach odkrył obiekt ukryty pod warstwą mchu. Zdołał ustalić, że relief powstał metodą wykuwania serii otworów młotkiem. Przedstawiony na nim miecz brytyjscy archeologowie zidentyfikowali jako duży „miecz z głowicą kulową” z XIII lub XIV wieku. Ostrożne czyszczenie ujawniło coś, co wyglądało na pamiątkowy wizerunek rycerza w zbroi i hełmie wraz z mieczem i tarczą. To właśnie tarcza lub raczej herb, który na niej widniał, pozwoliły rozpoznać rycerza jako Jamesa Gunna z Caithness w Szkocji. U stóp postaci widniała bowiem galera; na górze, po prawej stronie znajdowały się gwiazda i półksiężyc – układ symboli, który wskazywał na Gunna.

Za życia był on współtowarzyszem Henry'ego Sinclaira i wiadomo, że towarzyszył mu w niekiedy bardzo odległych wojażach. Hrabia William St. Clair (Sinclair), ostatni z hrabiów Orkney, od 1439 roku był masonskim Wielkim Mistrzem, a jednocześnie wielkim przeorem szkockich templariuszy i walczył u boku Roberta I Bruce'a w bitwie pod Bannockburn wraz z wielkim kontyngentem szkockich rycerzy. Ich zwycięstwo uczyniło Roberta Bruce'a królem. Niektórzy znawcy masonerii uważają, że Bruce utworzył ich wolnomularski Królewski Zakon Szkocji (Royal Order of Scotland), aby wynagrodzić templariuszy za ich nieocenione usługi. Wiedział, że to pieniądze i militarne wyszkolenie templariuszy przeważały szalę zwycięstwa na jego korzyść pod Bannockburn.

Templariusze byli początkowo znani jako Ubodzy Rycerze Chrystusa i od dawna już stanowili zakon walczący orężem. Założyło go w Ziemi Świętej w 1118 roku zaledwie dziewięciu rycerzy. Otrzymałszy kwatery mieszkalne w pałacu króla krzyżowców Baldwina II, niedaleko pozostałości Świątyni Salomona, od tej pory nazywani byli Rycerzami Świątyni lub templariuszami (od łac. *templum* – świątynia). Jedenaście lat później czterech z nich udało się z powrotem do Francji, gdzie spotkali się z wybitnym mężem Kościoła, świętym Bernardem z Clairvaux. Tam Bernard przedstawił ich na synodzie w Troyes papieżowi. Papieskie błogosławieństwo, które otrzymali, dodatkowo zapewniło im oficjalne uznanie przez główne władze polityczne tych czasów. Potem zakon stał się bardzo bogaty i wpływowy; szczególne osiągnięcia odniósł w sztuce przeprowadzania wielkich operacji finansowych.

Częścią współczesnej spuścizny po templariuszach jest to, że obecny system bankowy został stworzony przez członków tego zakonu. Bogactwo templariuszy w naturalny sposób przyciągało do nich wielu zwolenników, ale i przysparzało im wielu wrogów. Król Francji Filip IV, nazywany Pięknym, namawiany przez papieża, podjął próbę zlikwidowania templariuszy, żeby przejąć ich ogromne bogactwa. W zakrojonej na wielką skalę wojskowej akcji nakazał aresztować wszystkich templariuszy we Francji w piątek 13 października 1307 roku – pamiątką tej właśnie daty jest uznawanie 13. dnia miesiąca przypadającego w piątek za pechowy. Choć Filip rozkazał spalić na stosie tysiące rycerzy i przejął ich ziemie, flota templariuszy, złożona z kilku okrętów wyładowanych skarbami gromadzonymi przez stulecia, wymknęła mu się z garści. Cała ta armada przepadła bez śladu. Papież wydał nakaz schwytania pozostałych przy życiu templariuszy, jednak jego woli nie posłuchano w Anglii i Szkocji, gdzie zakon znalazł schronienie aż po dziś dzień. W 1314 roku w bitwie pod Bannockburn podobno wielu templariuszy walczyło pod flagą Beauseant.

Ich udział w tym starciu jest ostatnią znaną wzmianką o templariuszach uczestniczących w boju.

Kamień z Westford może mieć pewien związek z historią templariuszy i starożytną kamienną wieżą w Newport na Rhode Island. Jej architektura przywodzi na myśl wpływy północno-europejskie z okresu rozkwitu średniowiecza, a ponadto jest w nią wpisana jednostka miary znana jako „szkocki łokiec”. Wykorzystywane w Anglii aż do czasów Szekspira łokcie oparto na skandynawskich sążniach, stąd wzięła się omyłka współczesnych entuzjastów wikingów, którzy uważali wieżę w Newport za dzieło wikingów. W rzeczywistości bardziej przypomina ona dokonania templariuszy, a nawet XIV-wieczne szkockie odpowiedniki, i jest podobna do rotundowych kościołów budowanych w Ziemi Świętej; przykładem mogą być Bazylika Grobu Świętego i Kopuła na Skale (*Kubbat as-Sachra*) w Jerozolimie. Co ciekawe, wspominały o niej dokumenty londyńskiego archiwum publicznego, datowane na 1632 rok – siedem lat przed wzniesieniem wieży na Rhode Island.

Inna budowla po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego również wskazuje na obecność templariuszy w prekolumbijskiej Ameryce. Sinclair w 1446 roku zbudował zamek Rosslyn niedaleko Midlothian w Szkocji. Wciąż można tam obejrzeć rzeźbione wizerunki kukurydzy oraz aloesu (żadna z tych roślin nie była znana w Szkocji aż do powrotu Kolumba z Nowego Świata 46 lat później). Uważa się, że rzeźbione przedstawienia tych zamorskich roślin powstały z polecenia Williama Sinclaira, aby upamiętnić podróż jego przodka księcia Henry'ego do „nowej krainy”.

W 1365 roku książę Henry przebywał w Wenecji w czasie krucjaty pod przewodnictwem króla Cypru. Tam przedstawiono go rodzinie Zenów, wyśmienitym włoskim nawigatorom i kartografom. Tak się złożyło, że Nicolo Zeno rozbił okręt w pobliżu wyspy Fair Isle pomiędzy Orkadami a Szetlandami, więc książę Henry zatrudnił go przy pracy nad własną flotą złożoną z 13 okrętów. Posłano w końcu również po brata Antonia i obaj znamienici nawigatorzy wprowadzili księcia w tajniki najważniejszych ówczesnych teorii morskich, wśród których znalazły się również spekulacje o bogatej, nieznannej krainie po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego. W maju 1398 roku Henry Sinclair sfinansował i zorganizował ekspedycję.

Po wyekwipowaniu floty 12 długich okrętów typu wikińskiego podobno przepłynęli oni na zachód przez Atlantyk i wylądowali w Nowej Szkocji. Wydaje się, że ich przybycie jest potwierdzone odkryciem armaty z wyposażenia okrętów Zena, takiej samej jak działa wystawione w Muzeum Morskim w Wenecji. Armata z Nowej Szkocji jest obecnie przechowywana w fortecy w Louisbourgu na Cape Breton Island. U schyłku XIV wieku taka artyleria była już przestarzała, zatem amerykańskie znalezisko datuje się na okres ekspedycji księcia Henry'ego. Szkoccy templariusze prawdopodobnie zimowali w Nowej Szkocji z indiańskim plemieniem Mikmaków. Wiosną przemierzili obszar, który potem stał się stanem Massachusetts, i dotarli do dzisiejszego Newport na Rhode Island.

Możliwe, że gdzieś w okolicy Westford jeden z członków drużyny zmarł i został pochowany. Dla oznaczenia tego miejsca wyryto ludzką postać na skalnym występie. Wizerunek jest zwietrzały i zatarty, ale rozpoznawalny. Po raz pierwszy udokumentowano go w 1883 roku, kiedy wielbny Edwin Hodgeman opisał skałę i zamieścił następujący komentarz: „Rozpoznano na niej brzydkie zarysy ludzkiej twarzy, a sama postać jest ponoć dziełem Indian”.

Dlaczego Henry Sinclair wysłał na wyprawę 12 okrętów i ponad 300 ludzi – raczej dużą siłę jak na zwykłą misję zamorską pomyślaną jako przedsięwzięcie dla zysku? Książę mógł szukać miejsca na założenie kolonii z dala od politycznego i społecznego zamętu, który panował w Europie. Książęcy herb miał kształt węży morskiego lub smoka zwieńczonego przez grawerowany krzyż nad koroną. Był to symbol strażników Krzyża Świętego, dawno zaginionej relikwii rzekomo zawierającej duży fragment prawdziwego drzewa z Krzyża Chrystusowego. Taką symbolikę mógł przynajmniej częściowo zawierać wizerunek w Westford. Mógł on upamiętniać nieznanego człowieka – jednego z templariuszy – który przybył do Nowej Anglii i zmarł tutaj 70 lat przed narodzinami Krzysztofa Kolumba.



Prehistoryczne lampy

Sceptycy, podważający jakąkolwiek możliwość istnienia wpływów Starego Świata w prekolumbijskiej Ameryce, zazwyczaj nie znają solidnych dowodów w postaci przedmiotów domowego użytku znalezionych w Ohio i Wisconsin. Wayne May w artykule dla *Ancient American* z grudnia 2004 roku opisał, w jaki sposób starożytne europejskie lampy olejne rzucają nowe światło na prehistorię amerykańskiego kontynentu.

Wayne May

Śródziemnomorskie lampy: wyjątkowe zabytki z Regionu Środkowozachodniego USA

Istnieją tysiące przedmiotów, które wypełniają gabloty muzeów starożytności w miastach całej Europy i Azji albo spoczywają w pakach ukryte w rozmaitych magazynach. Niewiele jest eksponatów tak drobnych jak terakotowe lampy używane przez starożytnych. Jednak ich artystyczna forma i bogactwo tematów przedstawionych na zdobieniach sprawiają, że są one wyjątkowo interesującymi zabytkami. Egipcjanie i Grecy wytwarzali lampy od dawien dawna, a mimo to istnieją świadectwa wskazujące, że nie były one wcale powszechnie znane w innych kulturach świata aż do około 300-250 roku p.n.e. Pliniusz twierdzi, że niedostatek oleju przed tą datą nie pozwalał na ich używanie.

Przed wprowadzeniem lamp do oświetlenia posługiwano się świecami (*candelae*) wykonanymi z wosku i łoju, pochodniami, kawałkami sosnowego drewna lub wydrążonymi w środku rogami, wypełnionymi lnem lub pakułami i pokrytymi żywicą, olejem, smołą albo woskiem. Kandelabry, powszechnie wymieniane w literaturze specjalistycznej, były stojakami przeznaczonymi początkowo do ustawiania świec, a potem lamp. Sporządzano je z drewna, brązu lub metali szlachetnych; występowały w dużej liczbie w całym regionie śródziemnomorskim. Lampy zazwyczaj były dużymi pojemnikami w kształcie łodzi, zawierającymi olej i mającymi jeden lub więcej dziobków czy też otworów wylotowych. Składały się z czterech części: zbiornika, okrągłego wieczka lub dysku z pierścieniem, niekiedy zdobionym; dziobka z otworem na knot; a także z uchwyty – tę ostatnią część rzadziej odnajduje się w trakcie wykopalisk.

W dysku znajdowała się nieduża, okrągła dziura, przez którą wlewano olej. W lampach z brązu otwór często był zakryty zatyczką, ale terakotowe wersje nie zawsze były tak wyposażone. Na pewnej lampie znaleziono aż trzy dziobki. Lampy przenośne zazwyczaj miały uchwyt w kształcie pierścienia, zaś te bez uchwyty były przeznaczone do ustawiania na kandelabrze lub innej podstawie. Jeszcze inne miały łańcuszek z brązu i zwisały z sufitu lub z ramienia kandelabru, zaczepione na haczyku. Używano olejów roślinnych, zazwyczaj oliwy, choć starożytne teksty wspominają również o olejach mineralnych. Knoty robiono z włókien miękiszowych różnych gatunków trzcin lub traw. Same lampy produkowano ze złota, srebra, brązu albo brązu inkrustowanego złotem, szkła, ołowiu, alabastru, bursztynu, kamienia, gliny.

Bliskowschodnie lampy odkryto nieopodal Southpoint w Ohio zeszłej jesieni (2004 roku). John Hudnall znalazł je w przydomowym ogrodzie, kiedy rozkopał ziemię, żeby wyremontować system kanalizacyjny w swojej posiadłości w hrabstwie Lawrence. Lampa, której wiek oszacowano na

ponad 1000 lat, stwarza prawdziwy problem archeologom badającym ten obszar. Hudnall pokazał znalezisko Charlesowi Westowi, właścicielowi Indian Relic Museum w New Richmond.

Po obejrzeniu artefaktu West oznajmił: „To piękna rzecz. Szkopuł w tym, że nie jest indiańska”. Hudnall poprosił zatem o pomoc Boba Price'a z Lawrence County Historical Society, który znalazł podobne lampy opisane w ilustrowanej encyklopedii Biblii. Kolejną instytucją, z którą skontaktował się West, był Institute of Archaeology na Andrews University w Berrien Springs w Michigan. Zastępca dyrektora David Merling uznał, że lampa mogła powstać w latach 400-800, gdzieś na Bliskim Wschodzie lub we wschodniej części regionu śródziemnomorskiego. Przeszedł następnie do stwierdzenia, że lampa ma pospolite pochodzenie, ale nie potrafił podać konkretnego miejsca. Merling przetłumaczył inskrypcję na lampie, która głosi: „Światło Chrystusa jaśnieje dla wszystkich”. Artykuł w *Portsmouth Daily Times* nie precyzował jednak, z jakiego bliskowschodniego języka dokonano przekładu. Hudnall powiedział, że prawdopodobnie wypożyczy artefakt na ekspozycję w Huntington Museum of Art w Wirginii Zachodniej, a następnie umieści go jako stały depozyt w Andrews University w Michigan, aby przeprowadzono tam badania i prace konserwatorskie.



Starożytna europejska lampka oliwna znaleziona w Wisconsin.

Odkrycie Hudnalla nie było jedynym tego rodzaju w amerykańskim Regionie Środkowozachodnim. Robert Freed z Wisconsin opowiada o podobnym znalezisku, które ujrzano w zachodniej części tego stanu. Freed oświadczył: „Skontaktowałem się z osobą, która sprzedała mi lampę”. Wolała ona pozostać anonimowa; obawiała się o prywatność i spokój własnej rodziny, która wciąż uprawia ziemię na obszarze, gdzie znaleziono artefakt. Wydobyłem jednak od niego kilka informacji. „Lampę znaleziono w 1969 roku we Freeman Township, w hrabstwie Crawford, w Wisconsin, na zboczu poletka rozciągającego się nad rzeką Missisipi. Pług zaczepił o korzeń, a kiedy farmerzy usiłowali go uwolnić, znaleźli ów przedmiot zagrzebany w bruzdzie ziemi. Obecny właściciel obiektu powiedział, że jego brat również znalazł 25-centymetrowy miedziany grot oszczepu, który miał z jednej strony otwór do zamocowania. Na górze widniały dwie wypustki, podstawa była płaska; nie było żadnego gniazda mocującego. Tak czy inaczej od 35 lat miał w swojej kolekcji lampę, grot i inne indiańskie zabytki”.

Dokładnie rok przed naszym spotkaniem inny kolekcjoner zabytków kupił całą jego kolekcję z wyjątkiem lampy. Zupełnie jakby przeznaczenie skłoniło właściciela do zostawienia lampy, a dla mnie stworzyło szczęśliwą sposobność kupienia jej od niego. Freed wyznał: „Chodziłem na wystawy indiańskich przedmiotów, szukając pomocy w ustaleniu jej pochodzenia lub przynajmniej zidentyfikowania jej. Powszechną reakcją były insynuacje o fałszerstwo lub mistyfikację. Znałem jednak człowieka, od którego ją kupiłem, i wiedziałem, że nie wykonał tego przedmiotu. Zabytek jest oryginalny. Zarówno poszukiwacz antyków, jak i ja sądziliśmy, że to grawerowana fajka. Miałem skontaktować się z panem i dowiedzieć się czegoś na jej temat. Zwłaszcza że obszar, na którym ją odnaleziono, to południowo-zachodnia część środkowego Wisconsin, gdzie zachowały się ślady dużej osady Hopewell (300 p.n.e.-400 n.e.). Czy może to być artefakt kultury Hopewell? Tak czy inaczej, jest to najbardziej niezwykły kawałek historii, jaki znalazłem tutaj, w Wisconsin”. To prawda!



Rzymski skarb wydobyty z ziemi

Na obszarze obu Ameryk od chwili, gdy pierwsi angielscy koloniści przybyli tu w XVII wieku, znaleziono dziesiątki monet ze Starego Świata. Jednak niewiele z nich tak rzetelnie zweryfikowano, jak skarb monet odkryty z pomocą nowoczesnego wykrywacza metali na brzegach rzeki Wisconsin. Historię tę opowiedział szef zespołu badawczego doktor James P. Scherz, profesor emerytowany z University of Wisconsin w Madison. W ostatnich dziesięcioleciach XX wieku należał on do najwybitniejszych archeoastronomów i odkrył niespodziewane astronomiczne powiązania licznych starożytnych kopców ziemnych w północnej części Regionu Środkowozachodniego USA. W artykule dla *Ancient American* z września-października 1994 roku doktor Scherz skupił się jednak na udowodnieniu istnienia rzymskich wpływów na kontynencie amerykańskim ponad 1700 lat temu.

James P. Scherz

Rzymskie monety z Wisconsin

Pewnego wiosennego popołudnia 1994 roku zadzwonił telefon, kiedy byłem już prawie za drzwiami – w drodze na comiesięczne spotkanie Ancient Earthwork's Society (AES) w sali wykładowej wydziału inżynierii University of Wisconsin w Madison, gdzie pracuję. Dzwonił Fred Rydholm, emerytowany nauczyciel z Marquette w Michigan. Jest on uznanym ekspertem w zakresie miejscowych starożytnych kopalni miedzi, które działały w czasach, gdy Egipt faraonów był jeszcze młodym państwem. Powiedział mi: „Pewien człowiek mieszkający niedaleko rzeki Wisconsin twierdzi, że znalazł jakieś dziwne, stare monety. Rzuciłbyś na to okiem?”



Jedna z rzymskich monet znalezionych przez Freda Kingmana w 1993 roku podczas przeszukiwania brzegów rzeki Wisconsin przy użyciu wykrywacza metali.

Kuszanowie, dalekosiężni kupcy, stworzyli potężną dynastię na ziemiach leżących nad Jedwabnym Szlakiem, jednocząc różne ludy Azji Środkowej prawie 2000 lat temu. Ich sieć handlowa zaczęła rozpadać się równocześnie z upadkiem zachodniej części rzymskiego świata, począwszy od około 300 roku. Przywódcą państwa Kuszanów służył lud Satawahana. Zamieszkiwał on wybrzeże Oceanu Indyjskiego i pływał dużymi, morskimi statkami prezentowanymi na ich monetach, zanim przyszło mu upaść około 230 roku, kilka pokoleń przed Kuszanami. Satawahana podlegali Kuszanom, ale samodzielnie wdawali się w wojny z innym ludem, Saka, znanym również pod nazwami Sahkya i Sac. Sami Kuszanowie stanowili część związku koczowniczych plemion zwanych w źródłach chińskich jako Więksi Yue Qi.

Te nazwy różnych ludów, kontrolujących zakrojoną na wielką skalę wymianę handlową między Chinami i Rzymem, spotykano w rejonie sieci rzecznej Ameryki Północnej. Niedaleko rzeki Wisconsin mieszkali Sauk lub Saka, zaś Yuchi żyli pomiędzy rzekami Missisipi a Ohio na obszarze dzisiejszego południowego Illinois. W ustnej tradycji Indian Hopi zachowały się wspomnienia o dawnych gościach z drugiego krańca świata, nazywanych Keszenami. Co ciekawe, Keszena to także nazwa miejsca w indiańskim rezerwacie w Wisconsin.

Jeden z członków starszyny amerykańskiego plemienia Indian Yuchi (obecnie w Oklahomie), opowiadał o swym ludzie, który hodował krowy i kurczaki przed zjawieniem się w Ameryce Hiszpanów, jako o „przybyłym na tę ziemię na łodziach”. Indianie Sauk, dawniej żyjący w Wisconsin, natomiast teraz w rezerwacie w Oklahomie, opowiadają, że ich przodkowie odwiedzali Chiny, docierając tam przez Alaskę.

Tego rodzaju informacje pobudziły moje zainteresowanie monetami, o których mówił Rydholm, zwłaszcza gdy wspominał, że mogły należeć do kuszanów. Odparłem mu, że muszę zobaczyć wyraźne fotografie monet, zanim rozpocznę jakiegokolwiek badania. Kilka dni później zdjęcia dotarły do mojego biura. Nie rozczarowały mnie, choć naturalnie zachowałem też ostrożność. Tak czy inaczej, miałem te fotografie w formie slajdów, przygotowane jako część wykładu, który o swoim

znalezisku zamierzał wygłosić Fred Kingman w maju w Ancient Earthworks Society. Kingman opowiedział nam, że znalazł monety zeszłej jesieni, gdy wykrywaczem metali przeczesywał brzegi rzeki Wisconsin w poszukiwaniu zabytkowych przedmiotów. W chwili odkrycia ich skupiska, urządzenie zarejestrowało sygnał z gleby, przypisywany korozji przebiegającej w ziemi przez bardzo długi czas. Znalezione monety były pogrupowane, jak gdyby zebrano je w woreczkach z jakiegoś nietrwałego materiału, który rozpadł się w trakcie przebywania pod ziemią.

Choć slajdy ukazywały powiększone obrazy tych okazów, bardziej imponujące było 10 autentycznych monet, które Kingman pozwolił obejrzeć zebranym. Większość z nas była pod wrażeniem tych małych dzieł sztuki. Rysy twarzy męskich profili, które na nich widniały, były wyjątkowo wyraźne, świetnie wykonane i doskonale rozpoznawalne. Co ciekawe, wiele tych portretów miało promieniste nakrycia głowy, jak gdyby symbolizujące Słońce, co przywodziło na myśl podobne ozdoby głowy postaci z malowideł ściennych w skalnym schronisku Gottschall w południowo-zachodnim Wisconsin.

Wyglądało na to, że monety Kingmana wykonano metodą „matrycową”, w której kawałek gorącego, miękkiego metalu umieszcza się na dolnej matrycy, następnie uderza drugą matrycą od góry, dzięki czemu powstaje odcisk zarówno na rewersie, jak i awersie monety. Wskutek tego metal jest wypychany w stronę krawędzi. Rzuciło się w oczy, że matryce, służące do wyprodukowania monet z Wisconsin, opracowano z ogromną wprawą rzemieślniczą i artystyczną. Wydaje się, że każdą monetę wykonano w innym zestawie matryc. Tym samym do ich wyprodukowania potrzeba było 20 matryc. Większość monet zrobiono z miedzi. Jedna, głęboko skorodowana, była chyba z jakiegoś żółtego stopu. Zatarłe inskrypcje dawały się odczytać przy krawędziach niektórych okazów. Przetłumaczenie ich treści, gdyby okazało się możliwe, pozwoliłoby ustalić pochodzenie monet. Zakładano, że wybito je bardzo dawno temu gdzieś w Starym Świecie – być może w Grecji lub w Rzymie.

Nikt z nas nie widział w tym problemu. Profesor reprezentujący wydział nauk humanistycznych i społecznych zaproponował w odpowiedzi na prośbę jednego z członków naszego towarzystwa, żeby ktoś z wydziałów historii lub antropologii był obecny na tym spotkaniu i również wysłuchał opowieści Freda Kingmana. Umownie będę nazywał tego dzentelmena „profesorem Williamem”. Gdy po kolei oglądaliśmy monety, profesor nagle zawołał: „Są fałszywe!” Byłem osłupiały, że profesjonalista przed analizą podstawowych danych potrafił dojść do tak nagłej i jednoznacznej konkluzji. Co gorsza, było mi przykro ze względu na Freda Kingmana i jego żonę, którzy, jak wynikało, musieli dokonać fałszerstwa.

Zapytałem więc profesora Williama: „Co doprowadziło pana do tak nagłego wniosku?” Zawahał się, po czym obwieścił, że sportretowane głowy są skierowane w niewłaściwą stronę. Napisy na nich trzeba czytać od środka monety, podczas gdy powinny być czytane od zewnątrz (lub na odwrót). Być może miał rację, choć państwo Kingmanowie, szczerze wstrząśnięci i urażeni oskarżeniem, byli uczciwymi ludźmi, w nie mniejszym stopniu zainteresowanymi odkryciem prawdy o ich znalezisku, co inni. Profesor stwierdził, że jeśli monety nie były sfalszowane – co wydawało mu się mało prawdopodobne – to może były współczesnymi reprodukcjami, pamiątkowymi medalikami z cyrku lub gadżetami reklamowymi z XIX wieku, ale na pewno nie były starsze.

Nikt na naszym spotkaniu AES, włącznie ze sceptycznym profesorem, nie był ekspertem w dziedzinie numizmatyki, więc rozpocząłem własne poszukiwania wśród regałów z literaturą naukową w bibliotece uniwersyteckiej. W ciągu kolejnych tygodni przejrzałem jakieś 1300 ksiąg o dziejach cesarstwa rzymskiego i numizmatyce. Cały czas szukałem dodatkowych wskazówek, które pozwoliłyby powiązać monety z Wisconsin z ich starożytnymi odpowiednikami. Dowiedziałem się, że monety produkowane za panowania cesarza Augusta przedstawiały jego twarz zarówno skierowaną w lewo, jak i w prawo, zaś napisy na monetach czytały się zarówno od środka na zewnątrz, jak i od zewnątrz do środka – zaprzeczało to więc twierdzeniu profesora Williama, że monety Kingmana są fałszywe, ponieważ twarze na nich były skierowane w niewłaściwą stronę, a litery układały się w nieodpowiednim kierunku. Mimo to nie znalazłem całkowitej zgodności pomiędzy nimi i czymkolwiek porównywalnym, pochodzącym ze świata cesarza Augusta, sprzed 2000 lat.

Ponadto monety z Wisconsin ukazywały mężczyzn ze zdecydowanie nierzymскими, zadartymi nosami. Rysami twarzy przypominali raczej członków mojej rodziny, wywodzącej się z Niemiec. Profile na tych monetach były więc nie tyle rzymskie, ile germańskie. Pewien tekst numizmatyczny, na który natrafiłem, przedstawiał monetę z okresu rzymskiego, ukazującą mężczyznę z zadartym nosem i głową zwieńczoną promienistą koroną (podobnie jak na monetach Kingmana). Była to moneta „nieznanego pochodzenia” z Baktrii, starożytnego królestwa w Azji Mniejszej (w północno-wschodniej części dzisiejszego Afganistanu), gdzie mówiono po grecku. W czasach antycznych podobny „słoneczny” typ nakrycia głowy noszono powszechnie na obszarze doliny Dunaju. Moje zakłopotanie budziły jednak greckie litery występujące na baktryjskich monetach, ponieważ zupełnie nie przypominały one liter na monetach Kingmana, które bardziej kojarzyły się z łaciną.

Dzięki moim bibliotecznym poszukiwaniom dowiedziałem się, że imię władcy pojawiające się na rzymskich monetach często poprzedzał skrót IMP. Ten sam tytuł cesarski znajdował się na jednej z monet Kingmana, na której widniał napis: IMP-TETRICUS, czyli „cesarz Tetricus (Tetryk)”. Podekscytowany sprawdziłem kilka spisów wszystkich cesarzy rzymskich – od pierwszego do ostatniego. W żadnym wykazie nie występowała taka osoba. Licząc, że określenie „Tetryk” mogło być jakimś królewskim przezwiskiem, rozpocząłem pracochłonne wertowanie pewnej niemieckojęzycznej książki. Zawierała ona kompletne inskrypcje wszystkich monet z okresu rzymskiego w Muzeum Sztuk Pięknych w Hamburgu, które posiada jedną z największych na świecie kolekcji tego rodzaju. W trakcie znużającego analizowania każdej numizmatycznej inskrypcji, natrafiłem na to, czego szukałem. Oznaczone liczbą 1503, zapisane tłustą czcionką widniały słowa: IMP C TETRICUS PFAUG, Założyłem, że nie był on jednak rzymskim cesarzem, lecz władcą Galii, królestwa nad niemiecką rzeką Ren, sprawującym władzę w latach 270-273.

Euforia wynikająca z tego odkrycia nieco przygasła, kiedy na innej monecie z Wisconsin wykryłem coś, co mogło stanowić część inskrypcji IMP C CLAUDIUS. Słynny cesarz Klaudiusz sprawował władzę w latach 41-54, dwa stulecia przed Tetrykiem. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby monety, tak różniące się czasem wybicia, przechowywano razem – chyba że znajdowały się w rękach jakiegoś kolekcjonera. Wiedziałem też, że słynnego Klaudiusza raczej nie przedstawiano z nakryciem głowy symbolizującym Słońce, brodą i germańskim zadartym nosem. Mając nadzieję na znalezienie jakiegoś wyjaśnienia tych rozbieżności, powróciłem do przeglądania wielkiego niemieckojęzycznego tomu, aż natrafiłem na zdjęcie monety numer 1511 z inskrypcją IMP CLAUDIUS AUG. Nie był to ten sam Klaudiusz z I wieku, lecz znacznie późniejszy cesarz, Klaudiusz II, który zasiadał na tronie w latach 268-270, bezpośrednio przed Tetrykiem. Obaj władcy rządili bardzo krótko, co wskazywałoby na panujące w tym okresie niepokoje. Jak wykazała późniejsza analiza, rzeczywiście przyszło im żyć w niespokojnych czasach.

Cesarza Galienusa zamordowano, a jego następcą został wybrany przez zbuntowaną armię Marek Aureliusz Waleriusz Klaudiusz. Morderstwo spowodowało głęboki rozłam pomiędzy przywódcami wojskowymi, zbulwersowanymi gwałtowną śmiercią ich cesarza, a senatem, którego członkowie tak nie znosili Galienusa, że zaczęli mordować członków jego rodziny i przyjaciół. Rzymskie społeczeństwo było bardzo podzielone, ale jeszcze większe niebezpieczeństwo stwarzał poważny bunt w Germanii, gdzie zamordowano Galienusa. Jak napisał znany współczesny historyk Michael Grant, „Germanie przedostali się przez przełęcz Brenner i przedarli się aż nad Lacus Benacus (dziś jezioro Garda w północnych Włoszech)”. Klaudiusz II jednak zgotował im sromotną klęskę; pojmał lub zabił na miejscu połowę najeźdźców.

Choć Klaudiusz II ocalił Rzym, pewien pretendent do tronu utworzył na zachodzie, w Galii, na terenie dzisiejszej Francji, secesjonistyczne cesarstwo. Mimo wszystko Klaudiusz II odnosił ważne zwycięstwa, które pozwoliły uchronić cywilizację przed stałymi zewnętrznymi atakami barbarzyńskich hord. Te polityczne i militarne kryzysy potęgowała ogromna inflacja w ojczyźnie i konflikt religijny wywołany przez grupę fanatyków. W samym sercu tych ataków z zewnątrz i wewnętrznych niepokojów, chrześcijańskie ataki na tradycyjne wartości duchowe przyczyniały się do pogłębienia społecznego zamętu. Jako uświęcony protektor rzymskich wartości Klaudiusz II potwierdził lojalność wobec imperialnego kultu Słońca, posuwając się nawet do umieszczenia swego portretu na monetach, na których ukazano go w promienistej koronie boga Słońca. Uwzględniono elementy starych tajemnych szkół wiedzy wysokiej, jak również nauk filozoficz-

nych. Cesarz przyjął za cel zjednoczenie różnych frakcji religijnych w powszechnym systemie wierzeń. Jego hojność przyczyniła się do gwałtownego wzrostu liczby wyznawców, a noszenie „słonecznego” nakrycia głowy stało się modne wśród współczesnych mu władców w wielu częściach imperium.

Pełne problemów i zarazem zwycięstw panowanie Klaudiusza II zostało przerwane zaledwie po dwóch latach, kiedy zaraza uśmierciła go w trakcie kampanii w Germanii. Zanim przedwcześnie zmarł, powołał rodzaj miejscowego rządu, żeby zażegnać różnice między Rzymianami i germańskimi plemionami zamieszkującymi tereny na zachód od Renu. Ten oparty na miejscowej ludności rząd obwołał utworzenie Imperium Galijskiego. Jego przywódcy sprawowali rządy z miasta Trewiru, miejsca pochodzenia Tetryka. Wykorzystując dezorientację i niepewność po śmierci Klaudiusza II, Tetryk, były rzymski senator, obwołał się wodzem Imperium Galijskiego, pragnąc oderwania tego galijskiego państwa od cesarstwa rzymskiego.

Kiedy stłumiono krótkotrwałą rebelię, dawne znajomości w świecie polityki ocaliły Tetrykowi życie, ale sprowadzono go w kajdanach do Rzymu. Zgodnie ze słowami autora hamburskiej księgi numizmatycznej, po publicznym upokorzeniu pozwolono mu wycofać się z życia publicznego „w stan spoczynku dostatniego i godnego”, zamiast dokonać jego egzekucji, co było normalną karą za zdradę.

Prawdopodobnie Tetryk wykupił się ogromnym datkiem na rzecz imperialnego kultu Słońca. W 273 roku, tym samym roku, w którym został pojmany i uwolniony, rzymska świątynia Słońca otrzymała nie mniej niż 7 ton złota.

Imperium Galijskie, które pozostawił, nie poradziło sobie równie dobrze. Nękanie głodem, zostało bezwzględnie rozbite przez rzymskie legiony, a jego mieszkańcy stali się niewolnikami lub ulegli rozproszeniu. Miejscowi dysponowali jednak pewnymi środkami ratunku. Michael Grant pisze o flocie, którą Germanowie wykorzystali do ewakuowania wielkiej liczby przesiedleńców drogą wodną – potężną rzeką Ren – szukali oni nowego życia z dala od trosk i kłopotów.

Wydaje się, że o tych historycznych wydarzeniach opowiadają monety Kingmana, które najwyraźniej zostały wybite w trakcie masowej ucieczki z Europy. Czy Germanowie z epoki cesarstwa rzymskiego dotarli aż do Ameryki? A może monety zostały przywiezione przez współczesnych im kuszanów, kupców, którzy przypadkowo lub może celowo przybyli do Ameryki Północnej, gdzie ich nazwa trwale odcisnęła się w zbiorowej pamięci tubylczej ludności? Niezależnie od tego, w jaki sposób trafiły w miejsce swojego spoczynku nieopodal rzeki Wisconsin, monety znalezione przez Freda Kingmana mają autentyczne europejskie pochodzenie. Jako takie stanowią 10 nowych elementów układanki będącej tajemniczą prehistorią Ameryki.



Rzymskie wpływy w Ameryce

Monety Kingmana to nie jedyne materialne świadectwo obecności Rzymian w Nowym Świecie. Artykuł w grudniowym *Ancient American* z 2000 roku podawał, że inne rzymskie artefakty wydobyto z ziemi zgodnie z naukowymi standardami w miejscu bardzo odległym od północnej części Regionu Środkowozachodniego. Domagano się więc od sceptyków zaakceptowania wpływów Starego Świata w prekolumbijskiej Ameryce. Mimo że prace wykopaliskowe prowadziły profesjonalne zespoły dyplomowanych archeologów z uniwersytetu stanowego, zwolennicy kulturowego izolacjonizmu uznali odkryte metalowe przedmioty za fałszywe. Wskutek tego zaprze-

paszczono wyjątkową możliwość skorygowania amerykańskiej wizji przeszłości.

Earl Koenig

Rzymskie zabytki znalezione w Arizonie

Rankiem 13 września 1924 roku Charles E. Manier pracował w wapienniku na terenie żwirowni przy drodze Silverbell, około 11 kilometrów na wschód od Tucson w Arizonie. Niespodziewanie łopata odsłoniła jakiś metalowy kształt. Wyciągając ciężki obiekt, spostrzegł od razu, że składa się on z dwóch przywierających do siebie części. Rozłączył je i zdumiony ujrzał, że obie były ołowianymi płytkami pokrytymi inskrypcjami; jedna z nich miała kształt krucyfiksów ważącego ponad 40 kilogramów.

Manier postąpił bardzo rozsądnie. Tego samego popołudnia zaniósł osobliwe przedmioty do doktora Franka H. Fowlera z University of Arizona. Sympatyczny profesor filologii klasycznej biegle władał łaciną i bez trudu przetłumaczył napisy na obu płytkach. Gdy dowiedział się, gdzie znalazł je Manier – człowiek niewykształcony, ale uczciwy – zorganizował prace wykopaliskowe już następnego dnia. Zespół zawodowych archeologów od razu zaczął wydobywać z ziemi nowe obiekty, ściśle przestrzegając naukowych procedur. Archeolodzy znaleźli między innymi kolejny przedmiot z inskrypcjami, tym razem płytkę długości 30 centymetrów.

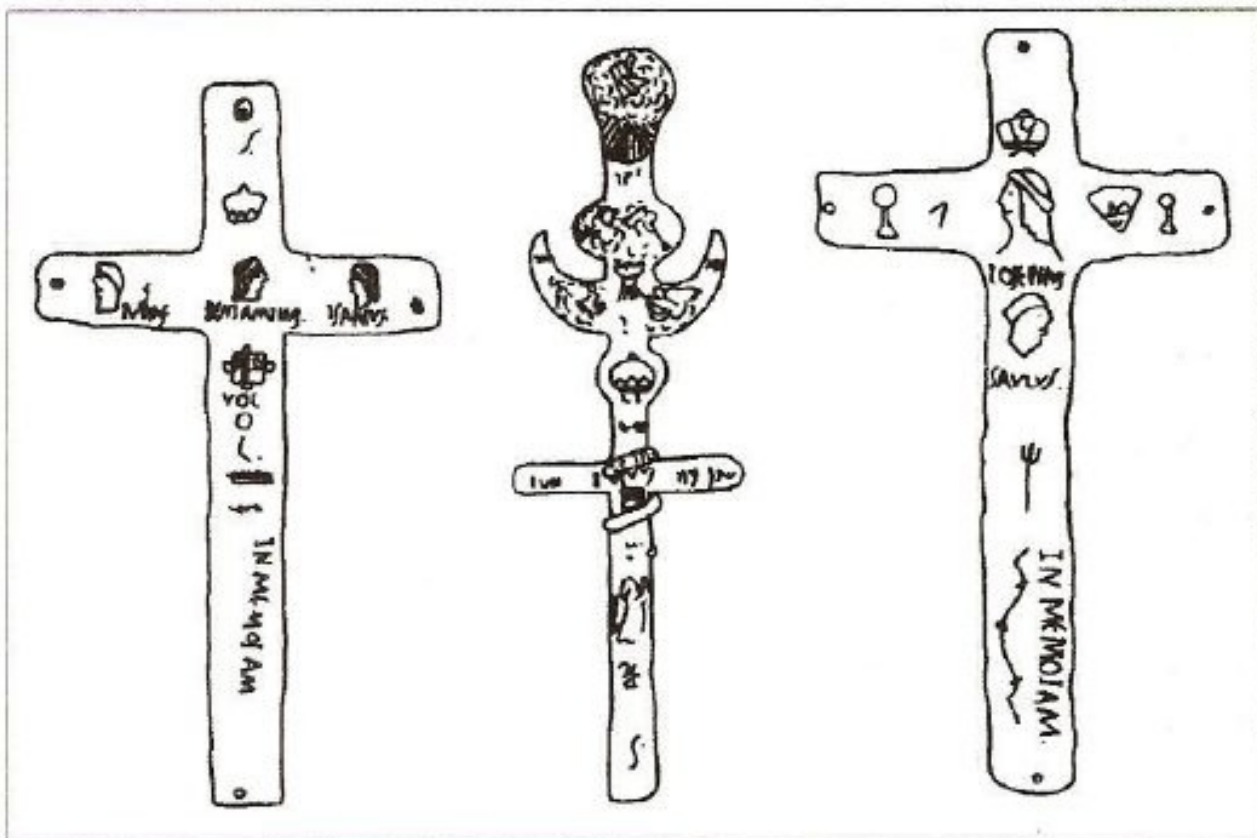
Wykopaliska trwały rok, cały czas ujawniając nowe obiekty. Znalazły się wśród nich kolejne krzyże, miecze, lance, duże łopaty, buławy, groty strzał, ostrza włóczy i sprzętów obrzędowych – wszystko wyprodukowane z ołowiu. Przedmioty były pokryte twardą, zeskorupiałą powłoką węglanu wapniowego, która utworzyła się wskutek reakcji chemicznych soli i wody w macierzystej piaszczystej glebie. Taki proces następuje stopniowo, a osady węglanu wapniowego na znaleziskach z rejonu drogi Silverbell niewątpliwie musiały nagromadzać się przez co najmniej kilka wieków.

W ciągu kilku kolejnych miesięcy z wapiennika wydobyto ponad 30 takich obiektów. Dwudziestego ósmego listopada Thomas W. Brent, właściciel posiadłości, w której dokonano odkryć, natrafił na drugi krzyż, tym razem o ciężarze 11,5 kilograma. Dwa dni później Manier odkopał jeszcze jeden krzyż, również pokryty inskrypcjami, ważący 4,5 kilograma. Piątego grudnia wynajęci robotnicy dokonali najważniejszego odkrycia na stanowisku przy drodze Silverbell, gdy odsłanili 11,5-kilogramowy krzyż ozdobiony tylko jedną, ale najdłuższą ze wszystkich inskrypcją.

Do końca roku znaleziono pięć krzyży i dziewięć płyt na obszarze o promieniu około 1,8 metra. Te ostatnie obiekty wyprodukowano jako połówki połączone ze sobą nitami; ich ryte pismem powierzchniowo pokryto sztuczną, woskową substancją, której chemicy nie potrafili rozpoznać, ale „byli jednomyślni w opinii, że pełniła funkcję nadzwyczaj skutecznego środka konserwującego” (*Tucson Citizen*, 1 lutego 1925 roku). Analiza ujawniła, że krzyże i płyty wykonano z odlewanego stopu ołowiu i antymonu ze śladami miedzi, cyny, srebra, a nawet złota. Kruszcze kruszono i topiono, następnie odlewano i formowano przez młotkowanie i wygładzanie. Nie było to najlepsza robota rzemieślnicza, ale wydaje się to usprawiedliwione, jeśli weźmie się pod uwagę produkcję tych przedmiotów na pustyni Arizony, gdzie naturalne substancje do wyrobu lepszych narzędzi występują w znikomej ilości.

Doktor Fowler, Charles T. Vorhies (także z University of Arizona), A.E. Douglas (z zarządu Steward Observatory), dziekan Byron Cummings (dyrektor Arizona State Museum) oraz zastępca dyrektora muzeum Karl Ruppert byli obecni przy wydobywaniu pokrytego licznymi inskrypcjami krucyfiksów pod ich profesjonalnym nadzorem. Później dziekan Cummings potwierdził, że wszystkie przedmioty wydobyto bezpośrednio z wapiennika w żwirowni zgodnie z naukowymi procedurami. Dziekan College of Mines and Engineering na University of Arizona, doktor Gordon M. Butler,

osobiście wydobył z ziemi dwie połówki ołowianego trzonu włóczni (*Arizona Star*, 17 lutego 1928 roku).



Trzy krzyże pokryte inskrypcjami, wydobyte w 1924 roku na zwirowni w Silverbell.

Oświadczył on: „Nawet jeśli przyjmiemy hipotezę, że gleba została zmyta przez deszcze, absurdem byłoby twierdzić, że obiekty zakopano w ostatnich latach. Brak jakichkolwiek śladów zagrzebania ich w ziemi czy też niedawnego naruszania. »Podrzucenie« gleby na miejscu wymagałoby natomiast jednoczesnego przeniesienia wielu jej ton”. Doktor Alexander A. Stoyanow (profesor geologii), doktor T.T. Waterman (profesor antropologii) oraz co najmniej 10 innych specjalistów zgodziło się z oceną doktora Butlera dotyczącą oryginalności elementów włóczni. Wkrótce dołączyli do niego inni znakomici naukowcy akademicy, w tym archeolog z Phoenix doktor O.A. Turney, autor literatury popularnonaukowej doktor Clinton J. Sarle, a także Wadę H. Eblis z National Archaeological Society w Waszyngtonie. Eksperci byli jednomyślni w konkluzji, że obiekty z rejonu drogi Silverbell to autentyczne artefakty, wykonane przez zamorskich przybyszów z Europy sprzed co najmniej sześciu stuleci przed przybyciem Kolumba do Ameryki.

Tłumaczenie całego łacińskiego tekstu ujawniło zaskakującą historię: *In Memoriam Romani Actius...*:

„Na pamiątkę Rzymian Akcjusza i Teodora, konsulów wielkich miast. Jesteśmy niesieni morzem [do] Calalus, nieznaney krainy [i] ludu rządzącego się dzikimi prawami [Indianie?] Toltezus [i] Sylwan zostali przeciągnięci na naszą stronę. Teodor prowadzi swoje siły z miasta Roda. Pojmano ponad 700. Żadnego złota. Są oni [lub powinni być] wygnani z miasta. Teodor, człowiek największego męstwa, włada w okresie 14 lat. Jakub włada [po Teodorze] przez 6 lat. Z Bożą pomocą nie ma czego się bać. W imię Izraela Jakub narodził się ponownie [w] mieście. Z pomocą Boga Jakub rządzi silną ręką, w zwyczaju swych przodków i śpiewa swemu Panu. Niech jego sława żyje wiecznie!

Benjamin był królem ludu. Przybył z Seine do Rzymu, najdzielniejszy z Galów. Przybył, aby pomóc ludziom, założyć fundamenty miasta. Zbudował mury wokół miasta, by dać odpór wrogom. Benjamin, o wielkiej sile. Wielu napełnił religią. Został zabity przez tebańczyków.

Słyszałem to od mego ojca pięć lat później, za górami, na pamiątkę mojego ojca Józefa. 880 Anno Domini.

Izrael III został wygnany, jako że uwolnił Toltezusa. Jako pierwszy złamał tradycję. Ziemia zadrżała, strach przepełnił serca śmiertelników w trzecim roku po jego ucieczce. Udali się do miasta i schronili się za murami. Nie będziesz palił martwych ciał w mieście. Przed miastem rozciągała się równina. Otaczały je wzgórza. Minęło 100 lat od czasu, gdy Jakub był królem. Jakub ciężko pracował na pierwszej linii. Imał się wszystkiego, często osobiście walczył i często powalał wrogów. Izrael [Izrael III?] poświęcił swą uwagę wyznaczeniu kapłanów. Życie zostało nam podarowane, ludowi o rozległej władzy (...), byśmy służyli królowi. Nie ma pewności, jak długo potrwa życie. Wiele rzeczy można powiedzieć. Kiedy wojna szalała, 3000 ludzi zostało zabitych. Przywódcy bez swoich wodzów zostali zabrani. A szukano tylko pokoju. Bóg decyduje o wszystkim”.

Niektóre fragmenty tekstu wydają się „podpisane” inicjałami O.L., choć wyraźne różnice w konstrukcji gramatycznej różnych inskrypcji wskazują, że całości tekstu nie ułożyła jedna osoba. Słowa „Albion, Jakub” pojawiają się na lewym ramieniu krzyżyka; na prawym zaś „Seine, Izrael” – przypuszczalnie oznaczają przywódców żydowskich społeczności w Brytanii i Francji, skąd przybyli oni do Ameryki Północnej. Mimo że większość płyt i krzyży miała wyryte teksty łacińskie, na niektórych znajdowały się też hebrajskie.

Doktor Cyclone Covey (profesor historii w Wake Forest University w Karolinie Północnej), który ma imponującą wiedzę o Europie Zachodniej środkowej i schyłkowej fazy okresu antycznego, skupił się na nazwie Calalus wspomnianej w inskrypcji z Silverbell. Pisarz David Hatcher Childress wyjaśnia: „Różne grupy Żydów przepłynęły z portugalskiego portu Porto Cale. Założyli oni na Florydzie miasto, które nazwali Cale. Obecnie jest to miasteczko Ocala w północno-środkowej części Florydy”. Covey sądzi, że jeszcze inni Żydzi uciekli z Rzymu i również wypłynęli z Porto Cale w Portugalii, zmierzając do Nowego Świata. Łacińska forma Porto Cale brzmiała Calalus, a miasto to stało się żydowsko-rzymską placówką w 775 roku. „Miasto usytuowane w miejscu dzisiejszego Tucson nazywało się wówczas Roda. Covey uważa, że jeden z przywódców lub kapitan jednego z okrętów urodził się na wyspie Rodos” (s. 293, 294).

Pełna interpretacja wszystkich tekstów z Silverbell jest trudna, ponieważ są niekompletne. Treść fragmentarycznego przekazu jest niejasna. Co możemy o nim powiedzieć? Pismo to głównie łacina, zaś Rzymianie (Akcjusz, Teodor i Sylwan) pojawiają się na początku jako „konsulowie wielkich miast”, przypuszczalnie zbudowanych w Ameryce Północnej po ich przybyciu zza oceanu – potwierdzają to ostrza mieczy rzymskiego typu znalezione na terenie żwirowni. Co więcej, Rzymianie byli mistrzami obróbki ołowiu, metalu wykorzystanego do odlewania artefaktów z Arizony. Niektórzy badacze domyślają się, że Toltezus wymieniany w inskrypcjach to meksykańscy Toltekowie. Jednak tekst tego jednoznacznie nie potwierdza, a nawet sugeruje, przynajmniej w jednym miejscu, że „Toltezus” to imię człowieka, najwyraźniej jakiegoś wojskowego dowódcy o randze zbliżonej do rangi Rzymianina Sylwana.

O „Benjaminie” dowiadujemy się, że przybył z Galii, ale ma „niestosowne” żydowskie imię, którego nikt nie spodziewałby się spotkać w tym czasie na obszarze Europy, gdzie Żydów nie było. „Seine” pojawia się co najmniej dwukrotnie w tych inskrypcjach, ale słowo wskazuje (poprzez skojarzenie z Albionem, czyli Brytanią) raczej na nazwę miejsca, a nie słynnej rzeki we Francji (ang. *Seine* to Sekwana). Różne grupy ludności i ludy wymieniane na tablicach z rejonu Silverbell – rzymscy chrześcijanie, Galowie, Brytowie i Żydzi – stanowią nieprawdopodobne zbiorowisko, jako że historia Europy uczy o ich wzajemnej wrogości. Raczej nie połączyliby swoich sił we wspólnej wyprawie przez ocean do Ameryki. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę czas, kiedy rzekomo przybyli do Arizony, do takiego przedsięwzięcia mogło jednak dojść.

Autor (lub raczej autorzy) pokrytych inskrypcjami płyt napisali, że w 880 roku „minęło 100 lat od czasu, gdy Jakub był królem”. Ponieważ Jakub rządził przez sześć lat, a poprzedzał go Teodor, który rządził przez 14 lat, możemy wydedukować, że ci obcy przybyli do Arizony w połowie VIII wieku. Wynika z tego, że przedstawiona przez doktora Coveya data założenia przez nich portowego miasta Calalus jest mniej więcej o ćwierć wieku za późna. Jednak takie ramy czasowe opracowane

na podstawie analizy samych zabytkowych przedmiotów są zawsze niepewne. Wydaje się, że Teodor i jego ludzie wylądowali na Florydzie po 700 roku, zanim przenieśli się na południowo-zachodnie tereny Ameryki. Jeśli tak, to ich transatlantycka podróż i założenie nowych osad w Ameryce Północnej zbiegałyby się w czasie z okresem szerzenia się chaosu w Europie.

Armie wojowników Islamu, wdzierające się aż po Alpy, zatrzęsły posadami już rozchwianego cesarstwa bizantyjskiego, ułomnego spadkobiercy cesarstwa rzymskiego. Mroczne wieki średniowiecza, które objęło Europę, stawały się jeszcze mroczniejsze. Zaś zbieraninę chrześcijan, żydów i celtyckich pogan zapędzał w jedno stado wspólny wróg, który groził wszystkim przymusowym nawróceniem ogniem i mieczem – muzułmańscy najeźdźcy. W obliczu konieczności walki o przetrwanie wśród zgliszczy upadającej cywilizacji, różnowiercy zdecydowali się na wielkie niebezpieczeństwo i straszliwą niepewność przeprawy przez wielkie morze do krainy znanej im może tylko z ustnych przekazów. Udało im się wylądować na Florydzie i zbudować tam port. Następnie przynajmniej część z nich, walcząc z tubylczą ludnością, przedarła się przez Amerykę Północną na tereny dzisiejszej Arizony.

Ich rzymscy wodzowie stali się „konsulami wielkich miast” – możliwe że odnosi się to do Tuzigoot, Chaco Canyon, Hovenweep lub innych monumentalnych ośrodków obrzędowych związanych z prehistorycznymi ludami Anasazi i Hohokam z amerykańskiego Regionu Południowozachodniego. W istocie, ceglane konstrukcje w wielu miejscach (zwłaszcza Wupatiki) przywodzą na myśl rzymską architekturę kamienną. Rzymskie kadry dowódcze, ludzie tacy jak Akcjusz, Sylwan i Teodor, zaczęły jednak wymierać. Z braku innych kandydatów zastąpili ich Żydzi, począwszy od Jakuba i Izraela III. W czasie sporządzenia ostatniej inskrypcji władza tej niejednorodnej grupy cudzoziemców zaczęła poważnie podupadać, prawdopodobnie wskutek wrogich nacisków przewyższających ich liczebnie plemion indiańskich: „Nie ma pewności, jak długo potrwa życie (...). Kiedy wojna szalała, 3000 ludzi zostało zabitych. Przywódcy bez swoich wodzów zostali zabrani. A szukano tylko pokoju”. Anonimowy pisarz napisał z rezygnacją: „Bóg decyduje o wszystkim”.

Wkrótce potem, jak sugerują źródła, ostatni przywódca wraz ze swoim ludem został unicestwiony, pozostawiając po sobie pamiątkę w postaci ołowianych płyt odkrytych w okolicy Tucson mniej więcej 1000 lat później. Nieustanne boje z nieprzeliczonymi plemionami tubylczych wrogów wspomniane w tekstach zbiegają się również w czasie z narodzinami kultury Missisipi. Tego imponującego przejścia ku rozwiniętej społeczności, skupionej w Dolinie Missisipi, dokonały nowe ludy napierające z południa, które wyparły rdzenne populacje w całej Ameryce Północnej ponad Rio Grande.

Można zatem odnaleźć zbieżności między faktami historycznymi a starożytnym tekstem z Arizony. Ponadto nie ulega wątpliwości, że na stanowisku Silverbell stworzono profesjonalne warunki prac wykopaliskowych, odpowiadające naukowym standardom. Uczestniczyło w nich w charakterze obserwatorów wielu profesjonalistów. Niekiedy osobiście wydobywali z ziemi ołowiane obiekty z inskrypcjami, tak jak doktor Butler. Archeolog Gunnar Thompson, opisując ryte płyty 70 lat po ich odkryciu, podkreślił: „(...) teksty te zawierają liczne cytaty z dobrze znanych manuskryptów znad Morza Śródziemnego, takich jak *Georgiki* Wergiliusza. Niektóre zdania wykorzystane w tekstach, takie jak *Dei gratia* (»z Bożej łaski«) były formułami powszechnie stosowanymi w średniowiecznej Europie”. Thompson przypomniał też, że profesor Covey „wyjaśnia, iż nieporadny językowo tekst na tablicach przypomina inskrypcje odnajdywane w starożytnych żydowskich katakumbach” (s. 129).

Autentyczność artefaktów z Silverbell potwierdził ich pierwszy odkrywca, jak również badania przeprowadzone zarówno w przeszłości, jak i współcześnie przez specjalistów uniwersyteckich. Dlaczego więc tak niewielu Amerykanów w ogóle słyszało o tym odkryciu z 1924 roku? I jak to się dzieje, że żaden amerykański podręcznik historii jak dotąd o nim nie wspomina?

Dyplomowani eksperci z przygotowaniem uniwersyteckim, którzy ustalili prekolumbijskie pochodzenie ołowianych płyt, przyznali, że mają one nie tylko lokalne znaczenie – niosą ze sobą dramatyczne konsekwencje dla dziejów Ameryki, a nawet świata. Dziekan Cummings, chcąc spopularyzować te artefakty, sprowadził je do prestiżowej Smithsonian Institution w Waszyngtonie. Jednak ich pojawienie się w stolicy państwa natychmiast ściągnęło gniew archeologicznego

establishmentu ze wschodniej części USA, którego czołowi przedstawiciele nie byli w stanie tolerować hipotez sugerujących transoceaniczne kontakty ze Starym Światem przed przybyciem Kolumba. F.W. Hidge z Heye Foundation nowojorskiego Museum of American Indian zlekceważył zabytki z Arizony jako ewidentne oszustwo. Wtórował mu Bashford Dean, kustosz zbrojowni w nowojorskim Metropolitan Museum of Art, który stwierdził, że należą one do najsłabszych podróbek. *New York Times* obwołał inskrypcje z Silverbell oczywistymi falsyfikatami, których tekst został zaczerpnięty w całości z trzech ksiąg dotyczących języka łaćńskiego: *Rouf's Standard Dictionary of Facts*, *Harkness Latin Grammar* oraz *Latin Grammar of Allen and Greenough*. Jednak imiona i nazwy, takie jak Tolteus, Jakub czy Calalus, występujące w inskrypcjach z Arizony, nie pojawiają się w tych klasycznych podręcznikach do nauki łaciny z XIX wieku lub początku XX wieku. Nie uwzględniając tych zasadniczych wątpliwości, wschodnia prasa przemieniła odkrycie z Arizony w zajadły, ogólnokrajowy spór, który, czego obawiali się naukowcy, mógł przerodzić się w skandal. Prezentacja dziekana Cummingsa, opisująca wydobyte płyty na spotkaniu American Association for the Advancement of Science (AAAS) w Kansas City napotkała mur milczenia.

Jak donosił *Arizona Wildcat*: „Postawa naukowców wskazywała na to, że nie uznają tych artefaktów za szczególnie ważne”. Uczestnicy spotkania, reprezentujący współczesną amerykańską myśl naukową, zignorowali Cummingsa i przyznali nagrodę 1000 dolarów profesorowi Daytonowi Millerowi (Cleveland, Ohio) za artykuł, który „unieważniał niektóre główne założenia teorii Einsteina”.

Uczestnicy spotkania AAAS, którzy zlekceważyli dziekana Cummingsa, nigdy nie odwiedzili osobiście wapiennika, tak samo jak wszyscy pozostali jego krytycy. Wielu nie chciało nawet oglądać fotografii odkrytych obiektów, z miejsca skazując je na potępienie.

Wkrótce po niechętnym przyjęciu w Kansas City *New York Times* ze złośliwą satysfakcją obwieścił, że niejaki Leandro Ruiz, meksykański imigrant nazywający samego siebie „emerytowanym pastuchem”, twierdzi, iż płyty z Arizony przypuszczalnie zostały sfalszowane 40 lat wcześniej przez innego Meksykanina o nazwisku Timotio Odohui. Ten rzeźbiarz mieszkał nieopodal stanowiska archeologicznego przy drodze Silverbell. Odohui był jakoby nieźle zaznajomiony z literaturą klasyczną i wyprodukował liczne dzieła sztuki, głównie z kamienia, ale niektóre (takie jak model konia) – z łożu. Nikt jednak nigdy nie widział, by wytwarzał krzyże lub płyty z inskrypcjami, zaś powody, dla których miałyby dokonać takiej mistyfikacji, pozostają nieznane.

Odohui podobno przepadł gdzieś pod koniec wieku, być może powrócił do Meksyku. Poza zeznaniem Ruiza nie udało się znaleźć żadnej informacji o „Timotio Odohui”, który równie dobrze mógł w ogóle nie istnieć. Niemniej jednak na podstawie tej niesłychanie marnej poszlaki, opartej na pogłoskach z wątpliwego źródła, hucznie obwołano odkrycie z Arizony meksykańskim fałszerstwem.

Doktor E.C. Getsinger, nieprzekonany do teorii mówiącej o Timotio Odohui, na pierwszej stronie *California Jewish Review* napisał, że płyty z inskrypcjami są fałszerstwami podrzuconymi w wapienniku w zeszłym stuleciu przez twórcę mormonizmu w celu historycznego uwiarygodnienia jego kredo. Getsinger upierał się: „Wierzę, że te krzyże zaginionych plemion Izraela zostały podrzucone i czekały na odpowiedni moment, aby Joseph Smith mógł je ujrzeć w »objawieniu«”. I to pomimo wniosków doktora Butlera, że geologiczne okoliczności nie pozwalają na datowanie znalezisk z Arizony na okres ostatnich 500 lat.

Nowojorski adwokat E.S. Blair nigdy nie widział przedmiotów z rejonu Silverbell. To jednak nie przeszkodziło mu zyskać wielkiego rozgłosu, kiedy obwieścił, że są to „podróbki podrzucone przez jakiegoś żartownisia lub może zrobione w jakimś bardziej złowrogim celu. Wskutek czegoś takiego powinno się trwale napiętnować uniwersytet w Tucson, z którego wszyscy powinniśmy być dumni, a także zaangażowanych w te prace naukowców. Czy to możliwe, że uznani geolodzy, archeolodzy i filolodzy klasycy, którzy ręczyli za to odkrycie, byli pod jakimś wpływem?” Po takim nagłośnionym przez prasę oskarżeniu ze strony adwokata, który sugerował jakiś „złowrogi cel” kryjący się za znaleziskami z Silverbell, naukowcy, wcześniej biorący w obronę to odkrycie, poważnie się przestraszyli.

To samo stało się z politykami z Tucson, którzy odcięli University of Arizona od środków finansowych na dalsze prace wykopaliskowe lub badania kontrowersyjnego stanowiska. W końcu nawet gazety z Arizony dołączyły do ogólnokrajowej nagonki – długo po tym, jak wszyscy główni gracze zdystansowali się do tego odkrycia. Dopiero kryzys ekonomiczny 1929 roku powstrzymał publiczną kampanię mającą na celu zdyskredytowanie artefaktów znalezionych niedaleko Tucson. Mimo to zaszkodzone wiarygodności znaleziska przez odwoływanie się do marnych dowodów i słabych (choć krzykliwych) kontrargumentów. Pisząc o ołowianych przedmiotach w 1968 roku, E.B. Sayles (zawodowy archeolog i kustosz Arizona State Museum) zauważył: „Gdybym wiedział o nich, kiedy rozgorzał ten spór, moja sympatia byłaby przy *Arizona Star* (gazecie, której wydawca opowiadał się za autentycznością tych obiektów) oraz przy wszystkich, którzy włożyli mnóstwo pracy, żeby ustalić ich pochodzenie i znaczenie; nie zaś przy ludziach, którzy zabrali się do potępiania zabytków, zanim zdołano je zbadać”.

U szczytu zjadliwej kampanii gazeta *Arizona Star* napisała: „Niezależnie od tego, do którego okresu historii zostaną przypisane te zabytki, ich wartości nie da się zdeprecjonować pochopnymi decyzjami”.

Wbrew oskarżeniom najbardziej krytycznie nastawionych osób, nikt nigdy nie wzbogacił się na tym odkryciu ani też nie uczestniczył w żadnej mistyfikacji. Podczas tworzenia niedorzecznych hipotez, usiłujących przedstawić owe przedmioty jako dzieła tajemniczych meksykańskich rzeźbiarzy lub nawet samego Josepha Smitha, wygodnie zapomniano o wynikach oryginalnych badań geologicznych. Wykazały one, że zeskorupałe osady węgla wapniowego na tych przedmiotach musiały gromadzić się przez wiele stuleci, najprawdopodobniej nawet około 1000 lat, co odpowiadałoby dacie ostatniej inskrypcji na płytach – 880 rok.

Analiza chemiczna wykazała, że obiekty wykonano z ołowiu ze śladami miedzi, cyny, srebra i złota – z minerałów, których nie należałoby spodziewać się w przypadku fałszerstwa, zwłaszcza takiego, z którego nikt nie czerpał korzyści. Jednak nawet obecność dziesiątków dyplomowanych profesorów w towarzystwie uniwersyteckich współpracowników oraz prowadzenie wykopalisk zgodnie z naukowymi standardami nie wystarczyły, aby uciszyć akademickich sceptyków. Nie byli oni obecni przy wykopaliskach, ale z góry wmówili sobie, że takie przedmioty muszą być fałszywe – i to do tego stopnia, by wykluczyć możliwość dalszych rozważań tej kwestii. Na nieszczęście Ameryki takie uprzedzenia wciąż dominują w oficjalnej archeologii. Niedowiarkowie drwią, że inskrypcje na ołowianych płytach to łacińskie zdania najwyraźniej „ściągnięte” z popularnych podręczników tego języka. Jednak czy jest możliwe, że wszyscy wybitni językoznawcy na dużym amerykańskim uniwersytecie z wydziałami specjalizującymi się w filologii klasycznej nie zdołali dojść do takich samych konkluzji, co adwokaci i dziennikarze spoza tego stanu?

Władze University of Arizona, zastraszone przez wrogo nastawioną prasę, umyły ręce od całej sprawy i zwróciły przedmioty ich znalazcom: Charlesowi Manierowi i Thomasowi Brentowi. Sześćdziesiąt lat później artefakty ponownie wystawiono na ekspozycji uniwersyteckiej jako część „zbiorów specjalnych” – ale nie jako dowód na obecność gości ze Starego Świata w prekolumbijskiej Ameryce, lecz jako przykład XX-wiecznego fałszerstwa. Mimo że środowisko akademickie uparcie neguje ich antyczne pochodzenie, płyty z inskrypcjami i militaria wydobyte ze żwirowni pod Tucson stanowią elementy jednego z najbardziej wstydlivych epizodów w dziejach amerykańskiej archeologii. Czekają na czasy większej otwartości umysłu, gdy bezstronni naukowcy będą mieli szansę przebadania artefaktów i ustalenia ich rzeczywistego charakteru i znaczenia.



Kultura minojska

Kreteńczycy stworzyli wysoko rozwiniętą cywilizację na egejskiej wyspie Krecie, skąd wywierali przemożny wpływ kulturowy i ekonomiczny na wschodnią część świata śródziemnomorskiego od początku II tysiąclecia p.n.e. aż po XVI wiek p.n.e. Ich potęga wynikała głównie z tego, że byli doskonałymi szkutnikami i zdolnymi długodystansowymi żeglarzami. Niekonserwatywni badacze od dawna podejrzewali, że kupieckie ambicje mogły zapędzić tych budzących respekt marynarzy na Ocean Atlantycki w poszukiwaniu towarów handlowych. Brakowało tylko materialnego świadectwa ich przybycia do Ameryki – aż do chwili znalezienia drobnego przedmiotu przypadkowo odkrytego w Nowej Anglii. Potwierdza on, że Kreteńczycy odnaleźli drogę ku amerykańskim brzegom. Relacja z tego odkrycia ukazała się w numerze magazynu *Ancient American* ze stycznia-lutego 2002 roku.

Frank Joseph i Wayne May

Kreteńczycy z Maine

W 1975 roku Michael Rose wykopywał dół pod fundamenty domu nad brzegiem rzeki Penobscot nieopodal Old Town, jakieś 16 kilometrów na północ od Bangor w Maine. Na głębokości około 3,5 metra łopata odsłoniła interesujący niewielki metalowy obiekt. Był to mały, cienki jak grosz prostokąt długości mniej więcej 2,5 centymetra i szerokości 1,9 centymetra. Na awersie widniała kobieca postać stojąca w drzwiach. Miała na sobie falbaniastą spódnicę i wysoką, spiczastą czapkę, a także duży naszyjnik zwisający do talii. Prawą ręką sięgała za framugę drzwi, zaś w lewej dłoni trzymała albo węża, albo spiralny wachlarz. Na rewersie widniał ślad odcisku, który wytworzyła kobieca sylwetka po przeciwnej stronie. Obiekt mógł być wykonany ze stopu srebra i niklu.

Michael Rose w korespondencji do *Ancient American* napisał: „[Przedmiot] znajdował się głęboko w ziemi, więc uznaliśmy, że musi być naprawdę stary. Początkowo po prostu odłożyłem go na bok i dopiero niedawno postanowiłem spróbować ustalić, co to takiego. Na razie jestem w kropce”.

Owo niepokazane znalezisko może stanowić najlepszy z dotychczas odkrytych dowodów na rzecz przybycia gości z Krety do Ameryki Północnej nie setki, ale tysiące lat przed Kolumbem. Kreteńczycy stworzyli kulturę nazywaną kreteńską lub minojską od imienia ich króla Minosa. Władcę tego z czasem upamiętniły greckie mity, w których sprawował władzę jako jeden z trzech sędziów podziemnego świata. Kreteńczycy przekształcili wyspę Kretę, leżącą we wschodniej części Morza Śródziemnego, w jeden z najjaśniejszych ośrodków wczesnej ludzkiej cywilizacji. Dużo wcześniej, począwszy od około połowy III tysiąclecia p.n.e., ich wyjątkowe społeczeństwo przeszło ewolucję, rozwijając się ze stosunkowo prymitywnych kultur cykladzkich w regionie Morza Egejskiego.

Do 1700 roku p.n.e. kultura minojska rozkwitła w pełni. Jej dwa wielkie miasta, Knossos i Fajstos, dominowały na północnym i południowym wybrzeżu. Kreteńczycy byli wykształconym ludem, który posługiwał się trzema rodzajami pisma: sylabariuszem hieroglificznym oraz pismem linearnym A i linearnym B. Udało się odczytać tylko to drugie, późniejsze pismo, stanowiące

wczesną odmianę greki. W religii minojskiej dominowały wyobrażenia byków i kobiet z węzami – symbole energii męskiej i żeńskiej. Narodowym emblematem był labrys, podwójna siekiera, zazwyczaj wykonana z miedzi, którą Kreteńcy bardzo sprawnie handlowali. Wyspiarze byli również uznanymi żeglarzami, wytrawnymi konstruktorami i nawigatorami morskich statków. Ich okręty obsługiwały minojski handel od Egiptu faraonów po Brytanię z czasów Stonehenge, gdzie wciąż działało megalityczne liczydło astronomiczne.

Przez co najmniej trzy stulecia starożytna Kreta była morską potęgą, której ludność korzystała z nieznanymi nigdzie indziej w owych czasach technologii – od ruchomych czcionek po toalety ze spłuczką. Kobiety były pasjonatkami mody (archeolodzy nazwali przedstawioną na malowidle z Knossos kretańską piękność La Parisien – Paryżanką), a wszyscy masowo uwielbiali zawody sportowe, zwłaszcza skoki przez byka. Bajeczne pałace z rozległymi dziedzińcami i fantastycznie zdobionymi ścianami były otwarte na światło słoneczne. Kreteńcy byli przy tym bardziej kupcami niż żołnierzami, o czym świadczy brak jakichkolwiek murów obronnych na wyspie. Ostatecznie właśnie ta pokojowa postawa przywiodła ich do upadku, kiedy władcy z epoki brązu, tacy jak wojowniczy Mykenczycy, heroiczni Grecy Homera, urosli w siłę na Peloponezie. Do XIII wieku p.n.e. wszystkie ślady minojskich wpływów znikły, podległe obcej kulturowej dominacji. Niewielki przedmiot wykopany przez Michaela Rose'a ćwierć wieku temu nad brzegami rzeki Penobscot dobitnie wskazuje na zaginiony lud króla Minosa.

Jak wspominaliśmy, Kreteńcy wynaleźli odmianę ruchomych czcionek, choć nie do drukowania gazet czy książek, lecz do celów astrologicznych. Słynny dysk z Fajstos to jedyny obiekt tego typu zachowany w kompletnym stanie. Kreteńcy wykorzystywali je do wyliczania pozycji wybranych zjawisk na niebie, zwłaszcza przewidywania położenia gwiazdozbiorów, takich jak Plejady i Orzeł. Dysk był tablicą, na której metalowe wizerunki gwiazd lub gwiazdozbiorów odcisnięto najpierw w miękkiej glinie, zanim ją wypieczono i utwardzono.



Obrazek na małej metalowej czcionce odkrytej przez Michaela Rose'a w Maine (z prawej) to wizerunek bogini Ziemi czczonej na Krecie 4000 lat temu.

Artefakt z Maine to właśnie egzemplarz takiej ruchomej czcionki, pasujący do kretańskich

odpowiedników także pod względem rozmiarów. Znaleźisko Michaela Rose'a jest wytłaczane; zarysy obrazka są wystarczające wypukłe, żeby wyraźnie odcisnęły się w miękkiej glinie. Minojska bogini z węzłem, nieodmiennie ukazywana jako kobieta w falbaniastej spódnicy, jest sportretowana w identyczny sposób na przedmiocie z Old Town. Musiał on zostać porzucony przez jakiegoś przybysza z Krety i zapomniany na ponad 3000 lat. Kreteńczyk ów mógł przecież posiadać prywatny odpowiednik dysku z Fajstos, który w opinii badaczy był pospolitym obiektem handlowym, prawdopodobnie wytwarzanym do powszechnego użytku w co najmniej setkach egzemplarzy.

Co mogło w zamierzchłej przeszłości skłonić przybysza z Krety do odważenia się na przeprawę transatlantycką? Odpowiedź jest prosta: miedź. Kreteńska gospodarka opierała się na imporcie i eksporcie tego metalu. Społeczeństwo minojskie było doskonale wyposażone w brązowe przedmioty (produkowane ze stopu wysokogatunkowej miedzi z cyną i cynkiem) – od narzędzi po obiekty sakralne. Na ekspozycji w muzeum w mieście Iraklion na Krecie znajduje się wydobyty wrak minojskiego statku wiozącego kilka ton miedzianych sztabek typu „wołowa skóra”. Poza Cyprzem zasoby wysokogatunkowej miedzi w Europie były skromne. Źródłem najbardziej wysokogatunkowej miedzi na świecie jest Upper Peninsula w Michigan. Tutaj też kolosalne przedsięwzięcie górnicze zrealizowali nieznanymi górnicy, którzy w latach 3000-2000 p.n.e. usunęli co najmniej 230.000.000 kilogramów miedzi.

Ta ogromna operacja stanowi jedną z największych zagadek archeologicznych. Starożytna miedź zniknęła z Ameryki Północnej dokładnie wtedy, gdy rozkwitły kultury epoki brązu na Bliskim Wschodzie i w Europie. Kreteńczycy, uzdolnieni żeglarze i mający świetne morskie okręty (nie mówiąc już o kupieckim apetycie na miedź), najwyraźniej należeli do ludów, które w epoce brązu próbowały wzbogacić się na zasobach naturalnych północno-zachodniego Michigan. W przedantycznych czasach produkcja miedzi stanowiła odpowiednik współczesnej nam syntezy jądrowej, zaś przedsiębiorczy baronowie miedziowi posunęliby się do wszystkiego, by zdobyć ten surowiec dla wielonarodowej klienteli.

Przypuszczenia te potwierdza znalezienie przez Michaela Rose'a starożytnej ruchomej czcionki nad brzegiem rzeki Penobscot niedaleko Old Town, zaledwie 45 kilometrów od wybrzeży Oceanu Atlantyckiego. W czasach minojskich rzeka rozlewała się znacznie szerzej niż obecnie i była połączona bezpośrednio z Rzeką Świętego Wawrzyńca, którą statki mogły pływać do starożytnych kopalń miedzi w północno-zachodnim Michigan. Znaleźisko z Maine nie jest jednak wcale pierwszym odkryciem tego rodzaju. Wizerunki minojskiego rytualnego labiryntu znaleziono w tak odległych miejscach, jak Nowy Meksyk i Arizona.

Inskrypcję wykonaną pismem linearnym A, datowaną na 1500 rok p.n.e., znalazł traper Bernardo Ramos w Brazylii. Innego znaleźiska dokonała w dorzeczu Amazonki w latach 20. XX wieku ekspedycja Fawcetta – był nim kreteński posąg przedstawiający ludzką postać trzymającą tablicę pokrytą minojskimi hieroglifami. Szczególnie intrygujące są minojskie sztabki typu „wołowa skóra” z bitej miedzi wykorzystywane jako środek płatniczy przez różne indiańskie plemiona w XVI wieku. Te dodatkowe odkrycia potwierdzają autentyczność artefaktu z Old Town, który stanowi wyraźne świadectwo obecności Kreteńczyków w Maine ponad 30 stuleci temu.

Podsumowanie

Liczne i różnorodne artefakty opisane w tej książce składają się na imponujący materiał dowodowy potwierdzający teorię o obecności zamorskich gości w Ameryce na stulecia lub nawet tysiąclecia przed 1492 rokiem – powszechnie akceptowaną datą początków historii tego kontynentu. Intrygujące zabytki materialne znajdują potwierdzenie w ustnej tradycji przekazywanej w niezliczonych pokoleniach rdzennej ludności – od koła podbiegunowego na północy po Andy. Wszystko to składa się na zapomnianą, niedocenianą, lekceważoną, a niekiedy poddawaną cenzurze opowieść o początkach dziejów człowieka na amerykańskim kontynencie.

Przedstawione przez nas świadectwa to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Dokonano już licznych odkryć, ale wiele pozostaje do zrobienia, aby radykalnie zmienić obowiązujące w nauce poglądy. Prezentują je autorytety z kręgu środowisk akademickich – specjalnie na użytek opinii publicznej. Wzbiera jednak fala dowodów zaprzeczających owym poglądom, generowana przez błyskawiczny postęp w zakresie metod badawczych. Fala ta musi nieuchronnie obalić przestarzałe paradygmaty, wciąż przyjmowane jako nienaruszalne przez tych, którym najlepiej służy taki ciasny dogmatyzm. Magazyn *Ancient American*, przedstawiający nadspodziewane bogactwo zabytków z głębokiej starożytności Ameryki, jest zwiastunem przemiany.

Bibliografia

Rozdział 1: Przecistawiając się archeologicznemu establishmentowi

Pierwsza cywilizacja amerykańska: starsza niż uważano

- Chan P. *The Olmec, Mother Culture of Mesoamerica*, Rizzoli Books, Nowy Jork 1989.
Cooper C. *A Leap of Faith*, MacMillan Co. Ina, Nowy Jork 2000.
Gruener J. *The Olmec Riddle. An Inquiry into the Origin of Precolumbian Civilization*, Vengreen Publications, Rancho Sante Fe 1987.
Sitchin Z. „Zaginione królestwa: księga czwarta kronik Ziemi”, (przekł. M. Pisarski), Prokop, Warszawa 2002.

Człowiek z Kennewick: wciąż politycznie niepoprawny po upływie 9000 lat

- Marks J. *What it Means to be 98% Chimpanzee: Apes, People, and Their Genes*, University of California Press, Los Angeles 2002.
Quinone P., Lever C. *Kennewick Man: May He Rest in Peace!*, *Ancient American* 6,37, luty 2001.
Wells Spencer *The Journey of Man: A Genetic Odyssey*, Random House Paperbacks, Nowy Jork 2003.

Tablice z Michigan: archeologiczny skandal

- Baldwin J. *Ancient America*, Longstreet Publishers, Nowy Jork 1998.
Carter L.D., Cheeseman P.R. *Historical Background of the Soper-Savage Collection of Inscriptions and Drawings*, BYU, Salt Lake City 1977.
Mertz H. *The Mystic Symbol*, Ancient American Press, Green Bay 1994.
Powell J.W. *First Annual Report, Bureau of American Ethnology*, s. 74, Waszyngton 1880.
Russell J. *Prehistoric Discoveries in Wayne County*, Corner Press, Lucedale 1911.
Talmage J.E. *Flow of Twaddle begs Question*, *Deseret Evening News*, 5 listopada 1911.

Ludzie w Ameryce ćwierć miliona lat temu

- Boule M.H. *Fossil Men*, The Dryden Press Inc., Nowy Jork 1975.
Cremo M.A. *The Controversy over „The Mysterious Origins of Man”*, *Nexus Magazine*, maj 1998.
Cremo M., Thompson R. „Zakazana archeologia. Ukryta historia człowieka” (przekł. M. Rudziński), Arche, Wrocław 1998.
De Carrero J. *Liberdad Humanas de las Puebas*, Estrella 1996.
Gabel C. *Man Before Hisiory*, Prentice Hall Inc, Upper Saddle River 1964.
Leaky L.S.B *The Evolution of Man*, Harper & Row, Nowy Jork 1960.
Traxler B. *Human Evolution in the Americas*, Presidium Press Ltd., Londyn 1989.

Koniec z Mojżeszem z Clovis

- Cremo M.A. *The Controversy over „The Mysterious Origins of Man”*, *Nexus Magazine*, maj 1998. Doutre M. *Ancient Celtic New Zealand*, De Danann, Wellington 1999.
Sunfellow D. *The Great Pyramid and The Sphinx*, www.nhne.com/hpeerialreports/pyramid.html, 25 listopada 1994.

Rozdział 2: Starożytna technika

Supernauka Egiptu faraonów w przedhiszpanskim Peru

- Childress D.H. „Zaginione miasta i pradawne tajemnice Ameryki Południowej”, (przekł. K. Kurek), Amber, Warszawa 2000.
Hodges H. *Technology in the Ancient World*, Marlboro Books, Londyn 1970.
Kirbus F. *Enigmas, Miserios y Secretos de America*, Rio de Janeiro Press, Rio de Janeiro 1978.
Moseley M.E. *The Incas and their Ancestors*, Thames and Hudson, Londyn 1994.
Wilkins H.T. *Mysteries of Ancient South America*, Adventures Unlimited Press, Kempton 2000 (reprint oryginału z 1947 roku).

Dzwon i młot: dwa „niemożliwe” znaleziska

Corliss W.R. *Archaeological Anomalies: Smali Artifacts*, The Sourcebook Project, Maryland 2003.
Steiger B. *Atlantis Rising*, Dell Publishing, Nowy Jork 1971.
Thompson G. *American Discovery, the Real Story*, Argonauts Misty Isles Press, Seattle 1994.

Czy starożytni Amerykanie wiedzieli o Trójkącie Bermudzkim?

Alexander W. *North American Mythology*, Harcourt Brace, Nowy Jork 1935.
Berlitz Ch. *Mysteries of the Bermuda Triangle*, Harcourt Brace, Nowy Jork 1979.
Marnot A., Rachlin C.K. *American Indian Mythology*, New American Library, Nowy Jork 1968.
Munck C. *The Code-2000*, L.L. Productions, Seattle 2000.

Azteckie „Naczynie Czasu”

Burland C.A. *The Gods of Mexico*, G.P. Putnam's Sons, Nowy Jork 1967.
Burland C.A., Forman W. *Feathered Serpent and Smoking Minor, the Gods and Cultures of Ancient Mexico*, G.P. Putnam's Son, Nowy Jork 1975.
Carrasco D., Matos E. *Moctezuma's Mexico. Visions of the Aztec World*, University Press of Colorado, Boulder 1992,
Jimenez R.C., Graeber R.B. *The Aztec Calendar Handbook*, Historical Science Publishing, Saratoga 1993.
Shearer T. *Beneath the Moon and Under the Sun. A Poetic Re-appraisal of the Sacred Calendar and the Prophecies of Ancient Mexico*, Sun Books, Santa Fe 1975.
Tompkins P. *Mysteries of the Mexican Pyramids*, Harper & Row, Nowy Jork 1976.

Niemiecki dysk z epoki brązu: przyrząd zza Atlantyku?

Bailey J. *Sailing to Paradise*, Simon & Schuster, Nowy Jork 1994.
Bernal I. *The Olmec World*, University of California Press, Berkeley 1969.
Casson L. *Ships and Seafaring in Ancient limes*, British Museum Press, Londyn 1993.
Feli B. *America B.C.*, Pocket Books, Simon & Schuster, Nowy Jork 1994.
Ferryn R. *Five Thousand Years Before Our Era: The Red Men of the North Atlantic, NHARA Journal*”, XXXI, nr 2, 1997.
Heyerdahl T. „Ekspedycja Ra”, (przekł. Z. Łanowski), Muza, Warszawa 1996.
Jairazbhoy R.A. *Ancient Egyptians and Chinese in America*, Roman & Littlefield, Princeton 1974.
Jonge R.M., Uzereef G.F. *De Stenen Spreken*, Kosmas Z&K, Utrecht/Antwerpia 1996.
Jonge R.M., Wakefield J.S. *How the Sun-God Reached America, A Guide to Megalithic Sites*, MCS Ina, Scottsdale 2002.
Joseph F. *The Destruction of Atlantis, Compelling Evidence of the Sudden fall of the Legendary Civilization*, Bear & Co., Rochester 2002.
Lambert J.D. *America's Stonehenge, An Interpretive Guide*, Sunrise Publications, Kingston 1996.
Owen W. *Old World Civilizations, the Rise of Cities and States*, McMahons Point, Sydney 1995.
People of the Stone Age: Hunter-Gatherers and Early farmers, McMahons Point, Sydney 1995.
Stuart G.E. *New Light on the Olmec, National Geographic*, listopad 1997.
Thompson G. *American Discovery*, Argonauts Misty Isles Press, Seattle 1994.
Wachsmann S. *Seagoing Ships and Seamanship in the Bronze Age*, Dover Pub, Nowy Jork 1973.

Rozdział 3: Zaginione rasy

Czy Atlantyda była na Kubie?

Collins A. *Gateway to Atlantis*, Headline Publishers, Londyn 2000.
Heimer P. *Caribbean Mythology*, Thackery & Sons Ltd., Londyn 1961.
Platon „Dzieła. Tom II: *Timaios, Kritias*”, (przekł. W. Witwicki), Wydawnictwo Antyk, Kęty 1999.

Najstarszy cmentarz Ameryki: cmentarzysko górników miedzi

Corliss W.R. *Ancient Alan: A Handbook of Puzzling Artifacts*, The Sourcebook Project, 1980.
McCarthy S. *Ancient Copper Miners of the Upper Midwest*, University of Michigan Press, Detroit 1952.
Olsen B. *Sacred Places. North America, Consortium of Collective Consciousness*, San Francisco 2003.
Scherz J.P. *Ancient Trade Routes in Americas Copper Country, Ancient American*, październik 2000.

Mumie białych ludzi z Alaski

Bandi H.G. *Eskimo Prehistory*, University of Alaska Press, Fairbanks 1969.
Clark E.E. *Indian Legends of the Pacific Northwest*, University of California Press, Berkeley 1953. LaGuna F. *de Archaeology of the Cook Met*, Harbor Press, Little Rock 1969.
Noorbergen R. *Secrets of Lost Races*, Bames & Noble Publishers, Nowy Jork 1977.

Kim byli „biali z Zachodu”?

- Goodman J. *American Genesis*, Doubleday, Nowy Jork 1979.
Mallan Ch. *Catalina Island Handbook A Guide to California 's Channel Islands*, Moon Publications Inc, San Francisco 1992.
McCall L., Peny R. *California 's Chumash Indians*, EZ Nature Books, San Francisco 1990.
Spence L. *The Problem of Lemuria*, Mayflower Press, Nowy Jork 1935.

Niedźwiedzie olbrzymy terroryzowały starożytną Amerykę

- Richards R., Turnbull W., Neiburger K.J. *Giant short-faced bear (Arctodus simus yukonensis) remains from Fulton County, northern Indiana, Fieldiana*, 30, 1995.
Tompkins C. *The Lewis and Clark Trail*, Harper & Rowe, Nowy Jork 1965.

Zaginieni budowniczości Michigan z epoki brązu

- Davies N. „Europa: rozprawa historyka z historią”, (przeł. E. Tabakowska, R. Śmietana), Znak, Kraków 1998.
DuTemple O.J. *Prehistory's Greatest Mystery: Copper Mines of Ancient Michigan*, *Ancient American*, październik 2000.
Fitting J.E. *The Archaeology of Michigan: A Guide to the Prehistory of the Great Lakes*, Cranbrook Institute of Science, Bloomfield Hills 1975.
Hinsdale W.B. *Primitive Man in Michigan*, University Museum, University of Michigan, Ann Arbor 1925.
Hubbard B. *Memorials of a Half-Century in Michigan and the Great Lakes Region*, Nowy Jork.
Joseph F. *The Lost Pyramids of Rock Lake: Wisconsin's Sunken Civilization*, Galde Press, Ukeville 1992.
Martin J.B. *Call It North America*, Alfred A. Knopf, Nowy Jork 1944.
Martin S.R. *Wonderful Power: The Sign of Ancient Copper Working in the Lake Superior Basin*, Wayne State University Press, Detroit 1999.
Phelps L. *Early Narratives of the Northwest*, Charles Scribner's Sons, Nowy Jork 1917.
Quimby G.I. *Indian Life in the Upper Great Lakes, 1000 B.C. to A.D. 1800*, The University of Chicago Press, Chicago 1960.
Rydholm F. *Historical and Geological Record of the Copper Country*, *Ancient American*, październik 2000.
Scherz J. *The Stone Face at Mummy Mountain*, *Ancient American*, kwiecień 2000. *Mummy Mountain*, *Ancient American*, październik 2000.
Short J.T. *The North Americans*, Harper and Brothers, Nowy Jork 1880.
Slime N. *Where We Come From: Recent Advances in Genetics Are Starting to Illuminate the Wanderings of Early Humans, „U.S”*. *News and World Report*, 29 stycznia 2001.
Sodders H. *Michigan Prehistory Mysteries*, Avery Color Studios, Au Train 1991.
Stengal M.K. *The Diffusionists Have Landed*, *The Atlantic Monthly*, styczeń 2000.
Trento S., Salvatore M. *The Search for Lost America: The Mystery of the Stone Ruins*, Contemporary Books, Chicago 1978.

Rozdział 4: Prekolumbijscy przybysze z Pacyfiku

Poszukiwania piramidy Majów na Jawie

- Bellwood P. *Man's Conquest of the Pacific*, William Collins, Londyn 1978.
Childress D.H. *Lost Cities of North and Central America*, Adventures Unlimited Press, Kempton 1992.
Kearsley G.R. *Mayan Genesis. South Asian Myths, Migrations and Iconography in Mesoamerica*, Yelsraek Publishing, Londyn 2001.

Pradawne chińskie złoto w Kalifornii

- Childress D.H. *Lost Cities of China, Central Asia and India*, Adventures Unlimited Press, Kempton 1985.
Christie A. *Chinese Mythology*, Peter Bedrick Books, Nowy Jork 1977.
MacKenzie D.A. *Myths of China and Japan*, Gramercy Books, Nowy Jork 1991.

Zagadkowe zwierzę ze stanu Waszyngton

- Davis R.H. *Myths and Legends of Japan*, Graham Brash Publishing Company, Singapur 1989.
Jett S.C. *The Jomon of Neolithic Japan: Early Ocean-Goers, Pre-Columbiana*, 1, nr 2 and 3, czerwiec/grudzień 1999.

Rajskie nasiona

- Ashraf J. *Maize In India: Introduction or Indigenous?*, *Annals NAGI*, XIV, nr 2, grudzień 1994.
Babcock W.H. *Legendary Islands of The Atlantic, A Study in Medieval Geography, Research Series nr 8*, The

American Geographical Society, Nowy Jork 1922.
Burt-Davey J. *Maize*, Longmans, Green & Co., Nowy Jork 1914.
Hobhouse H. *Seeds of Change: Five Plants that Transformed the World*, Sedgwick & Jacks, Londyn 1985.
Johannessen C.L., Parker A.Z. *Maize Ears Sculptured in 12th and 13th Century A.D. India as Indicators of Pre-Columbian Diffusion, Economic Botany*, 42 (2), 1989.
Markham C.R. (red.), *The Natural & Moral History of The Indies*, Hakluyt Society, Londyn 1880.
Riley C. i in. *Man Across The Sea*, University of Texas Press, Austin 1971.
Thompson G., *Nu Sun: Asian-American Voyages, 500 B.C.*, Argonauts, Seattle 1989.
Thompson G., *American Discovery, The Real Story*, Argonauts, Seattle 1994.
Thompson G. *The Friar's Map of Ancient America*, Argonauts, Seattle 1996.

Rozdział 5: Wikingowie wylądowali!

Wieża w Newport: kolonialny wiatrak czy latarnia morska wikingów?

Chapman R, *The None Discovery of America*, One Candle Press, 1981.
Grandvick E. *Vikings in the West*, Archaeological Institute of America, Chicago 1982
Holand H.R. *America: 1355 to 1364*, Duell, Sean, & Pierce Inc, Nowy Jork 1946.

Kot wikingów, który odkrył Amerykę

Collin S. *Maine Coon Cats: Their Viking Blood is not to be Denied*, *The Cat Fancier Digest*, 5, 3, październik/listopad 2001.
Hastings S. *Why prefer being a Maine Coon*, *Cat Lovers Magazine*, 12,7, luty 2002.
Heyerdahl T. *Early Man and the Ocean*, Doubleday, Nowy Jork 1978.
Thompson G. *American Discovery, the Real Story*, Argonauts Misty Isles Press, Seattle 1994.
Woodhouse H. *Feline Evolution*, Animal Ark Press, 2002.

Fałszywe kamienie runiczne z Kensington i Heavener

Anderson H. *Fraudulent Science*, Dempsey Press, Chicago 1983.
Goldstein I. *Conspiracies in Archaeology*, Woodward Jones Inc, Nowy Jork 1977.
Heiland, Maxwell, *I Faked the Kensington Runestonel*, *The Skeptical Observer*, 1, nr 2, wiosna 1993.
Radinsky I. *The Heavener Runestone and Other Archaeological Tricks*, *Oklahoma History Magazine*, 9, nr 1, marzec 1990.

Nauka potwierdza autentyczność kamienia runicznego z Minnesoty

Enterline J.R. *Viking America*, Doubleday, Nowy Jork 1972.
Golding M.J. *The Mystery of the Vikings in America*, Lippincott, Pensylwania 1973.
Ingstad H. *Westward to Vinland*, St. Martin's Press., Nowy Jork 1969.
Leutner M. *The Kensington Runestone*, Kanzler Press, Północna Dakota 2000.
Wahlgren E. *The Viking and America*, Thames & Hudson, Londyn 1986.

Olbrzymi kamień runiczny z Heavener

Anderson W.R. *Viking Explorers and the Columbus Fraud*, Wells Street Publisher, Chicago 1961.
Farley G. *In Plain Sight*, ISAC Press, Georgia 1994.
Stromsted A.A. *Ancient Pioneers: Early Connections Between Scandinavia And The New World*, Erik Friis, Nowy Jork 1974.
Van Osten H. *Evidence of Vikings in North America*, McCready Press, Iowa 1979.

Rozdział 6: Wschód spotyka Zachód w starożytnej Ameryce

Przypłynęli po kokainę

Balabanova S., Porsche F. *First report of drugs in Egyptian Mummies*, *Naturwissenschaften*, 79, 358,1992.
Boucher D.H. *Cocaine and the coca plant*, *Bioscience*, 1991.
Bryan C.P. *The Papyrus*, Appleton, Nowy Jork 1981.
Kennedy J. *Coca exotica: the illustrated story of cocaine*, Fairleigh Dickenson University Press, Teaneck 1985.
Lewis W.H. *Medical Botany*, Wiley & Sons, Nowy Jork 1977.

Teza: Egipcjan nie było w starożytnej Ameryce

Attenborough D. *The First Eden*, Little Brown & Co., Nowy Jork 1987.
Casson L. *Ships and Seafaring in Ancient Times*, University of Teras, Austin 1994.

Davis N. *The Aztec Empire*, University of Oklahoma Press, Norman 1987.
Drews R. *The End of the Bronze Age*, Princeton University Press, Princeton 1993.
Hayes W.C. *The Scepter of Egypt*, Harry N. Ahrahms, Londyn 1957.
Heyerdahl T. „Ekspedycja Ra”, (przeł. Zygmunt Łanowski), Muza, Warszawa 1996.
Keating R. *Peruvian Prehistory*, Cambridge University Press, Cambridge 1988.
Lurio E. *A Fractured History of the Discovery of America*, Doubleday, Nowy Jork 1990.
Mosley M. *The Incas & Their Ancestors*, Thames & Hudson, Londyn 1992.
Rice M. *Egypt's Making*, Routledge Press, Nowy Jork 1991.
Shele L., Friedel D. *A Forest of Kings, the Untold Story of the Ancient Maya*, William, Morrow & Co., Nowy Jork 1990.
Thompson G. *American Discovery. The Real Story*, Argonauts, Seattle 1994.

Antyteza: Rola Egipcjan w starożytnej Ameryce

Bierhorst J. *The Mythology of South America*, William Morrow and Company Inc., Nowy Jork 1982.
Boylan P. *Thoth, the Hermes of Egypt*, Ares, Chicago 1979.
Brooks J. *The South American Handbook*, Bath: Trade & Travel Publications, 1975.
Childress D.H. „Zaginione miasta i pradawne tajemnice Ameryki Południowej”, (przeł. K. Kurek), Amber, Warszawa 2000.
Motet P. *Lives of the Pharaohs*, World Publishing Company, Nowy Jork 1968.
Petrie W.M.F. *A History of Egypt Vols. I, II and III*, Charles Scribner's Sons, Nowy Jork 1905.
Thomson G. *American Discovery. The Real Story*, Argonauts, Seattle 1994.
Zorane A. de *The Discovery and Conquest of Peru*, Lima Treasury Publishers, 1968.

Wielka kamienna twarz z Chicago

Hollstein A. *Carthaginian Seamanship*, *Ancient Word Magazine*, 1, nr 1, czerwiec 1980.
MacKenzie J. *The Waubensee Stone*, Regnery Press, Chicago 1960.
Mercer R. *The Phoenicians*, Daily Books, Nowy Jork 1978.
Nuttall Z. *The Fundamental Principles of Old and New World Civilizations*, Peabody, Harvard University, Boston 1900.

Rozdział 7: Goście z Afryki

Starożytni Amerykanie: czerwoni czy czarni?

The Art of Terra-Cotta Pottery in Pre-Columbian Central and South America, Crown Publisher, Nowy Jork 1965.
Ben-Jochannan Y. *Black Man of the Nile*, Black Classic Press, Md 1970.
De Angeli P.M. *Decadas del Nuevo Mundo*, Editorial Bajel, Buenos Aires 1944.
Leslie J., Burst P.T. *Pre-Columbian Art of Mexico*, Abbeville Press, Nowy Jork 1980.
Morris A.A. *The Temple of the Warriors at Chichen Itza*, Carnegie Institution of Washington, 1931.
Thompson J.E. *Maya History and Religion*, University of Oklahoma Press, Norman 1970.
Van Sertima I. *They Came Before Columbus*, Random House, Nowy Jork 1976.
Von Wuthenau A. *Unexpected Faces in Ancient America*, Crown Publisher, Nowy Jork 1973.

Wielkie kamienne głowy mówią

Beraal L. *The Olmec World*, University of California Press, Berkeley 1969.
Bradley M. *The Black Discovery of America*, Personal Library, Toronto 1981.
Coe M., Diehl R. *The Land of the Olmec*, University of Texas Press, Austin 1980.
Van Sertima I. *They Came Before Columbus*, Random House, Nowy Jork 1976.

Rozdział 8: Prekolumbijscy Europejczycy na wybrzeżach Nowego Świata

Czy króla Artura zamordowano w Ameryce?

Deacon R. *Matlock and the Discovery of America*, Brazillier, Nowy Jork 1966.

Zaginiona starożytna inskrypcja irlandzka z Kentucky

Fell B. *The Epigraphic Society's Occasional Papers, ESOP*, 16, 1987.

Irlandczyk w VIII wieku odwiedza Wirginię Zachodnią

Ashe G. *Land to the West: St. Brendan's Voyage to America*, Viking Press, Nowy Jork 1962.
Boorstein D. *The Discoverers*, Random House, Nowy Jork 1983.

Fingerhut E. *Who first Discovered Americal*, Regina Books, San Francisco 1984
McGlone W.R., Leonaid P.M. *Ancient Celtic America*, Panorama West Books, San Francisco 1986.

Templariusze w Nowym Świecie

Davis N. *Voyagers To The New World*, University of New Mexico Press, Santa Fe 1979.
Pohl F. *Prince Henry Sinclair*, Clarkson N. Potter, Nowy Jork 1974.
Withey L. *Voyages of Discovery*, William & Morrow, Nowy Jork 1987.

Śródziemnomorskie lampy: wyjątkowe zabytki z Regionu Środkowozachodniego USA

Bailey J. *The God-Kings and the Titans*, St. Martins Press, Nowy Jork 1973.
Bancroft H.H. *American Antiquities*, Bancroft & Co., Nowy Jork 1883.
Emery W.B. *Archaic Egypt*, Penguin Books. Londyn 1971.
Fell B. *America B.C.*, Simon & Schuster, Nowy Jork 1989.

Rzymskie monety z Wisconsin

Chattopadhyay A. *The Age of the Kushanas*, Numismatic Study, Punthi Pustak, Kalkuta 1967.
Gardner P. *Coins of greek and Scythic Kings of Bactria and India*, Argonaut Inc., Chicago 1966.
Grant M. *The Roman Emperors*, Barnes & Noble, Nowy Jork 1997.
Millar F. *The Roman Umpire and its Neighbours*, Gerald Duckworth and Co., Londyn 1981.
Mukherjee B.N. *The Rise and Fali of the Kushana Empire*, Firma KLM. Kalkuta 1988.
Postel R. *Katalog Der Antiken Munzen in Der Hamburger Kunsthalle*, Hans Christiens Verlag, Hamburg 1976.
Sarma I.K. *Coinage of the Satavahana Empire*, Agam Kala Prakashan, Delhi 1980.
The Student's Gibbon, A History oft he Decline and Fali of the Roman Empire, cz. I, A.H.G. Greenbridge, Londyn 1899, (wyd. polskie „Zmierzch cesarstwa rzymskiego”, przekł. Z. Kierszys i S. Kryński, Warszawa 1960).

Rzymskie zabytki znalezione w Arizonie

Gunnar T. *American Discovery, The Real Story*, Argonauts Misty Isles Press, Seattle 1994.
Leaden Spear-Shaft Found in Location of Famed Artifacts, *The Arizona Daily Star*, 17 lutego 1928.
Roman Relics Found Here Baffle Science, *The Arizona Daily Star*, 13 grudnia 1923.
Getsinger E.C. *Arizona Discoveries of Ancient Hebrew Culture Branded As Fake*, *California Jewish Review*, 18 stycznia 1925.
Childress D.H. *Lost Cities of North & Central America*, Adventures Unlimited Press, Chicago 1992.
Covey C. *Calalus*, Vantage Press, Nowy Jork 1975.
Astronomer Will Speak on Arizona Discoveries Tomorrow, *Daily Northwestern*, 6 stycznia 1926, Evanston.
Sayles E.B. „Ted”, Henley J.A. *Fantasies of Gold. Legends of Treasures and How They Grew*, The University of Arizona Press, Tucson 1968.
Say Mexican Made Arizona Artifacts, *New York Times*, 19 stycznia 1925.
Inscribed Plate Found Near City May Tell Untold Story of an Early Race Here, *Tucson Citizen*, 1 stycznia 1925.
Leaden Relics Genuine, *States U. of A. Archaeologist, Who Replies to Doubting Thomases*, *Tucson Citizen*, 14 grudnia 1925.
Relic Texts Arc Cribbed From Dictionary Glossary Charge, *Tucson Citizen*, 15 grudnia 1925.

Kreteńczycy z Maine

Daniel G. (red.) *The Illustrated Encyclopedia of Archaeology*, Thomas Y. Crowell Co., Nowy Jork 1977.
Evans A.J. *The Palace of Minos*, Macmillan, Londyn 1933.
Imel M.A., Myers D. *Goddesses in World Mythology*, Oxford University Press 1993.
Thompson G. *American Discovery, The Real Story*, Argonauts, Seattle 1994.
Wyse E. (red.) *Past Worlds, The Times Atlas of Archaeology*, Crescent Books, Nowy Jork 1998.

Atlantyda na Kubie, zaginieni budowniczo wie Michigan z epoki brązu,
supernauka w przedhiszpańskim Peru, azteckie „Naczynie Czasu”,
piramidy Majów na Jawie, król Artur zamordowany w Ameryce
– te i inne odkrycia ostatnich lat dowodzą, że historia Ameryk
była inna niż przedstawia to oficjalna nauka.

Frank Joseph – amerykański badacz zagadek przeszłości, autor książek
Zaginiony szarż króla Juby, *Zagłada Atlantydy* i *Ocaleni z Atlantydy*
– zebrał najciekawsze artykuły kontrowersyjnych badaczy publikowane
na łamach magazynu „Ancient American”, którego jest redaktorem naczelnym.
Sławy takie jak Zecharia Sitchin czy David Hatcher Childress ujawniają w nich
zdumiewające artefakty i naukowe rewelacje: odkrycie liczącego 9000 lat
szkieletu człowieka rasy białej w stanie Waszyngton, świadectwa istnienia
zaginionej zaawansowanej techniki, dowody na to, że przeszłość ludzkości
w Ameryce sięga nawet 250 000 lat. Odsłaniają fakty pomijane przez historyków
i zatajane przez archeologów „politycznie niepoprawne” świadectwa,
podważają obowiązujące w nauce dogmaty i prezentują nowy, zupełnie różny
od wersji podręcznikowej obraz dziejów kontynentów amerykańskich.

